

ĆWIEK

JAKUB



TOPIEL

MARGINESY



ĆWIEK
JAKUB

TOPIEL



Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Luźna kartka

I. CHŁOPCY NA SKRAJU LATA

Piątek, 4 lipca 1997

Józek

Kacper

Józek

Luźna Kartka

Sobota, 1 lipca 1997

Darek

Grzesiek

Józek

Darek

Kacper

Niedziela, 6 lipca 1997

Darek

Grzesiek

Józek

Kacper

Luźna Kartka

II. ŚWIĘTO TRZECH SIÓDEMEK

Luźna Kartka

Poniedziałek, 7 lipca 1997. Pierwsza fala

Darek
Grzesiek
Darek
Grzesiek
Darek
Kacper
Luźna Kartka
Józek
Luźna Kartka
Darek
Józek
Kacper
Luźna Kartka

Poniedziałek, 7 lipca 1997, około godziny 18.00. Druga fala

Darek
Józek
Luźna Kartka

III. TRUP

Wtorek, 8 lipca 1997

Kacper
Luźna Kartka
Grzesiek
Józek
Luźna Kartka
Grzesiek
Józek
Grzesiek
Darek
Józek
Kacper
Luźna Kartka

Józek
Darek
Kacper
Luźna Kartka
Grzesiek
Luźna Kartka

IV. DOROŚLI

Środa, 9 lipca 1997

Józek
Luźna Kartka
Darek
Luźna Kartka
Józek
Darek
Kacper
Luźna Kartka
Darek
Józek
Kacper
Darek
Józek
Kacper

V ...I RZEKA

Czwartek, 10 lipca 1997

Darek
Kacper
Grzesiek
Darek
Luźna Kartka

Środa, 30 lipca 1997

Józek

EPILOG

Wtorek, 4 września 2018

Józef

Luźna Kartka

Posłowie

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych, opracowanie graficzne MICHAŁ PAWŁOWSKI
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Jakub Ćwiek
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

Warszawa 2020
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66500-29-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ciało rozwija się powoli i stopniowo, ale dusza sadzi milowe susy. Może osiągnąć pełną formę w mgnieniu oka.

Lucy M. Montgomery
(przełożył Bartosz Czartoryski)

Dorośli to tylko strupieszale dzieci.
Do diabła z nimi!

Dr Seuss
(przełożył Bartosz Czartoryski)

LUŻNA KARTKA

Usłyszała to w jego głosie, przez telefon. Pośród szumów i trzasków, mimo gwaru. Gdy powiedział, że już się zbiera i będzie w domu do godziny.

Gdy tylko się rozłączył, zadzwoniła do siostry i zapytała, czy ta może wpaść po dzieci. W ciągu godziny. Nie, nic się nie stało, po prostu zamierzają gdzieś z Hubertem wyskoczyć po jego powrocie z pracy i nie mogą wziąć ze sobą dzieci.

Musiała tylko usmażyć kotlety i ugotować ziemniaki. Nie chciała tego robić za wcześnie, teraz jednak ustawiła sobie minutnik. Starła blaty, wymyła podłogę, a potem przejechała po niej suchą szmatą, zbierając wodę.

Gdy kwadrans później Kinga zjawiała się po dzieci i zadzwoniła domofonem, wysłała je na dół, bez zapraszania siostry. Dwie godziny, powiedziała. Tyle potrzebujemy. Dzięki kochanie, nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

Liczyła, że te dwie godziny rzeczywiście wystarczą, ale z jakiegoś powodu miała wątpliwości. Bo dziś... dziś brzmiał tak jak jeszcze chyba nigdy. Brzmiał tak, że się przestraszyła. Że gdyby mogła, wyszłaby teraz z domu i wróciła wieczorem. Wiedziała jednak, że nie może go z tym zostawić, bo nie tak się umówili ostatnim razem.

Zadzwonił minutnik, nastawiła ziemniaki, zrobiła sałatkę, usmażyła kotlety. Zdejmowała je właśnie z patelni, gdy wszedł do domu.

Usłyszała, jak włączył światło w toalecie, potem spuścił wodę, wyłączył, a ona zdała sobie sprawę, że odruchowo wstrzymała oddech. Bo nagle dotarło do niej, że wie, co się stało. Że choć nigdy nie nauczył się zostawiać tak naprawdę pracy za drzwiami, tylko jedno mogło go tak mocno ruszyć. Coś, na co przeczuleni byli oboje od czasu... No, od wtedy.

Wszedł do kuchni. Wciąż miał na sobie mundur polowy, z podwiniętymi mokrymi nogawkami, który nosił codziennie, odkąd głównym zadaniem nyskiej policji, jak i wszystkich służb mundurowych w regionie, stała się walka ze skutkami powodzi. Spod rozpiętej bluzy wyłonił się prążkowany podkoszulek, teraz cały w zaschniętym błocie. Ale przynajmniej tym razem nie był tak

przemoczony jak przedwczoraj. Kiedy po czterech dniach ulewy wszyscy się bali, że czeka ich druga tura tego syfu.

Wyglądał na zmęczonego i sfrustrowanego, ciągnął ostatkiem sił. Twarz miał bladą, oczy zaczerwienione, opuchnięte. Dostrzegła też odrapania na knykciach lewej dłoni.

– To ten dzieciak, prawda? Ten z Głuchołaz? Znaleźliście ciało?

Skinął głową.

– Wezwali nas dzisiaj ci Ukraińcy, co udrażniają rzekę.

– Znaczy rzeczywiście był w rzece?

Ponowne skinienie. Chciał się odezwać, ale drgnęła mu grdyka. Chrząknął.

– Gdzie dzieci? – zapytał.

– Z Kingą, wróć za godzinę. – Wzięła talerze i postawiła jeden przed nim, drugi przed sobą.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie wiem, czy będę w stanie to zjeść – powiedział i zaraz mina mu zrzędła. – Nie wiem, czy cokolwiek przełknę. Jezu, ciało po takim czasie w wodzie to już w ogóle nie ciało. Jakby je z balonów zrobić. Sinych, oślizgłych... Gdy próbowali go odczepić, on się rozpadł, rozlazł...

Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Położyła rękę na jego dłoni i tak siedzieli w milczeniu.

– Przepraszam, nie powinienem ci tego mówić – odezwał się w końcu.

– Daj spokój – odparła. – Jesteśmy w tym razem, pamiętasz? Tak się umówiliśmy. Nastawię ci gorącą kąpiel, co ty na to?

Nie odpowiedział, a do niej dotarła absurdalność tego pomysłu. Woda zwalczana wodą to jak ogień benzyną. Przemknęło jej przez głowę, że źle zrobiła, odsyłając dzieci. Powinien je teraz zobaczyć, ona też powinna, by wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Zawsze gdy umiera dziecko, inni rodzice powinni spojrzeć na swoje i odetchnąć z ulgą. A potem pomyślała o rodzicach tego chłopca, kimkolwiek byli. O dwóch tygodniach niepewności podsycanej nadzieją. Myślała o tym, czy stracili dobytek życia, gdy siódmego lipca, dwa tygodnie temu, zaczęła się powódź, i teraz po prostu stracili też jego sens, czy też wtedy im się udało i uwierzyli w swoje szczęście. Pomyślała o ciele w rzece i o tym, że ona chyba by się zabiła.

Podniosła głowę, kiedy zdała sobie sprawę, że on na nią patrzy. Wnikliwe, przekrwione spojrzenie pełne smutku. Wyglądał, jakby chciał o coś zapytać, i nagle ta opcja wydała jej się przerażająca. Nie chciała usłyszeć jego pytania, dlatego szybko zadała własne. Pierwsze, jakie przyszło jej do głowy:

– Jak on się właściwie nazywał?

I
**CHŁOPCY
NA SKRAJU LATA**



Piqtek
4 LIPCA 1997



JÓZEK

Darek i Józek szli od strony osiedla Konstytucji 3 Maja owianego słodkim zapachem krówek z pobliskiego zakładu Cukrogał, mocnym mimo deszczu. Szli obok siebie niemal równym krokiem środkiem opustoszałej ulicy. Nie rozmawiali, twarze mieli poważne, a miny tak gniewne i zacięte, jakie tylko nastolatki potrafią mieć, i postronny obserwator mógłby odnieść mylne wrażenie, że są na siebie źli.

Na umówionym miejscu między papiernią a nasypem czeskich torów zjawili się kwadrans przed czasem, więc Darek, wyższy z chłopców, stwierdził, że mogą schować się we wraku starego audi. Oczywiście natychmiast zaklepał sobie miejsce kierowcy.

Józek nie zamierzał protestować. Z kuzynem widywał się rzadko, ale wiedział, że to jeden z tych dzieciaków, które lubią stawiać na swoim i strzelać focha, jeśli coś nie idzie po ich myśli. A teraz znajdowali się na jego terenie, Józek miał poznać jego kolegów i zrobić z nimi coś, co jeszcze wczoraj nie wydawało mu się aż tak niebezpieczne i głupie. Tylko że wczoraj był wciąż podekscytowany przyjazdem, świeciło słońce i jadł przepyszne lody cytrynowe. Słowem, wczoraj było lato. Dziś padało, odkąd się obudził.

Zresztą, przekonywał sam siebie, wracając myślami do wraku, co jest atrakcyjnego w siedzeniu za kierownicą przerdzewiałego audi bez kół i szyb? Co innego w prawdziwym aucie, które faktycznie prowadzisz, nawet jeśli powoli. Przypomniawszy sobie zeszłoroczne wakacje, gdy pojechali z ojcem na stare lotnisko pod Stargardem Szczecińskim. Tata próbował go wtedy posadzić sobie na kolanach, ale się nie mieścili, więc powiedział: „Nie mów mamie”, wysiadł i wyregulował mu fotel. Potem sam zajął miejsce po stronie pasażera, instruował go i tylko trzymał w pogotowiu dłoń na hamulcu ręcznym. Jechali wolno, większość na półsprzęgle, ale i tak co to była za jazda! Po takiej akcji zdezelowany wrak już nie robił na nim żadnego wrażenia.

Co innego na Darku, który z błyskiem w oczach wsunął się do kabiny przez okno. Przeciwdeszczowa peleryna podwinęła mu się i częściowo rozdarła, jednak nic sobie z tego nie robił. Klapnął na siedzenie, a to mlasnęło i puściło wodę jak ściśnięta gąbka.

– Uważaj, jak będziesz wsiadał. Mokre. – Skrzywił się.

Zbędna uwaga, bo po pierwsze, ze względu na pogodę wszystko, z nimi włącznie, było mokre tak, że bardziej się nie dało. Po drugie, Józek uważał już od dłuższej chwili. Przede wszystkim na kałuże, doły i zdradzieckie płataniny chaszczy, od których roiło się na zaniedbanym terenie budowy. Na ile mógł, uważnie obserwował też ubitą, zrytą oponami drogę dojazdową od Andersa, choć przy takiej pogodzie wjechałby tu pewnie tylko wojskowy jeep. Darek co prawda mówił, że nie ma strachu, bo na budowie prawie od roku i tak nic się nie dzieje, a właściciel wyjechał na roboty na zachód, ale Józkowi to nie wystarczało. Kiedyś pewnie wróci, nie? A jeśli to będzie akurat dziś?

Ponownie omiótł wzrokiem najpierw drogę, potem nasyp torów i odgradzony płotem teren papierni. Odwrócił się, spojrzał na niedokończony budynek i wyżej, na górujące nad dachem korony drzew pobliskiego lasu. Westchnął, przecierając mokrą twarz, i jeszcze mocniej uświadomił sobie, jak bardzo nie chce tu być.

– Wsiadasz czy nie? – rzucił zniecierpliwiony Darek.

Nie odpowiedział, ale podszedł ostrożnie od strony pasażera. Wyminął po drodze kilka pogiętych prętów zbrojeniowych, wystających z porzuconego betonowego bloku, i przeskoczył nad przegniłymi pozostałościami starego płotu. Z jednej z desek sterczał zaskakująco prosty, pordzewiały gwóźdź i oczami wyobraźni Józek widział już, jak staje na tym gwóździu, a ten przebija mu stopę i rdza, a wraz z nią tętec, wnikają w jego komórki, przybierając postać wrednych ludzików. Jak w tej bajce, którą kiedyś oglądał, a potem nauczycielka pokazała im ją na przyrodzie. Co to był za tytuł? A, *Było sobie życie*.

Złapał za klamkę. Szarpnął, jednak wiele nie pomogło.

– Przez okno musisz – powiedział Darek, wodząc rękami po kierownicy. Wcześniej próbował majstrować coś przy fotelu, by nie mieć kolan pod samą brodą, ale odpuścił i skupił się na udawaniu, że jedzie, i wyglądanu jak niedorozwinięty.

Józek pociągnął nosem.

– W sumie to nie chcę. Kurtki porwać znaczy. – Szarpnął za przemoczony ortalion.

– To zdejmij. Na akcji i tak nie możesz być taki kolorowy. Zobaczą cię z drugiego końca placu.

Józek jeszcze raz pociągnął nosem i otrzepał dłonie z wody. Kiedyś, uznał, będzie musiał podjąć ten temat.

– Ja w sumie to nie wiem też, czy chcę na tę całą akcję. Jeszcze nie zdecydowałem – stwierdził tym swoim prawie już dorosłym głosem. Miał dopiero trzynaście lat, ale mutację przeszedł jak szczęściarz ospę: bardzo wcześnie, bardzo szybko i bez powikłań. Teraz mówił nisko, jakby się wygłupiał, udając własnego ojca. Raz tak rzeczywiście zrobił. Zadzwoił do wujka Mirka, kolegi taty, podszywając się pod rodzica. Znajomy się nabrał... I tak właśnie Józek się dowiedział. Obiecał jednak wujkowi, że nie zdradzi się z tym przed mamą.

Zorientował się, że kuzyn przygląda mu się, mrużąc oczy, co wyglądało trochę komicznie, bo nie wiedzieć czemu Darek ostrzygł się na krótko i teraz jego głowa przypominała jajko.

Jak w tej głupiej komedii, *Stożkogłowi*, przypomniał sobie Józek, mało nie parskając. Udał, że wyciera nos pięścią, ale zamiast tego ugryzł się, by się nie roześmiać.

– Co znaczy: nie wiesz, czy chcesz na akcję? – zapytał Darek. – Wczoraj chciałeś, a teraz nie chcesz?! Kurwa, zaraz będą chłopaki!

Józek wzruszył ramionami.

– Nie mówiłem, że chcę. Ja tylko... nie wiem, czy to ma w ogóle sens – stwierdził, siląc się na obojętny ton. – Wszystko mokre będzie. Wodą zajdzie, napuchnie...

– Nie wszystko. Kacper mówi, że dzisiaj nie idziemy na hałdy na zewnątrz, tylko do magazynu, pod dach. O tam. – Darek podniósł się na siedzeniu, jednak zaraz oklapł, znów wyciskając wodę z fotela. – A nie, stąd nie zobaczysz, bo drzewa. Ale pokażę ci, jak przyjdą... O, idą!

Józek dostrzegł najpierw tylko ich głowy wyłaniające się zza nasypu, całe sylwetki pokazały się dopiero po chwili. Chłopacy wstąpili na tory i szli między szynami, drobiąc na podkładach.

Darek opisał ich kuzynowi zawczasu, toteż Józek bez trudu domyślił się, że ten z przodu, drobny, żyłasty piegus o cofniętym podbródku i z odstającymi uszami to Grzesiek, ich rówieśnik. Mocno przeczulony na punkcie swojego wyglądu, przy każdej choćby sugestii kpiny dostawał świra. „A jak Grzesiek świruje – tłumaczył Darek – to nie ma znaczenia, że jesteś silniejszy, szybszy czy napieprzasz w karate

jak Chuck Norris czy inny Van Damme. Bo jak Grzechu szaleje, to jebaniec nie czuje bólu. Po prostu bije”.

Józek dowiedział się też, że ojciec piegusa miał wypadek i stracił wzrok. I to był drugi temat, za który w przypadku nierozważnie dobranych słów mikrus rzucał się do gardła.

Za Grześkiem z ociężałą dostojnością sunął starszy o rok Kacper. W spranej katanie z czarnego dżinsu narzuconej na bluzę i z kapturem na głowie wyglądał co najmniej na szesnastolatka. Masywny, prawie gruby, z ciemnymi włosami w tej upokarzającej dla każdego metala fазie zapuszczania. Teraz pasma lepiły mu się do połowy twarzy, co z daleka przypominało maskę.

A maska w sumie nie byłaby takim złym pomysłem, pomyślał Józek, zważywszy na to, co planowali.

Darek wygramolił się z wraku, zostawiając na drzwiach kawałek foliowej peleryny. Źle stanął, zatoczył się, podjął desperacką próbę zachowania godności, po czym walnął dupą o ziemię.

– Kurwa! – zaklął, wyciągając stopę zakleszczoną między betonowym słupkiem a stosikiem połamanych cegieł.

– W porządku? – Józek odwrócił się w jego stronę, a przez głowę przebiegła mu myśl, że może nie. Może coś sobie uszkodził, kostkę na przykład, i wtedy...

– Tak, luz. – Darek podniósł się, wspierając o wrak. Zamachał obutą w tramppek stopą, upewniając się, że rzeczywiście luz, i lekko utykając, podszedł do kuzyna.

Ten przyjrzał mu się badawczo.

– Jesteś pewien? Bo jeśli skręciłeś kostkę, to...

– Kuźwa, Józwa, ja pierdzielę! Nie rób scen i wstydu! Jak miałeś wąty, trzeba było wczoraj mówić. Teraz to morda w kubeł. Idziemy!

Zeszli na nasyp po niewielkim zboczu ostrożnie, jeden za drugim, wydeptaną ścieżką. Mokra ziemia była śliska, jednak w przeciwieństwie do trawy stawiała jako taki opór, a poza tym większe kamienie mogły służyć za prowizoryczne schody. Co prawda zdradzieckie, bo w każdej chwili mogły wysunąć się z ziemi, ale ponieważ obaj chłopcy uważali, dali radę zejść na tory bez zaliczenia gleby.

Tamci już na nich czekali. Grzesiek stał kilka kroków od Kacpra, który dopalał właśnie posiniałego od deszczu papierosa.

– Co tam, Grzesiu, stoisz od zawietrznej, by stary nie poczuł fajek? – zagadnął Darek, ale widząc minę piegusa, jego zaciskające się pięści, zaraz się zmytygował. Pociągnął nosem, charknął i splunął, wreszcie podniósł rękę, by spojrzeć na swój wodoodporny casio. – Spóźniliście się.

Kacper zaciągnął się po raz ostatni, wypuścił dym i pstryknął niedopałkiem w mokrą trawę. Nonszalancja, z jaką to zrobił, dodała mu tym razem nie dwa, a co najmniej dziesięć lat. Zupełnie jakby był dorosłym uwięzionym w ciele czternastolatka.

Jak w tym filmie, przypomniał sobie Józek. Widział go, ale nie pamiętał tytułu. W ogóle niewiele z niego pamiętał. Tylko to, że grał tam chłopak z *Cudownych lat*.

Wytarł rękę o spodnie i wyciągnął ją do Kacpra.

– Cześć. Józek – przedstawił się, nie czekając, aż zrobi to za niego kuzyn.

Ten nie kłopotał się wycieraniem swojej. Uścisk miał mocny, pewny, nieco sztywny.

– Kacper – odparł, po czym przeniósł wzrok na Darka. – Jesteś go pewien, tak? Darek zawahał się.

– Mówiłem ci – mruknął w końcu. – To rodzina.

– Okej. Wiesz, co tu robimy, Józek?

– Tak. Kradniecie komiksy i inne takie.

Kacper wyszczerzył się.

– Kradniemy? Bzdura! My je ratujemy. Co miesiąc to, co nie sprzeda się w kioskach, idzie na przemiał i robią tu z tego srajtaśmę. Czujesz? Superman, Batman, auta, gołe baby, komputery, wszystko do maszyn i podcierania dupy. Trochę szkoda, nie?

Józek zerknął na Darka.

– No, szkoda – przyznał.

Otarł wodę z twarzy, by kupić sobie kilka dodatkowych sekund. Wiedział, że jeśli ma się wycofać, to jest właśnie ta ostatnia chwila.

– Co będzie, jak nas złapią? – zapytał.

Usłyszał ostrzegawcze syknięcie kuzyna, ale było już za późno. Kacper parsknął i odgarnął włosy z twarzy.

– Nie będę ci kłamał, chłopie – powiedział, szczerząc krzywe, poźółkłe zęby. – Słyszałem, że dyrekcja wyznaczyła dla pracowników premię za łapanie takich jak my. Jesteśmy wyjęci spod prawa. Jak *Drużyna A*.

Grzesiek parsknął, Darek zachichotał nerwowo. Józek tylko zamrugał, by strącić z powiek ciężkie krople.

– Ale wiesz co? Ty jeszcze nie jesteś gotowy – dodał po namyśle Kacper. – Prosta sprawa, żaden wstyd. Przyjechałeś wczoraj, nie?

– Tak.

– I zostajesz do końca wakacji?

Józek po raz kolejny potwierdził, przy okazji odkrywając, jak ciężko mu to przyznać. Jakby dopiero w tym momencie dotarło do niego, że oto czekają go całe dwa miesiące bez jego miejsc i kumpli z chorzowskiego Irysa. Był skazany na tych trzech tutaj albo na szukanie kogoś na własną rękę w tej małej i w gruncie rzeczy raczej nudnej mieścinie w środku lasu.

– Skoro tak, to jeszcze będzie okazja za miesiąc – stwierdził Kacper. – Zgramy się, poznamy i wtedy pójdziesz już na pewniaka. A dziś zostaniesz, przetrzymasz nasze rzeczy i w razie czego spierdasz na Grzybek.

Józek chciał zapytać, co to jest Grzybek, ale po krótkim namyśle zdecydował się na inne pytanie.

– W razie czego?

Zerwał się wiatr, zaszumiły drzewa i jak na komendę deszcz przybrał na sile. Ciął teraz z ukosa, a na rosnących wokoło kałużach pojawiły się bąble.

– Może my też odpuścimy? – zapytał nagle Darek. – Znaczą dzisiaj. Tam ślisko jest, łatwo się wyjechać.

Kacper wzruszył ramionami.

– Chcesz, to odpuszczaj – mruknął, zrzucając z głowy kaptur. Z tylnej kieszeni wyjął czarną frotową opaskę i nałożył ją na włosy, co upodobniło go do jednego z tych znanych, śmiesznie wyglądających tenisistów, Józek nie pamiętał którego.

– Rzecz w tym, że właśnie dzisiaj najlepiej. – Kacper zdjął dżinsową kataną, odsłaniając ukryty pod spodem niewielki, wyłożony folią plecak. – Jak jest słoneczny dzień, wszyscy łażą po placu, każdy liczy na premię i pilnuje hałd. A jak leje, to nikomu się nie chce. Ani na szabry, ani czuć. Do hali też nikt nie chodzi,

bo na dymka nie wolno, a tak to po co? – Podał Józkowi katanę. – Trzymaj. Wziąć ci coś?

– Pornola mu weź, niech jakąś cipkę chłopak zobaczy! – Zaśmiał się Grzesiek. – Tylko żeby z lusterkiem nie pomylił, skoro taka pizda.

Józek zgrzytnął zębami i tym razem nawet nie zerknął na Darka. Wystarczyło mu, że słyszy za uchem jego śmiech, by wiedzieć, że kuzyn nie jest po jego stronie.

– A mają w którymś modele do składania, byś mógł staremu pokazać? – odciął się i od razu cofnął nogę, gotów do uniku.

Dobrze przewidział reakcję piegusa, spóźnił się jednak o sekundę i zaciśnięta pięść zdążyła go trafić w płatek ucha. Lekko, właściwie nawet nie zabolalo, ale Grzesiek nagle znalazł się za blisko, by Józek mógł mu swobodnie oddać prawą ręką. Uniósł więc lewą, złapał go za koszulkę, odchylił się i grzmotnął z główki. Tu również źle wymierzył, tym razem odległość, bo Piegus był od niego niższy, a dodatkowo wcisnął głowę w ramiona. Zamiast trafić czołem w nos, jak mu pokazywali starsi koledzy na podwórku, Józek grzmotnął czołem o czoło. Zabolalo, a przed oczami pojawiły się mu czarne plamy. Ale przynajmniej Grzesiek, zamroczony mocniej, klapnął na ziemię.

Józek sprawdził nos wierzchem palca wskazującego i strzyknął śliną na bok.

– Lepiej nie wstawaj – warknął.

Mimo tego ostrzeżenia – a może właśnie nim sprowokowany – Grzesiek poderwał się, wytarł ręce w ubłocone spodnie i byłby się znowu rzucił, gdyby nie powstrzymał go Kacper.

– Nie ma czasu – powiedział, kładąc piegusowi rękę na ramieniu. – Poza tym myślę, że jesteście kwita. A ty, Józek, pamiętaj, starych nie ruszamy, bo świętość, jasne?

Józek skinął głową.

– To każdy daje nowemu, czego nie zabiera, i idziemy. Nie ma czasu.

Od Darka Józek dostał potarganą pelerynę, od Grześka propozycję, by się walił. Potem tamci ruszyli ścieżką wzdłuż nasypu.

– Batmana bym chciał! – zawołał za nimi.

Kacper się nie odwrócił, uniósł jednak kciuk na znak, że usłyszał.

Józek patrzył za nimi, jak wspinają się na rury ciepłownicze, przeciskają przez dziury w płocie i nikną między drzewami. Potem wydało mu się jeszcze, że widzi ubłoconą dupę Grześka, gdy ten wspina się na drabinkę zdezelowanego, odstawionego na boczny tor wagonu.

Rozmasował czoło, na którym, czuł to wyraźnie, rosła już solidna pulsująca śliwa. Deszcz działał na nią kojąco, więc zadarł głowę i w tej pozycji zdał sobie sprawę, że w końcu zapomniał zapytać o ten cały Grzybek.

KACPER

Przechodząc na drugą stronę, zawsze zostawiał za płotem całą pewność siebie. Jakby ktoś przełączał w nim pstryczek do zmiany nastroju. W jednej chwili odważny i zdeterminowany, ale gdy przeciskał się przez dziurę, w jego świadomości budził się ten przekłety, tchórzliwy, wewnętrzny głosik mówiący: teraz ci się nie uda. Wyczerpałeś już limit szczęścia. Dorwą cię jak wtedy i znowu skończy się na tym, że przez cały pobyt ojca w kraju będą awantury i ciche dni, a matka będzie się wstydziła pokazać w szkole. No i gliny. Tym razem raczej nikt nie da mu kolejnej szansy.

– Pieprzyć to – mruknął, dodając sobie odwagi. Część jego chciała, by zawrócił, mówiła mu, że jeszcze może, że jeszcze ma szansę. – Pieprzyć – powtórzył Kacper nieco głośniej i kątem oka dostrzegł Darka, który zerknął na niego i skinął głową.

I nagle poczuł uderzenie adrenaliny. W kolejnych sekundach obraz się rozjaśnił, rozmywając na krawędziach. Albo serce mu przyspieszyło, albo świat wokół zwolnił, w ustach zrobiło mu się sucho, a na języku poczuł metaliczny posmak. Zsunął się ze zbocza i już był przy wagonie, drżąca ręka sama zacisnęła się na uchwycie obok wejścia, stopa wylądowała na schodku. A wszystko przy akompaniamencie tych samych histerycznych myśli: złamiesz serce matce, ojciec dostanie świra, pójdiesz do poprawczaka...

– Pierdolić – mruknął, ale wystraszył się, że za głośno. Przez szum, jakby radia na niedostrojonym kanale, przedzierały się pojedyncze słowa: matka, serce, poprawczak, odpuść.

Spojrzał na budynki papierni, na gmachy biurowe oraz hale fabryczne po prawej i magazynowe po lewej i na wprost. Na suwnicę, na którą kiedyś próbował się wspiąć, jednak zabrakło mu odwagi. Nigdy nie widział, by pracowała, ale chyba musiała, skoro dopiero co ją odmalowali, nie? Mimo to tory porastało zielsko.

– Idziemy – powtórzył i ruszył, nie czekając na resztę.

Przed nim rozciągało się jakieś dwieście metrów niemal całkowicie odkrytego terenu. Tu i tam tylko jakiś pagórek, wgłębienie, kępa krzaków, wąski rów nazwany kiedyś przez kogoś okopem. Od niego zostało już pół drogi do

papierowych hałd, można się w nim ukryć, przyczać, tylko trudno zgrabnie i niezauważalnie pokonać ostatni odcinek, zwłaszcza komuś większemu niż Grzesiek. Dlatego od jakiegoś czasu Kacper omijał okop i pędził zgarbiony jak pod ostrzałem prosto do ściany magazynu. Jasne, nadkładał drogi, ale przynajmniej miał tam na pół zrujnowaną budkę, coś na kształt komórki, cholera wie po co i na co. Dobre miejsce na odpoczynek lub kryjówkę.

Tym razem też wybrał drogę naokoło. Skulił się i pognał, licząc, że wzmagający wiatr i deszcz zagłuszą mlaskanie podeszew o błoto. Gdy dopadł do budki, osunął się po ceglanej, częściowo otynkowanej ścianie, przywarł do niej plecami i dysząc ciężko, zrobił szybki rachunek sumienia: raz się pośliznął, ale złapał równowagę i nie upadł, tylko wsparł na ręce. Piekła, więc możliwe, że ją rozciął, w błocie nie było widać. Raz wydawało mu się, że kogoś widzi przy hałdach, jakiegoś pracownika, jednak to mogło być tylko wrażenie. Kątem oka dostrzegł natomiast, jak Darek wślizguje się do okopu.

Połowa drogi, pomyślał, a głosy w jego głowie natychmiast podjęły, że owszem, to połowa, ale tylko jeśli teraz zawróci. W przeciwnym wypadku to wyłącznie jedna czwarta, w dodatku ta najłatwiejsza.

– Pieprzyć to – mruknął. – Pieprzyć to, pieprzyć!

Podniósł się ostrożnie, stanął przy krawędzi i wyjrzał. Droga wolna, więc uniósł rękę, dając znać chłopakom w okopie, że rusza.

Teraz oby do hałdy, oby w ten cały stos pisemek dla kobiet, opowiestek z życia wziętych, siermiężnie szarych „Detektywów”, śliskich okładek magazynów motoryzacyjnych, pociesznych „Misiów” i „Świerszczyków” oraz cycków i włochatych picz wywalonych na rozkładówkach. Nie wiedzieć czemu wszystkie te „Catsy”, „Nowe Wampy” i niewinne w porównaniu do tych dwóch „Twoje Weekendy” zawsze otwierały się na najostrożniejszych fotach. Jakby wszystkie pornomodelki wypinały się lub wystawiały do słońca. Albo do dzieciaków takich jak on.

Nie wyhamował, pośliznął się na „Chipie” i wpadł na stertę. Lawina gazetek osunęła się, przykrywając go niemal w całości. Kacper zamarł, rozcapierzając palce, rozplaszczony jak alpinista na ścianie przy mocnym wietrze. Nie spanikował, ani na zewnątrz, ani w środku, w głowie, w której oprócz szumu i łomotu serca pojawiło się kilka spokojnych, rzeczowych pytań: ktoś usłyszał? Ktoś przyjdzie? Nakryją go?

Nikt się nie zjawił. Kacper podniósł się powoli, odwrócił plecami do stosu i zaczął sunąć tyłkiem po gazetach, w lewo. Teraz miał przed sobą zdezelowane wagony na bocznych torach i rosnące za nimi drzewa, potem dziurawy płot. Za nim zostawił spokój i pewność siebie.

Pewnie tam leżą, pomyślał w nagłym przypływie rozbawienia, leżą w murowanej studzience, pod stosem pofałdowanych od wilgoci pism dla kobiet.

Sunął tak po łuku, aż trafił w wąwóz pomiędzy dwiema hałdami. Tam stał już Grzesiek, jakby na niego czekał.

– No idź, co tak stoisz?

Ale już dostrzegł, w czym problem. Grzesiek cały drżał, a jego cofnięty podbródek dygotał, jakby coś mu się tam w buzi urwało.

– W głowie mi się kręci – powiedział, szczękając zębami. – To chyba po tym uderzeniu. Mocno mnie jebnął.

Kacper skinął głową, choć nie wierzył. Grześka zwyczajnie obleciał strach, bo zwykle kończył akcję tutaj, jak wszyscy kradł gazety z hałd. Do budynku nie wszedł chyba jeszcze nigdy.

– Gdzie Darek? – zapytał.

Grzesiek wskazał brodą magazyn bez drzwi. To właśnie tam znajdował się stos, do którego zmierzali. Suchy, świeży i nieprzebrany. Skarb tej wyprawy. Eldorado.

– Dobra, to idę do niego – powiedział Kacper i powoli ruszył dalej.

– Weź mi Spider-Mana, jak będzie nowy, dobra? – Głos Grześki, rozedrgany, strachliwie wysoki, z miejsca napełnił Kacpra obrzydzeniem. – I „Twój Weekend”.

– Pieprz się – szepnął Kacper w odpowiedzi, ale z litości na tyle cicho, by piegus go nie usłyszał. Ostrożnie podszedł najpierw do ściany, przystanął, zerknął i dopiero wtedy wkroczył do hali.

Szum w uszach jakby się oddalił i dopiero po kilku sekundach do Kacpra dotarło, że przez całą drogę towarzyszył mu szelest wszechobecnego deszczu, teraz bębniącego o wyłożony papą dach.

W środku panował półmrok, unosił się zapach mokrego papieru, jednak to, co leżało na zajmującym całe pomieszczenie stosie, nie było mokre. Kacper szybko zdjął plecak, ubłoconymi rękami wyjął z bocznej kieszonki najpierw chusteczkę, a następnie listę zakupów. Przeczytał ją szybko, właściwie bardziej powiódł wzrokiem, by upewnić się, że wszystko pamięta, po czym zaczął szukać.

Szło łatwo, więc pozwolił sobie na luksus bycia wybrednym. Tu pogięty numer, tam lekko naderwana okładka... Tak jak przypuszczał, musieli dopiero co dowieźć towar, wczoraj albo przedwczoraj, kiedy jeszcze nie padało, bo na większości komiksów w rogu pod logo wydawcy widniał numer 6/97.

Przypomniawszy sobie o Batmanie dla nowego, więc wziął dodatkowy egzemplarz, oprócz tego dla siebie. Na okładce pokraczny demon z głową prawdziwego nietoperza i w bojowej pozie, przed nim jakiś rozwalony typek, a za nim wojowniczką. Nad napisem „Batman” jeszcze jeden: „Knightsend”, zapowiadający, że tocząca się od wielu numerów saga o złamaniu i odrodzeniu Mrocznego Rycerza wreszcie ma się ku końcowi.

Spakował obydwie zeszyty, po czym dołożył trzeci, a niech mu tam, znalazł zamówienie Grzeška. Zapiął plecak i już miał się zbierać, gdy nagle usłyszał:

– Ej, ty tam!

Zamarł. Darek stojący na szczycie stosu zachwiał się i poleciał do tyłu, machając odruchowo rękami. Od ściany z pustaków dzieliła go niewielka odległość i Kacper był pewien, że jeśli jego kumpel teraz w nią przydzwoni, na bank straci przytomność. A może skończy się jeszcze gorzej?

Spanikowane myśli dopadły Kacpra chmarą, przedstawiając najczarniejsze scenariusze, ale nim zdążyły wybrzmieć, Darek już upadł głową w gazety, przetoczył się i zerwał gotowy do skoku. W dłoni trzymał upuszczoną wcześniej reklamówkę. Reklamówkę wziął, kurwa, jak skończony debil!

– Do ciebie mówię, chodź no tu! – rozległo się głośniejsze, ostrzej i Kacper już wiedział, że to nie do nich dwóch. Ktoś przyuważył Grzeška.

Czym prędzej doskoczył do muru, zerknął zza winkła i zobaczył gnającego przez otwartą przestrzeń kumpla, a za nim faceta w niebieskim fartuchu.

Gdyby chociaż był grubasem, pomyślał Kacper, jak wielu w tym zakładzie, albo miał gorszą kondycję. Ale nie, facet był normalnej budowy, a długie nogi pozwalały mu z każdym krokiem zmniejszać dystans. W tej sytuacji Grzesiek mógł dotrzeć jedynie do okopu. O ile da radę przeskoczyć go w tym błocie i o ile...

– Co się dzieje? – zapytał Darek, ale Kacper, tchnięty nagłą myślą, nie odpowiedział, tylko rzucił się przed siebie, nakładając po drodze plecak. W wąwozie między hałdami nabrał rozpędu, więc gdy wpadł na odkryty teren, gnał już najszybciej, jak w tych warunkach się dało. Jakimś cudem ani się nie potknął,

ani nie wylądował w kałuży, przeskoczył nad połamanymi cegłami. Facet z papierni nie obejrzał się, pewnie nie usłyszał w tym deszczu, na przemian to wyklinał, to nawoływał Grześka. Już prawie go zresztą miał, dzieliła ich może podwójna długość ręki. A przecież Grzesiek musiał jeszcze wspiąć się na wagon albo go obiec. Bez szans!

Pierwszy z dwóch torów suwnicy Kacper pokonał jednym susem. Drugim skokiem, parę metrów dalej, wziął okop. Łądując, upadł, na szczęście do przodu, wsparł się na rękach, po czym poderwał się i popędził.

Czuł, że pali go w płucach, że wali mu serce, przed oczami miał mroczki, ale mimo to, gdy był już blisko, spiął się, znalazł oparcie dla stóp i skoczył.

Wylądował facetowi na plecach, a resztę zrobiła siła pędu, błoto i grawitacja. Człowiek poleciał do przodu, potknął się, wyrznął twarzą o szynę drugiego toru suwnicy i zamarł. Kacper podniósł się, zatoczył i wbrew rozsądkowi na moment przystanął, patrząc na znieruchomiałego mężczyznę. Na widok jego zamkniętych oczu i krwi płynącej z ust i nosa zrobiło mu się w jednej chwili gorąco, słabo i niedobrze.

Jezus, Maria, pomyślał, czując, jak uginają się pod nim nogi. Zabiłem go! Zabiłem!

Ktoś złapał go za rękę i zaczął ciągnąć, jednak on nie potrafił się ruszyć.

– Kurwa, chodź, chodź! – Dotarło do jego uszu jakby spod wody. Czy też odwrotnie, to on był pod wodą, topił się, zapadał, a ktoś krzyczał do niego z brzegu.

Usłyszał głośny plask i bolesny gorąc rozlał się po jego policzku. Kacper potrząsnął głową i zrobił jeden, potem drugi krok do tyłu. Dopiero gdy zobaczył, że facet się ocknął i powoli zaczął podnosić, znalazł w sobie siłę, by się odwrócić. Złapał za uchwyt wagonu. Darek wyciągnął do niego rękę.

Przebiegli przez wagon i w pośpiechu, osuwając się dwa razy, wspięli się na zbocze. Darek precyzyjnie się przez dziurę, Grzesiek już czekał po drugiej stronie. Kacper złapał za siatkę, rozgiął ją i zanim przeszedł, jeszcze raz się obejrzał. Przez wagon, na przestrzał ujrzał, jak facet siedzi i maca się po rozkwaszonej twarzy. Z jakiegoś powodu wydało mu się to nagle nie straszne, a bardzo, bardzo śmieszne.

Potrzebował chwili, by zrozumieć, skąd ta zmiana. Znowu był po drugiej stronie siatki.

JÓZEK

– Przepraszam, nie wie pani, gdzie tu jest Grzybek? – zapytał Józek staruszki, która akurat wyszła na podwórko niewielkiego, zniszczonego domku na końcu ulicy. Kobieta miała na głowie chustkę w kwiaty i najwyraźniej tylko to należało do niej. Reszta ubrania, czyli brązowy ortalionowy bezrękawnik nałożony na starą drelichową kufajkę sięgającą wielkich czarnych kaloszy, zdecydowanie stanowiła własność kogoś innego. Męża? Może syna?

– Przepraszam. Grzybek gdzie jest, wie pani?! – powtórzył tym razem głośniejszym i znacznie wolniej, jak do przygłuchej.

Dopiero teraz spojrzała na niego z malującym się na twarzy wyrzutem.

– Przecież słyszę – zaskrzeczała. – Nie trzeba dwa razy powtarzać.

Machnęła ręką, sypiąc trzymanym w dłoni ziarnem, i nagle wokół niej zakotłowało się od kur. Józek widział przez siatkę, jak ptaki walczą zawzięcie, jak skaczą po sobie, robiąc przy tym niemożliwy rwetes. Rozbawił go ten widok.

– A ty chyba nie jesteś stąd, co?

Zdał sobie sprawę, że staruszka wciąż mu się przygląda. A skoro tak, pomyślał, mogłaby go zapamiętać i jakby kto pytał, opisać. W filmach zawsze jest od cholery takich świadków. Pamiętają rzeczy nawet po latach, opisują sprawców ze szczegółami i naprowadzają na tropy.

Tak, ale to są filmy, głupku, zbeształ się w myślach. W rzeczywistości pewnie ledwo cię widzi.

– Nie, proszę pani, nie jestem stąd – odparł grzecznie i pełnym zdaniem, a jednocześnie udając, że ociera twarz z deszczu, zasłonił się ręką i przytrzymał dłoń, jakby bolał go ząb. – To powie mi pani, gdzie ten Grzybek? Bo się tam umówiłem.

Staruszka sypnęła kurom kolejną garść i wyszczerzyła się w szczerbatym, złośliwym grymasie. Przypominała mu teraz starą wiedźmę.

– Z dziewczyną? – zapytała.

– Nie, z kolegami. To wie pani czy nie?!

Zdenerwowany podniósł głos, co najwyraźniej pomogło, bo wątle ramiona kobiety drgnęły, ręka w za długim rękawie uniosła się, wskazując kierunek.

– Główną drogą na górę. Zobaczysz na pewno – powiedziała. – Tylko na polanę nie skręć, bo tam...

Tańczą moje koleżanki wiedźmy, dopowiedział za nią w myślach, trochę rozbawiony, ale bardziej zły.

– ...kozy się pasą – dokończyła staruszka.



Grzybkiem okazała się konstrukcja przypominająca wielkiego metalowego muchomora, umieszczona w najlepszym punkcie widokowym wzniesienia zwanego przez miejscowych górką papierniczą. Zanim wandalę wyrwali deski z ławek, a potem lokalne pijaczki, ćpuny i licealiści zasadzili wokół sadzonki butelkowych tulipanów, zużytych igieł, sreberk po czipsach Chio i innych śmieci, było to niewątpliwie idealne miejsce, by posiedzieć i pogapić się na rozciągającą się w dole malowniczą panoramę miasta.

Bo Głuchołazy, musiał to przyznać, z tej perspektywy wyglądały całkiem ładnie. W większości niskie zabudowania, nowe i stare, mieszkalne i użytkowe, poprzątkane zielenią drzew i zasnucone oparami z fabrycznych kominów niczym magiczną mgłą. Znad krytych papą dachów sterczały dwie wieżyczki kościoła parafialnego oraz smukła wieża kościółka dla młodzieży, a między nimi chluba i jeden z symboli miasta: kamienna wieża bramy górnej, na którą, jak się ostatnio dowiedział, ze względu na stan drewnianych schodów wchodziło się z rzadka i tylko latem. Po prawej, na wzniesieniu, stał szpital MSWiA – teraz, w świetle dnia, zwykła prostokątna bryła, ale wieczorami, gdy we wszystkich oknach zapalały się światła, przypominał ponoć wielki wycieczkowy statek. Dziadek Józka i Darka nazywał go czasem statkiem miłości na pamiątkę tego głupiego serialu.

Nie minęło dziesięć minut, a od siedzenia na wybrakowanej ławeczce zaczął go boleć tyłek. Po kolejnych pięciu nie pomogła nawet wsunięta pod pośladki zrolowana katana Kacpra, dla bezpieczeństwa oddzielona od deski porwanym foliowym płaszczem. Józek wstał i rozejrzał się. A co, jeśli go wystawili? Albo co gorsza – jeśli wpadli?

Raz jeszcze spojrział na zniszczone już komunijne seiko i dał im w myślach pięć minut. Jeśli nie zjawią się o pełnej godzinie, po prostu stąd sobie pójdzie. W końcu nic złego nie zrobił. Trzymanie komuś kurtki, jak poprosi, to nie jest żadne przestępstwo!

I niemal w tym samym momencie, gdy podjął decyzję, wyłonili się spomiędzy drzew. Uwalani błotem, rozczochrani, z jasnymi plamami wokół oczu i ust, jak negatywy pand. Wyglądali tak komicznie, że mimowolnie parsknął.

– Co wam się stało?

– Zamknij się – burknął Grzesiek. Minął Józka szerokim łukiem i usiadł na ostatnim ocalałym kawałku grzybkowego siedziska, wcześniej jednak uprzejmie odsuwając na bok katanę i foliowy płaszcz.

Darek był nieco bardziej rozmowny.

– Oj, stary, powinienes to widzieć! – powiedział, biorąc od kuzyna pognieciony płaszcz. – Akcja jak z tego filmu... Jak... No, ty byś pamiętał. Ten, no... A, właśnie, z *Tango i Cash*.

Józek zmarszczył czoło.

– Zjeżdżaliście z dachu po kablu na paskach?

Darek pokręcił głową, szczerząc zęby.

– Lepiej, kurwa. Dużo lepiej!

Kacper również obszedł Józka łukiem. Sięgnął po katanę, włożył, kryjąc plecak, po czym wyjął z kieszonki zapalniczkę i pomiętą paczkę papierosów. Przyjrzał się obu tym przedmiotom leżącym w jego ubłoconych dłoniach i pokręcił głową.

– Masz, ty mi odpal, co? – zwrócił się do nowego. – Ja tu zaraz wszystko ujębie.

Józek westchnął. Nie chciał, żeby było od niego czuć fajkami, ale już raz dziś Kacprowi i reszcie odmówił, a oni przyjęli to całkiem dobrze. Jeśli zgodnie z planem miał tu spędzić resztę wakacji, powinien choć spróbować grać drużynowo.

Schował się pod daszek, wsunął papierosa do ust, starając się go nie obślinić, i osłaniając jedną dłonią, odpalił zapalniczkę. Długo nie chciała zaskoczyć. Kamień zgrzytał, raz czy drugi podskoczyła iskra, jednak płomień się nie pojawiał. I gdy już Józek zwątpił, czy kiedykolwiek się rozpali, nagle zaskoczyło. Przyłożył płomień do końcówki papierosa, zaciągnął się i niemal natychmiast zaniósł kaszlem.

Zgiął się wpół, zapiekło go w gardle, a oczy zaszyły mu łzami. Usłyszał śmiech Grześka i poczuł na plecach mocne uderzenie otwartej dłoni. Uniósł rękę na znak, że nie potrzebuje powtórki, po czym zakasłał jeszcze kilka razy, wypluł z ust gęstą ślinę i powoli się wyprostował. Podał Kacprowi papierosa.

– Sorry – wychrypiał. – Nie palę.

– A kto pali? – zapytał Kacper, wypuszczając dym. – Mam dla ciebie tego Batmana.

– Dzięki.

– Żebyś ty widział, jak go zdobył – wtrącił się Darek. – Stary, żebyś ty to widział! W pewnym momencie pojawił się tam...

Józek nie słuchał uważnie. Nie dlatego, że go to nie interesowało – po prostu gdy jego kuzyn zaczął swoją opowieść, on stał tak, że widział drogę, którą przyszli. I nagle wydało mu się, że pięćdziesiąt metrów dalej, przy samym niemal zakręcie, ktoś ukrył się za drzewem. Przetarł oczy, wyteżył wzrok i zobaczył drugą postać. Nieduży mężczyzna w ubłoconym roboczym kombinezonie, z czymś na twarzy, co przypominało prowizoryczny opatrunek. On też wyłonił się zza zakrętu, też próbował ukryć się za drzewem, ale chyba poczuł na sobie spojrzenie chłopaka, bo najpierw zamarł, by zaraz rzucić się do biegu pod górę.

– Chodu! – krzyknął Józek, a pozostali chłopcy obejrzel się, akurat by dostrzec, jak do biegnącego dołączają dwaj kolejni, identycznie ubrani mężczyźni.

– Kurwa! – zawołał Kacper i jako pierwszy zerwał się z miejsca.

Mieli do wyboru dwie drogi – w górę wzniesienia między rozbudowywane osiedle domków jednorodzinnych lub ostrym zboczem góry papierniczej w dół, po udeptanej w wysokiej trawie ścieżce. Wystarczył rzut oka, by uznać, że nawet przy ładnej pogodzie i suchym gruncie ta droga wymagała uwagi. Teraz, gdy błoto ścieżki sunęło niczym lawa, a jedyną alternatywę stanowiła śliska trawa pełna ostów, pokrzyw i cholera wie czego jeszcze, wybieranie tej opcji było proszeniem się o wypadek.

Mimo to wszyscy bez wahania pognali w dół zbocza.

Grzesiek potknął się już na pierwszym kamieniu. Niebezpiecznie poleciał do przodu, wyciągając przed siebie ręce, krzyknął coś przeraźliwie i wyrznął głębia w błoto. Pędzący tuż za nim Darek odruchowo przeskoczył kolegę, upadł na trawę

i sturlał się dobrych kilka metrów, nim udało mu się zatrzymać. Usiadł skołowany, przykładając ręce do głowy.

Józek, który biegł ostatni, wyhamował przy gramolącym się Grześku. Kucnął, złapał go za ramię i szarpnął.

– Wstawaj, spierdalamy! – krzyknął. Miał wrażenie, że pościg jest tuż za nim. Już niemal czuł na sobie ciężar wielkiej łapy jednego z facetów. – Wstawaj, słyszysz?!

Mocniej szarpnął Grześka, a ten podniósł się na kolana, po czym wstał. Józek był pewien, że trwało to wieczność, że kosztowało ich całą przewagę, jednak gdy się obejrzał, tamci dopiero równali się z Grzybkiem.

– Trawą, na dupie! – zawołał.

Spróbowali w ten sposób, ale szybko odpuścili, więc wrócili na ścieżkę. Józek przypomniał sobie wyprawę w Tatry i słowa mamy o schodzeniu bokiem. Spróbował i choć poruszał się wolniej, to jednak już się tak nie ślizgał i nie wywracał jak Darek przed nim. Kątem oka dostrzegł, że Grzesiek podłapał i też zaczął schodzić bokiem.

Kacper dotarł już niemal na sam dół. Wywrócił się pod koniec, upadł na bok, przetoczył się i poderwał na tyle sprawnie, że właściwie nie wytracił pędu. Wyhamował dopiero przy drzewach, łapiąc się grubego pnia. Obejrzał się i coś krzyknął.

Józek zaryzykował spojrzenie za siebie. Ludzie z papierni zaczęli już schodzić po zboczu, ale wolno. Zdecydowanie za wolno jak na kogoś, kto chce ich złapać. Na tym etapie powinni już, cholera, odpuścić. Powinni już wiedzieć, że ich nie złapią, a mogą co najwyżej...

I wtedy właśnie, na kilka sekund, nim ich dostrzegł, dotarło do niego, że wpadli w pułapkę. I że znaleźli się właśnie tam, gdzie ci faceci chcieli ich mieć.

Zatrzymał się i złapał Grześka, gdy ten próbował go minąć.

– Kacper, za tobą! – krzyknął, jednocześnie pokazując palcem na dwóch mężczyzn w granatowych kombinezonach, którzy wyłonili się zza wypełnionego gruzem kontenera na śmieci stojącego na poboczu drogi.

Najstarszy z chłopców obejrzał się i odruchowo rzucił w górę zbocza, jednak nawet na czworakach udało mu się pokonać raptem kilka metrów, po czym zsunął

się do punktu wyjścia. Spróbował jeszcze raz, ale z podobnym skutkiem. Darek wyhamował tuż przed nim i rozejrzał się bezradnie, szukając drogi ucieczki.

– Co robimy? – zapytał Grzesiek.

Józek nie odpowiedział, myślał intensywnie. Znów się obejrzał. Ci z tyłu schodzili wolno, więc jeszcze nie stanowili zagrożenia. Co innego ci na dole, bo od uciekającego w chaszczę Kacpra dzieliło ich coraz mniej. Nie musieli się zresztą spieszyć – krzaki były zbyt gęste, by mógł się przez nie przedostać. Zapłaczę się, a oni wyłuskają go z nich jak pieprzony groszek. Chyba że...

Schylił się i wygrzebał z ziemi dwa większe kamienie. Oba mieściły się w dłoni, jeden, obły i płaski, idealnie nadawał się do rzucania kaczek.

– Łap kamienie – polecił Grześkowi. – Łap kamienie i jazda.

Ponownie zerknął za siebie, zacisnął dłonie na ubłoconych pociskach i rzucił się biegiem w dół, krzycząc głośno.

Darł się tak i pędził, nic sobie nie robiąc z marnowanego oddechu, a stromy spad sprawiał, że z każdym krokiem nabierał coraz większego rozpędu. Gdzieś tam z tyłu głowy huczała mu myśl, że może się potknąć, pośliznąć, skrócić nogę, ale niezdolny do zatrzymania się, pchany niewidzialną siłą grawitacji, nie przejmował się takimi bzdurami. Będzie jak będzie. Teraz widział tylko drzewa, ku którym niebezpiecznie się zbliżał, dwóch pracowników papierni zaskoczonych jego szarżą i Kacpra przedzierającego się przez chaszczę. Szło mu lepiej, niż można było przypuszczać. Musiała tam być jakaś ukryta ścieżka.

Coś śmignęło Józkowi koło ucha i uderzyło o pobliski pień, odpryskując kawałek kory. Kamień Grześka!

Przypomniał sobie o swoich i nie mierząc nawet szczególnie, cisnął najpierw jednym, a potem drugim kamieniem. Chybił, ale w ślad za nimi poleciały kolejne, z lewa, a więc rzucone przez Darka. Jeden z nich trafił w ramię starszego pracownika, łysiejącego chudzielca, a ten zatoczył się, krzyknął coś, po czym schował się za drzewem. Jego towarzysz, rosły, masywny blondyn wyglądający na opóźnionego, zaklął szpetnie, choć jakoś bez przekonania. Zaraz też zarobił kamieniem w rękę, a potem tuż nad sercem.

Gdyby to była strzała albo nóż, przemknęło Józkowi przez głowę, gdy w pełnym pędzie wpadał na zwirową drogę, byłaby akcja jak z *Rambo*.

Przebiegł połowę ulicy, zanim zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Tuż za sobą dostrzegł Grześka, od Darka dzieliło ich co prawda kilka metrów, ale sporo wolniejszy pościg już mu nie zagrażał. Kacpra nie widział, co akurat wziął za dobry znak.

Na rozwidleniu zawahał się, jednak uznał, że nie będzie wracał w stronę papierni, więc pognął w lewo. Minął stróżówkę ze szlabanem, posępny, brunatny biurowiec i przyklejone do niego dwie albo trzy odrapane kamienice. Skręcił w prawo, przypadł do muru i łypnął zza winkła. Odetchnął, widząc, że choć obaj uciekający z nim chłopcy nadal biegną co sił w nogach, nikt już ich nie goni.

Schował się, przywarł plecami do ściany i najpierw dyszał ciężko, rozmasowując kolkę, a następnie spróbował splunąć. Gęsta, biała ślina przykleiła mu się do brody.

– Kurwa... mać – wysapał z trudem. A potem zaczął się śmiać.

LUŻNA KARTKA

Oczyszczająca moc żywiołu – pomyślał, patrząc, jak zagryzmołona koślawymi notatkami kartka zajmuje się ogniem, stopniowo ciemnieje, czernieje i rozpada się w popiół, a wraz z nią skrzętnie zbierane informacje. Szczegóły planu.

To wtedy poczuł pierwsze z serii ukłuc paniki. Czy aby na pewno dobrze zapamiętał? A może powinien ugasić płomień w donicy, wyjąć te papiery i wszystko sobie powtórzyć?

Potrząsnął głową. Wiedział już, co trzeba, kolejna powtórka nic nie da, a gasząc teraz płomień, zrobiliby krok wstecz. Równie dobrze mógłby dać sobie z tym spokój. Trzeba mieć odwagę, żeby sięgać po najlepsze jabłka. Te, które rosną na samym czubku drzewa.

Ogień hipnotyzował. Płomień przeniósł się właśnie z kartek na kiepsko wykadrowane zdjęcia przedstawiające ulicę zwyczajnego miasteczka. Podziurawiony asfalt, krzywe chodniki, kilka jednopiętrowych domków obwieszonych kablami i antenami, otoczony siatką magazyn z falistej blachy. No i, rzecz jasna, cel. Betonowy, niepozorny klocek obwieszony banerami, spod których wystawał wypłowiwały nieczytelny szyld. Obok okna z kratą słupek przystanku autobusowego ze zdartym rozkładem jazdy i tablica zaklejona kserówkami sklepowych gazetek, reklamami i odręcznie napisanymi ogłoszeniami. Na jednym ze zdjęć stoi przy niej starsza kobieta w berecie, z reklamówką sieci Billa. Wpatrzona w wyblakły plakat wyborczy nie czuje, że trawi ją płomień. Przygląda się obietnicom wąsatego kandydata, powoli zamieniając się w popiół.

Nienasycony ogień przeszedł na mapę okolicy pokreśloną czerwonym pisakiem. Sięgnął do dziur po pinezkach, pożarł małe samoprzylepne karteczki z notatkami. W tym momencie rozzuchwalony uniósł się ponad krawędź donicy, uderzył żarem w twarz mężczyzny, zagroził tapecie na ścianie i firankom. Zaraz trzeba go będzie okiełznać, ostudzić, ale jeszcze nie teraz, bo nie może przecież zostawić śladów. A kawałki papieru wciąż są rozpoznawalne, wciąż można wyczytać z nich intencję, plan. Wciąż mogłyby świadczyć przeciwko niemu.

To naprawdę się dzieje, pomyślał i poczuł kolejne ukłucie strachu.

Za oknem niebo zaciągnięte ciężkimi chmurami i szare strugi deszczu. Czy pokrzyżują mu plany? Czy powinien jeszcze raz przyjrzeć się cholernym zdjęciom pod tym właśnie kątem? Zobaczyć, gdzie podziurawiona droga wypełni się kałużami? Gdzie pojawi się błoto, w którym mógłby się zakopać kołami albo pośliznąć?

Może i powinien, ale już jest za późno. Bo już nie ma zdjęć, tylko popiół.

Swędzą go dłonie. Uzmysłował sobie, że oddycha płytko, nerwowo wpatrzony w ogień, w płomień obracające w niwecz kilka tygodni pracy. Zastanawiał się, choć nie była to już pora na takie myśli, czy mu się to opłaci. Czy będzie warte włożonego wysiłku. Bo niby tak, ale nigdy nie wiadomo. No i czy się uda. Nie przewidział przecież wszystkiego...

W końcu sięgnął po stojącą obok szklankę i zalał doniczkę wodą. Jeden żywioł z sykiem ustąpił drugiemu.

Będzie, jak będzie, pomyślał. Za późno, by się wycofać.

Sobota
5 LIPCA 1997



DAREK

Obudził się na dochodzący zza ściany dźwięk własnego imienia. Przestraszony, że może chodzić o wczorajszą akcję, przez minutę nasłuchiwał tonu, z jakim mama wypowiadała kolejne słowa. Czy mówi normalnie, czy przyciszonym głosem, szybko czy wolno, czy tata odpowiada półsłówkami, czy rzeczywiście ma coś do powiedzenia. Zastanawiał się też, czy szum deszczu zza otwartego okna w kuchni sugeruje, że rodzice palą. Na ile Darek zdążył się bowiem zorientować, w jego domu wszystko wyglądało inaczej niż u kolegów. Na przykład kłótnie. Długo uważał, że jego rodzice nigdy się nie kłócą, bo nie podnosili na siebie głosu, nie było płaczów, trzaskania drzwiami i palenia na balkonie, jak to miało miejsce regularnie u sąsiadów spod piątki. Dopiero niedawno dotarło do Darka, że w jego domu awantury i trudne rozmowy odbywają się w kuchni, przy otwartym oknie albo włączonym wentylatorze nad okapem kuchenki. Przyciszonymi głosami i pełnymi, grzecznymi zdaniem z obu stron, jak w szkole.

Jeśli rozmowy szły dobrze, wszystko wracało do normy, która w domu państwa Woźniaków przypominała typowe ciche dni. Z rzadka przerywane milczenie, mijanie się, zajmowanie swoimi sprawami. Jeśli nie, zarówno Darek, jak i jego młodsza siostra Marysia, zwana Wiśką, mogli się spodziewać festiwalu wzajemnych uprzejmości, a ponadto lodów, spacerów to z jednym, to z drugim rodzicem czy wypożyczania więcej kaset wideo niż zazwyczaj. Im większa spina, tym bardziej rodzice trzymali wspólny front przed światem, a zwłaszcza przed dziećmi. Pięcioletnia Wiśka jeszcze się na to łąpała. On już nie.

Wyglądało jednak na to, że za cienką ścianą z dykty, oddzielającą jego pokój od wąskiej kuchni, wszystko jest w porządku. Rodzice ani się nie kłócili, ani nie byli zbulwersowani czy źli, co z pewnością miałyby miejsce, gdyby dowiedzieli się o wczorajszej akcji. Mama narzekała tylko na ubłocone ciuchy Darka – jakby celowo tarzał się w błocie, mówiła. Tata mruknął w odpowiedzi, że chłopak powinien sam to wyprać, najlepiej w rękach. Z jego tonu łatwo dało się wywnioskować, że tata myślami jest już gdzie indziej.

Pewnie w pracy, pomyślał Darek, bo takie deszcze zawsze powodowały telekomunikacyjne problemy. Co prawda nie potrafił sobie wyobrazić, na czym

mogły polegać teraz, gdy już – jak rozumiał – w całej gminie zastąpiono linię napowietrzną wkopanymi w ziemię światłowodami, ale też nie znał się na tym za bardzo, a w żadnym wypadku nie zamierzał o to pytać. Nie obchodziło go to. Dla niego fakt, że tata jest kierownikiem nadzoru w Telekomunikacji, wiązał się wyłącznie z jego służbową linią telefoniczną. A skoro mieli ją doprowadzoną do domu, to po szesnastej i w weekendy Darek podpinał do niej modem i buszował w internecie. Wcześniej ściągał w ten sposób głównie gierki i śmieszne filmiki, ale ostatnio zaczął pobierać ładne, romantyczne piosenki, z których miał zamiar zrobić składankę. Wyobrażał sobie, jak wręcza ją Laurze ze słowami: przesłuchaj sobie, może ci się spodoba.

Położył się na wznak, przeciągnął i dopiero wtedy otworzył suche, napuchnięte oczy. Swędziały, jakby ktoś nasypał do nich piasku, więc potarł je wierzchem dłoni. Korzystając z tego, że rodzice poszli wczoraj na urodziny do Leśnickich, zasiedział się przy konsoli i teraz absolutnie nie chciało mu się wstawać. Pewnie gdyby nie pęcherz, spałby jeszcze co najmniej godzinę.

Za oknem było szaro i szumiał deszcz. Jednostajnie, miarowo, chyba że akurat zawiało, wtedy rytm zmieniał się na moment i odzywały się szarpane podmuchem liście rosnącej naprzeciw lipy. A potem znowu, szu, szu, szu, jak Białka na wodospadzie koło Stadionu. Albo przy tym drugim, koło trzystu schodków. Szu, szu, szu...

– Kurwa – zaklął cicho, odrzucając kołdrę. Rozmasował obolałe kolano i przyjrzał się świeżym siniakom i drobnym skaleczeniom. Mogło być gorzej. Sięgnął po bawełniane spodenki wiszące na oparciu krzesła, wciągnął je na tyłek i rozejrzał się za koszulką, którą w nocy rzucił gdzieś w kąt na ślepo i w pośpiechu, gdy tylko na klatce usłyszał wracających rodziców.

Skapitulował i wziął z szafy czystą. Włożył ją, upewnił się, że dobrze leży, i sprawdził luz w rękawach. Miał wrażenie, że ostatnio trochę schudł. Coś tam jednak dawała ta mikra siłownia w piwnicy u Grześka. Napiął mięśnie w kilku kulturystycznych pozach, prężąc się do nieistniejącego lustra, spryskał się dezodorantem – ostatnio starał się tego pilnować – po czym zapiął casio na nadgarstku.

Wyłonił się z pokoju akurat w chwili, gdy tata z filiżanką parującej kawy w jednej dłoni i talerzykiem z kawałkami babki piaskowej w drugiej prznosił się do salonu. Szedł powoli, zgarbiony, jakby się skradał, przez co sprawiał wrażenie

sporo niższego. W rzeczywistości Krzysztof Woźniak był wysokim, szczupłym mężczyzną o czarnej czuprynie i gęstej brodzie, która dodawała mu lat. W zasadzie, co Darek stwierdził już dawno, a teraz znów sobie przypomniał, gdyby tata popracował nad muskulaturą, wyglądałby właśnie tak, jak chłopak chciał wyglądać w przyszłości.

– Dzień dobry, tato.

– Dobry to będzie, jak wannę zwolnisz – odparł tata. – Te ciuchy z wczoraj to takie brudne, że mama do pralki boi się włożyć. Coś ty w nich robił?!

Darek zbył pytanie i uwagę głośnym westchnieniem.

– Tylko się wysikam, dobrze?

Woźniak wzruszył ramionami. Filiżanka na spodeczku zaprotestowała przeciwko gwałtowności tego gestu i kilka kropel pomknęło po ścianie.

– Szlag!

– Krzysiek! – dobiegło ich z kuchni.

– Już, już. Weź serwetkę, jak możesz. I cukier.

Umywalka w ciasnej toalecie nie działała, więc Darek musiał skorzystać z łazienki. Z dłońmi pod strumieniem bieżącej wody patrzył na ciuchy leżące na dnie wanny. Ułożyły się tak, że przypominały obrys zwłok z filmów kryminalnych albo ubranie porzucone przez kosmiczną istotę, która tylko na moment przybrała ludzkie kształty. Nogawki spodni uformowały się w czwórkę, trochę jak nogi wisielca z Tarota. Darek teraz już nie wierzył w takie bzdury, ale gdy dwa lata temu pojechali nad morze, do Władysławowa, i mama dała się naciągnąć starej Cygance na wróżbę, pięknie zdobione, wytarte karty zrobiły na chłopcu wrażenie. Szczególnie Wisielec. I Śmierć.

– Musisz tak tę wodę łąć? – zapytała mama.

Odwrócił się. Ewa Woźniak stała w progu, trzymając się pod boki jak tancerka z Mazowsza, które tak lubiła. Włosy, wczoraj stawiane na lakier, miała w nieładzie, szlafrok, kupiony jeszcze na ostatnią fazę ciąży, zwisał jej z ramion i fałdował się nad ciasno zawiązanym paskiem. Jednak nawet teraz, nad ranem i bez makijażu, była ładna. Może nieco zbyt opuchnięta na twarzy, po dwóch ciążach trochę grubsza niż jego ulubione aktorki i modelki, ale ładna. Zresztą nie tylko on tak uważał. Kilka razy musiał już dać jednemu czy drugiemu w ryj za teksty o matce.

Zakręcił kran.

– Przepraszam, mamó. I już biorę się do prania.

– Zjedz najpierw. Co wyście w ogóle robili? Ciocia Basia mówiła, że jak Józek do domu wrócił, to go nie poznała. Też poobijany, uwalany błotem i jeszcze kurtkę podarł.

Darek nie potrafił teraz przypomnieć sobie, kiedy kuzyn rozdarł ortalion, ale mało to było okazji w całym tym szaleństwie?

– Poszliśmy za Muszlę. Na huśtawkę z liny – skłamał gładko, bez zająknięcia. Ustalili to zawczasu, jak zawsze, gdy szli na akcję. Wiarygodna, trochę głupia zabawa, taka całkowicie w ich stylu, stanowiła najlepsze możliwe alibi. Zwłaszcza że Grzesiek mieszkał niedaleko Góry Chrobrego i poszedł tam, by sprawdzić: woda lała się ścieżkami, błota wszędzie w cholere.

Teraz Darka ogarnęła tylko jedna, za to poważna wątpliwość: czy powiedział o tym Józkowi? Bo jeśli nie i ten chlapnął coś innego...

Na szczęście mama przyjęła wiadomość zwyczajowym przewróceniem oczami i westchnieniem.

– Mogliście chociaż gorzej się ubrać. Chodź jeść.

Wyszła z łazienki, a Darek wytarł ręce i spojrział na zegarek. Była za pięć ósma, co znaczyło, że zaraz na Dwójce polecą *Kleszcz*, a na Polsacie *Strażnik Teksasu*. Wolałyby to pierwsze, ale wiedział, że nie ma szans. Zwariowana animacja o dziwnym superbohaterze zaliczała się do tych „głupot”, które tata zawsze kazał przełączać, bo rzekomo lasowały im mózgi. Chociaż w sumie *Strażnik Teksasu* też dawał radę, a tata lubił. Może gdy obejrzą razem, uda się namówić ojca, by coś wzięli na wieczór. W razie czego Darek miał całą listę tytułów, wypisał na kartce wszystkie nowości, jakie ostatnio zakupiła wypożyczalnia.

Zrezygnował z pomysłu, ledwie wszedł do pokoju z talerzem jajecznicy. Tata stał przy telefonie, a choć mówił spokojnie, wyglądało na to, że coś się stało, najpewniej w pracy. Kilka razy powtórzył: „tak, tak, tak”, co brzmiało w jego ustach jak suche trzaski. W końcu rzucił „zaraz będę” i odłożył słuchawkę.

– Mamy awarię w Gierałcicach – powiedział do mamy. – Woda schodzi z pól tak ostro, że ziemniaki wyrywa. Rowem idzie rzeka i podmyło słupy.

Uniósł do ust filiżankę wciąż parującej kawy. Wypił ją na dwa łyki, jakby zupełnie mu nie przeszkadzało, że napój jest gorący.

– Nie wiem, o której będę, może być, że późno.

Mama skinęła głową ze zrozumieniem, co dla postronnej osoby, nieznającej zwyczajów panujących w tym domu, wyglądałoby jak obojętność.

– Będziesz potrzebowała samochodu? Bo Waldek może po mnie przyjechać.

– Nie, nie trzeba. Zakupy mam zrobione, jakby coś, wyślę Darka.

Tata złapał kawałek ciasta, po czym zniknął w sypialni, skąd wyszedł po chwili w starej flaneli i roboczych ogrodniczkach. Z szafy w przedpokoju wyjął gumowce, ale nie włożył ich, tylko wpakował do reklamówki.

Darek przyglądał mu się, z satysfakcją myśląc o tym, jak te ciuchy będą wyglądały wieczorem. Ciekawe, czy i wtedy mama będzie się bała wsadzić je do pralki.

Skubnął jajecznicę, odczekał, aż tata wyjdzie, po czym zwrócił się do mamy:

– Mogę przełączyć na Dwójkę?

GRZESIEK

Tata spał. Grzesiek nauczył się to rozpoznawać po oddechu, bo czasami trudno było odróżnić, czy śpi, czy po prostu leży bez ruchu, bo to jeden z tych jego momentów. Wtedy też zwykle miał zamknięte oczy i przyjmował te same co podczas snu pozycje, a to na plecach, sztywno wyprostowany z rękami wzdłuż ciała, a to na boku, wygięty w pałąk z nogami podciągniętymi do piersi. Ta druga pozycja kojarzyła się Grześkowi ze zwijaniem się z bólu i ilekroć widział ojca ułożonego w ten sposób, ścisnęło go w dołku. Ale i tak wolał to niż pozycję numer jeden. Ta bowiem przywodziła na myśl sztywniejące, martwe ciało.

Przymknął drzwi do sypialni ojca i cicho przeszedł do kuchni. Tu również zamknął drzwi i dopiero wtedy zajrzał do lodówki, w której natychmiast zapachniało koperkiem i gotowanym kalafiozem. Skrzywił się i z wyrzutem spojrzał na garnek stojący na dolnej półce, z pokrywką obróconą uchwytem do środka. Pani Lodzia, sąsiadka z drugiej połówki bliźniaka, miała niewątpliwie wielkie serce i dobre chęci, jednak gotowała fatalnie i nawet jarzynową umiała spieprzyć. Mimo to tata uparł się, że skoro dostali, to zjedzą. Więc jedli od trzech dni.

Teraz jednak Grzesiek nie musiał się kłopotać zupą. Wyjął dwa papierowe zawiniątka, jedno z pokrojoną sopocką i drugie z resztką sera salami, potem ramę i wreszcie mikrogo, trochę już pomarszczonego pomidora z dolnej szufladki. Zauważył, że jest troszkę przymrożony, i zanotował w pamięci, by powiedzieć o tym tacie. Od jakiegoś czasu planowali kupić nową lodówkę i wyglądało na to, że nadszedł już czas.

Nucąc pod nosem jakąś melodię, zrobił kanapki – dla siebie na białym, trochę już zleżałym chlebie, dla taty na niemieckim pumperniku. Tata mówił, że to fajne, zdrowe, ale Grzesiek nie umiał się przekonać. Dla niego ciemny chleb był słodko-kwaśny i psuł smak wszystkiego, nieważne, nutelli czy szynki. Nastawił wodę, zrobił herbatę, nakrył do stołu.

W drugim pokoju zaskrzypiało łóżko, a potem rozległo się długie, przeciągłe pierdnięcie wraz z udawanym kaszlem, którym ojciec nieudolnie próbował je zamaskować.

Grzesiek uśmiechnął się, bo znaczyło to, że tata ma dobry humor.

– Śniadanie gotowe! – zawołał.

– Super! – odkrzyknął Edward Szczęsny i ten głos, wesoły, pogodny, jak za dawnych dni, stanowił ostateczne potwierdzenie, że jest dobrze. Może nawet bardzo dobrze.

Zaraz potem szuranie, drzwi, szuranie, drugie drzwi i zza framugi wychyliła się rozczochrana, napuchnięta twarz ojca. Skierowana mniej więcej we właściwą stronę, trochę za wysoko, z oczami błędzącymi, jakby nad czymś intensywnie się zastanawiał. Albo kłamał, unikając wzrokowego kontaktu.

– Ciągle pada – stwierdził, pociągając nosem. – Albo to mi tak szumi w uszach.

– No, leje, leje – odparł Grzesiek i jak zawsze ze zdumieniem przyjął, że tata natychmiast skorygował ułożenie głowy, patrząc teraz wprost na niego. Zupełnie jakby do tej pory się wygłupiał i tylko udawał niewidomego. Jedynie gałki oczne, uciekające na bok i do góry, miały w sobie coś niepokojącego i chłopak wołał zdecydowanie, kiedy tata nosił przyciemniane okulary. Zresztą wyglądał wtedy nawet lepiej niż normalnie. Trochę jak Stallone w *Cobrze*.

Właściwie Edward Szczęsny nie był niewidomy, bo tak – co im wytłumaczono podczas jednej z sesji terapeutycznych, na którą poszli jeszcze z mamą – mówiło się na osoby pozbawione wzroku od urodzenia. Natomiast jeśli ktoś stracił wzrok w wyniku wypadku lub choroby, nazywano go ociemniałym. Chłopak jednak nie lubił tego słowa. Kojarzyło mu się z określeniem ciemnota, jakby tata zdurniał albo coś.

Wypadek miał miejsce dwa i pół roku wcześniej i z tego, co mówiono na mieście, spowodował go sam Edward, bo nie tylko znalazł się na budowie, choć nie powinien, w dodatku bez kasku, to jeszcze rzekomo ganiał po dachu jak po cholernej łące. Niektórzy mówili, że trochę wcześniej wypił, w co akurat Grzesiek nie wierzył, bo tata prawie wcale nie pił, chyba że czasem wieczorem do filmu.

Co do reszty – cóż, pasowało, bo Edward Szczęsny taki właśnie był. Beztroski, jak zwykła wyrzucać mama, gdy się kłócili. Wiecznie z głową w chmurach. Nie wszyscy go za to lubili, wielu skrycie nienawidziło. Za motocykl z przyczepką, za syrenkę własnoręcznie przerobioną na kabriolet, za skoki na spadochronie w opolskim aeroklubie i niekwestionowane mistrzostwo w zakładowych zawodach

siłowych. Po wypadku publicznie mu współczuli i okazywali wsparcie, a za jego plecami mówili, że się dograł. Zakłamanie skurwysyny.

– Która jest godzina? – zapytał tata.

Grzesiek zerknął na zegar. Ten wisiał teraz niżej niż kiedyś, o czym świadczył jasny, okrągły ślad na ścianie, wyjęli też z niego szybkę, by tata w razie potrzeby mógł dotknąć wskazówek. To znaczy, jeśli by potrzebował, co raczej się nie zdarzało, bo zwykle miał na ręku elektroniczne чудо od pana Grassa, swojego szefa, które po naciśnięciu guzika podawało godzinę, datę i coś tam jeszcze. Po niemiecku co prawda, ale szybko się przyzwyczaili.

– Za dwie ósma.

– To włącz telewizor, zaraz będzie... – Ojciec zawahał się. – Czekaj, co dzisiaj jest?

– Sobota, tato – odparł Grzesiek i zaraz dodał: – *Strażnik Teksasu*.

– No to już, gnaj do pokoju i włączaj.

Chłopiec spojrzał tęskno na kanapki. Generalnie lubił to całe oglądanie z tatą, ale wiedział, że przez najbliższe czterdzieści kilka minut sobie nie poje. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się zrobić przerwę na łyk herbaty.

To niesprawiedliwe, pomyślał po raz kolejny, niesłyszący mają te machające łapami krasnoludki w dole ekranu, podczas gdy o niewidomych nikt nie dba. A przynajmniej nie w normalnej telewizji.

– Pomóc ci z przyniesieniem śniadania? – zapytał tata.

– Nie, w porządku, tato. Idź, ja zaraz przyjdę.

Odczekał, aż usłyszy głośne sapnięcie poduchy fotela, i dopiero wtedy wziął do jednej ręki talerzyk kanapek z pumperniklem, a do drugiej herbatę ojca. Po swoje nie zamierzał teraz wracać, zje, gdy już Cordell Walker upora się z kolejną porcją bandziorów.

Sprawiedliwość, uznał, nie może czekać.

JÓZEK

– Józwa, jakiś kolega do ciebie! – zawołał dziadek Filip spod drzwi, tak akcentując słowo „kolega”, jakby oznaczało wstydliwą chorobę.

Józek siedział akurat w ostatnim pokoju, tym z widokiem na ulicę. Zajmowali go z mamą od trzech dni i wedle ustaleń miał być jego domem do końca wakacji. Znaczyło to, że krzyk dziadka musiał być na tyle donośny, by ponieść się przez długi, wykrzywiony w „L” przedpokój i całkiem spory pokój przechodni. A że dźwięk rozchodził się równomiernie, o koledze, który najwyraźniej nie przypadł dziadkowi do gustu, usłyszeli też pewnie wszyscy sąsiedzi.

Barbara Bednarz, mama Józka, drobna kobieta o podkrążonych smutnych oczach, siedziała w fotelu, w zabudowanej wnęce balkonowej. Gdy rozległ się krzyk, uniosła wzrok znad czytanej właśnie książki.

– Kolega? – zapytała z przekąsem. – Jeden z tych z wczoraj?

– Daj spokój, mamó – zachnął się Józek. Odłożył na bok komiks, nie bez żalu, bo zostało mu raptem kilka stron do końca, i zsunął się z łóżka. – Mogę wyjść?

– Na ten deszcz? Żebyś znowu wrócił brudny jak nieboskie stworzenie? Nie masz drugiej kurtki.

– Dzisiaj się nie ubrudzę, naprawdę. Darek obiecał, że pójdziemy do Grześka, on ma siłownię w garażu.

To w zasadzie nie było kłamstwo, Darek rzeczywiście coś takiego obiecał. Co prawda, zanim jeszcze Józek poznał tego piegowatego, wyrywnego mikrusa z cofniętym podbródkiem i ślepym starym, bo teraz, po akcji na torach, raczej nie zanosilo się na to, by odwiedzali się z Grześkiem, ale słowa padły? Padły. Więc zero wyrzutów sumienia.

Mama wsunęła zakładkę między strony i położyła książkę na taborecie. Z wysoko upiętymi włosami, złączonymi nogami, w prostej spódnicy i zwiewnej bluzce, co prawda bez rękawów, za to zapiętej pod samą szyję, wyglądała, jakby pozowała do jednego ze starych obrazów. Wrażenie psuły tylko wielkie okrągłe kolczyki zrobione przez tatę.

– I to on po ciebie przyszedł? – zapytała. – Ten Grzesiek? Ma w ogóle jakieś nazwisko?

– Nie, to raczej taki Kacper – odpowiedział, lekceważąc zupełnie pytanie, na które nie znał odpowiedzi. – Pewnie pójdziemy też po Darka albo pogramy u niego na konsoli. To mogę? Wrócę na obiad.

Westchnęła i już wiedział, że się zgodzi. Podniosła się z fotela.

– Chodź, poznajmy tego twojego kolegę – rzuciła, a widząc jego spłoszony wzrok, roześmiała się. – Nie patrz tak, przecież nie zareaguję gorzej niż dziadek, nie?

– No fakt.

Gdy wyszli z pokoju, babcia, sama nieco przygłucha, najwyraźniej uznała, że nie usłyszeli wołania.

– Kolega jakiś – zwróciła się jak zwykle do Barbary, nie wnuka. – Do Józwy.

– Józka, mamó. – Położyła rękę na ramieniu syna. – Nie lubi, gdy mówi się na niego Józwa, prawda, synek?

Odruchowo wzruszył ramionami i natychmiast pożałował tego gestu. Pomyślał, że w ten sposób trochę wystawia mamę, która stanęła w jego obronie.

Babcia nic nie odpowiedziała, tylko zmierzyła go wzrokiem i ściągnęła brwi, wzbogacając twarz o kilka kolejnych zmarszczek.

Jakby potrzebowała dodatkowych, stwierdził w duchu Józek ze złośliwą satysfakcją. Jej twarz przypominała gazetowe strony przygotowane do użycia zamiast papieru toaletowego – gniecione i mięte tak długo, aż zrobiły się miękkie.

Zaraz też zdał sobie sprawę, że to porównanie, z oczywistych względów nienadające się do wygłoszenia, w tym akurat domu i tak byłoby nieczytelne. Dziadek, przed emeryturą majster w głuchołaskiej papierni – obrobionej wczoraj przez Darka i spółkę – miał pawlacze pełne srajtaśmy i gwarancje dożywotnich dostaw. Tu chyba nigdy nie musieli używać pomiętych gazet.

W przedpokoju odbywało się już regularne przesłuchanie. Dziadek palił, wsparty o framugę drzwi, a zziębnięty Kacper stał na brudnej szmacie, ociekając wodą i cierpliwie odpowiadał na pytania a to o dziadków, a to o rodziców. Co mama robi w wakacje, gdzie pracuje tata.

– Mama kiedyś w szkole, a teraz w sekretariacie w MSW. Tata najwięcej to w Reichu. – Kacper trzymał ręce skrzyżowane na piersi, nie wiadomo, czy chciał

w ten sposób wyglądać poważniej, czy próbował zakryć tiszert z Eddiem, maskotką Iron Maiden. – Kiedyś na ogórki jeździł, ale teraz to na budowy.

– Reichu, powiadasz. – Dziadek zadarł głowę i wypuścił kłąb dymu w wyłożony boazerią sufit. – A dużo jest z tego pieniędzy? W sensie przebitka jaka, tak na złotówki?

Kacper już miał odpowiedzieć, zanim jednak to zrobił, mama weszła między swojego ojca a kolegę syna.

– Tata da chłopakowi spokój. To są sprawy dorosłych. Józek, skocz po ręcznik dla kolegi.

– Nie trzeba, proszę pani – odezwał się Kacper. – I tak zaraz znowu zmoknę.

Dziadek machnął ręką z papierosem, jakby opędzał się od muchy. Nadwyżka popiołu spadła mu na niegdyś biały, prążkowany podkoszulek.

– Im szybciej się pieniędzmi zainteresuje, tym lepiej dla niego – stwierdził, po czym wskazał na Kacpra. – A ty wiesz, czyj to jest wnuk? Świętej pamięci Edka Beckiera. Z Edkiem to ja wieczorówkę robiłem. Ledwo po polsku mówił wtedy, ale obrotny chłop, wiedział, jak się ustawić. Heh, cholera, w sumie twojego ojca to pewnie do Reichu do korzeni ciągnie. A mówisz, że mama to czego w tej szkole uczy?

– Uczyła, bo już tam nie pracuje. I polskiego – odparł Kacper, jakoś tak hardziej.

Dziadek pokręcił głową z niedowierzaniem, raz jeszcze machnął ręką i wszedł do kuchni.

Józek, którego od całej tej dyskusji ze wstydu piekły policzki i uszy, odchrząknął.

– Mamo, to jest Kacper – powiedział cicho.

– Tak, już wiem. – Barbara uśmiechnęła się delikatnie i wyciągnęła do niego dłoń. – To teraz już porządnie. Dzień dobry, Kacper.

– Dzień dobry, proszę pani. – Chłopak ujął podaną dłoń, delikatnie i niepewnie, jakby nie wiedział, co zrobić: uściśnąć, a może schylić się i pocałować. – Chciałem zapytać, czy Józek wyjdzie, bo chcieliśmy iść do takiego kolegi...

Przerwał i zerknął ukradkiem na Józka. Ten, korzystając z tego, że znalazł się za matką, uniósł ręce, udając, że dźwiga sztangę.

– ...do Grześka, na siłownię, bo ma w domu – dokończył Kacper już pewniej.

Barbara Bednarz pokręciła głową wyraźnie rozbawiona.

– I naprawdę chce wam się wychodzić w taki deszcz? – zapytała. – To nie lepiej poczekać, aż minie? Herbaty się napić? Ciasta zjeść?

– Na co poczekać? – zdziwił się Józek. – Pada od dwóch dni.

Obszedł mamę i wykorzystując to, że od kuchni oddzielała go teraz ściana, pokazał palcem na dziadka, po czym pokręcił głową.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Rozumiem, rozumiem. Ale wróć chory, to nogi z dupy powyrywam. I musisz włożyć sandały.

– Sandały? – Józek się skrzywił.

– Tenisówki z wczoraj jeszcze mokre, innych nie masz – odparła mama, po czym nachyliła się i dodała szeptem: – Chyba że chcesz zapytać dziadka, czy coś ci pożyczy.



– Fajna ta twoja stara – powiedział Kacper, gdy już Józek dołączył do niego w bramie.

Palił papierosa, trzymał go między kciukiem a wskazującym, pod daszkiem z palców, by w razie czego z łatwością ukryć go w dłoni. Niepotrzebnie, bo deszcz znowu przybrał na sile, szare miasto wyglądało jak pocięte nożem i na ulicach nie było absolutnie nikogo.

– Fajna, bo fajna, czy tak, że chcesz w zęby? – upewnił się Józek. W rękach miał utyłany w błocie i siwy od pajęczyn plecak. Kacper przekazał mu go wczoraj z prośbą o ukrycie.

Chłopak wziął kolejnego macha i wyszczerzył się, wypuszczając dym.

– Fajna – rzucił. – Gdzieś ty trzymał ten plecak?

– No w piwnicy, jak mówiłem. Gdyby ktoś w niej sprzątał, nie byłaby bezpieczną kryjówką, nie?

– W sumie racja – zgodził się Kacper i znowu się zaciągnął. – Zaglądałeś?

– Wyciągałem komiks – odparł wymijająco.

Kacper jednak nie dał się spławić.

– Dupy czy oglądałeś, pytam.

– Tak.

Józek zobaczył kolejny kłęb dymu i jeszcze szerszy uśmiech kolegi. Grymas po dorosłemu paskudny, złowieszczy, taki, który kolejny raz kazał mu wątpić, czy aby na pewno chłopak jest od niego ledwie o półtora roku starszy.

– Fajne, nie? – zapytał Kacper.

– Wał się. – Józek naraz przypomniał sobie, kiedy ostatni raz widział taki uśmiech. To było wtedy, jak zaczepili ich na Zwycięstwa w Chorzowie dawni znajomi taty. Czegoś tam chcieli, żartowali, mama powiedziała tacie, by ich zignorował. Więc tak zrobił, aż nazwali mamę kurwą. Wtedy uśmiechnął się właśnie w ten sposób, jakby tylko na to czekał.

Kacper rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł go butem. Przez kilka sekund poświęcał tej czynności całą swoją uwagę.

– Nie nakręcaj się tak, chłopie – powiedział w końcu. – Grześkowi mogłeś jebnąć i w ogóle dałeś wczoraj radę, co nie znaczy, że masz teraz kozaczyć. No ale już, nie ma tematu, mówiłem wczoraj, rodziny nie ruszamy. Idziemy?

Wyciągnął rękę po plecak, a Józek podał mu go po chwili wahania.

– A gdzie właściwie chcesz iść?

– Zarobić parę złotych na fajki – odparł, otrzepując plecak z pajęczyn. Następnie zdjął z pleców katanę i założył plecak. Gdy dzinsowa kurtka wróciła na swoje miejsce, chłopak wyglądał, jakby miał garb.

– Chodźmy.

Pobiegli do skrzyżowania ze światłami, tam przez ulicę i w lewo, pędząc Bohaterów Warszawy aż do Parku z Ołówkiem i mostku nad Starynką symbolicznie oddzielającego główną część miasta od zdrojowej. Józek znał te miejsca. Nauczył się, że zawsze trzeba zapamiętywać najważniejsze punkty orientacyjne i nazwy ulic. W ten sposób, jak mawiał tata: „Raz-dwa, wszędzie jesteś u siebie”.

Zatrzymali się na chwilę na starynkowym mostku. I tak już całkiem zmokli, więc nie robiło im to różnicy.

– Ja cię pieprzę! – zawołał Kacper, wskazując na brudną, spienioną wodę, pędzącą rwącym nurtem wzdłuż wyżłobionego koryta. – Normalnie tu jest po kostki. Po kamieniach suchą stopą przejdiesz.

Józek nie musiał wierzyć, widział Starynkę nie raz i zapamiętał jako leniwą, płytką rzeczkę. Teraz zaś miał pod sobą ziemisty rozpędzony rzyg ścieku pełen starych liści, gałęzi, spróchniałych desek i wypłukanych zewsząd śmieci. Papierki po lodach, wywrócone na lewo opakowania czipsów, butelki po oleju rzepakowym, sprasowane kartony – wszystko przewalało się, kotłowało pod drżącym mostkiem, by wreszcie uwolnić się spod zapory, jaką utworzyły konary zaczepione o nisko zawieszona rury, i pognać z impetem w stronę, gdzie Starynka łączyła się z Białką. Wyglądało to przerażająco i fascynująco zarazem. Trudno było oderwać wzrok.

– Było tak kiedyś? – zapytał Józek.

– Nie wiem – odparł Kacper, odgarniając mokre włosy z twarzy. – Ale aż tak to chyba nie. Chodźmy.

Pognali dalej, Kacper przodem, Józek trochę z tyłu, bo ślizgały mu się stopy w sandałach, a wolał nie zaliczyć gleby na nierównym, popękany chodniku. Chciał nawet zejść na ulicę i biec asfaltem, ale na wysokości szkoły muzycznej jezdnia zamieniła się już w jedną wielką kałużę bombardowaną zacinającym deszczem. Gdzieniegdzie przy krawężnikach bulgotały wybijające studzienki.

Jakby ktoś tam się topił, pomyślał Józek. Jakby ktoś właśnie desperacko walczył o życie i zwyczajnie nie mógł się wydostać z powodu kratki. Wzdrygnął się na tę myśl i mimowolnie przyspieszył.

Minęli niewielki park i ponurą podstawówkę po lewej, naprzeciw której znajdował się wlot na Papierniczą, a tam, o ile Józek dobrze pamiętał, mieszkał Darek. Przez moment sądził, że skręcą po niego, ale zamiast tego polecili prosto, obok żłobka z zadbanym trawnikiem z kilkoma pojedynczymi huśtawkami i bujakami. Sam gmach, długi, biały, z balkonami i tarasami, bardziej przypominał szpital albo sanatorium niż placówkę dla dzieci. To wtedy Kacper zaczął stopniowo zwalniać, by wreszcie, pięćdziesiąt metrów dalej, zatrzymać się, dysząc ciężko. Józek zdążył się dopiero rozgrzać, więc skrzywił się tylko z satysfakcją i czym prędzej zamaskował ją, kaszląc w pięść.

– Daleko jeszcze? – Odruchowo pochylił się przy koledze, opierając dłonie na udach. Czuł, jak deszcz wielkimi kroplami bębni mu po plecach. Na kałużach wokół było tyle bąbli, jakby ktoś wylał tam płyn do baniek. Niektóre zresztą nawet lśniły tłustą, benzynową tęczą. – I gdzie my w ogóle tak pędzimy?

Kacper starał się nie dyszeć, więc tylko sapał przez nos. Odgarnął włosy z twarzy, zamknął oczy i zadarł głowę, stojąc tak dobre pół minuty, aż udało mu się uspokoić oddech.

– Jest taki jeden pijaczek – powiedział w końcu. – Kupuje od nas pornoski. Płaci niedużo, ale wiesz, zawsze coś. I jak trzeba, fajki kupi albo flaszkę komandosa. Z Mieciem warto dobrze żyć.

– No spoko, ale w taki deszcz?

– A co, z cukru jesteś? Dawaj, jeszcze trochę. I w sumie możemy wolniej. Bardziej mokrzy już nie będziemy.

Przy placu Amorka, jak nazywano fontannę otoczoną ustawionymi w krąg głazami, skręcili w prawo.

Józek pamiętał to miejsce. Którejś zimy zjeżdżał tutaj z innymi na sankach. Mniejsze dzieci niżej, od czeskich torów po ulicę, starsi wspinali się umiarkowanie stromym podejściem aż po linię drzew i zjeżdżali stamtąd do torów. A co śmielsi albo zwyczajnie głębsi ze śmiechem i zgrzytem płoz na szynach sunęli aż na sam dół, by wyhamować pod drzwiami zakładu fryzjerskiego.

Dwadzieścia metrów dalej, tuż przed wielkim, masywnym mostem kolejowym, skręcili na mniejszy, wiszący i drewniany, choć na metalowych odciągach.

– Teraz uważaj, bo dechy będą śliskie – ostrzegł Kacper. – Byłeś tu kiedyś? Nazywamy go huśtanym.

– Byłem – odparł Józek.

Skąd nazwa, domyśliłby się każdy, wkraczając na tę drewniano-metalową konstrukcję. Kacper znowu wysforował się do przodu i w połowie mostu złapał oburącz za grubą, kanciastą poręcz, po czym zaczął uginać kolana, jakby próbował zrobić przysiad. Wystarczyły cztery ruchy, by cały most się rozhuśtał.

– Przestań! – Józek natychmiast się zatrzymał, stanął pewniej i mocniej złapał za poręcze. Rzeka pod nim, Biała Głuchołaska, zwana potocznie Białką, do złudzenia przypominała Starynkę. Brudna woda kotłowała się, brunatne fale zwieńczone beżowymi pióropuszcami piany niosły małe gałązki i całkiem grube konary, a także kilogramy mniejszych i większych śmieci. Wśród nich chłopak dostrzegł wielką oponę, kubeł na odpady i coś, co przypominało koślawo zbitą psią budę. Za nią ciągnął się jak ogon łańcuch o ogniwach przetkanych czerwoną wstążką i Józek miał szczerą nadzieję, że na drugim jego końcu nie ma już psa.

Kacper najwyraźniej bawił się w najlepsze. Kucał i prostował się, prawie wyskakując w powietrze, a do tego śmiał się w głos. Most nie mógł już chyba rozbijać się bardziej, metalowe pasy trzeszczały na łączeniach, a deski skrzypiały, jakby wszystko zaraz miało się rozpaść.

– Dajesz, Jóźwa! – wołał ze śmiechem. – Pokaż, że nie jesteś cipa, no dalej!

Józek zazgrzytał zębami, sam nie wiedział, czy bardziej na tę cipę, na którą po wczoraj z pewnością nie zasłużył, czy na znienawidzoną odmianę imienia. Cokolwiek to jednak było, sprawiło, że strach w jednej chwili zmienił się w gniew. Ten zaś pchnął go do działania.

– Sam jesteś cipa! – powiedział, robiąc pierwszy krok, a potem kolejny. I jeszcze jeden. Każdy następny pewniej i śmieiej. – Brudna, włochata, niedomyta picza!

Ostatnie słowa wykrzyczał Kacprowi w twarz, dysząc z wściekłości i pryskając wokół białymi drobkami śliny.

Starszy chłopak umilkł i przestał się kołysać, co oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia, bo most i tak bujał nimi, jakby stali właśnie na pokładzie statku podczas sztormu.

Patrzyli na siebie w milczeniu, mrużąc oczy i zaciskając ręce na poręczach. W końcu Kacper nie wytrzymał i parsknął głośnym, szczerym śmiechem.

– Niedomyta picza! – ryknął. – A to dobre! Jesteś gość, stary. Jesteś, kurwa, gość!

Józek skinął głową, charknął i splunął do rzeki.

– Możemy już iść?



Później, gdy już stało się, co się stało, Józek przypomniał sobie w ulotnej myśli ten właśnie moment, na trzy minuty przed poznaniem Mietka. Chwilę, gdy zatrzymał się nagle pod odrapaną, ciemną bramą z numerem dwadzieścia trzy, wystarczająco szeroką, by pomieścić samochód dostawczy, ale jednocześnie sprawiającą wrażenie ciasnej i niebezpiecznej jak opuszczona, grożąca zawaleniem sztolnia.

Sam nie wiedział, dlaczego wtedy się zawahał. Ot, zwykła brama, prostokąt czerni wycięty w odrapanej, wyblakłej elewacji starej kamienicy. Pogięte skrzydło pordzewiałej bramy, przywiązane do ściany drutem, pojedynczy zawias i dziura po

drugim. W środku podmokłe, błotniste klepisko z wysepkami szarej betonowej wylewki.

Nic ładnego, ale w Chorzowie bywał w gorszych, nawet po zmroku. Wystarczyło zejść główną ulicę od tyłu, od podwórek, by uciekło złudzenie wywołane odnowionymi fasadami.

A jednak mimo to, mimo deszczu, który znowu przybrał na sile, Józek przystanął dwa kroki od wejścia i wszystko w nim krzyczało, żeby tam nie wchodził. Idź dalej, mówił jego wewnętrzny głos. Zniknij za zakrętem albo zawróć i skryj się pod wiaduktem. Gdziekolwiek, byle nie tu, nie do tej bramy.

Kacper odgarnął z twarzy mokre włosy.

– Coś nie tak? – zdziwił się.

Józek nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, więc tylko wyszczerzył się głupio i sztucznie, po czym pokonał dystans dzielący go od bramy. Gdy uderzyła go w nozdrza woń wilgoci i grzyba, a także smród moczu i siarczany odór zbuca, poczuł mdłości.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Kacper.

Józek wzruszył ramionami.

– Nie wiem, dreszczy jakichś dostałem – odparł. – Kurde, jak się przeziębę, to...

– Tak, słyszałem. To co, idziemy?

Zdjął plecak i poniósł go przed sobą. Zatrzymał się trzy kroki przed schodkiem prowadzącym do wypaczonych drzwi. Obok wejścia stał szkielet metalowego wózka z dyszlem. Taki sam miał dziadek Józka, tyle że z dnem wyłożonym płytą pilśniową i burtami z deseczek.

– Kacper, zobacz. – Józek wskazał na szczelinę pod drzwiami i wydostające się z niej światło w kłębach pary.

Starszy chłopak parsknął i poklepał młodszego po ramieniu.

– Zaraz zrozumiesz – szepnął. – Na wejściu wstrzymaj oddech.

Wspiął się na wytarty schodek, zastukał dwa razy, zrobił pauzę, jeszcze trzy, pauza i raz, po czym cofnął się, zstępując ze stopnia. Zza drzwi dobiegły ich ciężkie, wolne kroki.

– Kto tam mieszka? – szepnął Józek. – Troll?

Kacper nie zdążył odpowiedzieć, bo zaraz drzwi otworzyły się do wewnątrz i w progu stanął rozczochrany olbrzym, a zza jego pleców buchnął śmierdzący gorąc.

Józek chciał się cofnąć, ale wytrwał. Kacper podniósł tylko plecak.

– Mamy prezenty – powiedział głosem imponująco pewnym, wręcz rozbawionym.

Olbrzym podrapał się po szerokim pasku owłosionego brzucha, który wylał się spod prążkowanego podkoszulka i zawisł nad poźółkłymi majtkami. Pociągnął nosem, cmoknął i zrobił krok do tyłu.

– Wejdźcie – mruknął.

W środku smród przybrał na sile. W pierwszej kolejności Józka uderzyła woń przetrawionego alkoholu i brudnych skarpet. Ledwie jednak zdążyło go zakręcić w nosie, a już owo pierwsze wrażenie wyparł smród kału i moczu z brudnej toalety oddzielonej od głównego pomieszczenia ścianką działową i ceratową zasłonką zamiast drzwi.

Następnie do mieszanki zapachów doszła słodycz pleśni z przepełnionego chlebaka i miodu z pełnego much słoika stojącego na chybotliwym stosie brudnych, obtłuczonych naczyń. Kwaśny odór zaschniętych wymiotów bił od strony masywnego stołu, poznaczonego kółkami po herbacie i zasypanego stosami gazet porno, pustych flaszek oraz blistrów po tabletkach.

By poczuć ostatni składnik mieszanki – chemiczną woń detergentów kojarzącą się chłopcu z przychodnią, szpitalem, ale też trochę ze szkolnym korytarzem zaraz po umyciu – Józek musiał pokonać kilka kroków po lepkiej podłodze. Zapach dochodził z drugiego pokoju, gdzie zza uchylonych drzwi wyglądał skotłowany barłóg przypominający robalowatego Jabbę z *Gwiezdných wojen*.

Najgorsza, zdaniem Józka, była jednak temperatura. Z rozgrzanego piecyka w kącie buchał taki gorąc, że chłopiec czuł, jak paruje na nim ubranie i ta para miesza się ze smrodami, ale zamiast je rozrzedzić, jeszcze wzmacnia. Sprawia, że go oblepiają.

– Napijecie się czegoś? – Gospodarz ciężko opadł na krzesło, a ponieważ materiał majtek wszedł mu w tyłek, siadaniu towarzyszyło głośnie mlaśnięcie. – Mleko mam. I trochę piwa.

– Nie, dzięki – odparł Kacper, otwierając plecak. – My tak na szybko tylko.

Mietek pokiwał wielką, nieforemną głową. Miał poczciwą, chłopską twarz, na której dominował zaczerwieniony, bulwiasty nos, kiedyś najpewniej złamany. Oczy zaczerwienione, podkrążone, lewe zdawało się większe, ale mógł mieć na to wpływ napuchnięty, naciągnięty zielenią i fioletem prawy łuk brwiowy. Poza tym pyzate policzki i zawadiacko wysunięty kanciasty podbródek, jakby olbrzym rzucał światu wyzwanie. Wnioskując po rozmiarach pięści, śliwie nad okiem i po bliznach na przedramionach czy knykciach, faktycznie raz czy drugi musiał to zrobić.

Józek zastanawiał się chwilę, czy mężczyzna jest opóźniony, ale doszedł do wniosku, że nie. Owszem, trochę otępiały, na pewno wyciszony i chyba zaspany, jednak nic nie wskazywało na większe zaburzenia. Był po prostu...

Trollem, pomyślał chłopiec i natychmiast skarcił się za tę szczeniacką myśl, choć nijak nie potrafił się jej pozbyć. Tak właśnie wyobrażał sobie olbrzymy z książkowego *Hobbita*, które pojmały bohaterów, by w końcu wyleźć głupio na słońce i zamienić się w kamień.

Kacper wyjął gazetki z plecaka, ostrożnie sprawdził, czy któraś nie zamokła, i położył je na wolnym krześle.

Na samej górze znajdował się „Cats” z latynoską pięknnością polewającą obnażone piersi czymś białym, najpewniej mleczkiem do opalania. Obok widniał nagłówek „Nie tylko dla naftowych szejków ORIENTALNY STRIPTIZ”. Poniżej, ewidentnie jako temat numeru, „Wakacyjne trendy”.

Mietek wytarł dłoń o włochatą nogę, podniósł pisemko i przekartkował.

– Biorę – powiedział. Zwinął je w rulon i rozsunał nim dwie pozostałe gazetki: „Extasy” i „Peep Show”. – Tych nie. Te mam.

Kacper zerknął na Józka, wyraźnie skonsternowany.

– Jesteś pewien, że masz właśnie te? To świeża dostawa. Wczoraj zdobyte.

Mietek postukał rulonem w udo, jakby się zastanawiał, po czym nagle wstał i przeszedł do drugiego pokoju. Poruszał się teraz zaskakująco szybko i energicznie, plaskając bosymi stopami o lepką podłogę.

Gdy wrócił, miał przy sobie dwa pogniecione, pofałdowane od wody i suszenia pisemka. Pokazał je Kacprowi z tryumfalnym uśmiechem.

I rzeczywiście nie pomylił się. To były te same numery. Na obu „Extasy” dziewczyna patrzyła na nich ni to wyzywająco, ni z zaniepokojeniem. W uchu kolczyk przypominający małą, białą kiść winogron, na szyi perły, poniżej dorodne

piersi, wyłowione z białej bluzki. Mimo malującej się na twarzy niepewności, modelka dość śmiało i szeroko rozkładała nogi, prezentując równo przycięty paseczek włosów łonowych, na widok którego Józek czuł jednocześnie wstyd, niesmak i narastające podniecenie.

Okładka „Peep Show” wyglądała skromniej. Również jedna dziewczyna, ale stojąca bokiem w takiej pozycji, że spragnieni widoków amatorzy darmochoy dostawali tylko jedną nagą pierś, a poza tym udo i kawałek wysokiego, sięgającego za kolano skórzanego buta. Tym, co miało skusić potencjalnych klientów, były dwa żółte paski informujące, że w piśmie znajdują się seks oferty i seks adresy.

– Widzisz? Mam. – Mietek przeniósł wzrok z jednego chłopca na drugiego. – Trzeba się było pospieszyć.

Józek widział, że Kacper chce coś powiedzieć – międlął słowa w ustach, z trudem się powstrzymując. Cokolwiek układało mu się teraz w głowie, na pewno nie mogło się spodobać temu wielkiemu typowi mieszkającemu w trollowej jaskini.

Odchrząknął w pięść, mając nadzieję, że gdy teraz się odezwie, jego nowy, dojrzały głos, do którego sam tak naprawdę nie zdążył przywyknąć, nie załamie się i nie zdradzi prawdziwych emocji.

– Ale te, co pan ma, są poniszczone, a nasze lepsze – zauważył, a mocne brzmienie własnego głosu sprawiło, że odważył się jeszcze zapytać: – I kto w ogóle przyniósł panu tamte?

Mietek zawahał się, lewą ręką najpierw podrapał się po brzuchu, a potem dotknął śliwy nad okiem. Syknął z bólu, jednak grymas zaraz przeszedł w paskudny, spróchniały uśmiech.

– A co to takie interesowne, to nowe, hę? – zapytał. – Miejsce kabła jest w ziemi, synek, zapamiętaj se, jak ci jeszcze tego tatuś nie powiedział. Swoje sprawy załatwiajcie sami, a ja płacę pierwszemu, kto przyjdzie. Te, co mam, mi wystarczą. Wczoraj trza było przyjść. Dzisiaj tylko jedną biorę.

Rzucił gazetki na krzesło, po czym podszedł do stołu i z bałaganu wyłowił portfel – małą skórzaną podkówkę z przypiętym doń znaczkiem Solidarności. Wytrząsnął z niej górkę drobnych i wybrał dwójkę. Podał ją Kacprowi.

Ten wziął monetę, wrzucił do kieszeni i skinął głową.

– Następnym razem będę szybciej – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Chodź, Józek.

– Józek – powtórzył za nim Mietek, przyglądając się nowemu, tym razem uważniej i jakoś cieplej, życzliwiej. – Miałem wujka Józka kiedyś. Porządny chłop.

Zawiesił się na kilka sekund, po czym potrząsnął głową, ciężko opadł na krzesło i sięgnął po nowo nabytą gazetkę. Chłopcy wyszli w pośpiechu.



Akurat przestało padać. Spod ciężkich, grafitowych chmur zasłaniających niebo nie przebierał ani promień światła, ani kawałek błękitu, ale przynajmniej nie trzeba już było chować głowy w ramionach ani przecierać co chwilę twarzy.

Kacper szedł środkiem drogi, z rękami w kieszeniach. Prawą dłoń zaciskał w pięść, zapewne na tej jedynej dwójce, którą udało im się zdobyć. Józek mu się nie dziwił, bo tłuc się w deszczu przez całe miasto po dwa złote to żaden interes. Inna rzecz, że gdyby sprzedali wszystko, dostaliby – ile? Sześć złotych? Też żadna fortuna.

Choć, uznał po namyśle, co innego mieliby dziś do roboty?

Dumał tak w milczeniu, z jakiegoś powodu przeskakując i obchodząc kałuże, mimo iż nogi w sandałach miał już tak przemoczone, że pomarszczyła mu się skóra na palcach. Przemarzył, ale to akurat dobrze, bo ciepło wciąż kojarzyło mu się wyłącznie z Mietkiem i jego królestwem smrodu.

– Jak myślisz, kto to? – zapytał w końcu. – W sensie kto nas uprzedził?

Kacper wzruszył ramionami.

– Cholera wie! Może ktoś, kto ma starego na papierni i wszedł półlegalnie? Bo ci to dopiero jadą hurtowo. Stary pozwolił mu wejść na zakład i wziąć komiksy, ten pod jego nieuwagę wsadził do plecaka ze trzy pornosy i już. Bywa i tak.

Józek w odpowiedzi kopnął kamień, a ten potoczył się i utonął w kałuży. Kilka minut wcześniej minęli bokiem most bujany i teraz szli szerokim chodnikiem, mając po jednej stronie ogrodzenia domków jednorodzinnych, a po drugiej ogródki działkowe. Na ulicy nie było nikogo, minęło ich tylko jedno auto.

– A skąd w ogóle znasz tego typu? Znaczą się tego Mietka całego.

Kacper pociągnął nosem i jednocześnie wzruszył ramionami.

– Przez Grześka. Mietek zna się z jego starym. Robili kiedyś razem, jeszcze na papierni. Potem stary Grześka poszedł do Niemca robić, a Mietek zniknął na jakiś

czas. Gdy znów się pojawił, chyba rentę dostał czy coś.

Rozejrzał się i przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie wszedł w wysoką trawę i wysikał się na ogródkową siatkę. Wrócił już bez pośpiechu, mocując się z rozporkiem.

– To znaczy, że ojciec Grzeška nie jest taki od urodzenia? – zapytał Józek, gdy ruszyli dalej.

– Że ślepy? Nie! Spadł z dachu podczas kładzenia papy – wyjaśnił Kacper. – Na mieście mówi się, że to nie tak, że nie do końca przy pracy, że był wstawiony i w dodatku się wygłupiał, ale ja tam nie wiem, a plotki mam w dupie. Poza tym jedna z nich to na bank bzdura, bo stary Szczęsny pracował w kasku i ten kask mu życie uratował. Facet jebnął z tego dachu czy tam rusztowania i łeb mogło mu rozpuknąć, a tak to się skończyło na tym, że mu coś tam się odkleiło. Siatkówki jakieś czy coś. No i teraz jest przez to na rencie. A ten pęknięty kask trzyma w szafie. Sam widziałem.

Znowu przerwał, bo z odgrodzonego parkanem podwórka wyszedł nagle szpakowaty mężczyzna pod parasolem i z psem na smyczy. Zwierzak, mały, kudłaty, przypominający dywanik rozciągnięty na podnóżku, prychnął na nich i może by nawet szczeknął, ale zdławiony smyczą, wydał z siebie tylko ciche jęknięcie i grzecznie podreptał za panem w stronę Zdroju, wiaduktu i huśtanego mostu.

– Matka Grzeška ich opuściła – podjął Kacper. – Za to szef, Niemiec, okazał się w porządku. Nie robił problemów, nie mieszał w dochodzeniu. Dołożył drugą rentę od zakładu, na jakieś badania wysyła. W porządku facet ogólnie.

Józek pokiwał głową i przez chwilę szli w milczeniu. Minęli główną bramę papierni, odruchowo przyspieszając kroku i rozglądając się, czy w pobliżu nie ma aby tych, którzy ich wczoraj ścigali. Czy daliby radę ich rozpoznać? Kto wie, ale po co ryzykować.

Zwolnili dopiero na wysokości drewnianego mostu zwanego saperskim, bo ponoć postawili go właśnie saperzy. To powiedział Józkowi wujek, ojciec Darka, gdy szli tędy kiedyś na niedzielny spacer. Kiedy to było? Ze dwa, może trzy lata temu?

– Słyszałem, że twój stary tak jak mój na roboty wypieprzył. – Kacper przerwał przeciągające się milczenie.

– Tak. Wyjechał na kontrakt na dwa lata. Gdzieś do Anglii.

– Uuuu, na kontrakt? – Kacper zagwizdał z podziwem. – To nie byle ogórki! I to jeszcze Anglia. No to, stary, będziecie zarobieni po uszy, jak wróci. Ja widziałem, po ile funt teraz stoi i... kurwa, zazdroszczę.

– No, będzie spoko. – Józek odwrócił głowę i wlepił wzrok w rzekę. Ta brała koryto szturmem, unosząc konary, gałęzie, drewniane skrzynie i skrzydła drzwi niczym dziki, protestujący tłum podnoszący transparenty. Trochę jeszcze brakowało, by woda przelała się przez szary mur wału po drugiej stronie, a przekroczenie tej granicy coraz bardziej wydawało się prawdopodobne.

– Wraca czasem? Na urlop? – dociekał Kacper. – Czy mu się nie opłaca raczej?

– Nie opłaca.

– Ech, tak myślałem. – Kacper sięgnął do kieszeni po pomietą, nieco zawilgoconą paczkę i wyjął z niej zakrzywionego, choć całego i suchego papierosa.

– Chcesz?

Józek pokręcił głową. Kacper nie namawiał.

– Mój stary też jeździ za granicę. Do Reichu, jak pewnie słyszałeś. Już piąty rok, ale wraca tu, ciągle wraca, i siedzi po dwa, trzy tygodnie. Tyle z tego jest, co słodczy nazwozi i chemii trochę. Ja nie wiem, czy się go tam kasa nie trzyma, czy jaki chuj... Po takim czasie to już powinien tu beemą wracać. Twój czym jeździ? Pewnie jakąś zajebistą furą, co?

Józek przystanął. Zamknął oczy, odetchnął głęboko raz i drugi. Zdawało mu się, że zaciśnięte nie wiadomo kiedy pięści i szczęka już nigdy się nie otworzą, że nie ma siły zdolnej tego dokonać.

– Hej, Józek, co ci? – zaniepokoił się Kacper

– Może ma tam kogoś, twój stary w sensie – powiedział nagle hardo, zaczepnie, zupełnie przy tym ignorując dwa ostatnie pytania. – Czytałem, że takie rzeczy się zdarzają. Może dlatego nie przywozi kasy.

Kacper zamrugał zaskoczony. Zaraz też cofnął się o krok, zmrużył oczy i przechylił głowę jak zaciekawiona sroka.

Jest w szoku, dotarło do Józka. Jest w szoku, bo się nie spodziewał. Ale zaraz się na mnie rzuci.

Przygotował się, by się cofnąć, ustąpić pola i w razie potrzeby wyprowadzić cios. Był od Kacpra niższy, ale też – zauważył to już podczas biegu – w lepszej

kondycji, a to znaczyło, że w razie czego mógł uderzyć i zwać. I pieprzyć to, że resztę lata przyjdzie mu spędzić w chacie z matką i dziadkami!

Kacper jednak nie zaatakował. Zamiast tego uśmiechnął się półgębkiem i ręką, w której wciąż trzymał papierosa, odgarnął włosy z twarzy.

– Musiałyby być jebnięty – stwierdził. – Moja matka nie jest tak fajna jak twoja, ale nadal lepsza niż Niemry. Widziałeś kiedyś pornola z Niemrami?

Józek parsknął śmiechem, plując drobinkami śliny i wydając dźwięk, jakby stopniowo puszczał bąka. To z kolei rozbawiło Kacpra. Zarechotał na cały głos, a że tkwił właśnie w chmurze wydmuchanego dymu, zaraz zachłysnął się nim i zaczął się krztusić, a w końcu ręką, tą z niedopałkiem, podjął bezskuteczną próbę klepięcia samego siebie w plecy.

Józek zauważył to, doskoczył i uderzył go otwartą dłonią między łopatki. Rozległ się mlaszczący plask, gdy trafił w mokrą katanę.

– A wyobrażasz sobie... wyobrażasz... – próbował wydusić z siebie Kacper – jego niemieckie dzieci? Helmut... Herr Flick! Ha, ha, ha, nie mogę...

Rzeczywiście nie mógł, bo jeszcze bardziej się zgiął, a jego śmiech przeszedł w chrapliwe, rwane rżenie, jakby miał zaraz zwymiotować. Józek ponownie uniósł dłoń, ale powstrzymany wzniesionym palcem wskazującym darował sobie kolejne uderzenie.

Kobieta z wózkiem szczelnie owiniętym foliowym pokrowcem, która właśnie przekroczyła most saperski, zjechała na ulicę, by ominąć chłopców szerokim łukiem. Niska, o szerokich biodrach, w przykrótkiej i ciasnej w biuście kurtce przeciwdeszczowej, wyglądała jak oburzona gruszka z nogami i cały czas zerkała na nich, udając, że wcale tego nie robi. Kiedy chłopcy wymienili się spojrzeniami, iskra wzajemnego zrozumienia przeskoczyła między nimi, wywołując kolejny napad wesołości. Gruszka przyspieszyła w końcu, człapiąc energicznie i skrzypiąc kółkami dziecięcego wózka.

– Jesteś równy gość, Józek, tak myślę – rzucił w końcu Kacper, gdy wreszcie udało mu się opanować wesołość. – Pojebany, ale równy.

Józek przyjął to skinieniem głowy.

– Ty też jesteś całkiem w porządku – odparł. Odkaslnął, splunął i otarł usta. Potem zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze. – Umiesz dochować sekretu?

Kacper odwrócił się do niego i spojrzał tak, jakby się upewniał, czy to pytanie na serio. W jego postawie w jednej chwili górę wzięła ta urażona, szczeniacka duma, to oburzenie, że ktoś w ogóle śmie pytać. Gdy jednak zobaczył powagę na twarzy Józka, zawahał się, rozluźnił ramiona, w końcu podrapał się po głowie.

– Stary, nie wiem – odparł już całkiem poważnie. – W sensie wiesz, wydaje mi się, że tak, ale... Nie, w sumie wiesz co? Jak dam słowo, to umiem. Jaki sekret?

Józek jeszcze raz spojrzał na rzekę. Wielki konar płynący akurat środkiem nurtu to wynurzał się spod fal, to znowu chował pod rozpędzoną brązową wodą. Przypominał mu trochę krokodyla.

– Nie, dobra, nieważne. – Machnął w końcu ręką. – Chodźmy.

Ruszył, po chwili jednak obejrzał się za siebie. Kacper wyjął z kieszeni papierosy i paczkę gum. Po namyśle schował te pierwsze.

– Idziesz? – zapytał Józek.

Tamten pokiwał głową, odwinął i wpakował gumę do ust, po czym zrównał się z kolegą. Kolejne sto metrów, aż do pachnącej słodkością fabryki krówek, szli w milczeniu.

– Twój stary nie jest na kontrakcie, nie? – zapytał w końcu Kacper. – Zostawił was?

Pytając, patrzył przed siebie, nie dostrzegł więc jego spłoszonego wzroku.

Prawie się domyślił, pomyślał nerwowo Józek. I teraz pozostawało pytanie, czy prawie jest lepsze czy gorsze od prawdy.

– Nie zostawił nas – powiedział w końcu. – Siedzi w pierdłu.

Ledwie to wyznał, zakręciło mu się w głowie i ugięły się pod nim kolana. Znał to błogie uczucie, doświadczył go już nieraz skryty w ciemności pokoju. Tę mieszaninę ulgi, satysfakcji, wstydu i paniki. To uwolnienie energii, której być może nie powinien uwalniać. Potem usłyszał na religii, że to grzech. Czy to, co powiedział teraz, też nim było? Czy dlatego to poczuł?

Gdy uniósł głowę, dostrzegł, że Kacper przygląda mu się z zaciekawieniem.

– No co? – warknął Józek ostrzej, niż miał zamiar.

Kacper wzruszył ramionami.

– Zabił kogoś? Okradł?

– Pobił – stwierdził Józek. – Mocno.

– Może się należało?

– Może... Nie wiem. Pewnie tak.

Kacper pokiwał głową raz jeszcze, zdjął włosy z twarzy.

– Na długo?

– Dwa lata.

– To jeszcze nie tragedia – uznał. – Dobra, chodźmy, co? Znowu zaczyna kropić, a nie wiem jak ty, ale ja już mam dość moknięcia za dwa cholerne złote.

Uśmiechnął się, jednak nie tak, jak Józek się spodziewał, jak się obawiał. Nie było w tym uśmiechu ani pogardy, ani szydery czy politowania. Przez chwilę wydawało mu się, że kojarzy ten uśmiech z jakimś aktorem albo po prostu z filmem, ale nie znalazł żadnego odwołania. Ten uśmiech należał teraz wyłącznie do postawnego nastolatka w przemoczonej katanie, z lekką nadwagą dociążoną teraz Józkowym sekretem.

Odpowiedział uśmiechem.

– Ale nie powiesz nikomu, nie? – upewnił się, na co Kacper zrobił przesadnie zdziwioną minę.

– O czym? Przecież ja nic nie wiem! – Pociągnął nosem, charknął i splunął. – A, właśnie, bo miałem pytać. Czytałeś *Wiedźmina*?



Planowali rozstać się przy moście Andrzeja, który w zasadzie jako jedyny tak naprawdę łączył dwie części miasta za pomocą dwóch pełnowymiarowych pasów ruchu i szerokich chodników. Teraz most pełnił jeszcze jedną funkcję – punktu widokowego. Wzdłuż całej jego długości, przy obu barierkach stali bowiem głuchołazianie w różnym wieku. Jedni wzburzeni, inni podekscytowani, niektórzy w milczeniu, choć większość wymieniała się komentarzami ze znajomymi bądź zupełnie obcymi ludźmi. Przemoczone ortaliony i foliowe płaszcze jednorazówki ocierały się o ceratowe kurtki i płaszcze, parasole zaciekle walczyły o przestrzeń powietrzną, a spod kapturów wyzierały twarze i ładne, i brzydkie, ale wszystkie znużone deszczem, szarością, rozczarowane cholernym latem. A pod nimi płynęła woda.

– Często tak macie? – zapytał Józek.

Kacper pokręcił głową.

– Tak to chyba pierwszy raz. Widzisz te słupki z miarką po drugiej stronie? Pokazują wysokość wody. Teraz widać tylko ten najwyższy. A i tak ledwo.

Józek wyteżył wzrok i po chwili, gdy przed nim przepłynął plastikowy pojemnik na śmieci z czeskimi napisami, dostrzegł kanciasty kształt to wynurzający się spod powierzchni, to znów znikający pod wodą niczym człowiek walczący o ostatni oddech.

– No to chyba nie jest dobrze, co? – zapytał.

Kacper nie odpowiedział. Patrzył, jak z nurtem płyną dwa grube, porośnięte liśćmi konary, sztachety płotów, balie i kawałki rusztowań, za którymi niczym welon panny młodej ciągnie się gruba folia malarska. Ludzie pokazywali sobie tę folię palcami i komentowali głośno, by przekrzyczeć szum wody.

– Ja panu mówię, że wyleje – odezwała się korpulentna kobiecina, walcząc z niedającym się złożyć parasolem. – Wyleje jak nic.

– To by musiało raz jeszcze tyle lać – odparł szczupły mężczyzna o przyprószonych siwizną włosach i grzywce lepiącej się do czoła jak najgorsza zaczeska. – Nie ma co się bać, zawsze przy deszczach trochę wzbiera.

– Trochę tak, ale nie tyle – rzucił z lewej gruby, zaniedbany typ w przemoczonym podkoszulku. – Pierwszy raz widzę, żeby Białka taka była. I sąsiad, listonosz, mówił, że ponoć na trzystu schodkach nad mostem już się przelewa.

Gość z grzywką skrzywił się wyniośle.

– Jak górą, jak tam wszędzie łąki wcześniej? Tam to jezioro może teraz być, ale nie że górą.

– Ja tam nie wiem – obruszył się gruby. – Ja tylko mówię, co słyszałem.

Józek wciąż patrzył na wodę, zastanawiając się, co najdziwniejszego w niej zobaczy. W przeciągu zaledwie kilku minut widział już bowiem i rower, i połamany parasol ogrodowy, oponę do traktora i...

– Jezus Maria, dziecko! – krzyknęła nagle przeraźliwie chuda kobiecina, owinięta za dużym, przemoczonym płaszczem, i wskazała na rzekę kościstym palcem.

Józek spał się w jednej chwili, ale zaraz rozluźnił, dostrzegając to, co i ludzie z mostu.

– To lalka, idiotko! – krzyknął ktoś.

I rzeczywiście, lalka. Mała, z gumową głową i szmacianym ciałem, przypominająca niemowlę. Niejedna zresztą. Bo gdy znów zakotłowało się na wodzie i obróciło się płynące nurtem drzewo, nagle spod powierzchni wystrzeliły kolejne lalki, identyczne. Pięć, sześć, dziesięć, dwanaście. Płynęły środkiem rzeki i nawet gdy człowiek już wiedział, że to nie dzieci, wciąż przyprawiały o ciarki.

– To o to chodzi z tym niewylewaniem dziecka z kąpielą? – zadrwił Kacper tuż nad uchem Józka.

Ten aż się wzdrygnął, ale zaraz roześmiał się nerwowo. Odsunął się dwa kroki i nie wiedzieć czemu otrzepał dłonie.

– To co, zbieramy się? Muszę się przebrać, bo mi już zimno. No i mam Batmana do przeczytania.

– Jasne. – Kacper odgarnął włosy z twarzy. – Dobra, to ja tu – pokazał w lewo – a ty tam. – Wskazał prosto na most i drogę za nim. – Dojdiesz do świateł i...

– Spoko, wiem, jak stąd iść – przerwał mu Józek. – To co, widzimy się?

– Jasne. Pewnie jutro, nie?

– Jutro może nie wyjść, jakiś obiad rodzinny. Będą dziadkowie, wujek z ciocią i Darkiem.

Kacper machnął ręką.

– Spoko, mamy całe wakacje, nie?

– Noo.

Podali sobie ręce i rozeszli się każdy w swoją stronę.

– Podobno Czesi mają wodę z tamy spuścić – usłyszał jeszcze Józek, ale nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, kto to powiedział.

Nim zszedł z mostu, znowu zaczęło mocno padać.

DAREK

Po raz pierwszy słowo na „P” padło w domu Woźniaków właśnie w sobotę, w porze obiadowej. Nie dalej jak kwadrans wcześniej Darek, wywołany po raz trzeci przez mamę, by skończył wreszcie z tym graniem i pomógł w kuchni, westchnął ciężko, odłożył pada i podniósł się z fotela. Na ekranie telewizora King, wrestler w masce jaguara, którego Darek wybierał zawsze, bo kojarzył mu się z Tygrysią Maską z jednej z jego ulubionych japońskich animacji, tryumfował nad Paulem Phoenixem, porywczym amerykańskim judoką o postawionych na sztorc blond włosach. Dwie rundy i do piachu, jak mawiał czasem Grzesiek. Druga bez przyjęcia nawet jednego ciosu.

– Wyłączyłeś telewizor? – zapytała mama, gdy z ociąganiem zameldował się w kuchni.

– Nie, bo zaraz będę grał dalej – odparł, jednak zorientował się, że to „zaraz” jest na wyrost, bo mama wyjęła spod zlewu brudne od ziemi wiaderko, co oznaczało, że będzie musiał zejść do piwnicy, przynieść ziemniaki i pewnie je jeszcze obrać. Westchnął ciężko.

– A nie może być z ryżem? – zapytał.

Mama nawet nie odwróciła głowy znad zmywanych naczyń.

– Im szybciej pójdziesz, tym szybciej zrobisz i będziesz miał wolne.

– I będę mógł pograć?

– Zobaczymy, co powie tata.

Czyli nie, pomyślał, łapiąc za wiaderko. Tata wyszedł rano, więc później będzie chciał posiedzieć przed telewizorem. Albo nawet nie, bo będzie zmęczony i nic mu się nie będzie chciało, ale zwali się na kanapie zamiast w sypialni i wszyscy będą musieli wyjść ze stołowego, by mógł się zdrzemnąć. Słowem: jak się nie odwrócić, dupa z tyłu. Tak czasem mówiła mama, gdy coś jej nie szło.

Chociaż niekoniecznie. Tata czasem bywał nieprzewidywalny, nawet ze dwa razy stał i patrzył, jak Darek gra w *Raymana* czy *Crasha*. Z jakiegoś powodu te krzykliwe kolorowe, nieco dziecinne platformówki z karykaturalnymi postaciami sprawiały mu przyjemność. Kacper powiedział kiedyś, że pewnie się napawa, bo

wreszcie ma telewizor w kolorze, co najlepiej właśnie widać na tych grach, ale co on tam wie. Jego stary ma go gdzieś, więc pewnie zazdrości.

Może dziś będzie właśnie tak jak wtedy, gdy w którąś niedzielę po obiedzie znowu leciało *Rio Bravo* i ojciec rzucił: „Dobra, zagrajmy w coś na tym twoim cudzie. Tylko bez bijatyki”. Darek odpalił *Crasha* i potem śmiali się wszyscy z tego, jak ojciec raz za razem spada z platformy i nie radzi sobie z padem przy skakaniu.

Myśląc o tym, zszedł na poziom klatki i już miał wejść do piwnicy, gdy zobaczył, że stoi tam woda. Niezbyt wysoka, może na centymetr, dwa, ale podmywała już drzwi wiodące do poszczególnych komórek i tych do suszarni. Zapach wilgoci nie był jeszcze wyczuwalny, a przynajmniej nie na tyle, by zwrócić czyjąś uwagę. Czyli woda podeszła dopiero co.

– O cholera – mruknął chłopiec, widząc unoszącą się na powierzchni różową trutkę na szczury. W pierwszej chwili pomyślał o swoim rowerze i desce z logo Batmana, stojących za drzwiami zbitymi z desek, zaraz jednak przypomniał sobie o ziemniakach. Czy mógł je wziąć, skoro pewnie też już pływały w tej samej wodzie co trutka? Tyle że jeśli polecą na górę i powie o zalanej piwnicy, matka pewnie każe mu zaraz wynosić stare książki. Ostatnie, na co Darek miał ochotę, to targanie na czwarte piętro książek, których nikt nie czyta. Niech zgniją!

Zszedł po dwóch stopniach, ale się rozmyślił i wrócił na górę.

– Mamo, piwnica jest zalana – ogłosił już w progu. – Wszystko stoi po kostki w wodzie.

Mama wychyliła się z dużego pokoju, dając mu znak, żeby umilkł, i dopiero wtedy zobaczył w jej ręce słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Głośność jak zawsze miała wyregulowaną tak, że nawet Darek słyszał głos rozmówcy. Rozmawiała z tatą.

– Mówię ci, tama tutaj trzeszczy w szwach, a woda idzie też z gór. Niektóre domy już zalane, ewakuują ludzi. – Ojciec mówił głośno, by przekrzyczeć szum za nim.

Darek zastanawiał się, skąd dokładnie tata dzwoni i czy używa tego przydzielonego mu telefonu komórkowego, który rzadko kiedy działał, więc zazwyczaj po prostu leżał w biurze.

– Jezus, kiedy dojdzie do nas?

– Ta woda nie dojdzie, ona na Prudnik idzie. Jak Białka?

Matka podeszła do drzwi balkonowych, położyła telefon na parapecie i na kilka sekund wyszła na deszcz. Gdy wróciła, na twarzy miała kilka dużych kropel, jak gdyby płakała.

– Wzburzona cały czas, ale jeszcze się nie przelała. Krzysiek... może my też powinniśmy się ewakuować?

Tata Darka się roześmiał. A może to były tylko trzaski na linii?

– Jesteś na czwartym piętrze, powódź nic ci nie zrobi.

Darek dopiero wtedy zorientował się, że wciąż trzyma wiaderko. Postawił je na podłodze.

Powódź, pomyślał z ekscytacją. Idzie powódź.

KACPER

Musiał dobiec do klatki, bo gdy był w połowie drogi, znowu zaczęła się ulewa. Gwałtownie, bez ostrzeżenia czy przejściowej mżawki. Zawiało i jak na sygnał lunęło tak, że gdy wpadł na schody, mało się przy tym nie wywracając, dosłownie się z niego lało. Wokół jego butów utworzyła się już kałuża, a cienki strumyczek popłynął w dół po schodach wiodących do piwnicy. Zauważył w niej wodę, jednak nie przejął się tym specjalnie, bo ich piwnicę mama oddała sąsiadowi, gdy zadeklarował, że połączy ją ze swoją i zrobi siłownię. Zwlekał z tym długo, ostatecznie nie zrobił, za to trzymał w ich piwnicy słoiki i inne takie. Ojciec miał się postawić, ale ciągle zapominał, aż w końcu zapomniał na dobre. A matka... No cóż, ona nie stawiała się nikomu.

Przed wejściem do mieszkania, po lewej stronie drzwi, zobaczył męskie półbuty. Skórzane o przytartych czubkach i zagniecionych tyłach, z guzełkiem na jednej z dwóch cienkich sznurówek. Ułożone równo ani chybi odpowiadały za brudne ślady na owijającej wycieraczkę szmacie.

Pierwszą myśl, tę mimo wszystko entuzjastyczną, Kacper nie tyle stłumił, ile prawie z miejsca spróbował wyprzeć. To nie mógł być ojciec, bo nigdy nie nosił podobnych butów, a poza tym nie zostawiłby ich na zewnątrz. On tak nie robił, chyba że...

„Może ma tam kogoś, twój stary w sensie” – przypomniał sobie słowa Józka i to, jak go wtedy ubodły. Bo kiedyś już o tym myślał. Co, jeśli ojciec tak się przyzwyczai do tego swojego „tam”, które zajmuje mu coraz więcej czasu i wyraźnie go zmienia, że zapomni o „tu”? Co, jeśli te właśnie buty, takie inne, to właśnie nowy on?

Potrząsnął głową, chcąc pozbyć się tej myśli, ale wtedy niczym w upiornym kalejdoskopie pojawiła się straszniejsza. Co, jeśli to ktoś z papierni?

Już miał zamiar odwrócić się i zwiać, gdy jednak się przełamał, zaszurał mokrymi podeszwami o wycieraczkę i położył dłoń na klamce. Odetchnął głęboko, po czym wszedł do mieszkania.

Tożsamość gościa zidentyfikował już w przedpokoju, jeszcze zanim usłyszał jego głos. Zapach bijący od ociekającej na wieszaku kremowej wiatrówki, aromatyzowanego tytoniu i ostrej, słodkawej wody kolońskiej kojarzył mu się tylko z jednym człowiekiem, a on nie widział go od tak dawna, że wręcz zapomniał, jak się stęsknił.

– Dziadek? – zawołał.

– W stołowym. – Usłyszał w odpowiedzi głęboki, chrapliwy męski głos.

Na kanapie, przy niskiej ławie z przeszklonym blatem siedziała Anna Matwiejczak, mama Kacpra, a niemal naprzeciw rozpostarty w fotelu rosły, siwy mężczyzna z gęstymi wąsami barwy popiołu i nienaturalnie niebieskimi oczami. Mama miała je właśnie po nim i u niej wyglądały ładnie. U niego niepokojąco.

Na widok Kacpra mężczyzna uniósł się, uśmiechnął szeroko i rozłożył ręce. Zaraz jednak się zmytygował i zamiast tego wyciągnął dłoń.

– W sumie to jesteś już taki chłop, że nie wiem, jak się z tobą witać – powiedział. – Nie chciałbym ci zaraz na wejściu narobić wstydu.

– Cześć, dziadek. – Kacper zrobił krok w stronę mężczyzny, ale w tym momencie zorientował się, że nie zdjął butów. Zerknął na matkę, a ta machnęła ręką.

– Już i tak naniosłeś – stwierdziła. – Wejdz, zaraz pościerasz.

– Jasne – odparł Kacper i już bez skrupułów wszedł na wykładzinę i najpierw podał dziadkowi rękę, a potem pozwolił się uścisnąć, czując to powitanie każdym trzeszczącym zębem. Dziadek Zbyszek był bowiem nie tylko potężny, niewiele mniejszy od Mietka, ale i naprawdę silny. Całkowite przeciwieństwo ojca spoglądającego ponuro ze zdjęć nad telewizorem, chudego typu o za szybko rzednących włosach.

– Gdzie byłeś? – zapytała matka, ale nim zdążył odpowiedzieć, wtrącił się dziadek:

– Daj chłopakowi spokój. Wakacje ma, nie? Kacper, idź do siebie, coś ci tam zostawiłem na biurku.

– O, fajnie, dzięki.

Mama miała przez moment taką minę, jakby chciała się wtrącić, może zaprotestować, jednak tylko opuściła wzrok.

– Lilki nie obudź – powiedziała, sięgając po stojącą przed nią filiżankę herbaty. – Pani Ola zostawiła ją u nas, więc położyłam ją u ciebie. I krzesła jej nie odsuwaj.

– Jasne.

Przeszedł do łazienki, rozebrał się, uprzednio opróżniając kieszenie, i wrzucił wszystkie ciuchy do plastikowej miski. Z wieszaka zdjął szlafrok ojca, włożył go i przeszedł do pokoju. Akurat złapał za klamkę, gdy stanął za nim dziadek.

– Musimy pogadać – powiedział cicho mężczyzna.

Wszedł do pokoju za wnukiem, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami.

– Trochę się nie widzieliśmy, nie? – powiedział, uśmiechając się półgębkiem. – Ale stare zasady obowiązują, pamiętasz?

Chłopiec niechętnie skinął głową i z nerwów mocniej zacisnął paski szlafroka.

– No to co się wydarzyło wczoraj?

Kacper pociągnął nosem, odgarnął włosy i odchrząknął.

– Skąd wiesz? – zapytał piskliwie.

– Ja zawsze wiem, nie pamiętasz?

Kacper pamiętał. Dziadek zawsze dużo wiedział, ale dziś odpowiedzenie sobie na pytanie, skąd tym razem ma informacje, po chwili namysłu nie wydawało mu się takie trudne.

– Byłeś w Zaciszu?

– Kto tu kogo przesłuchuje, co? – Dziadek zaśmiał się cicho, po czym odchrząknął i dodał już poważnie: – Mieliście szczęście, Kacper. Cholerne szczęście, bo mogło się skończyć nawet policją. Ciebie nie rozpoznali, ale Łęczak, ten, któremu rozwaliliście nos, jest prawie pewien, że był tam syn Szczęsnego. Pamięta go, bo kiedyś przychodził z ojcem na zakład.

Kacper bez słowa podszedł do szafy, wyjął majtki, skarpetki, spodnie dresowe oraz koszulkę bez rękawów. Położył wszystko na łóżku obok śpiącej, zawiniętej w koc maleńkiej sąsiadki i westchnął.

– No to nie mieliśmy szczęścia – stwierdził.

Poczuł wielką, ciężką dłoń na ramieniu, a zaraz potem oddech dziadka pachnący tytoniem, kawą i alkoholem.

– Jak mówię, że mieliście, to znak, że dziadek jeszcze coś w tym mieście znaczy. Na biurku masz słodycze, prawdziwy prezent dostaniesz, gdy matki nie będzie.

A teraz idź się umyj, bo jedziesz fajkami gorzej niż ja. I dawaj te, co w łapie chowasz. Powiem, że moje.

Zdjął rękę z ramienia wnuka, wziął od niego papierosy i ruszył do drzwi.

– Mama nic nie wie? – zapytał Kacper.

Dziadek obejrzał się i pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony.

– Zdecydowanie zbyt długo mnie tu nie było, skoro musisz pytać.

Wziął z biurka książkę, na której dziwnie wyglądający rycerz na koniu i z hełmem przypominającym główkę owada wznosił coś na kształt włóczni. Nad głową rycerza widniał napis: „Andrzej Sapkowski *Czas pogardy*”, a nieco niżej informacja, że to drugi tom sagi o wiedźminie. Mężczyzna otworzył książkę i przeczytał dwie strony. Zawsze tak robił, gdy zabierał wnuka do księgarni.

– Ciekawe – powiedział. – Masz może pierwszy tom?

– Pewnie tam leży. – Chłopiec wskazał na półkę. – Najpierw są dwa tomy opowiadań. Weź *Ostatnie życzenie*.

Dziadek odłożył książkę na biurko.

– O, fajnie, to sobie poczytam. Pogadamy później, dobrze? Teraz muszę zapytać twojej mamy, czy pozwoli mi u was spać.

– Zostajesz u nas? – Kacper zdał sobie sprawę, że zareagował zbyt entuzjastycznie, gdy leżąca obok dziewczynka poruszyła się niespokojnie i zakwiliła cicho. Szczęśliwie się nie przebudziła. – Na jak długo?

– Się okaże – odparł dziadek, mrugnął porozumiewawczo i wyszedł.

Niedziela
6 LIPCA 1997



DAREK

Gdy o dziewiątej zadzwonił budzik, Darek jęknął i zamiast podnieść się i wyłączyć sygnał, ukrył głowę pod poduszką i docisnął ją do uszu. Oczywiście niewiele to pomogło, więc po niespełna pół minucie sapnął, odrzucił poduchę na bok i usiadł, trąc oczy.

– Wyłącz to! – zawołała mama, wzmacniając przekaz kilkoma uderzeniami pięścią w cienką ścianę. Głos miała zmęczony, poirytowany. Nic dziwnego, to była ciężka noc.

Darek podszedł do biurka i wyłączył budzik. Przez chwilę stał z dłonią opartą o blat i ze wzrokiem utkwionym w pudełku *Magii i miecza*, niezdolny do zebrania myśli, zawieszony, jakby ktoś go wyłączył albo zmienił w postać z gry zaplątaną w piksele ściany. W końcu potrząsnął głową, podrapał się po tyłku i tęsknie spojrział na rozgrzebane łóżko.

Czy mógł położyć się jeszcze na pół godziny? Sądząc po głosie mamy i biorąc pod uwagę fakt, że tata wrócił do domu po szóstej, może tym razem nie musiał się zbierać na mszę młodzieżową o dziesiątej? Już dawno się nauczył, że nijak nie uniknie wizyty w kościele, ale pójdzie samemu stwarzało pewne możliwości, w przeciwieństwie do rodzinnej wyprawy na sumę o dwunastej trzydzieści.

Za oknem wciąż padało. Tym bardziej powinien wrócić do łóżka. Niebo, a za nim cały świat pocięty smugami deszczu tonął w szarości. Na parkingu, na ogromnych kałużach, niemal tworzących wielkie jezioro, rozkwitały i pękały pęcherzyki powietrza. Studzienki wybijały, zalewając trawnik i ziemię pod huśtawkami. Kilka samochodów przeparkowano na chodnik, by nie stały w wodzie.

Jeżeli tak wyglądało tutaj, pomyślał Darek, to jak musiało na wioskach? Bo właśnie z powodu interwencji na wsiach otaczających miasto ta noc była taka ciężka. Do ojca dzwonili raz po raz, najpierw koło jedenastej, potem, ledwie wrócił, koło drugiej i wreszcie rano, o piątej. Po drugim razie tata już nawet się nie rozbierał, słusznie przewidując, że to nie koniec. Ściągnął tylko kurtkę i gumowce, a mama rozłożyła mu folię malarską na kanapie, by nie uwalął poduszek błotem.

I tak chodził, wracał, chodził, wracał, jakby nie mógł pomyśleć o rodzinie i przespać się w biurze.

Za ścianą zaskwierczało i rozszedł się zapach smażonej kiełbaski z cebulką. To ostatecznie przekonało Darka, że kłódnienie się nie ma sensu. Złapał za zawieszony na krześle spodnie, wygrzebał z szafy świeży, choć pomięty tiszert i poszedł do kuchni, plaskając bosymi stopami o wykładzinę.

– Cześć, mam – powiedział.

Mama skinęła głową, skupiona na krojeniu kolejnej porcji kiełbasy. Po chwili jednak się zreflektowała i spojrzała na zegarek nad głową Darka.

– Do kościoła pójdziesz sam – stwierdziła. – Tata nie wiadomo o której wstanie, a ja muszę jeszcze przygotować rzeczy na obiad. Pamiętasz, że jemy dziś u dziadków?

– Tak, z ciocią Basią i Józkiem, pamiętam – potwierdził, trąc ręką ramię. – A co do kościoła...

Nóż zawisł nad kiełbasą. Mama powoli przeniosła wzrok na syna. Włosy miała w nieładzie, oczy podkrążone, w lewym pękło jej naczynko. Wiedział, co usłyszy, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Darek, nawet nie zaczynaj.

– Ale pada!

– To weźmiesz kalosze i kurtkę przeciwdeszczową. – Wycelowwała w niego ostrzem. – O, albo tę pałatkę, co od taty dostałeś.

– Pałatkę? – zdziwił się. – Do kościoła?

Wzruszyła ramionami, nóż ponownie opadł na deskę, pieczętując sprawę.

– Ubierz się porządnie i chodź na śniadanie.

Zrobił, co kazała, uprzednio zahaczając najpierw o ubikację, potem łazienkę. Opłukał twarz zimną wodą, przyjrzał się sobie i z obrzydzeniem wycisnął świeżego pryszczaka tuż nad lewą brwią. Nienawidził ich, zwłaszcza tych dojrzałych, z białą główką. Nie dość, że wyglądały paskudnie, to jeszcze pojawiały się znikąd, w ciągu jednej nocy, więc trzeba było nieustannie uważać, by nie wyjść tak na miasto i nie narazić się na ośmieszenie.

Gdy wrócił ubrany, czekała na niego porcja kiełbasy z dwiema kromkami chleba i parujący kubek herbaty. Planował zabrać to do siebie, by przeczytać przy jedzeniu

zaległych *X-Menów*, ale mama uparła się, by jadł w kuchni, bo inaczej będzie się guzdrał i nie zdąży. W sumie miała rację, bo właśnie o to chodziło. I zresztą niemal mu się tu udało, tyle że mama w porę się zreflektowała i pogoniła go, grożąc zabranieniem kabla do konsoli. Ostatecznie zdecydował się na kurtkę, nie pałatkę, i kategorycznie odmówił założenia gumowców, robiąc z tego sprawę życia i śmierci. Gdy mama zgodziła się wreszcie na adidasy, potraktował to jak małe, choć satysfakcjonujące zwycięstwo.

Z domu wybiegł, bo do mszy zostało mu siedem minut, ale ledwie zniknął za rogiem budynku naprzeciwko, zaraz wyhamował i dalej szedł powoli, wtulając głowę w ramiona i nie rozglądając się na boki. Mimo to kątem oka widział bezdomne koty siedzące w piwnicznych oknach i benzynowe tęcze lśniące w kałużach owrzodzonych białkami. Przynajmniej deszcz nieco zelżał i przestało wiać, więc nie zacinał prosto w oczy.

Rynsztokiem Jana Pawła, głównej ulicy zdrojowej części miasta, płynął strumień. Woda wraz z liśćmi, gałązkami i stosami śmieci raz po raz wybijała na chodnik, zalewając go i formując kałuże w wyszczerbionych płytach. Jednak dopiero mostek i spieniona Starynka, szturmem biorąca rozmiękłe koryto, uświadomiła Darkowi skalę tego, co się działo. Już poprzedniego dnia rzeczka nie przypominała zwykłej, leniwej siebie. Teraz, spiętrzona za sprawą połamanych gałęzi, tworzących pod mostem coś na kształt nieszczelnej tamy, pędziła przed siebie, niosąc na białych grzywach fal butelki, konary, stare reklamówki i rozmoknięte pudełka.

Za mostkiem, na Bohaterów Warszawy ciągnącej się aż do świateł, było lepiej, ale wcale nie dobrze. Wszystkie studzienki wybijały, powierzchnia ulicy lśniła od wody rozbryzgiwanej przez przejeżdżające samochody. Ludzie przemykali przy samych budynkach, tak blisko ścian, jak tylko pozwalały im czasy parasoli. Inni biegli z kurtkami naciągniętymi na głowę, zatrzymując się co chwilę w każdej bramie. W tej naprzeciwko liceum zebrał się już spory tłumek – wyglądał, jakby czekał na przystanku na autobus.

Gdy Darek wreszcie dotarł pod kościół parafialny, msza trwała od pięciu minut. Tych najmniej ważnych, bo wszystko dopiero się rozkręcało. Do czytań, a tym bardziej kluczowych do zapamiętania ewangelii i kazania, jeszcze trochę zostało. Jeśli nie chciał kłopotów, musiał o nich potem opowiedzieć w domu. Cotygodniowa święta trójca: o czym była ewangelia, o czym kazanie i który ksiądz

odprawiał. Szczęśliwie kapłanów w Głuchołazach mieli tylko pięciu i dość łatwo rozpoznawał ich po samym głosie.

Zamiast wejść środkiem, przez zabytkowy portal, Darek skierował się do bocznych drzwi wiodących na chór. Wisiała na nich co prawda tabliczka „Wstęp tylko dla dorosłych”, ale w pobliżu nie zauważył nikogo, kto by mógł się przyczepić. I tak nie zamierzał wchodzić na balkon, wystarczyło mu na szczyt schodów, gdzie stał głośnik. Tam, postanowił, siądzie, posłucha, czego trzeba, i zmyje się przed drugą połową mszy. Gdyby miał komiks, spokojnie mógłby go przeczytać, jednak dziś matka za bardzo patrzyła mu na ręce.

Wspiął się po krętych schodach niemal na samą górę. Przystanął dopiero, gdy usłyszał stłumione głosy i chichot oznaczające, że ktoś wpadł na ten sam pomysł, i w dodatku go ubiegł. Co samo w sobie nie stanowiło jeszcze problemu. Tyle że...

– Ciszej, bo ktoś cię usłyszy.

Do Darka dotarł dziewczęcy głos, na dźwięk którego zamarł i poczuł mrowienie w podbrzuszu. Laura. W zeszłym semestrze dołączyła do klasy wyżej i niech go diabli, jeśli nie była najładniejszą dziewczyną w szkole. Ileż to razy spędzał przerwę, siedząc na ławce i udając, że nie patrzy na Laurę? Pomagał też na ochotnika w każdej inicjatywie, o ile tylko ona brała w niej udział.

Ostrożnie pokonał ostatni zakręt, wychylił głowę i wtedy ją zobaczył. Siedziała na najwyższym schodku, z jedną nogą wyprostowaną i drugą podciągniętą pod brodę. Przesunął po niej wzrokiem, szybko, lękliwie niczym tchórz albo złodziej, jak zawsze pełen obaw, że ich spojrzenia się spotkają, a dziewczyna złapie go na gorącym uczynku, i dostrzegł na jej rudych włosach zaplecionych w warkocz lśniąca gdzieś gdzieś krople deszczu. Laura patrzyła gdzieś przed siebie, pewnie w okno, i te jej piękne, ciemne oczy wydały mu się smutne. Czy raczej, poprawił się w myślach Darek, smutniejsze niż zwykle. Bo już w szkole odniósł takie wrażenie, że nawet gdy dziewczyna się śmieje, to jej oczy pozostają smutne. Jakby miała jakieś kłopoty. Niemal noc w noc ją z nich wybawiał, walczył o nią, obrywał i wygrywał, a ona dziękowała namiętnymi pocałunkami i oddawała mu się. Jej oczy tchnęły wtedy zarem, a słowa wdzięcznością.

Tego dnia Laura miała na sobie krótką plisowaną spódniczkę, więc stojąc kilka schodków niżej, Darek mógł zobaczyć dziewczęce majtki. I tak go ten widok podniecił i zarazem skonsternował, że w pierwszej chwili nie zareagował ani na wyszczyany w swoją stronę komunikat, ani na nagły ruch. Ocknął się, dopiero gdy

tuż przed nim znalazł się Wiktor Kęski, licealista, którego znał z widzenia i o którym wiedział, że od jakiegoś czasu kręci się koło Laury. Do tej pory wydawało się, że bez zainteresowania z jej strony. Teraz licealista jedną rękę zacisnął w pięść, a drugą sięgał już w stronę Darka. Nim ten się zorientował, został złapany za połę kurtki.

– Co się gapisz? – wysyczał Wiktor. Jego oddech śmierdział fajkami z lekką tylko nutą mięty. – Zęby cię śwędzą?

Darek nie odpowiedział. Mimowolnie odchylił się i zerknął na Laurę. Dziewczyna zdążyła się już podnieść i przyglądać plisy spódniczki. Pokonała dwa stopnie dzielące ją od Wiktora i położyła mu dłoń na ramieniu. Jej spokojne, dojrzałe gesty zdecydowanie nie pasowały do czternastolatki.

– Daj spokój, Wiktor. W kościele jesteś! Co on ci zrobił?

Licealista zawahał się. Przejechał językiem po zębach, szarpnął Darka i puścił. Pięści jednak nie rozluźnił.

– Między nogi ci się gapił, nie widziałaś? Zbok mały.

Dziewczyna uśmiechnęła się, trochę jakby zalotnie. Ten uśmiech też był starszy od niej o kilka lat.

– Jestem pewna, że tak to tylko wyglądało. Zresztą nawet jeśli, to moja wina, że tak usiadłam – powiedziała. – Ty jesteś Marek, nie? Kojarzę cię.

Darek odchrząknął, mając nadzieję, że głos go nie zawiedzie. Wystarczyło już, że drżały mu kolana.

– Darek – poprawił. – I też cię kojarzę. Ze szkoły znaczy.

Nie miał pojęcia, po co dodał to ostatnie. Skąd niby jeszcze mógł ją kojarczyć, z ulicy? Z kościoła? Ze swoich mokrych snów?

Laura złapała Wiktora za nadgarstek i odciągnęła nieco.

– Dobra, daj mu spokój, zaraz będzie ewangelia.

I rzeczywiście, z głośnika doszło ich odśpiewane przez księdza „Pan z wami”, na co wierni odpowiedzieli „I z duchem twoim”. Ksiądz zapowiedział czytanie z Ewangelii świętego Marka, a dłoń Darka odruchowo powędrowała do czoła, by wykonać na nim jeden z trzech maleńkich krzyżyków. Jeden dla myśli, drugi na ustach – dla słów, trzeci na piersi – dla serca. Laura dostrzegła to, puściła do niego oko i znów się uśmiechnęła, ni to kokieteryjnie, zalotnie, ni to z rozbawieniem.

Darek poczuł, jak palą go policzki i czubki uszu. Tymczasem z głośnika rozległo się śpiewne „Amen” i ksiądz zaczął czytać:

– Wyszedł stamtąd i przyszedł do swego rodzinnego miasta. A towarzyszyli Mu Jego uczniowie. Gdy nadszedł szabat, zaczął nauczać w synagodze; a wielu, przysłuchując się, pytało ze zdziwieniem: „Skąd On to ma? I co za mądrość, która Mu jest dana? I takie cuda dzieją się przez Jego ręce! Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?”. I powątpiewali o Nim. A Jezus mówił im: „Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony”. I nie mógł tam działać żadnego cudu, jedynie na kilku chorych położył ręce i uzdrowił ich. Dziwił się też ich niedowiarstwu. Potem obchodził okoliczne wsie i nauczał.

Darek słuchał, za wszelką cenę starając się skupić na słowach, ale przeszkadzał mu w tym narastający gniew. Nie gniew, wściekłość. Patrzył na odwróconą teraz do niego plecami Laurę, na jej zgrabną pupę i nogi, na stojącego obok niej licealistę i czuł, że go nosi. Że łydki, ręce, drżą mu już nie ze strachu, a z nerwów. I wszystko zaczynało go swędzieć.

Na piętrze dostrzegł jeszcze jednego chłopaka. Ewangelia ewidentnie mało go obchodziła, bo gapił się na Darka z głupim uśmieszkiem. Miał prosiakowatą twarz, jak Bepop z żółwi ninja albo starszy brat z *Kevina samego w domu*. Na policzku i czole widniały duże czerwone znamiona, którym zawdzięczał ksywkę Gorbaczow.

Chłopak otworzył usta, by coś powiedzieć, ale właśnie wtedy ksiądz śpiewnie poinformował wiernych, że przeczytał im Słowo Boże. Wierni równie śpiewnie podziękowali.

– Cześć, Laura – rzucił w tym momencie Darek i pognął w dół schodów.

Gdy wybiegł z kościoła, zgiął się wpół, drżąc z nerwów. Poczul torsje, jednak zamiast wymiotować, splunął tylko gęstą, lepą śliną i oparł ręce na udach.

– Coś się stało?

Podniósł głowę. Zobaczył zaniepokojonego księdza Godfryda, rosnącego mężczyznę o ulizanych na bok włosach, wiecznie w sutannie, jakby nie miał do założenia nic innego. Godfryd zajmował się w parafii ministrantami i słynął z tego, że potrafił rzucać naprawdę głupimi żartami, a czasami wypalić poślizgowego w tył głowy, gdy jeden z drugim nie umieli się zachować. Podobno tam, gdzie uczył

religii, przychodził na wywiadówki i robił rodzicom pogadanki. Słowem, wszyscy uważali go za nadętego, wrednego dupka. Ale tym razem, sądząc po głosie, ksiądz dupek mocno się przejął.

– Niedobrze ci? Zasłabłeś?

Darek pokręcił głową, odetchnął głęboko i stanął prosto, siląc się na uśmiech.

– Nie, w porządku, proszę księdza. W głowie mi się zakręciło, to wyszedłem... Tata mówił, żebym chwilę odetchnął i wrócił.

To ostatnie dodał po krótkiej pauzie, dostrzegając, że ksiądz już szykuje się, by coś powiedzieć. I wyglądało na to, że trafił, bo kapłan zamknął usta i tylko pokiwał głową.

– Nie stój za długo na deszczu – rzucił w końcu i ruszył tam, dokąd zmierzał. Jak się okazało, w stronę wejścia na chór.

Darek popatrzył za nim, znowu sapnął i pokręcił głową. To nie była jego sprawa i w zasadzie nie powinien się w to mieszać. Nie znał za dobrze rodziców Laury, ale wiedział, że jej dziadek, kolegujący się z jego dziadkiem, sprawia wrażenie surowego. No i mocno kościelnego, bo należał do Klubu Inteligencji Katolickiej, chóru i rady parafialnej. Na Boże Ciało nosił sztandar dumny jak paw. A Godfryd to jednak menda.

Chłopak zawahał się. Tamtych dwóch na górze wcale nie żałował, tyle że nie dało się uratować tylko jej. Podszedł więc do drzwi, złapał za klamkę, szarpnął i z całej siły krzyknął:

– Proszę księdza, księżo Godfrydzie, biją się! Niech ksiądz wróci, niech zejdzie. Bijatyka!

Wiedział, że brzmi to dziwnie, ale chciał zawrzeć wszystko w tym krótkim komunikacie. Darł się tak, że na pewno usłyszeli go na górze i mieli jeszcze szansę zareagować. Jak? Nie wiedział, ale przynajmniej kupił im czas, bo zaraz rozległy się głośnie, ciężkie kroki zbiegającego kapłana.

Darek odskoczył od drzwi i przecinając plac, pognał w stronę ulicy Skłodowskiej. Zniknął za rogiem plebanii, przebiegł przez jezdnię, wbiegł po schodkach i schował się w bramie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie pamięta ani słowa z ewangelii, nie słyszał kazania, a z pięciu księży potencjalnie prowadzących mszę może wykluczyć tylko jednego.

GRZESIEK

Myślał, że już nie wyjdą.

Pani Natalia zjawiała się co prawda, jak co tydzień, o dziewiątej dwadzieścia, a tata czekał już od dziewiątej – co zresztą wymagało od nich obu wstania punkt ósma – ale tu kawka, tu ciasteczko, tu deszcz za oknem i zrobiło się za pięć. Tacie się nie chciało, tylko nie umiał tego wyrazić, więc pani Natalia wzięła sprawy w swoje ręce i ostatecznie poszli. Ostatnio często tak to u nich wyglądało. Zupełnie jakby przeskoczyli w związku jakiś etap.

Bo to, myślał Grzesiek, chyba był już związek. W końcu dawno minęły już czasy, gdy pani Natalia przez trzy tygodnie przychodziła do ojca jako zastępcza pielęgniarka. On miał się już wtedy trochę lepiej, zdarzało mu się odzywać, a nawet żartować, więc dostało się kobiecie częstką jego uroku. I wsiąknęła, bo tata był przystojnym facetem, poza tym jak chciał, to potrafił, a ona... No cóż, zwyczajna, ani za ładna, ani za brzydka, ze szpiczastym nosem i osadzonymi za blisko oczami. Cycki małe, sterczące spod bluzki z poduszkami na ramionach, tyłek płaski taki, spłaszczony jeszcze przez spodnie z, jak to mówiła mama Grześka, wysokim stanem. Włosy napuszone, postrzępione, niby modne, ale jej nadawały wygląd czupiradła z telewizyjnych teatrzyków. To wrażenie pogłębiał zwykle za mocny makijaż i pomalowane jaskrawo paznokcie. Ale głos miała przyjemny, jak pani z radia, a perfumy, gdy już przestała tak się nimi oblewać, budowały w głowie całkiem ładny, nie do końca uformowany obrazek bliskości, ciepła. Domu.

Była też niegłupia i zabawna. Grzesiek pamiętał długie rozmowy przez telefon, podczas których ojciec śmiał się w głos, a po nich promieniał i szczyrzył się, nie kontrolując mimiki. Czasem zostawała do późnego wieczora, by obejrzeć z nimi film i najpierw tylko słuchała, by z czasem włączyć się w opisywanie tego, co działo się na ekranie. A raz, gdy oglądali *48 godzin*, w scenie strzelaniny wkręciła tatę, że Eddie Murphy ginie. Ojciec zareagował tak komicznie, że przez dobrą godzinę nie mogli przestać się śmiać, aż wszystko ich bolało.

Wreszcie pewnego razu, w weekend, Grzesiek wrócił po nocce u Darka i wszystko pachniało jej perfumami, w kuchni panował idealny porządek, a w sypialni ojca znalazła się zaplątana w prześcieradło damska skarpetka. Kilka dni

później okazało się, że pani Natalia dostała własne klucze, ot tak, na wszelki wypadek. Wreszcie ze trzy miesiące temu postanowili chodzić razem do kościoła.

Zaskakujące o tyle, że przed wypadkiem ojciec nie był fanem tej instytucji, a po wypadku wiele razy wyrzucał Bogu to czy tamto w dość ostrej formie. Najwyraźniej jednak obecnie się pogodzili, a przynajmniej utrzymywali pakt o wzajemnej uprzejmości. Tata śmiał się kiedyś, że ta niedzielna msza to dla niego jak kiedyś cotygodniowa wizyta u teściowej. Nic przyjemnego, ale są korzyści.

Grzesiek domyślał się tych ostatnich w przypadku ojca, a niedługo potem zajął się swoimi. Teraz, jak w każdą niedzielę, mniej więcej o tej samej porze wetknął korek w odpływ wanny i odkręcił wodę. Gdy upewnił się co do temperatury, poszedł do pokoju i zza szkła kredensu wyjął stos gazetek motoryzacyjnych. Rozdzielił go na pół, przewertował kilka magazynów z dolnej połowy, aż znalazł to, czego szukał. „Twój Weekend”.

Numer majowy, ale Grzesiek nie potrzebował nowszych. Tu podobała mu się dziewczyna na okładce, ciemnowłosa, z dużymi piersiami wyskakującymi z koronkowego stanika. Na biodrach miała pas trzymający chyba sukienkę, ale rozsuniętą na boki niczym firanka, tak by pokazać owłosioną cipkę. Dziewczyna patrzyła na Grzeška trochę zawstydzona, mały palec prawej dłoni przykładając do ust, jakby miała go zaraz przygryźć lub polizać.

„Kochaj mnie czule!” – wołał nagłówek obok niej, pod spodem zaś w czerwonym pasku widniał temat numeru, „Seks oralny”, wraz z rozwinięciem: „Chcę mu pokazać, jak bardzo go kocham”.

Tak, nie tylko z powodu dziewczyny ten właśnie numer ostał się u niego dłużej niż na jedno, dwa użycia. Grzesiek zastanawiał się, jakie to uczucie, gdy dziewczyna bierze go do ust. Czy go liże? Ssie niczym cukierek? Jak to działa? Resztę seksu potrafił sobie wyobrazić, znał mniej więcej zasadę, próbował, za namową jakiejś gazety, masturbować się kiedyś do starej rękawiczki mamy, takiej z futerkiem. Ruch do przodu, ruch do tyłu, narastająca przyjemność, wreszcie finał i wystrzał. To było proste. Ale seks oralny?

„Jak tak cię to ciekawi, posmaruj se miodem i weź psa”, powiedział mu kiedyś Darek. Wtedy Grzesiek ostatni raz z kimkolwiek na poważnie rozmawiał o seksie. Za to tuż przed snem zdarzało mu się ostatnio myśleć o mamie Kacpra. Mniejszej i starszej niż dziewczyna z okładki pisemka, poza tym z krótszymi włosami, jednak podobnie umalowanej i też zawsze takiej cichej, skromnej, jakby zawstydzonej.

W jego wizji, tej, którą miał teraz zamiar rozwinąć w wannie, leżąc z półprzymkniętymi powiekami, przychodził do Kacpra, jednak zastawał tylko panią Matwiejczak.

„Jestem taka samotna”, mówiła, gładząc Grześka po włosach. „A z tobą to chyba w porządku jako mężczyzną, nie? I nikomu nie powiesz?” Odpowiadał, że tak, w porządku i nie, nie powie, a ona wtedy klękała i sięgała mu do rozporoka, by powiedzieć to, co słyszał już tyle razy w filmach porno: „Chcę poczuć, jak smakujesz!”.

Gdy wrócił do łazienki, szybko zrzucił z siebie rzeczy, nogą odkopnął je pod kosz i wszedł do wanny. Woda była odrobinę za gorąca, ale nie tak, by dodawać zimnej. Wystarczyło troszkę posiedzieć. Usiadł ostrożnie, posykując, a następnie oparł się plecami o zimną ściankę. Policzył do pięciu, rozwinął i rozłożył magazyn.

Wydawało mu się dość zabawne, że jedyny czas, jaki miał w tygodniu na spędzenie kilku chwil z gazetką porno, przypadał na porę niedzielnej mszy. Kiedyś zdarzało mu się to robić częściej, jednak pewnego razu pochwalił się Kacprowi, trochę głupio, że oglądał przy ojcu „ślizgacza” i ten się nie połapał. Kumpel uśmiechnął się tylko i zapytał: „Jesteś pewien?”. „A jak miał się niby domyślić?” Kacper wzruszył wtedy ramionami. „Myślisz, że nie słyszy pracującego magnetowidu i ściszonego telewizora? Nie słyszy twojego sapania? Nie czuje spermy? Chłopie, niewidomi mają tak wyczulone zmysły, że pewnie słyszy z salonu, jak nocą targasz pod kołdrą”. „Pierdolisz!” – burknął wtedy Grzesiek, niby od niechcienia, jednak ta wizja autentycznie go przeraziła i sparaliżowała. Od tamtej pory postanowił tego nie robić, chyba że ojca nie będzie w domu. A że zdarzało się to rzadko, tym bardziej doceniał zalety pani Natalii. Raz nawet zastanawiał się wieczorem, czy odwdzińczyć jej się czułością, ale nie, kompletnie nie była w jego typie.

Leżał teraz w wannie, wpatrując się w znajome obrazki i próbując je wyryć pod powiekami. W końcu przymknął oczy, jego ręka powędrowała w dół.

– Dzień dobry, proszę pani – mruknął cicho, ospale. – Zastąpiłem Kacpra?

JÓZEK

Miał dość i czuł, że wszystko go swędzi. Dostawał na głowę, siadało mu na dekiel, wrzało pod kotłem. Dość, dość, dość! Wszystkich i wszystkiego, a najbardziej to chyba dziadka.

Od rana było źle, już od pierwszej kłótni matki z babcią, gdy dziadek oczywiście nic nie wiedział, bo poszedł do piwnicy po ogórki i siedział tam z godzinę, ale jak wrócił, to zaraz że mama nie ma racji. Chuj wiedział, a się wtrącał! Mama schowała się najpierw w łazience, potem u nich w pokoju udawała, że nie płacze, i wtedy babka wymyśliła, że Józek pomoże w kuchni.

No to pomógł, ale ledwie zapytał o obieraczkę, znowu się zaczęło. Bo nie można normalnie, że dziadek zabrał na działkę i zapomniał, trzeba od razu z pretensjami, że jak to, nożem się nie da? No da się, tylko prościej jest obieraczką, po to jest, do tego służy, to obieraczka! I potem całe to międlenie, że za grubo, za dużo ziemniaka schodzi i że jak będzie starszy, zrozumie wartość pieniądza, to będzie oszczędzał, bo tu nie ma świnek, żeby zjadły, nie ma świnek, Józwa.

Nie ma, kurwa mać, świnek!

Skończył obierać ziemniaki, wziął się za ogórki. A babka stoi tylko przy oknie, łokieć na parapet, pomarszczona gęba do słońca i pali. Ręce uwalane w jajku, w bułce tartej, z kotletów dwa może rozbite, a ta stoi i pali. I dziadek przychodzi, i awantura o to palenie, bo nie powinna i że znowu pali. A ona nic, tylko pali, z taką miną, jakby to na złość dziadkowi robiła. Kto ją wiedział, może tak było? I teraz dziadek, że ogórki za grubo na plastry ciacha, bo kto to wiedział, żeby tak ogórki kroić, że na ile osób on to widzi? Cała rodzina będzie, powiedział, a potem wymienia, jakby Józek nie wiedział, co to znaczy cała rodzina.

Na to wszystko wróciła mama i musiała zebrać siły, bo od razu na ostro, żeby dał jej synowi spokój. I że żaden Józwa, tylko Józek. Bo sobie nie życzy.

A w głowie Józka jedno: że tak naprawdę to nie życzy sobie być tutaj. Gdziekolwiek, tylko nie tutaj, może nawet na deszcz, na tę ulewę, od której go w nosie kręciło i drapało w gardle. Wszędzie, tylko nie tu!

Ale kto by go słuchał! Dziadek międlil słowa, jakby ważył, ile może powiedzieć, czy może się odwinąć, czy co. I Józek potem żałował tej myśli, jednak wtedy przemknęło mu przez głowę, żeby dziadek to zrobił. Niech uderzy mamę, niech rozetnie jej wargę, podbije oko, cokolwiek. I niech się tata dowie, to przyjdzie i zajebie, choćby miał zaraz do więzienia wrócić.

Dziadek jednak słowem się nie odezwał, tylko spojrział na Józka, po czym gestem odgonił jak muchę i sam siadł do tych ogórków.

– Ze śmieciami idź! – sapnął. I na matkę, czy znowu się postawi.

Całe robienie obiadu tak wyglądało, potem nakrywanie do stołu. Telewizor oczywiście na cały regulator, bo babka nie słyszy, jakaś czeska komedia o rodzinie, co to im się telewizor popsuł i od razu awantura, bo się w kilka pokoleń dogadać nie potrafią. Józek rozstawia, myśli, że to jak z życia wzięte, brakuje tylko filmowych bliźniaków, co się w łazience zacięli, i wtedy przychodzi babka z pretensją, że już go piąty raz woła, a ten nie słyszy.

Miał dość, czuł ciśnienie pod czaszką, czuł gorąc na policzkach, szyi i karku i swędzenie. Brzuch, jajka, piszczele i wierzchnia strona dłoni. Zęby zaciskał tak mocno, że aż go bolały szczęki. Ale nie mógł się odezwać.

Z tego wszystkiego zgłodniał, tyle że oczywiście nie mogli sięść do stołu, nie bez Woźniaków, którzy się spóźniali i nawet nie raczyli dać znać. Wujek w Telekomunikacji, gdy trzeba, to z każdą pierdołą dzwoni, a teraz to nie. I lataj tu do okna, łeb wystawiaj, czekaj jak na Mikołaja, bo brzuch i babka każą.

– Damy radę, Józek – powiedziała w pewnym momencie mama i spojrziała tak, że wiedział, że to nie stwierdzenie, tylko pytanie. Ona chce wiedzieć, czy dadzą radę. Bo już jeden z jej mężczyzn nie dał, już jeden eksplodował. Miał dość i poszło.

– Damy, mamó, damy – uspokoił ją, próbując stłumić burczenie i bulgotanie w brzuchu.

W końcu przyszli Woźniakowie. I zaraz biadolenie o podtopieniach na wioskach, o robocie wujka, słupy jakieś, studzienki, a wszystko to oczywiście w przedpokoju jeszcze, bo nie można jak ludzie do stołu usiąść, nie można przy obiedzie porozmawiać. Nie, to trzeba zaraz w progu, przekrzykują telewizor i czeską rodzinę, dziadek: pretensje, wujek: narzekanie, babcia: pretensje, ciocia: jak to są zmęczeni. Tak, bo na pewno się narobiła przy tym cieście, co je przynieśli.

Piaskowa babka, kupna, pewnie z wczoraj, i dwie paczki ciastek. Mama stoi tylko i patrzy, bo ledwo się z nią przywitali i zapomnieli.

Darek też jakiś nieswój. Jakby burę dostał albo się na taką szykował, w każdym razie coś wisiało w powietrzu. I przez moment nawet Józek pomyślał, że oto ma wsparcie w swoim nieszczęściu, że razem przetrwają ten obiad i potem czas po, ale wtedy kuzyn uniósł wzrok.

– Gdzie byłeś wczoraj? – warknął. – Dzwoniłem do ciebie i cię nie było.

– Z Kacprem wyszedłem – odparł Józek, zanim jeszcze dotarło do niego, że właściwie co to Darka obchodzi, nie jego sprawa i na pewno nie tym tonem.

Darek jakby w ryj dostał. Cofnął się, rzęsami zatrzepotał, ślinę przełknął.

– To wy teraz tacy kumple, tak? – zadrwił.

Józek nie odpowiedział. Babka ściszyła telewizor, zawołała do stołu, usiedli. A potem się okazało, że rosół już prawie wystygł, więc znów musieli czekać.

Mama poszła przelać go do garnka i odgrzać, babka zapalić, a za nią ciotka.

– No to co tam, Józek, jak ci wakacje mijają? – zapytał wujek Krzysiek. W sumie to był w porządku, Józek nawet go lubił, czasem fajnie się gadało. Ale nie dziś. Dziś swędziało go wszystko. Drapałby i drapał do krwi.

– Pogoda słaba trochę – odpowiedział, czując się jak idiota. Na to pytanie nie dało się mądrze odpowiedzieć.

– No słaba. – Dziadek pokiwał głową. – I ciśnienie takie, że tylko ręce złożyć i się położyć normalnie.

Józek podrapał się po karku. Myśli, która mu właśnie przysłała do głowy, trochę się potem wstydził.



Po obiedzie nieco się uspokoiło i ciotka zaproponowała, żeby to chłopcy posprząтали. Darek się oburzył, bo czemu tylko oni, a Wiśka nie, ale zaraz pod spojrzeniem matki przypomniał sobie, że podpadł, i karnie zaczął zbierać talerze. Mama z ciotką zniknęły na jakiś czas w kuchni, po czym wróciły z ciastem. Z tym, co przyniosła ciotka, i z plackiem z malinami z wczoraj, którego mama najwyraźniej upiekła więcej, niż mówiła. Pewnie stało w piekarniku. Teraz zrobiło się trochę mokre, choć nadal było pyszne, dużo lepsze niż kupna babka. Padło

odwieczne „kto chce kawę, kto herbatę”, a wtedy Józek zobaczył, jak Darek przemyka przez mieszkanie, by zaszyć się gdzieś w kącie. Pewnie zaraz będzie chciał wejść do niego i wziąć jakiś komiks, pomyślał i nagle zdał sobie sprawę, że w tym całym gniewie, który wciąż w nim buzował, to akurat obchodzi go najmniej. A niech idzie, niech czyta, niech się schowa z tymi swoimi durnymi pretensjami. To miał w końcu poznać tych jego kumpli czy nie? Miał się z nimi zaprzyjaźnić?

Zbierał właśnie ostatnią porcję talerzyków, gdy dziadek zaproponował wujkowi nalewkę wiśniową. Naburmuszył się, kiedy ten odmówił.

– Jeden kieliszek, na rozgrzewkę i trawienie, na pogodę taką.

Wujek uśmiechnął się pod nosem, bardziej do tej nalewki niż do dziadka.

– Kiedy tata zrozumie, że naprawdę nie mogę. W każdej chwili mnie mogą zawezwać z powrotem, tata widzi, co się dzieje za oknem. W Jarnołówku pół wsi ewakuowano, Starynka się przelewa, działki podmokłe, ziemia już nie przyjmuje. A Zdrojem to środkiem ulicy woda idzie. Tylko patrzeć, jak nam do reszty skrzynki zaleje.

Dziadek mimo to im polał, odstawił butelkę, uniósł obydwie kieliszki.

– Zanim ty do domu wrócisz, zanim się zorientują, to wyparuje.

– O, żeby tak łatwo było. – Wujek tym razem uśmiechnął się do dziadka. – W każdej chwili mogą mnie teraz, bo... O, tata zobaczy.

Sięgnął do paska i odpiął od niego niewielkie urządzenie z małym ekranem jak w zegarku i trzema przyciskami. Józek wiedział, co to, widział już bipery wcześniej na imprezie RMF-u w Katowicach. Nie oglądał co prawda takiego z bliska, ale dziś nie miał ochoty. Położył więc luzem leżące sztucce na stosie talerzyków i zaniósł do kuchni, by pozmywać.

Tam do palących babki i ciotki dołączyła mama ze szklanką herbaty. Wszystkie trzy gapiły się w ścianę deszczu za oknem i rozmawiały, a jakże, o pogodzie i sytuacji z nią związanej. Jakby nie dało się od tego uciec. Jakby ta woda wsiąkała nie tylko w ziemię, ale i w ludzi.

– Podobno Czesi wodę z tamy spuszcza, jak im się przelewać zacznie – powiedziała ciotka. – Wtedy to już nas do reszty zaleje.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło – stwierdziła babka. – Własny interes, czubek nosa! Nikt dalej nie patrzy i potem same nieszczęścia. Same!

Ciotka zerknęła wymownie na mamę, przewróciła oczami i wypuściła dym.

– Krzysiek mówi, że was tutaj nie zaleje – oznajmiła. – W sztabie kryzysowym był, z burmistrzem rozmawiał.

– Jezus Maria, jakim sztabie?!

Siostry kolejny raz wymieniły spojrzenia, co Józkowi wydało się tak zabawne, że niemal wybuchnął śmiechem i odruchowo przycisnął sobie pięść do ust. Poczł mdły, chemiczny smak płynu do mycia naczyń i szarpnęło go w żołądku, ale splunął goryczą i jakoś powstrzymał się od wymiotów.

– Mamo, to się tylko tak nazywa. Zebrali się burmistrz, komendant policji i straży i sobie przy kawce pogadali. Nic straszego. Krzysiek mówi, że nikt specjalnie się nie przejmował.

– Bo to durnie są, ot co. Durnie i komuchy stare! Oni się niczym nie przejmują, co się w tym mieście dzieje. Ech...

Cisnęła kiepem przez okno, w deszcz, zamachała ręką przed nosem i przemaszerowała przez kuchnię.

– Wody tyle nie lej – mruknęła jeszcze, przechodząc koło Józka. – To za darmo nie jest. Cukiereczki lecą.

Józek usłyszał, jak mama i ciotka parskają śmiechem, i sam też nagle zapragnął się zaśmiać.

– Nigdy nie widziałam tych cukiereczków – stwierdziła nagle ciotka. Całkiem była ładna, gdy tak się uśmiechała. I jakaś taka młodsza. – Nawet gdy oszczędzałam wodę jak głupia i prawie w ogóle nie włączałam światła.

– Tak – zgodziła się mama. – Ciekawe, gdzie ona je wszystkie trzyma.

Puściła oko do Józka, a ten uśmiechnął się i poruszył lewą brwią. Kiedyś widział to w filmie z braćmi Marx i zorientował się, że też tak umie.

Akurat kończył zmywać, gdy odezwał się biper. Wujek Krzysiek oddzwonił z aparatu w przedpokoju i powiedział, że musi się zbierać, bo mają problem w nadzorze. Ostatecznie wszyscy się zebrali, i dobrze, bo Wiśka zrobiła się już nieznośnie marudna.

– Wpadniesz jutro pograć? – zapytał w drzwiach Darek, trochę już chyba odobrażony. – Zadzwoniłbym po chłopaków.

– Pewnie, czemu nie? – zgodził się Józek. To nie była zła perspektywa spędzenia popołudnia, ale w zasadzie zgodziłby się na wszystko, byleby kuzyn z rodziną już sobie poszli.

Byle tylko położyć się na łóżku i coś poczytać. Albo... ech, gdyby tylko wzięli z domu telewizor i magnetowid.

Westchnął, dokończył zmywanie, po czym wrócił do pokoju z czystym talerzykiem, nałożył sobie kilka kawałków ciasta i ruszył do siebie.

– Co ty, Józwa, nie posiedzisz z nami? – zapytał dziadek.

Za żadne skarby świata, pomyślał Józek.

KACPER

Dziadka Zbyszka nie było przez większość dnia. Tego dnia spotkali się tylko przy śniadaniu, które właściwie przegadali o wiedźminie. Dziadek przed spaniem zaczął *Ostatnie życzenie* i dotarł do połowy. Jak sam powiedział, przeczytałby więcej, bo wciągnął go ten pisany jego kochanym Sienkiewiczem baśniowy świat, ale nie chciał świecić po nocy.

Mama, sądząc po minie, zaraz wzięła to do siebie, bo dziadek tę noc musiał spać w stołowym na kanapie, ze względu na bałagan w małym pokoiku. Pomieszczenie teoretycznie od początku miało być pokojem gościnnym, jednak rzadko miewali gości, więc szybko stało się rupieciarnią. To tam mama ustawiała suszarkę na pranie, tam stały pudła po meblach, książki w powiązanych stosach, czekające na regał, a w niedokończonej szafie bez drzwi leżały ciuchy zimowe. I regałami, i szafą tata miał się zająć już cztery powroty temu, ale jakoś nigdy mu nie wychodziło.

– Po śniadaniu tam posprzątam – powiedziała.

Dziadek Zbyszek odparł, że w zasadzie sam może to zrobić, aż tak mu się nie spieszy.

– I te regały też mogę ci postawić, jeśli masz jakieś wkręty.

Mama podziękowała za chęci i odmówiła, kryjąc nagle twarz za szklanką herbaty, trochę spłoszona albo zawstydzona. Jakby sam pomyśl, że ktoś odbierze tacie szansę dotrzymania w końcu słowa, napawał ją lękiem. W każdym razie było to dziwne, ale cóż, mama już taka była. Na wszystko reagowała jak sarna w świetle reflektorów nadjeżdżającego auta – wielkie oczy, bezruch i panika.

Po śniadaniu dziadek wyszedł, zapowiadając, że gdy wróci wieczorem, dokończą rozmowę o *Mniejszym złu*, jednym z opowiadań, w którym wiedźmin staje przed trudnym wyborem: zabić potwora w postaci złej, walecznej księżniczki o złych genach czy jej stwórcę, ukrywającego się w wieży maga. Bohater wybrał zabójstwo księżniczki i Kacprowi podobała się ta decyzja, nade wszystko dlatego, że zaowocowała dynamicznym opisem krwawej rzezi. Dziadek, choć sam nie dokonał wyboru, nie uznał tej decyzji za dobrą.

– No bo pomyśl, kto jest większym potworem. Ten, kto stał się nim mimo woli, czy ten, kto je tworzy? I przez kogo może być więcej szkody w przyszłości? – zapytał z błyskiem w oku i cwaniackim uśmiechem.

Kacper nie znosił takich zagrań, bo domyślał się, że dziadek go podpuszcza. Dał sobie chwilę na zastanowienie, a potem zaczął wypowiedź wolno, rozważnie. Wystarczyło jednak kilka kolejnych pytań, by całą rozwagę trafił szlag i zaczął mówić szybko, zasypywać dziadka argumentami, które tamten odbijał kolejnymi pytaniami znad uniesionego wąsa. Aż wreszcie dziadek wypił ostatni łyk kawy, spojrzął na zegarek i powiedział, że musi iść, ale do rozmowy wrócić.

Potem Kacper właściwie przez większość dnia albo czytał, albo nudził się przed telewizorem. Wolał książkę, tylko jakoś tak miał, że gdy za długo nad nią siedział, przestawał się skupiać. Myśli mu uciekały, dryfowały gdzieś i robił się senny lub odjeżdżał w marzenia, a potem wracał, szukając ostatniego zapamiętanego fragmentu. Dlatego co pewien czas wstawał, prznosił się do stołowego, po drodze robił sobie kanapkę czy dwie i siadał przed telewizorem. Tym szybko się nudził, więc rozważał wideo, jednak po chwili dochodził do wniosku, że niewiele filmów chciałby oglądać przy matce. Ostatecznie kręcił się bez celu i szedł do siebie. I dalej czytał, zastanawiając się, jak wykorzystać w dyskusji z dziadkiem przewagę w lekturze.

Kiedy zatopiony w myślach wszedł do kuchni, zadzwonił telefon. Mama aż podskoczyła. Szybko spojrziała na zegarek.

– Odbiorę – zapewnił i ruszył w stronę stołowego, jednak go wyprzedziła.

– Nie, to do mnie – powiedziała. – Ty idź do siebie.

– Chciałem sobie picie dorobić. – Pokazał jej pustą szklankę.

– Do siebie, Kacper – powtórzyła ostro. – Później sobie zrobisz.

Zdziwił się, ale wzruszył ramionami.

– Dobrze, jasne – mruknął. – Tylko powiedz, jak skończysz, to do Darka zadzwonię, czy mogę do niego pójść.

– Dobrze – odparła matka już z pokoju, chociaż wciąż nie odbierała. – Idź już.

Zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy telefon przestał dzwonić. Mama podniosła słuchawkę i powiedziała coś cichym, spokojnym głosem. Coś, co sprawiło, że zamarł zaskoczony. Bo mógłby, kurwa, przysiąc, że to zabrzmiało jak: cześć, kochanie.

W pierwszej chwili pomyślał, że mu się zdawało, ale nie. Trudno coś takiego pomylić z czymś innym. No i po co matka miałyby go wyrzucać z pokoju przed rozmową?

Szybko podszedł do biurka, odstawił szklanę i wrócił pod drzwi. Stał bokiem, by przez szklaną szybę nie było widać, że podsłuchuje, i nastawił ucha. Mama mówiła coś, śmiała się nawet, jednak tak cicho i niewyraźnie, że musiała szeptać albo zamknęła drzwi do stołowego. Kacper nie wykluczał obu tych opcji.

„Cześć, kochanie”. To właściwie mogło znaczyć bardzo wiele i odnosić się do wielu osób. Na przykład do którejś z koleżanek, nie? To niekoniecznie musiał być facet, kochanek. Ale czy wtedy matka robiłaby z tego taką tajemnicę i kazała mu wychodzić? Gdyby po prostu zadzwoniła do niej koleżanka?

Usiadł na łóżku, oparł się o ścianę i zagapił na plakat z filmowego *Conana* kupiony poprzedniego roku w Chałupach nad morzem, na kolonii. Przez głowę przeleciało mu z tysiąc myśli, pośród nich i ta rozmowa o ojcu z Józkiem: skąd wie, że ojciec nie ma nowej rodziny. No właśnie, skąd wiedział? I skąd wiedział, że mama też kogoś nie ma? Przecież mogłaby. Była ładna, a do tego...

Usłyszał pukanie i zaraz potem w szczelinie uchylonych drzwi pojawiła się głowa mamy.

– Już możesz, skończyłam – powiedziała.

– Jasne, dzięki – burknął, patrząc jej w oczy. Zastanawiał się, czy zapytać, kto dzwonił, ale odpuścił, bo po co? Jeśli miał rację, na pewno by skłamała.

Dziadek Zbyszek wrócił koło siódmej, przemoczony, i przy kolacji mówił o plotkach krążących na mieście – podobno Czesi szykują się do spuszczenia wody ze swoich tam i wtedy na pewno zaleje Głuchołazy.

– Myślisz, że to prawda? – zapytała mama, na co dziadek się roześmiał.

– Mieszkasz tu tyle lat i nie wiesz, że tam nie ma żadnej tamy? – zapytał i puścił oko do Kacpra. – Zresztą żadna tama jest niepotrzebna. Wystarczy, że woda zejdzie z gór. To miasto jest jak miska. Miska, do której pada trzeci dzień.

LUŻNA KARTKA

Wyglądało, jakby ścigał się z rzeką.

Trzymał kierownicę oburącz, wychylony do przodu, próbując patrzeć wyłącznie na drogę przed sobą. Rozpędzone, mocno już zużyte wycieraczki jęczały z wysiłku, nie wyrabiały z odprowadzaniem wody, więc obraz miał nieco rozmyty. Silnik był na wysokich obrotach, domagając się zmiany biegu, ale mężczyzna wolał nie majstrować przy skrzyni biegów. Zdjęcie ręki z kierownicy na tych zakrętach, na tak wąskiej drodze, zdjęcie choćby na sekundę groziło wypadkiem.

Jechał niby powoli, choć wciąż za szybko, z głową wyciągniętą niczym zółw sięgający po sałatę. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, na pewno zadrwiłby, że oto ślepy próbuje prowadzić auto. I po trosze tak było, bo od wyężdżania wzroku bolały go przekrwione oczy, puchła głowa zbierająca impulsy cierpienia z każdego skrawka ciała. Spięty kark, plecy od pół godziny w tej samej, niewygodnej pozie, noga zawieszona nad pedałem hamulca. Cisnął go pęcherz i zwieracz, a jednocześnie w brzuchu ssało, bo przecież nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł. To mogło być równie dobrze godzinę temu, jak i przedwczoraj.

No i jeszcze dłonie. Zdał sobie sprawę, że nigdy niczego nie trzymał się tak mocno, tak kurczowo, jak tego pieprzonego kółka ze znakiem błyskawicy pośrodku.

Znał tę drogę, pokonywał ją wcześniej wiele razy. Kręta asfaltówka wiodąca w stronę polskiej granicy normalnie położona była kilka metrów powyżej linii wody płynącej obok górskiej rzeki. Teraz różnica wynosiła mniej niż pół metra, a rozszalały nurt, w półmroku czarnobrazowy jak wytrysk z szambowozu, rwał brzegi, zabierając ze sobą wszystko, co stało mu na drodze. Meble, lodówki, pralki, worki pełne i puste, rower i mnóstwo półprzezroczystych skrzyń. Jedna z impetem zaryła o wielki kawał skały, pękła, wystrzeliwując wieko, i wzbiła się w powietrze, by zaraz znowu dać się ponieść rzece.

Z drugiej strony miał porośniętą drzewami skarpe, na której gdzieniegdzie rozciągnięto siatkę chroniącą auta przed spadającymi głazami. Stosowne znaki informowały, by zachować ostrożność, i choć wcale nie zwracał na nie uwagi, to

jednak właśnie tego zbocza, nie rzeki, obawiał się najbardziej. Zbocza i błota spływającego niczym wosk z topiącej się świecy. Wylewało się na drogę, podmywało korzenie drzew.

Jednego z nich uniknął w zasadzie cudem, bo osunęło się na drogę tuż za nim. Grzmotnęło o asfalt, wpadło koroną w wodę i niedługo potem płynęło już środkiem spienionego, rozszalałego nurtu.

Zaklął, szarpnął kierownicą i wpadł w poślizg, z którego uratował go fragment barierek. Odbił się od niego, tłukąc prawy reflektor, co w tych warunkach równało się niemal utracie wzroku w jednym oku. Ale żył! Żył i wyprowadził auto. Wciąż jechał, choć serce tłukło mu się jak oszalałe. Każde jego uderzenie sprawiało ból. W uszach szum adrenaliny zlał się zupełnie z szumem rzeki, w ustach czuł suchość i rdzę.

Znał tę drogę. Wiedział, że jeszcze tylko dwieście, trzysta metrów takiego piekła i znajdzie się w wiosce. Zniknie zagrożenie ze strony skarpy, jezdnia odsunie się od rzeki. Jeszcze tylko dwa albo trzy zakręty i będzie mógł odetchnąć.

Nie było mu dane. O tyle dobrze, że wchodząc w ostrzejszy łuk zakrętu, zredukował prędkość prawie do zera – dzięki temu zdążył zobaczyć, jak kawał skały wpada z łoskotem do wody, a potem rzeka wybiera ziemię i zrywa asfalt, pozostawiając dziurę akurat wielkości samochodu osobowego. Nie mógł jej wyminąć, bo woda dalej robiła swoje, kasała i szarpała grunt, gryz po gryzie, garść po garści. Zresztą zwalone tuż za wyrwą drzewo, leżące w poprzek drogi, i tak uniemożliwiałoby dalszą jazdę.

Zaklął. Oczy wypełniły mu się łzami. Wtedy po raz pierwszy naprawdę pomyślał, że nie da rady, że to wszystko na marne. Mimo to drżącą ręką sięgnął do hamulca ręcznego i szarpnął go z taką siłą, że mało nie wyrwał. Poczł, jak promieniujący ból przeszywa mu bark, jak rozlewa się po plecach, i to go otrzeźwiło. W samą porę, bo do wody runął kolejny kawałek drogi, zapadł się kolejny kawałek asfaltu. Samochód zatrząsł się, drgnął, jakby zaraz miał się osunąć. To naprawdę był ostatni moment, by z niego wysiąść.

Wysiadł więc. Skulił się z zimna, zlany siekającym deszczem, pośliznął na błocie i zaparł o auto. Pojazdem zakołysało. Złapał równowagę, otworzył tylne siedzenie i wyjął plecak. Zapragnął do niego zajrzeć, upewnić się, że wszystko jest w porządku, przypomnieć sobie stawkę, o jaką walczył, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Nie teraz. Wystarczy, że wiedział, dlaczego tutaj jest i dlaczego, u diabła,

chce iść dalej. Bo chciał. Powrót nie wchodził w grę. Do granicy miał nie więcej niż sześć, siedem kilometrów. Przecież i tak planował porzucenie wozu i wejście w las. Pierwotnie zamierzał przejść przez rzekę w jednym z płytkich, niestrzeżonych miejsc, jednak w taką pogodę las również wydawał się odpowiednią opcją. Straż graniczna będzie zajęta gdzie indziej, nikt go nie zauważy. Właściwie, jakby nie patrzeć, świat mu sprzyja. Jutro rano, pod szczęśliwą kumulacją trzech siódemek, będzie mógł cieszyć się słońcem. Bo przecież w końcu przestanie padać.

Założył plecak i ostrożnie odsunął się od auta. Zrobił głęboki wdech i ruszył, trzymając się jak najbliżej prawej krawędzi. Szedł małymi, ostrożnymi krokami, patrząc pod nogi, starając się nie zerkać na poszarpaną krawędź wyrwy ani na kotłującą się wodę. Właściwie szurał butami po błocie, kuląc się i rozkładając ręce dla równowagi, niczym garbaty linoskoczek.

Gdy doszedł do drzewa, znowu usłyszał za sobą łoskot. Domyślił się jego źródła, więc natychmiast przystanął, zacisnął powieki i pięści niczym przerażone dziecko, które znika przed złem w myśl zasady: ja nie widzę ciebie, ty nie widzisz mnie. Wiedział, że jeśli zobaczy przepływającego obok opla, kręcącego się, wirującego w wodzie, nie wytrzyma. Oszaleje i zacznie wrzeszczeć.

Policzył do dziesięciu, po czym otworzył oczy. Kolejny krok stanowił wyzwanie, ale następne okazały się już łatwiejsze. Nie obejrzał się. Podszedł do drzewa i zdał sobie sprawę, że nie uda mu się go przestąpić ani przejść pod nim. Kopnął je więc, by sprawdzić stabilność, wspiał się na pień, przytulił do niego i wstrzymując oddech, zszedł po drugiej stronie. Odetchnął głęboko, poczekał, aż serce mu się uspokoi.

I wtedy ugięła się pod nim prawa noga. Tak po prostu. Zdążył ją jeszcze unieść, ale gdy przeniósł na nią ciężar ciała, ta zamieniła się w rozedrganą galaretkę. Plecak, śliskie błoto i rozmiękle podłoże zrobiły resztę. Runął w dół, prosto do wody.

Coś w nim wrzasnęło histerycznie. Chciał krzyknąć, ale tylko zacharczał. Sunąc po błocie, rozcapierzył palce, szukając oparcia. Znalazł. Chwycił jakiś korzeń. Zawył, gdy jego bark znowu przeszył prąd. Bolało tak, że aż zrobiło mu się niedobrze, mało nie zemdłał. Wciąż jednak żył, wciąż walczył. Szarpnął się, czując, jak woda wybiera mu ziemię spod nóg. Do asfaltu miał metr. Do rzeki centymetry.

Niemal nic nie widział, po omacku wyciągnął w górę drugą rękę, szukając jakiegokolwiek uchwytu. Gdy znalazł, podciągnął się, a wtedy bok rozorała mu

przepływająca gałąź.

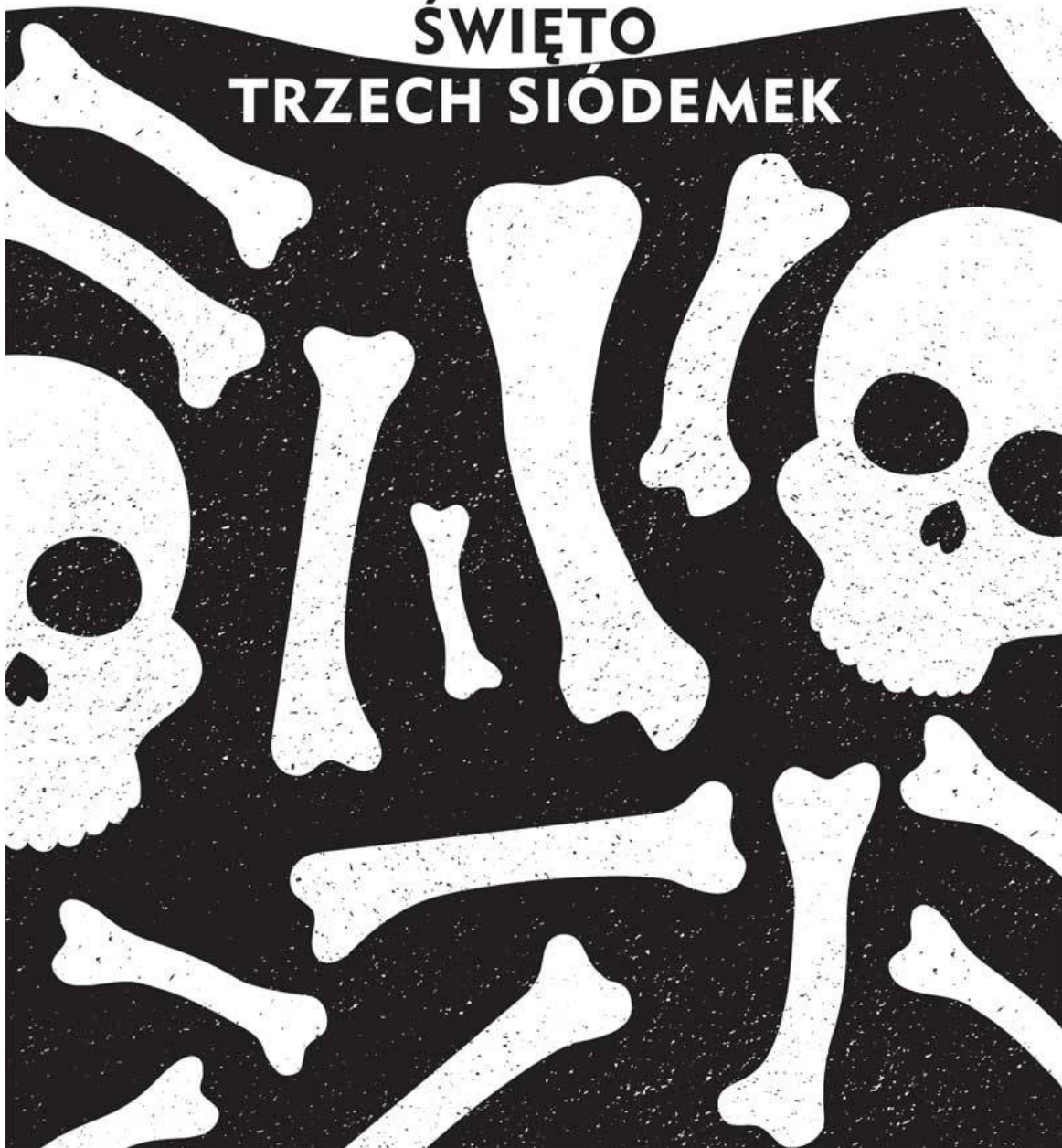
Krzyknął głośno, przeraźliwie, ale nie puścił korzeni, wciąż je trzymał. Udało mu się znaleźć oparcie dla tej zdradzieckiej nogi, mimo wszystko przeniósł na nią ciężar. Z trudem oderwał lewą dłoń od bezpiecznego uchwytu, wyszukał kolejny, jeszcze pewniejszy. Rzeka wybierała mu ziemię spod nóg, on jednak był szybszy.

Wreszcie sięgnął asfaltu i mógłby przysiąc, że wbił się w niego palcami, uczeplił z siłą, o jaką w życiu by siebie nie podejrzewał. Wciągnął ciało na drogę, na czworakach doczłapał do krawędzi skarpy i upadł, dysząc ciężko. Pozwolił sobie na kilka minut odpoczynku.

O dwie za długo. Gdy drzewo, przez które przeszedł, zaczęło się odsuwać, nie miał dość energii, by się podnieść. Jeden konar uderzył go w kark, drugi szarpnął za plecak, zaczepił o niego i pociągnął w dół.

Krzyknął, i darł się tak długo, aż czarnobrzowa maź zalała mu usta.

II
**ŚWIĘTO
TRZECH SIÓDEMEK**



LUŻNA KARTKA

W ulokowanej w piwnicy szatni ostatnio zrobiło się klaustrofobicznie, wręcz ciasno. Miały na to wpływ nie tylko nowe, dopchnięte kolanem szafki dla Ukraińców – jak się okazało, zupełnie im zbędne – ale przede wszystkim improwizowane konstrukcje: sznurki do wieszania spodni i rękawic po fajrancie czy sklecone z europalet i ławeczek półki na ciężkie buciory. W normalnych okolicznościach to wszystko mieściłoby się za metalowymi drzwiczkami przypisanych policjantom szafek. W tym miesiącu jednak nic nie było normalne. Posterunkowy Potoczak wszedł do szatni na wdechu i dopiero po kilku krokach wypuścił i ostrożnie nabrał powietrza w płuca, by przyzwyczaić nos do zaduchu. Mimo to mieszanina potu, grochówkowych pierdów, wilgoci i błota szarpnęła nim trochę. Aż sam się zdziwił, że coś jeszcze go ruszało po przedwczoraj.

Akurat gdy doszedł do swojej szafki, ucichł szum wody pod prysznicem. Skrzypnęły drzwiczki prowadzące do kabiny, mokre stopy plasnęły o podłogę i ktoś zaczął się energicznie wycierać. Zaraz potem do szatni wszedł sierżant Balko owinięty ręcznikiem.

Mieli mniej więcej podobną posturę, Potoczak i Balko, obaj duzi, szerocy w ramionach, choć sierżant zdecydowanie lepiej zbudowany od mostka w górę i napęczniały poniżej. Wielki ciężki brzuch, porośnięty ciemną szczecią, przypominał ciężowy w końcowej fazie. Na widok posterunkowego Balko uśmiechnął się krzywo.

– No właśnie słyszałem, Potoczak, że piękny powrót z urlopu. Opaliłeś się, chłopie. Jak tam było we Włoszech, co?

Posterunkowy wzruszył ramionami. Zdjął przepoconą koszulkę i cisnął ją na podłogę.

– W Hiszpanii byłem – mruknął. – Pogoda jak tutaj, czasem słońce, czasem deszcz. Tylko proporcje inne.

Usiadł i rozwiązał podwójne supły sznurówek.

– Ha, ha, ha, proporcje inne. A to dobre! – Balko klepnął się butelką szamponu w nadęty brzuch. – Powiem ci, Potoczak, chuja wiesz o proporcjach. Przyjechałeś

na sprzątanie w zasadzie. Jakbyś tu był, gdy się działo...

– No tak, ja to mam szczęście – burknął posterunkowy. Spryskał się dezodorantem pod pachami i po kłacie. Poczuł przyjemny, orzeźwiający chłód sprayu.

Balko precyzyjnie się koło niego i zajął miejsce trzy szafki dalej. Opadł ciężko na ławkę i pochylił się, pociągając za uchylone drzwiczki.

– Widziałeś to, nie? Jak wyławiali tego dzieciaka? – zapytał już poważnie, nieco ciszej. – To ktoś z naszych go znalazł?

– Ukraińcy – odparł Potoczak. – Podnieśli go z gałęzią, na którą był nabity. Myśleli, że się zaklinowała, szarpnęli i rozdarł się jak papier.

– Jezu, nie gadaj, bo się porzygam. Mam siostrzeńca w podobnym wieku. – Sierżant wyjął ułożone w kosteczkę spodnie, koszulkę polo, skarpetki i slipy. Te ostatnie wcisnął pod ręcznik. – Nawet nie chcę myśleć o swojej siostrze, gdyby to jej coś takiego... – Urwał, machnął ręką. Podskoczył, dociągając slipy, po czym rozwiązał ręcznik.

– Swoją drogą, daleko go wyniosło – powiedział. – To kawał drogi za miastem.

– Ja się nie znam – odparł Potoczak, jakby chciał uciąć temat. Po chwili jednak podjął: – Ponoć według faceta z prokuratury mogło być tak, że chłopak zagrzebał się gdzieś w mule, a potem, jak przyszła druga tura deszczów, to go wymyło z tym drzewem i poniosło dalej.

– Rodzina potwierdziła w ogóle, że to on?

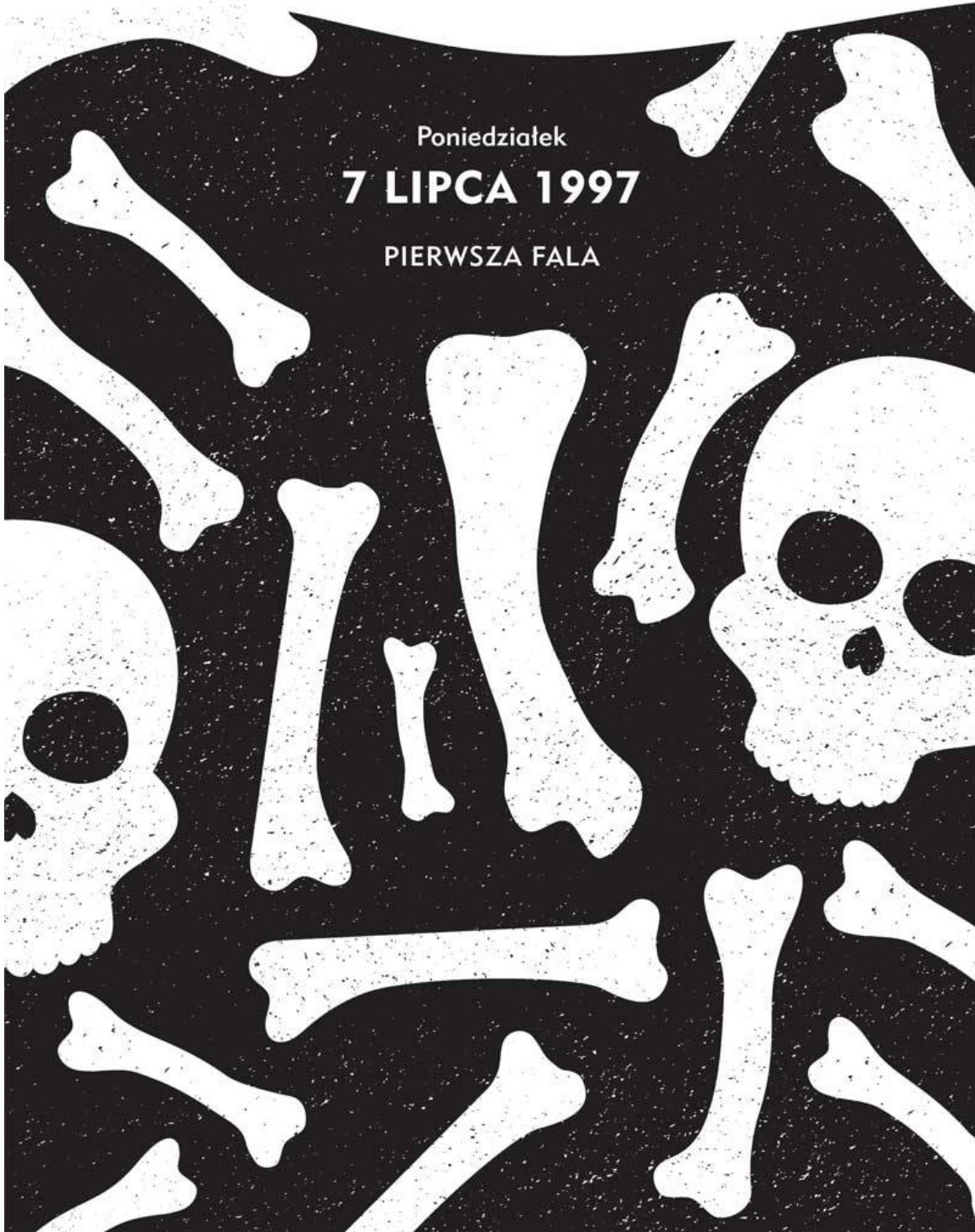
– A co miała potwierdzać?! – Posterunkowy poczuł nagłą falę irytacji. – Martwy od dwóch tygodni! Dwa tygodnie w wodzie. To był nadęty, niemal bezkształtny balon, pozbawiony oczu, ze skórą odłóżącą jak ze sparzonego pomidora. Próbowali go ruszyć, to im się rozlaźł. Jelita odławiali siatką. Pokazałbyś takie coś rodzicom?!

– Dobra, dobra, nie ekscytuj się tak. Zapytałem tylko. – Balko sapnął ciężko, na zapas, po czym zadarł nogę i naciągnął na nią skarpetkę. – Swoją drogą, jak to jest, powiedz mi, że Nysa dwa razy większa, tyle dni zalana, a jednak spokój. Za to w Głuchołazach ledwie się zaczęło i już tragedia na tragedii, i trupy. Najpierw ta jatka, teraz ten dzieciak...

– Ej, czekaj – zdziwił się Potoczak. – Jaka jatka?

Poniedziałek
7 LIPCA 1997

PIERWSZA FAŁA



DAREK

Sen, który później miał do niego wracać raz po raz, Darek wyśnił nad ranem, siódmego lipca, między czwartą trzydzieści, kiedy przyszli po jego ojca, a szóstą piętnaście, kiedy wszystko zaczęło się już na dobre.

Widział w tym śnie Laureę siedzącą na schodach. Ubraną tak samo jak wtedy w kościele, ale to nie był kościół parafialny pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca w Głuchołazach, w ogóle nie był to kościół, a centrum handlowe Opolanin w Opolu. Za dzieciaka jeździł tam z rodzicami na zakupy i zawsze robiło na nim wrażenie. Duży gmach, dwupiętrowe targowisko pełne stoisk, wystawek, straganów niemal. Tu firany, tam noże, pałki i ozdobne zapalniczki. Kiermasz z książkami, z kasetami, z gramy, z głośników przeboje, Puff Daddy kontra Norbi, ludzie w jedną, ludzie w drugą, wolno, bo w tłumie, niemrawo, z prądem. Ludzie gromadzący się w półkola nad rozkładanymi stolikami niczym tłum nad ofiarą wypadku.

W tym śnie wewnątrz Opolanina spowijał dym. Gęsty, szary jak poranna mgła, ciężki i brudny jak w przedziałach dla palących. Osiadał na ubraniach, włosach i twarzach, wnikał w skórę, odbarwiał, odsączał uśmiechy, emocje, zostawiając tylko smutek w załzawionych, przekrwionych oczach.

Laura siedziała na ruchomych schodach. Tych, na których tak bardzo lubił się kiedyś bawić, aż mu powiedzieli, że nie można, że to niebezpieczne, bo coś sobie zrobi, jeśli wystarczająco szybko nie zejdzie z ostatniego schodka. Pamiętał o tym i choć wiedział, że to śmieszne, zawsze robił zawczasu odpowiednio duży krok. A ona siedziała teraz na tych schodach sunących wolno ku górze. Czytała komiks – Darek nie widział okładki, jednak był pewien, że to lutowy *Batman* – i krzywiła się z niezadowolenia. Marszczyła swój śliczny nosek, unosiła górną wargę jak zwierzątko pokazujące kły.

Czuł, że musi do niej podejść, ale tłum z jakiegoś powodu uparł się, by mu to utrudnić. Ściana bioder, pośladków, brzuchów, rąk i między nimi dym, spoiwo, kafelkowa fuga, cement. Spróbował bokiem, napierał, kuczał i na czworakach przechodził między nogami, pod kotarami spódnic, między kółkami wózków.

A ilekroć wstawał, ilekroć podskakiwał, by ponad głowami ludzi zobaczyć schody i Laureę, ta była coraz wyżej. Coraz bliżej piętra.

I naraz Darek zdał sobie sprawę z tego, co się stanie. Zobaczył jej rozpuszczone włosy, opadające gładko na stopnie, dostrzegł koniec schodów i przypomniał sobie opowieść ojca. O dziewczynce, która miała na tych schodach wypadek.

Laura zaraz będzie miała wypadek! Zaraz będzie miała...

Otworzył usta, by krzyknąć, ale dym jakby na to czekał – wdarł się w niego, wypełnił mu płuca, żołądek, szarpnął nim w środku i zmusił do zgięcia się wpool. Darek zwymiotował brunatną wodnistą mazią, jakby błotem albo gównem. Śmierdziało piwnicą z ziemniakami i miało te białe pędy wyrastające z ostatnich, miękkich kartofli, jakie zostawały po sezonie na koniec wiosny. Pływały teraz w kałuży niczym kurze łapki.

Tłum otoczył go szczelnym kręgiem. Szary dym wypełnił wszystkie szczeliny, ale Darek wciąż widział Laureę dojeżdżającą do szczytu schodów. I widział, jak jej przepiękne włosy wkręcają się w tryby maszyny. Na razie jeszcze nic nie poczuła, jednak to już się stało. Nie uratuje jej, nie zdąży, kołowrót pracuje, już zaraz, za moment...

Znów spróbował krzyknąć. Tym razem z jego ust wydobył się tylko charkot i coś jakby pisk. Zacierające się tryby maszyny, która zaraz się zatrzyma. I rzeczywiście, wydał z siebie kilka chrapliwych dźwięków i już tylko bezgłośnie poruszał ustami jak w niemym filmie.

Zewsząd słyszał szepty. To ludzie wokół, tłum wpatrzony w niego, zainteresowany nie nim, a tym, co się stanie, jak to się skończy. Szare twarze, zaczerwienione oczy, uśmiechy spowite dymem.

I nagle krzyk. Nie, wrzask! Przerażliwy, wysoki, zwierzęcy. Wrzask przerażenia, zaskoczenia i niewyobrażalnego bólu. Darek rzucił się z pięściami na krąg gapiów, by się przedrzeć, pognać ku schodom, coś zrobić.

Udało się, bo ludzie byli z mgły, z dymu. Rozwiali się. Ich oczy to tylko refleksy lamp, żarówek, światełek. I wtedy zdał sobie sprawę, że całe piętro zalane jest brudną, śmierdzącą wodą. Pływały w niej towary ze stoisk, bluzki z cekinami, kasety, gazety, niemieckie proszki do prania i słodycze. Darek biegł. Potknął się, wpadł w wodę, ta wdarła mu się do ust. Wypluł ją, podniósł się i pobiegł dalej, wciąż słysząc przerażający i z każdą chwilą coraz bardziej obrzydliwy krzyk. Bo to

już nie Laura, to już nawet nie istota ludzka. To coś ulepionego ze strachu i bólu. Z cierpienia, jakie przekraczało granice jego wyobraźni.

Dobiegł do schodów jadących w dół i popędził po nich w górę, a gdy dotarł na szczyt, ona tam czekała. Leżała wsparta na łokciu jak jedna z pornopanienek w „Catsie”. Już nie krzyczała. Nawet spróbowała się uśmiechnąć. Mechanizm nawijał i wciągał jej włosy, odrywał skórę, odsłaniając jasnoczerwone mięso i czaszkę.

– Mój bohaterze – powiedziała Laura, wyciągając do niego rękę. Głos miała zdarty od krzyku, twarz odkształconą bólem. Skrzeczała jak wiedźma. – Mój bohaterze!



Zerwał się z łóżka, dysząc ciężko, odwrócił się w stronę okna i wtedy właśnie ktoś załomotał do drzwi wejściowych. Usłyszał głos matki i pana Zimowskiego spod czwórki pytającego, czy mają telefon.

– Aparat nie może być na prąd, bo prądu nie ma – zastrzegł sąsiad.

– Tak, mamy zapasowy – powiedziała mama. – Niech pan wejdzie, zaraz znajdę, zamontuję. Darek!

– Wstaję!

Opuścił nogi z łóżka, potarł knykciami oczy i sięgnął po spodnie. Spojrzał za okno. Szare niebo, strugi deszczu tnące je na pasy – przywykł do tego widoku, właściwie miał dziwne wrażenie, że nie pamięta już innego nieba.

Potrząsnął głową, gdy zorientował się, że w koronie drzewa naprzeciw widzi twarz Laury ze snu, niemal słyszy, jak rozedrgane wiatrem liście szumią: „Mój bohaterze! Mój bohaterze! Mój...”.

– Darek!

Odwrócił się. Mama stała w drzwiach pokoju, uwieszona na klamce. Druga z rzędu nieprzespana noc szybko uwidoczniła się na jej twarzy bez makijażu.

– Ubieraj się szybko, zejdiesz pomóc.

– Z czym? – zdziwił się.

– No jak to z czym? A na co patrzysz?

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Zaraz jednak ponownie spojrzął w okno, tym razem w dół, na podwórko.

Parking oraz porośnięta trawą przestrzeń między długim blokiem stojącym prostopadle do ich a terenem pobliskiego żłobka stały w brudnej, brązowej wodzie, która sięgała do wysokości połowy drzwi zaparkowanych tam aut. Tym na położonym wyżej chodniku zalała tylko koła, stojące nieco dalej samochody przykrywała już po sam dach, a ulicą Jana Pawła II płynęła rwąca rzeka.

Mimo wczesnej pory na podwórku było ze dwadzieścia osób. Ludzie w kurtkach przeciwdeszczowych, krótkich bądź podwiniętych spodniach tachali worki z piaskiem. Ciekawe, skąd je wzięli. Może ktoś przywiózł? Może nie zalało obudowanej betonem piaskownicy? Obstawiali nimi wejścia do klatek schodowych i piwniczne okienka.

Patrząc na to, Darek poczuł... rozczarowanie. Naprawdę? To już? Tak wygląda cała ta powódź? To dlatego sąsiad dał się teraz przez telefon na kogoś, że tu są dzieci i trzeba coś zrobić? Dla pół metra wody i podtopionych samochodów?

– Gdzie tata? – Odwrócił się od okna.

– W pracy, straż zabrała go łódką – powiedziała mama.

– Łódką? Naprawdę? Całe miasto jest pod wodą?

– Nie, podobno jedynie do mostku. Starynka wylała, ale tylko trochę. Chodź, zjesz coś i zejdziesz pomóc.

Zimowski akurat skończył rozmawiać i wrócił do przedpokoju. Chudy, żylasty mężczyzna o płaskiej twarzy, porośniętej kilkudniowym zarostem, miał na sobie prążkowany podkoszulek, stare dzinsy urżnięte nierówno na wysokości kolan i znoszone gumowe klapki. Darek nawet go lubił, szczególnie za sporą kolekcję filmów. Sąsiad chętnie je chłopakowi pożyczał, nie pamiętając albo nie przejmując się tym, że na wielokrotnie nagrywanych kasetach miał czasem fragmenty jakiegoś stukacza.

– Dzwoniłem do spółdzielni – powiedział, jakby po tym całym darciu mordy było to dla kogokolwiek zaskoczeniem. – Nie wiedzą, kiedy z powrotem włączą prąd. Czekają na decyzję. Małzonek w pracy?

– Tak. Rano go zabrali. Kawy?

– O, w zasadzie to poproszę. – Sąsiad wszedł do kuchni i rozsiadł się na taborecie. Śmierdział brudną wodą i świeżym potem doprawionym oparami

wczorajszej wódki. – Auta nie widziałem. Zdążyliście państwo wywieźć?

– Mąż pod pracą zostawił, jak tylko woda ulicą poszła. Proszę bardzo. Cukru?

– Tak, ale bez mleka, dziękuję. – Sąsiad wziął od mamy kubek i puścił oko do Darka. – Mleko niech młodociany wypije, zanim się zepsuje. Lubisz mleko?

– Z piwem jest super – odfuknął chłopak.

– Darek!

– Nie, spokojnie. – Zimowski uniósł wolną rękę w uspokajającym geście. – Moja wina, sam się prosiłem, traktując jak gówniarza. Pomożesz nam z tymi workami? W zasadzie to już końcówka, ale może coś się jeszcze... – Spojrzał na matkę. – No, jeśli oczywiście mama pozwoli.

– Pomogę – odparł Darek, nim ta otworzyła usta. – Właśnie się szykowałem. To ja już zejść, mam, dobrze?

– Śniadanie zjedz najpierw.

Machnął ręką.

– Później zjem – rzucił i nie czekając na sprzeciw, wsunął nogi w klapki i wyszedł na schody. Zdążył zejść z półpiętra, gdy burczenie w brzuchu uświadomiło mu, że podjął głupią decyzję. Był jednak zbyt dumny, by wrócić.

GRZESIEK

– Tato, powódź jest! – Grzesiek wpadł do sypialni ojca, z ekscytacją plując okruszkami chleba. – Powódź w Głucholazach. W telewizji mówią. Białka wylała, połowa miasta prądu nie ma, a po drugiej stronie rzeki to i gazu.

Edward Szczęsny przewrócił się na łóżku, odrzucił kołdrę i otworzył niewidzące oczy.

– Jaka powódź? – mruknął. – Co to znaczy?

– No że całe miasto zalane na dole. – Grzesiek odruchowo wskazał ręką kierunek. – Od Amorka płynie druga rzeka, dochodzi aż do Starynki. Koło szkoły muzycznej i parku strażak miał dotąd... Po pachy – zreflektował się chłopak. – Za mostkiem mniej, ale też...

– Czekaj! – Ojciec przerwał mu gwałtownie, siadając i spuszcżając nogi z łóżka. Jego stopy natychmiast zaczęły szukać kapci. – Skoro koło muzycznej po pachy, to jak jest na Strzelców Bytomskich?

– Noo... nie wiem. – Grzesiek się zawahał. – Pewnie podobnie, tam taki sam poziom, nie? A co, zadzwonić do pani Natalii?

– Czekaj, sam to zrobię!

Ojciec wstał, zachwiał się i wierzchem dłoni musnął regał, by upewnić się co do kierunku. Ruszył tak energicznie i pewnie, że Grzesiek ledwo uskoczył na bok, by przepuścić go w drzwiach. Po mieszkaniu tata poruszał się sprawnie, aż trudno było się zorientować, że nie widzi.

– Grześ, ścisż telewizor – polecił ojciec. Stał już ze słuchawką przy uchu, palce przebierały sprawnie po przyciskach klawiatury. Natalia jeszcze nie doczekała się przycisku szybkiego wybierania, choć zdaniem chłopca miała spore szanse. Bo ojciec naprawdę sprawiał wrażenie wzburzonego, oddychał płytko, szybko, ręce mu się trzęsły. – Słyszałeś? Ścisż!

– Tak, tato, już. – Grzesiek doskoczył do telewizora, akurat gdy podawali doniesienia z Kłodzka. Na zdjęciach wszędzie była woda. Na ulicach, podjazdach, w domach. Szła pewnie jak po swoje, a im bliżej koryta, tym śmielsza. Na jednym

ujęciu najpierw przewróciła na bok, a potem wciągnęła pod powierzchnię białego malucha. Wypłynął kilka metrów dalej, niczym martwe zwierzę, kołami do góry.

– Kurwa! – Ojciec grzmotnął słuchawką o widełki. – Kurwa mać!

– Pewnie tam też nie ma prądu – stwierdził Grzesiek.

Gdy ojciec odwrócił w jego stronę głowę, wyglądał, jakby patrzył z wyższością ponad synem. Wrażenie pogłębiła jeszcze wysunięta szczęka. Zawsze tak robił, gdy był wściekły. Wysuwał i zadzierał dolną szczękę. Jak Patrick Swayze w *Dirty Dancing*, który oglądali z mamą.

– Kurwa – powtórzył już ciszej. Przejechał ręką po włosach, głośno wciągając i wypuszczając powietrze. – Dobra, szykuj się, idziemy do niej.

– Ale w sensie obaj? Nie lepiej ja sam?

Edward Szczęsny zazgrzytał zębami, zaraz jednak się zmięgował i uśmiechnął krzywo.

– Synek, nie wkurwiał mnie i przestań traktować jak kalekę – powiedział spokojnie. – Nie będę w domu beczynnym siedział, bo lato jest trochę deszczowe. Idź się ubierz i znajdź mi jakieś stare buty.

– Nie gumowce?

– A co, stopy mi się rozpuszczą? W pawlaczu powinny być stare trampki.

– Jasne.

Począł, aż ojciec przejdzie do pokoju, i pognął po drabinkę. Wspiął się na nią szybko, otworzył pawlacz i na chybił trafił wybrał pudło z zimowymi ciuchami mamy. Zawahał się, ale zamiast wstawić z powrotem, rzucił je na dół. W kolejnym pudle znalazł buty.

– Co tam spadło? – zapytał ojciec.

– Nic, tato. Śmieci z pawlacza.

Ojciec milczał przez chwilę.

– Po matce?

– Tak.

– To wywał w pizdu.

Grzesiek uśmiechnął się pod nosem. Takiego ojca kochał najbardziej. Faceta, który klnie i gdy trzeba, działa. Ślepa, kurwa, furia!

Zszedł z drabiny.

– A nie sądzisz, że pani Natalia może coś z tego chcieć? – zapytał i zaraz zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało, więc dodał pospiesznie: – Znaczy do Caritasu, nie że dla siebie.

Ojciec akurat wyszedł z pokoju, wziął się pod boki i pociągnął nosem, po czym zaraz się skrzywił i powachlował ręką przed twarzą.

– Zapamiętaj raz na zawsze, synek. Jeśli nowej kobiecie dajesz rzeczy starej, zasługujesz na powtórkę z rozrywki. Weź to ze sobą, jak będziemy wychodzić. Ciągłe leje, nie? Czy mi już tak w uszach szumi?

– Nie, przestało. To wiatr jest taki mocny.

– No to miejmy nadzieję, że nas nie zwieje i że dostaniemy za tę rycerskość chociaż herbaty. Chodźmy.

DAREK

Pompę przywieźli łódką strażacy – po znajomości, na prośbę kogoś z długiego bloku – ale okazała się zepsuta. To znaczy najpierw nie działała, bo nie miała benzyny, a gdy pan Kubalski spuścił ze swojego baku i dolał, wyszło, że pompa po prostu nie działa. Ludzie zareagowali bardzo ostro, jakby naprawdę wierzyli, że jedna pompa może coś zmienić.

Siedzieli teraz nad poznoszonymi ze wszystkich domów kanapkami rozłożonymi na kuchennej ceracie, każdy ze szklanką z arcorocu – niegdyś hitem, a teraz jedynymi, jakich nie było szkoda. Kanapki z szynką, z serem, swojski chleb, pomidory i jabłka. Do tego termos z herbatą, dwa z kawą. Normalnie, myślał Darek, piknik na zgliszczach. Ale nie narzekał, bo oprócz tego pani Kusza przyniosła dwie blachy ciasta drożdżowego i ustawiła przed chętnymi do pomocy dzieciakami. Darek uznał, że dla drożdżowego z kruszonką może jeszcze chwilę być dzieckiem.

Atmosfera, zważywszy na okoliczności, wydawała się dość miła, choć pompa nie dawała zebrany spokoju.

– Z takim szmelcem to ja się nie dziwię, że gówno mogą zrobić – zauważył pyzaty pan Murczyk, jeden ze szczęśliwców, którym udało się ocalić auto. – Tu powinno teraz wojsko być i pompa na pompie, a nie jedna, do tego zepsuta.

Ktoś mu przytaknął, ktoś rzucił, że akurat w wojsku nie ma na etacie wróżki i jak niby mieli to przewidzieć.

– Każdy widział pogodę w telewizji, a jakoś nikt, kurwa, się nie domyślił – zauważył pan Zimowski, zapalając wysepionego od Kubalskiego papierosa.

– A bo to się było jak domyślić, że Czesi wodę z tam spuszcza? – ciągnął Murczyk. – Było jak?

– Z jakich tam? – wtrącił się najstarszy syn Karolów, sąsiadów z długiego bloku. Miał prawie osiemnastkę, rzadkiego wąsa i głębokie przekonanie, że wszyscy ludzie po czterdziestce to idioci. – Przecież to wszystko z gór idzie. I do niedawna z nieba leciało. Wczoraj w telewizji mówili, że sześćdziesiąt litrów na metr szło!

Nie zrobiło to na nikim specjalnego wrażenia, może dlatego, że nikt nie umiał sobie tego wyobrazić. Jedną tylko pani Kasia z drugiej klatki, spod czwórki, słusznie zauważyła, że jak sześćdziesiąt litrów na metr, to pompa i tak chuja warta.

– Zresztą ja nie wiem, czego żeście chcieli, ale piwnice już zalane, auta też. A taką pompeczką to sobie możecie w szambie pogmerać.

Darek parsknął w zaciśniętą dłoń. Od zawsze uważali panią Kasię za wieśniarę, bo przyjechała tu ze wsi, gdy jej mąż dostał mieszkanie, a i tak wkrótce potem zmarł. Miała zmęczoną twarz, spracowane ręce i ten rodzaj opalenizny, którego raczej nie przywozi się z wakacji w tropikach. Mama nawet powiedziała kiedyś do ojca, że się nie zdziwi, jak zobaczy pod jej oknem kury.

Mimo to kilku mężczyzn zebrało się wokół zepsutej pompy, jeden przyniósł skrzyneczkę z narzędziami i zaczęli coś dumać. Darka kompletnie to nie interesowało, już miał zamiar wbrew zakazowi obejść wreszcie blok i podejść nieco do samej rzeki, wylewającej się na podwórko, gdy nagle zobaczył wyłaniającego się zza długiego bloku Józka.

Kuzyn szedł w samych gatkach i sandałach, a w uniesionych wysoko rękach trzymał dwie półprzezroczyste reklamówki. W jednej z nich na pewno niósł chleb. W drugiej chyba jakieś ciuchy. Gdy dostrzegł Grześka, pomachał tą pierwszą.

– Z pozdrowieniami od dziadków i mamy! – zawołał. – Fajnie tu macie.

– No, w dechę! – odkrzyknął Darek. Poczekał, aż Józek podejdzie, i wziął od niego torbę z chlebem i, jak się okazało, również z masłem, serem i kiełbasą.

– A w drugiej co masz?

– Nic, ciuchy swoje, by w gaciach nie siedzieć. Rozebrałem się na mostku, bo tu obok...

– Tak, wiem, druga rzeka. Chodź na górę. Reszta miasta też zalana?

– Nie, od... Jak to mówicie, Ołówka?

– Ołówka – potwierdził Darek.

– No to tam tylko trochę się przelewa, po ulicy idzie. I ze studzienek wybija. Ale tak to samo błoto. Czekaaj, zdejmę sandały, bo kłapię jak kaczka. Wcześniej podobno było gorzej, tak mówią. Ta druga rzeka już schodzi.

Przystanął na półpiętrze, ręką wsparł się o grzejnik i zdjął sandały.

– A, no i zahaczyłem o rynek, gdy po chleb szedłem. Widziałem, że wojsko jest – przypomniał sobie. – Amfibie mają, podobno będą do was jechać.

Darek skinął głową, udając, że wcale go to nie interesuje. Nigdy nie widział amfibii na żywo.

– To mówisz, że u nas najgorzej?

– Nie no, najgorzej ponoć po drugiej stronie rzeki. Most ten... Czekaj, no, ten duży.

– Andrzeja?

– Właśnie. – Józek energicznie pokiwał głową. – Nieprzejezdny jest zupełnie i w ogóle policja stoi, nawet pieszych nie przepuszcza. Woda górą się przelewa, bo drzewa się zaklinowały na kablach i rurach. Byłem tam rano, to widziałem.

Zrobił przerwę, bo się zasapał.

– No i podobno dramat teraz pod stadionem, tak ludzie mówią – podjął po minucie. – Tam rzeka ziemię wymyła, drogę wyrywa i jak tak dalej pójdzie, za domki się weźmie. Już podobno wyrwa jest. Pół osiedla ponoć stoi, siatki rozkłada, worki rzuca...

– Czekaj, zaraz! – Tuż przed drzwiami Darek odwrócił się gwałtownie i Józek nie zdążył wyhamować. Wpadł na kuzyna.

– O których domach mówisz? Tych na drodze do stadionu? Te domki jednorodzinne?! – pytał Darek gorączkowo.

Józek wzruszył ramionami.

– Mnie pytasz? Przecież ja nie stąd jestem. Ja mówię tylko, co ludzie...

Ale tamten już nie słuchał. Wpadł do domu i rzucił torbę na kuchenny stół.

– Mamo! – zawołał, widząc, że w ubikacji migocze przez szybę płomyk świecy.
– Józek przyszedł, chleb przyniósł i lecimy dalej pomagać!

Józek chciał zaoponować, ale widząc spojrzenie kuzyna, zrezygnował.

– Cześć, ciociu – rzucił tylko i klapiąc bosymi stopami, wybiegł za Darkiem.

GRZESIEK

To było jak stopniowe wkraczanie w zupełnie inny świat. Szli w dół ulicą Karłowicza mokrą jak po solidnej ulewie, ale nic więcej. Bloki i domki wyglądały na nienaruszone, oddzielone od ulicy żywopłotami żyły swoim życiem. Choć dopiero przestało padać, a szare niebo wciąż groziło, że to przejściowe, na balkonach i sznurach już pojawiło się nagromadzone pranie. Jakiś ufny dzieciak zostawił rower pod klatką, pod niewielkim spożywczakiem czekał pies uwiązany do barierki. Z radia wystawionego w otwartym oknie dochodziła składanka letnich przebojów, pasująca jak dotąd do tego lipca niczym Shazza do opery.

Szli w miarę szybko, a o tym, że jeden z nich jest niewidomy, świadczyły tylko przeciwsłoneczne okulary na jego nosie i gest, z jakim trzymał drugiego za ramię, nieco powyżej łokcia. Nie mocno, delikatnie, trzema palcami. Tak swobodnie, niedbale i na luzie kiedyś prowadził auto.

Trzymanie akurat nad łokciem, jak tłumaczył im lekarz ojca, pozwalało na szybkie reagowanie przy zmianie podłoża czy sytuacji. Gdy na przykład Grzesiek wstępował na stopień, ojciec wyczuwając ruch i wysokość, na jaką unosił się syn, też podnosił stopę i opuszczał ją ostrożnie, pewniej z każdym schodkiem. Wciąż jeszcze często, co uważał za osobistą porażkę, podnosił stopę o raz za dużo i trzeba było uważać, by się nie potknął.

Gdy natomiast Grzesiek chował rękę za siebie, ojciec przylegał do niego bokiem albo chował się za syna, nawet nie przerywając rozmowy, tak by mogli swobodnie przejść przez ciasne miejsce lub tłum. Od pewnego czasu mocno pracowali nad tym, by ograniczyć do minimum komendy głosowe.

– I co? – zapytał teraz. – Tak źle, jak mówią? Jest ta powódź? Bo coś nie czuję, byśmy brnęli w wodzie.

Grzesiek już miał powiedzieć, że chyba przesadzają, kiedy na wysokości czeskich torów ujrzał pierwsze, dość chaotycznie ustawione samochody. Najpierw kilka blokujących wjazd do garaży, a potem, zaraz za torami, kilkanaście stojących w błocie na rozmokłym trawniku.

Gdy skończył się nasyp oddzielający drogę od torów, zobaczył też halę sportową i boisko.

– Co? Co się stało? – zapytał Edward Szczęsny, gdy syn nagle się zatrzymał.

– Pod halą jest jezioro – odparł chłopak. – I dalej, za polskimi torami... Tato, tam wszystko jest zalane! Wszystko!

Ojciec powoli, z rozmysłem skinął głową.

– Opisz mi to – polecił. – Woda stoi czy płynie? Jak głęboka? Brudna? Spieniona? Widać, co się dzieje za drugimi torami?

– Raczej stoi – powiedział Grzesiek, ustępując miejsca sunącej w górę kobiecie z wózkiem spacerowym. Kobieta miała nadwagę, czerwoną, spoconą twarz i zdecydowanie zbyt ciekawskie świńskie oczka, którymi lustrowała mężczyznę i chłopca.

Co się gapisz, głupia, tłusta cipo, pomyślał Grzesiek w nagłym przypływie wściekłości. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że ojciec ją wyczuje. Kto wie, może nawet już wyczuł w napięciu mięśni, w przepływie krwi. Podobno niewidomi potrafili robić takie rzeczy. Odetchnął, mając nadzieję, że ojciec weźmie to za reakcję na powódź, ale Edward Szczęsny nie dał się zwieść.

– Co się na nas gapi? – zapytał głośno.

Kobieta natychmiast odwróciła głowę i przyspieszyła kroku.

Grzesiek zachichotał.

– Żebyś ty widział jej minę – powiedział równie głośno. – Jakbyś prosiakowi boczek pokazał.

– Grzesiek! – Ojciec spróbował się oburzyć, ale tylko parsknął. – Ta kobieta ma uczucia!

– Ta, głodu chyba – mruknął chłopak i z satysfakcją zerknął na nią, by się upewnić, że trafiło.

– Opisać miałeś – przypomniał ojciec, dając mu znać, by ruszyli.

Grzesiek opisywał więc wszystko: że sądząc po bramkach, wody mają tam po pas, że jest brudna od ziemi, choć nie spieniona, że wzdłuż ulicy widzi coraz więcej samochodów, stoją już nie tylko na trawniku po jednej stronie, ale też na chodnikach i alejkach małego parku. Zupełnie jak na postapokaliptycznym filmie. Podzielił się i tym spostrzeżeniem, szukając adekwatnego tytułu.

– Może jak w *Człowieku Omedze*? – podrzucił ojciec. – Albo wiem! W *Ucieczce*...

– ...z *Nowego Jorku*, tak! – dokończył z ekscytacją Grzesiek, akurat gdy dochodzili do zakrętu. – Brakuje tylko gangów.

Umilkł, bo wyłoniwszy się zza płotu ogródków działkowych, zobaczył dwa wozy strażackie migające kogutami i strażaków uwijających się ze sprzętem przy korycie Starynki. Wyglądali, jakby próbowali je udrożnić, zlikwidować tamy ze śmieci i gałęzi. Nie spieszyli się, nie było w ich ruchach paniki czy przesadnej nerwowości. Jeden ze strażaków stał nawet w pewnym oddaleniu, palił i rozmawiał ze starszym, niskim mężczyzną o krótko przystrzyżonej brodzie i wysokim czole.

– Ja to już mówiłem, panie kochany, że to się tak kiedyś skończy – perorował facet, celując parasolką w spieniony nurt. – Mówiłem, że pod mostkami trzeba udrożnić, bo te wszystkie rury tam idą, te kable. Tak jak z mostem Andrzeja, kto tam puścił dołem rurę z gazem?! Kto, ja się pytam. Przecież jakby teraz walnęło, mielibyśmy tragedię!

– No tak – prychnął tata cicho. – Bo powódź to co najwyżej komedia.

Strażak słuchał niewzruszony. Palił papierosa, patrzył gdzieś ponad głową konusa i czasem tylko coś mruknął.

– Dużo gapiów? – zapytał ojciec.

– Tak.

Rzeczywiście ludzi było sporo. Siedzieli w oknach, stali na chodnikach i swoim wyglądem sugerowali wyraźnie, że powódź jest ponad wszelkimi modami. Jedni mieli klapki czy sandały, inni gumowce, do tego podkoszulki, pocięte dresy, rzeczy, w których maluje się mieszkanie, ale nigdy nie wychodzi się na ulicę. A tym razem, proszę, nikt się tym nie przejmował, nikt się nie uczesał, żadna kobieta nie nosiła makijażu. Za to wszyscy mieli na sobie kurtki i płaszcze przeciwdeszczowe, głównie te z folii.

– Okno pani Natalii zamknięte, ale... O, czekaj, chyba ją widzę! Chodźmy.

Ruszył, a ojciec w trzech krokach dostosował się do jego chodu. Oczywiście zaraz zwrócili na siebie uwagę części tłumu. Grzesiek natychmiast się spiął, a Edward to wyczuł.

– Uspokój się, synek – powiedział. – Ludzie będą się gapić. Po to mają oczy. Jak mogą na wodę, mogą i na mnie. Chyba że coś mi się stało z ryjem i nic nie mówisz.

Grzesiek odruchowo skinął głową, zaraz jednak się zmitygował.

– Ja to wiem – odparł. – Wkurzają mnie po prostu. Ale nie martw się, nie powiem nic głupiego. O, dzień dobry, proszę pani!

Pani Natalia zajęta akurat rozmową z jakąś kobietą odwróciła się i na widok obu Szczęśnych uśmiechnęła promiennie. W takich momentach zdecydowanie ładniała, choć zdaniem Grześka wciąż niewystarczająco.

– O, proszę, kogo wywiało ze szklanej wieży z okazji święta trzech siódemek! – Zaśmiała się.

– Trzech siódemek? – Tata nie rozumiał.

– No, dzisiejsza data: siódmy, siódmy, dziewięćdziesiąty siódmy – wyjaśniła pani Natalia, chichocząc. – Szczęśliwa liczba przyniosła nam obfitość wody. No ale mniejsza. Edwardzie, pozwól, że ci przedstawię. Jest tu ze mną pani Zofia ode mnie z pracy, moja szefowa. A to mój przyjaciel Edward i jego syn Grzegorz.

– Dzień dobry – powiedział Edward, puszczając ramię Grześka i wyciągając przed siebie rękę. Pani Zofia uścisnęła ją pewnie, krótko i wyglądało na to, że mocno.

– Dzień dobry, bardzo miło mi poznać. – Jej niski, melodyjny głos brzmiał przyjemnie. Według Grześka zupełnie nie pasował do chudej, żylastej kobiety pod sześćdziesiątkę, jednej z tych, które określało się mianem raczej przystojnej niż pięknej.

– Właśnie zbieramy się do biura – powiedziała pani Natalia. – Panowie strażacy obiecali podwieźć nas pontonem, żebyśmy nie musiały brodzić. Wybierzcie się, panowie? Mamy kawę i kuchenkę gazową.

– A co, wyłączyli gaz? – zapytał Edward.

– Chwilowo tak, prąd też. Ale nam to niestraszne. – Mrugnęła do Grześka. – To co? Kawa, ciastko? Miejmy nadzieję, że zdążymy dopić, zanim wszystko zacznie się na dobre.

– Co się zacznie? – zdziwił się Grzesiek. – Przecież powódź już jest.

– Och, Caritas został poproszony o wsparcie pielęgniarek środowiskowych przy pacjentach domowych – wyjaśniła Natalia. Mówiła do niego jak do dorosłego, zawsze to zresztą robiła, co bardzo mu schlebiało. – Będzie to o tyle trudne, że nasze samochody stoją teraz w garażu na zalanym parkingu. Miejmy nadzieję, że woda tam się nie dostała.

– Nie ma co zużywać nadziei na przypadki jak ten. Z samochodów to my raczej nie skorzystamy – wtrąciła się pani Zofia surowym głosem, choć zaraz doprawiła go półuśmiechem, jakby chciała w ten sposób podkreślić, że to był żart. – Ale kawa to rzeczywiście dobry pomysł. Wcześniej wstałam, a tu zapowiada się naprawdę długi dzień.

– Panią też zalało? W ogóle, jeśli można, daleko stąd pani mieszka? – zapytał Edward, a Grzesiek nie dość dobrze stłumił parsknięcie, gdy kobieta obróciła się, by pokazać.

Ta, w pierwszej chwili zaskoczona jego reakcją, zaraz się zreflektowała i zakłopotana opuściła rękę.

– Ach, no tak. Przepraszam, pokazać chciałam.

– Och, proszę się nie przejmować – odparł Edward. – Nie widzę w tym nic złego.

Żart, choć zgrany, w mig rozwiął niezręczność. Tata tak potrafi, pomyślał Grzesiek. Taki już jest.

– Tato, skoro idziesz na kawę, mogę zobaczyć, co u Darka? – zapytał. – On na Papierniczej mieszka.

– To przy samej rzece, nie? – powiedział Edward. – Da się tam w ogóle dojść?

– Dać się da, ale nie suchą nogą – wyjaśniła Natalia, by zaraz dodać: – Jeśli martwicie się, panowie, nawzajem o swoje bezpieczeństwo, to powiem tak: Edwardzie, będziesz z nami bezpieczny, a twój syn... Cóż, nie sądzę, by był bardziej zagrożony niż któregokolwiek innego wakacyjnego dnia. No nie, młody?

– Ba! – odparł zadowolony chłopak. – To lecę, tato. Mam przyjść do Caritasu czy...

– Będziemy w domu na obiad – odpowiedziała za Edwarda Natalia, co zabrzmiało jakoś tak dziwnie. Prawie rodzinnie. Musiała to poczuć, bo się zaczerwieniła i spuściła wzrok.

– Klucze masz? – Upewnił się Edward.

– Ja mam, ty nie masz. Ale pani Natalia pewnie...

– Tak, mam. Nic się nie martw, Grzesiu, zadbamy tu o siebie.

Wyszczrzył się.

– Dobra – rzucił. – To lecę.

Tłum gapiów rozstał się przed nim i zamknął zaraz za jego plecami. Rozległ się ryk. To strażacy odpalili piły spalinowe.

DAREK

Zdaniem Józka nie było sensu pchać się na most Andrzeja, bo nie daliby im przejść, więc zaproponował ten huśtany albo stojący obok kolejowego i dalej po czeskich torach, za papiernią, a potem w zależności od poziomu wody osiedlem Konstytucji lub koło Krówek.

– O, ktoś tu, widzę, raz się przespacerował z Kacprem w deszczu i już doskonale poznał miasto – zadrwił Darek, ale pomysł przyjął.

Nie miał za to zamiaru wzorem kuzyna rozbierać się do majtek i nosić rzeczy w reklamówce, dlatego zamiast brnąć przez wodę, drogę do głównej ulicy pokonali nieco śliskim kamiennym murkiem oddzielającym podwórko od terenu żłobka, potem wspięli się na płot żłobka i szli nim tak długo, aż się skończył.

Jana Pawła wciąż płynęła rzeka, ale już mniejsza. Zasilana wcześniej deszczem i wodą idącą z gór, traciła na impecie z każdą chwilą. Dwieście metrów dalej, na wysokości kortów tenisowych i dworca Głuchołazy-Zdrój, Józek, który zamiast skakać po płotach, brnął wodą pod prąd, miał jej mniej więcej po pas.

– Wyglądasz jak debil z tą reklamówką nad głową – zauważył w pewnym momencie Darek.

– Bo ty wyglądasz megamądrze, Tarzanie, pogromco płotów. W Wietnamie żołnierze tak nosili broń! Zobacz sobie *Pluton*.

– Ale że co, w reklamówkach?

– Bardzo śmieszne. Nosili nad głowami, z kondomami naciągniętymi na lufę. – Józek, widząc, że może popisać się zdobytą wiedzą, wykorzystał okazję. – Dostawali prezerwatywy wraz z wyposażeniem i naciągali je na lufy.

– Żeby strzelać bezpieczniej?

– Hej, wiesz, że dokładnie o to samo zapytał mój tata, gdy mu o tym powiedziałem? – Józek zarechotał.

– W ogóle czujesz to? Kule z hifem – ciągnął temat Darek. – Postrzelisz jednego, potem ten idzie do burdelu i wszystkich żółtków by rozwalili w minutę osiem!

– Z tego, co czytałem, akurat za pomocą burdeli załatwiliby więcej swoich.

Darek roześmiał się i przyspieszył, docierając do przewieszanej przez ogrodzenie wierzby.

– Mówisz Tarzan? – zapytał, łapiąc za gruby pęk. – No to patrz!

Cofnął się, wziął rozbieg i spróbował odbić się od płotu, by przelecieć nad zalaną ulicą, ale zamiast tego zachwiał się, potknął i wpadł do wody po pachy. Mężczyzna w oknie naprzeciwko zaśmiał się i zaklaskał.

Józek ze śmiechu mało się nie posmarkał.

– No stary, byłbyś najlepszym Tarzanem. Gdyby ten był dałnem.

– Wal się – mruknął Darek.

Podniósł się, spojrzął spod byka na klaszczącego, upewniając się, że go nie zna i może bezkarnie pokazać mu faka, po czym wlaź na płot, by sprawdzić, czy nie rozciął kolana. Kiedy okazało się, że nie, bez dalszych ceregieli wskoczył do wody.

Uszli może z dziesięć metrów, gdy zdali sobie sprawę, że dotąd dochodzący z oddali jednostajny dźwięk silnika narasta. Zaraz też do ich uszu dotarły wykrzykiwane na przemian ich własne imiona. Odwrócili się i zobaczyli Grześka, który wskazywał na coś za sobą. Coś, co pewnie było jeszcze za zakrętem.

– Motorówka? – zdziwił się Darek. Nim jednak Józek zdążył odpowiedzieć, zza łuku wyłoniła się wojskowa amfibia. W kolorze bagna, z żołnierzem wychylonym przez otwór na dachu i kilkoma siedzącymi na górze, jechała, rozbryzgując na boki wodę. Niezbyt szybko, ale dość, by wkrótce się z nimi zrównać. Większość żołnierzy udawała, że nie widzi ich rozbawionych salutów. Tylko jeden, pyzaty taki, odpowiedział podobnym gestem.

– Fajna, nie? – zapytał Grzesiek, gdy ich po chwili dogonił. – Widziałem, jak wjechali do wody i się zatrzymali, jakby to bydlę musiało się najpierw przyzwyczać.

– Może żołnierze przed chwilą jedli? – zasugerował Józek. – Zaraz po jedzeniu do wody nie wolno.

– Dobrze – parsknął Darek. – To ci się udało!

– Ej, a zauważyliście, że ona jakoś tak dziwnie jedzie? Jakby bokiem trochę?

Wszyscy trzej spojrzeli w stronę amfibii, akurat gdy ta dojechała do Amorka, gdzie się zatrzymała. Żołnierze zeskoczyli z wozu, weszli w wodę i zniknęli w leśnej alejce wiodącej do basenu.

Darek splunął i przeniósł wzrok na Grześka.

– Co tu robisz?

– A do ciebie szedłem właśnie – odparł tamten. – Ojca do pani Natalii zaprowadziłem, bo się zmartwił, że coś jej się stało. Z telewizji dowiedzieliśmy się o powodzi. Gdzie idziecie?

– Z telewizji? – zdziwił się Darek. – Macie prąd?

– No mówiłem ci, że u dziadków też jest – powiedział Józek. – Tylko tu nie ma i po drugiej stronie rzeki.

– Na Zabiałczu.

– Co? Co to, kuźwa, jest Zabiałcze?

– No Zabiałcze – wyjaśnił Grzesiek. – Opole ma Zaodrze, to my mamy Zabiałcze.

– Ty to jednak debil jesteś.

Ruszyli, brodząc w wodzie.

– A wy to w sumie gdzie idziecie?

– Koło stadionu ponoć rzeka drogę rozwala. I jakieś domy – wyjaśnił Józek. Szedł nieco z przodu, więc nie widział w tym momencie miny kuzyna. Usłyszał tylko ciche syknięcie. – Darek powiedział, że idziemy pomóc, to idziemy.

– Hmmmm, koło stadionu powiadasz. – Grzesiek się zamyślił. – I niby tak zupełnie przypadkowe domy rozwala?

– Zamknij się – warknął Darek. – Nie masz swoich spraw?

– Ej, ale ja to chyba nie w temacie jestem. – Józek odwrócił się i przez moment szedł tyłem. – O co chodzi?

– O ten tramwaj, co nie chodzi. Się nie interesuj! – burknął Darek. A gdy Grzesiek już otwierał usta, dodał groźnym tonem: – Pokłócimy się, ale tak w chuj.

Grzesiek prychnął cicho, jednak nie brnął dalej.

– No dobra, luz. To dlaczego idziecie tędy? – powtórzył. – Czemu nie mostem Andrzeja?

– Bo zamknięty, nie przepuszczają ludzi – wyjaśnił Józek.

– A saperski?

Darek klepnął się w czoło.

– Faktycznie, tamtędy byłoby szybciej!

Ale i tu Józek pokręcił głową.

– Mówicie o tym drewnianym koło fabryki Niemca? Zerwany.

– Pierdolisz!

– Wymyło mu filary, potem poszła konstrukcja. Ludzie tak mówią. Jezu, jak to jest, że ja o wszystkim w waszym mieście wiem więcej niż wy?

– Zazwyczaj nie mamy powodzi – skwitował Grzesiek.

Minęli amfibię, przystając przy niej na chwilę. Grzesiek chciał się wspiąć, jednak Darek zaprotestował.

– Nie ma czasu – stwierdził.

– No tak. – Grzesiek uśmiechnął się kpiąco. – No tak.

Skreśli obok podjazdu na Chrobrego, spływającego teraz wodą, w alejkę wiodącą w stronę mostu huśtanego. Tam wody było niewiele, po kostki może, ale całkowicie rozmokły grunt pod płytami chodnikowymi sprawił, że spacer stał się prawdziwym testem równowagi.

– Jehowa pisze się przez I – mruknął Józek, przeskakując z jednego stabilnego kwadratu na drugi.

Idący za nim Grzesiek aż klasnął z radości, wyłapując nawiązanie.

– *Indiana Jones i ostatnia krucjata!* – zawołał. – Zajebisty film!

Kilka metrów dalej czekała ich kolejna trudność, tym razem większa. O most huśtany zaczepiło się akurat drzewo i nie dość, że szarpało konstrukcją, naciągi trzeszczały i skrzypiały z wysiłku, to jeszcze gałęzie blokowały przejście. Z kolei niemal tuż za wiaduktem czeskich torów alejka z urokliwej ścieżki zmieniła się w wypłukiwaną przez wodę wyrwę. Przynajmniej dwa drzewa, już pochylone, z odsłoniętymi korzeniami, cierpliwie czekały na moment, gdy się przechyła, runą w wodę i dadzą się ponieść nurtowi.

– To może górą jednak, co? – Józek wskazał na stojący tuż obok most kolejowy, dużo masywniejszy, umieszczony ze trzy metry wyżej od huśtanego.

Grzesiek wzruszył ramionami.

– Tam jest trochę niestabilnie, są duże dziury, bo blachę spomiędzy podkładów rozkradli, ale jak dla mnie możemy iść. Po torach...

– O, proszę, proszę. Kogo tu przywiało – odezwał się nagle ktoś z góry. Darek po samym głosie rozpoznał kto. Napiął mięśnie.

Trzy metry wyżej, po prawej, do tej pory skryty za wysokim, zarośniętym płotem okalającym placówkę czeskiego dróżnika, stał Wiktor Kęski.

Wyglądał teraz jeszcze dojrzalej i groźniej niż w kościele, co Darek niechętnie przyznał. Miał ubłocone glany, obcisłe džinsy z podwiniętymi nogawkami i tiszert z resztkami zaprasowanki Metaliki i wywiniętymi rękawkami. Za jednym z nich trzymał wsuniętą paczkę marlboro. Jeden papieros tkwił mu w ustach, przyklejony do dolnej wargi. Kęski stał wyprostowany, na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi wsuniętymi w ciasne kieszenie.

Gdyby teraz się osunął i poleciał na ryj, pomyślał Darek, nie dałby rady ich wyjąć. Zwyczajnie by nie zdążył.

Zza Kęskiego wyłoniło się trzech jego kolegów: Gorbaczow, Cygan – śniady, z kręconymi czarnymi włosami i cienką kreską rzadkiego wąsa – oraz wyraźnie od nich starszy koleś, który przypominał trochę baryłkę albo pana Jajko z *Alicji po drugiej stronie lustra*, ulubionej książeczki Wisi. Jak mu było? Humprey jakiś tam. O, Dumpty. Wyglądał na pijanego, kiedy tak ścisnął oburącz szyjkę komandosa. Zresztą Gorbaczow i Cygan też mieli w czubie.

– To ty byłeś wczoraj w kościele, nie? – zapytał Kęski.

Darek hardo zadarł głowę.

– Ja, a co?

– A nic. – Licealista wzruszył ramionami. – Trochę zabawne, bo właśnie mówiliśmy z Gorbaczowem o tobie. Że nas wczoraj od gnoju wyratowałeś przed naziołem Godfrydem. No to masz. Cygan, ten typek – nie bez trudu wyjął dłoń z kieszeni, by wskazać na Darka – krzyknął wczoraj, że ksiądz idzie.

Cygan coś burknął, Wiktor natomiast postąpił krok do przodu i złapał się metalowej siatki okalającej chatkę dróżnika.

– Jak chcecie przejść na drugą stronę, to tędy – powiedział, wyciągając drugą rękę. – No chodźcie, pomogę wam.

– Obejdzie się – mruknął Darek, ale za cicho i za wolno.

Stojący najbliżej Grzesiek już złapał dłoń Kęskiego i dał się wciągnąć. Następny był Józek, który trochę się pośliznął, więc w pewnym momencie uwiesił się ręką

licealisty. Wiktor spiął się, naprężył ramiona, ale wytrzymał i podciągnął go nieco, by ten znalazł oparcie dla nóg.

– Dzięki – powiedział Józek, gdy już wspiął się na nasyp.

Kęski puścił do niego oko.

– Siłkę mi zalało, w piwnicy miałem – stwierdził, chuchając słodką mieszaniną wina i fajek. – No, krzykaczu, teraz ty.

Darek zawahał się. Nie miał najmniejszej ochoty korzystać z pomocy kogoś, kto jeszcze wczoraj chciał go bić, a teraz nagle zrobił się taki przyjacielski. Tylko co miał zrobić? Ryzykować przejście huśtanym? Ruszyć na tory naokoło, narażając się na pośmiewisko?

Kęski dobrze wyczytał jego intencje, bo się uśmiechnął.

– Sorry, że tak do ciebie wczoraj skoczyłem – powiedział. – Głupio, ale tak już mam. Kościół mnie wkurwia i sam z siebie bym nie poszedł, gdyby się Laura nie uparła. Przegiąłem. To jak? Sztama?

Darek spojrział na niego z pogardą. Następnie przyjrzał się podejściu i zaczął samodzielnie wspinać się po błotnistym nasypie.

Kęski zrobił krok w tył.

– Nie to nie, stary. Prosić i dawać to za dużo. Męcz się – mruknął. Usiadł przy kolegach, sięgając po butelkę, i wyglądało, jakby z miejsca stracił zainteresowanie.

Darkowi udało się dotrzeć ledwie do połowy i już się osuwał, gdy pomógł mu Grzesiek, ustawiając się jak wcześniej Kęski. Nie miał oczywiście siły licealisty, jednak dali radę, choć obaj umazali się błotem.

Matka mnie zajebie, pomyślał, ale dotarło do niego, że teraz wszędzie jest woda i zdąży się opłukać. Podszedł do krawędzi mostu, popatrzył w dół i przed siebie.

– No okej – mruknął. – Łatwe to nie będzie.

Grzesiek i Józek stanęli obok niego.

Przed nimi ciągnęło się torowisko z dwiema szynami zamocowanymi na regularnie rozstawionych podkładach, tyle że pomiędzy drewnianymi belkami nic nie było. Tu i tam połyskiwał tylko kawałek blachy czy metalowej płyty, której złodziejom nie udało się jeszcze wymontować. Zostało ich naprawdę mało i nie wyglądały, jakby dały radę utrzymać ciężar nastolatka.

Mieli więc do wyboru albo spacer szyną z rozstawionymi rękami jak linoskoczek, albo skakanie po śliskich podkładach. Trzecia opcja, przemarsz obok torów po belce wąskiej na szerokość może czterdziestu centymetrów i zabezpieczonej barierką, w normalnych warunkach prezentowała się nieźle, ale nie wtedy, gdy tuż pod nogami rwała wściekła, obalająca drzewa rzeka, a wszystko było mokre po deszczu.

Jednak Darek nie mógł się już cofnąć. Nie, gdy patrzył na niego Wiktor Kęski, pan idealny, który na dodatek nie okazał się aż takim dupkiem.

– Pieprzyć to. Idę – powiedział, decydując się na drogę bokiem. Złapał barierkę i zaraz puścił, bo ta zadrzała, jakby miała odpaść. Powoli, małymi krokami ruszył przed siebie. W jednej trzeciej mostu, wykorzystując niewielką metalową platformę, przystanął i zobaczył, jak idzie reszcie.

Grzesiek znajdował się trzy podkłady od niego. Wybrał opcję z szyną, ale chyba bardzo tego żałował, bo teraz trzęsły mu się ręce i nogi. Przystawał raz po raz i oddychał głęboko. Zamykający pochód Józek poszedł w ślad za Darkiem. Stąpał pewnie, dłonią muskając barierkę.

– Już wiem, skąd znam tego małego! – rozległ się nagle pełen ekscytacji głos Cygana. – Przecież to ten typ, co ze starym pod rękę chodzi. Ty, młody! – zawołał. – Twój stary to ślepy jest, nie? Czy tak se pedałowacie?

W Grześka jakby piorun strzelił. Akurat stał na podkładzie, więc teraz odwrócił się powoli, zgrzytając zębami tak, że dotarło to aż do Darka.

– Daj spokój – powiedział cicho Józek. – Nie ma sensu. Najebany jest.

Darek też tak uważał, jednak się nie odezwał, bo wiedział, że przemawianie do rozsądku Grześka akurat w tej sprawie ma sens niewiele większy. Poza tym jakaś jego część chciała wiedzieć, co się teraz stanie.

– Ślepa to była twoja stara, jak Cyganom dupy dała! – krzyknął Grzesiek, odwracając się do chłopaka i biorąc pod boki. – Ja przynajmniej wiem, kto jest moim ojcem. A ty się, cwelu, ciesz, że nie szczekasz.

Darek zadrzał, czując, że serce znowu zaczęło mu przyspieszać. Stanął szerzej na trzęsących się nogach.

– Ale ci dosrał! – zawołał Gorbaczow. – Jebaniutki!

– Coś ty, kurwa, powiedział?! – Cygan nagle otrzeźwiał i zerwał się z miejsca. – Coś ty, chuju mały, powiedział?! –

Wiktor również się podniósł, tyle że jemu nie było do śmiechu.

– Trochę cię poniosło, gnojku – powiedział groźnym, stanowczym głosem. – Teraz tu ładnie wrócisz i przeprosisz, bo zadał ci zwyczajne, kurwa, pytanie.

– I odpowiedziałem jebanemu Cyganowi. A ty się nie wtrącaj, bo z tobą nie gadam – odparł Grzesiek.

Mały, zacietrzewiony kutasik, pomyślał Darek z mieszaniną podziwu i strachu. Piegowaty świr z dłońmi tak zaciśniętymi w pięści, jakby już nigdy nie zamierzał ich rozprostować. Jakby już zawsze miały być narzędziami do mszczenia się za zniewagi ojca.

Patrzył teraz na plecy kolegi, na Cygana, który z pewnością pijaka wszedł na pierwszy z zawieszonych w powietrzu podkładów, i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Wiedział, że jeśli będzie tak stał, wszystko skończy się nieszczęściem. Jak na kogoś, kto jeszcze przed momentem wyglądał na kompletnie zalanego, Cygan poruszał się pewnie. Bez cienia strachu sadził susy po drewnianych belkach i był coraz bliżej Grześka. Już w zasadzie zrównał się z Józkiem.

– Wiktor, powstrzymaj go! To nieporozumienie! – Darek poczuł, jak łamie mu się głos. Z miejsca znienawidził się za tę słabość, za to, że jedyne, co mu w tej sytuacji przyszło do głowy, to odwołać się do wyższej instancji, czyli Wiktora. Jeszcze bardziej jednak nienawidził durnego uporu Grześka, który go do tego zmusił. Spojrzał w dół, na brudną rozpędzoną rzekę, chlaszczącą falami brzegi, napierającą drzewem na huśtany mostek. – Cygan, daj spokój, przecież on nie chciał. On tak ma, kiedy ktoś mu ojca...

– Stul ryj, bo będziesz następny! – warknął Cygan. Zrobił kolejny krok, a wtedy Józek złapał go za ramię.

– Ej, przest... – Nie skończył, bo tamten skreślił się, szarpnął i pchnął Józka, uderzając go otwartą ręką w pierś. Trafiony, zachwiał się i poleciał na barierkę.

Darek krzyknął, gdy ta ugięła się i zatrzeszczała na nitach łączeń. Zresztą wcale nie musiała pękać czy się łamać, bo Józek mało przez nią nie przeleciał. Przytrzymał się jednak i kiedy złapał równowagę, odsunął się, ciężko dysząc. Darek odruchowo spojrział w dół, gdzie przepływała właśnie ławica szklanych słoików.

– Pojebało cię?! – zawołał Józek. – Do reszty ci odjebało? Mogłeś mnie zabić!

Cygan chyba też to sobie uświadomił, bo otworzył usta, by coś powiedzieć, ale właśnie wtedy skoczył ku niemu wściekły Grzesiek. Później, gdy Darek o tym myślał, nie miał pojęcia, w jaki sposób ten knypek dał radę tak sprawnie pokonać odcinek dzielący go od starszego chłopaka, jednocześnie drąc się i napieprzając łapami. Cała ta jego wściekłość i gniew w połączeniu z nagłą dekoncentracją Cygana sprawiły, że ten zamiast naprzec albo chociaż postawić się dużo mniejszemu przeciwnikowi, odruchowo cofnął nogę poza podkład. Rozpaczliwie tnąc rękami powietrze, poleciał na plecy, wpadając tyłkiem w dziurę pomiędzy belkami. Krzyknął coś i ten krzyk uwiązł mu w gardle, urwał się, a Cygan zwiotczał i zgiąwszy się jak scyzoryk, osunął się głębiej.

Dla Darka czas jakby zwolnił. Widział, jak przerażony Wiktor rzuca się po podkładach, chcąc ratować kolegę, Gorbaczow zamiera w bezruchu, a Józek przyklęka, bezskutecznie próbując złapać Cygana za ramię.

Widział też Grześka, który opuścił ręce wzdłuż ciała, ale nie jak ktoś, kto zamiera w szoku, tylko wycofuje się, wykonawszy powierzone mu zadanie. Był blisko, równie blisko co Józek i zdecydowanie bliżej niż Wiktor czy Darek, jednak zamiast pomóc, tylko patrzył.

W końcu Cyganowi udało się zaprzeć mocniej na łokciach, wydzwignąć dupę i przetoczyć się na bok. Dosunął się do barierki i mocno do niej przywarł. Dysząc ciężko, wpatrywał się w wodę.

Darek patrzył, jak doskakuje do niego Wiktor i pyta, czy nic się nie stało. Józek zrobił mu miejsce, cofnął się ostrożnie i obejrzał na kolegów.

– Idziemy – postanowił Grzesiek. Obrócił się i ruszył po podkładach. Jakby nagle zupełnie przestał się bać i nic już nie było mu straszne. Minął Darka, a ten podążył za nim. Józek bez ociągania pospieszył za nimi. Rzeka na dole pienila się i kotłowała chyba nawet bardziej niż wcześniej, jakby wściekła, że nie dostała swojej ofiary.

– Zajebię cię, synu ślepek! – krzyknął nagle Cygan wysokim, szczeniackim głosem, pasującym do licealisty. – Zajebię cię, słyszysz?!

Grzesiek nie odezwał się ani nie spojrzął za siebie. Darek pewien, że starsi chłopcy zaraz za nimi ruszą, wciąż nie mógł się zdecydować, czy bardziej jest na niego wściekły, czy go podziwia. Trząśł się cały, nie wiedział, czy z zimna, ze strachu czy napięcia.

Szli dalej nasypem, aż dotarli do kolejnego wiaduktu, tym razem jednak dużo krótszego, masywniejszego i rozciągniętego nisko nad zalaną ulicą.

– Patrz, Darek. To Mietek, nie? – Józek pokazał w lewo, gdzie z bramy kamienicy wyszedł właśnie duży, rozebrany do pasa mężczyzna i brodząc po pępek, wynosił na zewnątrz przemoczone meble. – Pomożemy mu?

– Pieprzyć Mietka – warknął Darek. – Wszystko pieprzyć!

KACPER

Kacper siedział w dyżurce pielęgniarek głuchołaskiego szpitala MSWiA i bezmyślnie gapił się w telewizor, żałując, że nie zabrał ze sobą książki.

Akurat pokazywali wydarzenia w Kłodzku. Te same ujęcia przelewającej się wody, zalanych ulic, przeplatane raz po raz wypowiedziami a to strażaków, a to kogoś ze sztabu kryzysowego. Potem materiał o sytuacji na wsiach, wreszcie Głuchołazy: most Andrzeja. Reporterzy sfilmowali najpierw kilka ujęć spiętrzonej wody, a następnie tłum ludzi z wiadrami, torbami zakupów, wymemłanych, niedospanych i zdumionych tym, co się dzieje.

– Coś takiego, pani, to pierwszy raz – mówił do kamery nalany typ z nosem jak pomarszczony ziemniak i wytrzeszczem oczu. – Ja na parterze mieszkam, niska zabudowa, o tu, na Opolskiej. To wody mam teraz w domu potąd.

To powiedziawszy, przyłożył rękę do klamry przechodzonego paska. Kacper zauważył, że w tle, na murku, trzech typków o podobnej prezencji miało z kolegi i wywiadu niezły ubaw.

Następnie kamera znalazła się po drugiej stronie rzeki i reporter przeprowadził krótką rozmowę z policjantem pilnującym taśmy zagradzającej most. Ten sam policjant, który dwie godziny wcześniej nie chciał przepuścić jego i mamy, wciąż miał na sobie jasnoniebieskie foliowe ponczo. Musiał w międzyczasie zdejmować czapkę i zakładać ją w pośpiechu, bo teraz wystawała spod niej przyklejona do pobrużdżonego czoła grzywka. W lewym oku, przymrużonym jak u porucznika Colombo, czerwone, pęknięte naczynko rozlało się na podobieństwo wirusa Ebola. Kacper zauważył to już wtedy, gdy tam stali, ale nie mógł sobie przypomnieć, z czym kojarzy mu się ten charakterystyczny kształt przypominający klucz. Dopiero tutaj, nad herbatą i ciastkami z cukrem, przypomniał sobie, jak w zeszłym roku mama pomyliła się w wypożyczalni i zamiast filmu *Epidemia* z Dustinem Hoffmanem przyniosła tańszą podróbkę o tym samym tytule, właśnie o tej afrykańskiej chorobie.

Pucułowate policzki policjanta porastał rzadki, sztywny zarost, ciemny z przebłyskami rudego i siwizny.

– Przejście zostało zamknięte ze względu na zagrożenie wybuchem gazu – powiedział z ekranu jednym tchem, niczym dziecko na szkolnej akademii. Te same słowa, które przed kilkoma godzinami powtarzał mamie, głuchy na jej argumenty, że się spóźni do pracy.



– Bardzo mi przykro, ale przejścia nie ma. – Policjant mówił powoli, nieumiejętnie kryjąc zniecierpliwienie. Był boleśnie świadom, że choć powiedział to już kilkudziesięciu osobom przed mamą, będzie zmuszony powtórzyć kolejnej setce stojących za nią. – Pod mostem idą rury gazowe i w każdej chwili grozi wybuchem.

– I mówi pan, że ten nastąpi akurat w ciągu tych trzydziestu sekund, kiedy moja córka będzie przechodziła przez most? – zapytał go dziadek.

– Proszę pana, nie wiem, czy i kiedy wybuchnie. Mam nadzieję, że wcale. Ale ja swojego sumienia obciążać nie będę.

Obejrzał się, szukając pomocy u kolegów stojących za taśmami, na środku grożącego rzekomo wybuchem mostu. Rozmawiali z mężczyzną w dżinsach, gumowcach i ciemnoniebieskiej kurtce przeciwdeszczowej. Kacper potrzebował chwili, by zorientować się, że to ojciec Darka.

– Ale tu niektórzy pracę mają! – krzyknął zza pleców mamy chudy facet z płaskim nosem, przypominający strach na wróble. – To pan na sumienie weźmiesz? Jak mnie z roboty wyjebią?!

Ktoś podchwycił te słowa i zaraz podniósł się gwar. Policjanci przeprosili tatę Darka i podbiegli, by pomóc. Pan Krzysztof z kolei wrócił do swoich monterów z telekomunikacji czekających po drugiej stronie przy wozie i zaczął im wydawać polecenia.

– No dajcie ludziom do pracy dojść, do sklepów! – krzyknęła krępa kobiecina w znoszonym dresie.

– Przecież widać, że już spokojniej – zawtórował jej ktoś radiowo niskim głosem. – Można by partiami przepuszczać.

– Szanowni państwo, nie wolno, to nie wolno. – Starszy policjant z kocią bródką, wyglądający na przełożonego pozostałych, wyciągnął ręce w uspokajającym

geście. – Jeśli komuś pilno, może autem górą i przez Gierałcice. Tam drogi są jeszcze przejezdne.

– Jakim autem, panie?! Pan nie widzisz, co się z autami stało?

– I jakie, kurwa, Gierałcice? – oburzył się dziadek z czerwonym nosem. – Toć to ze dwadzieścia kilometrów będzie, by do rynku dojechać, jak tu z trzysta metrów!

Gwar narastał, policjanci i mieszkańcy miasta reagowali na siebie coraz bardziej nerwowo. Jakby w kontrze dziadek obserwował to czujnie, ale spokojnie, mrużąc oczy. W końcu podszedł do policjanta, z którym rozmawiali jako pierwszym, odciągnął go na bok i omawiał z nim coś cicho, choć stanowczo, pokazując raz po raz na mamę. Po chwili przywołali policjanta z bródką, po czym Kacper z mamą i dziadkiem przeszli pod taśmą ku wyraźnemu niezadowoleniu wzburzonego tłumu.

Chłopak był pod wrażeniem.

– Co mu powiedziałaś? – zapytał, gdy już znaleźli się po drugiej stronie.

Dziadek uśmiechnął się pod wąsem.

– Prawdę. Że twoja mama pracuje w szpitalu MSWiA, zaraz ma dyżur i jeśli nie chcą doczekać się wezwania na dywanik do jednego naprawdę wkurzonego pacjenta czekającego na zabieg, to mają nas natychmiast przepuścić.

Mama w komiczny sposób zasłoniła usta rękami, wydając z siebie dźwięk przypominający coś pomiędzy przestraszonym śmiechem i zdumionym „och”.

– Tato, na litość boską, jaki dyżur? Przecież ja tam sekretarką jestem.

– I nawet sobie nie wyobrażasz, jakich głupot może narobić człowiek bez dobrze zrobionej kawy. A już zwłaszcza dyrektor szpitala. – Zaśmiał się dziadek i mrugnął do Kacpra.

– A o jakim pacjencie mówiłeś? – zapytał chłopak.

– A bo ja wiem, kto tam teraz leży? – Starszy mężczyzna wzruszył ramionami. – Nowe czasy niby, ale stare metody działają jak ta lala. A teraz może zadzwonisz z budki, żeby ci karetkę przysłali, co?

– Karetki to nie taksówki – oburzyła się mama. – Poza tym spokojnie, przejdziemy się.

Dziadek chciał coś powiedzieć, ostatecznie jednak machnął tylko ręką.

– Dobra, to tu się na razie rozstaniemy – powiedział, gdy doszli do skrzyżowania z wyłączonymi światłami. – Mam sprawy na mieście, ale widzimy się później.

Jakby co, podejść do was na górę. Wziąłem sobie klucze z szafki, zapasowy komplet. Ach, i córuniu, poratujesz ojca dwudziestoma złotymi? Bo chyba portfela nie wziąłem.



– To co, Kacper, jeszcze herbaty? A może już kawę pijasz, co? Dawno cię tu nie widziałam. – Pani Grażynka, przełożona pielęgniarek, była kobietą po pięćdziesiątce i sześciu porodach. Zwalista, pozbawiona talii, z dość okazałym biustem, mocno opiętym służbowym mundurkiem, miała sympatyczną, pucułowatą twarz, jak postać z kreskówki. Jeśli dodać do tego jeszcze nadmierną skłonność do intensywnie czerwonej szminki i charakterystyczną blond grzywkę, przypominającą trochę przyłbicę hełmu samuraja albo fryzurę Krystle z *Dynastii*, całość układała się Kacprowi w głowie w obrazek pani Szafy z disnejowskiej *Pięknej i Bestii*. Teraz do ciastek z cukrem doniosła świeżej szarlotki i nieco zmaltretowanego transportem ciasta z kremem, pozostałości po obchodzonych dzień wcześniej urodzinach.

– Herbaty poproszę – powiedział Kacper. – Jest już? W szpitalu w sensie?

– Nie, na razie nad miastem lata. – Pani Grażynka machnęła ręką. – Kampanię sobie robi, ot co. Że niby z ludźmi jest. Pół szpitala na baczność postawili, bo pan premier ze swoją świętą łaskawie na kawę przyjdzie.

Urwała i wyjrzała przez drzwi, czy nikt się nie szwenda po korytarzu.

– Po mojemu, Kacperku, to oni wszyscy po jednych pieniądzach – stwierdziła. – Nie takich tu w szpitalu widziałam, nie taki, za przeproszeniem, srał pod siebie, w kaczkę robił i po rękach chciał całować za przeciwbólwe. No weź ciasta trochę, tu masz talerzyk.

Podziękował i od razu nałożył dwa kawałki. Pani Grażynka zalała dwie herbaty w cienkich szklankach z plastikowymi koszyczkami, po czym opadła na fotel z ciężkim sapnięciem. Kacper już wcześniej zauważył, że bez względu na to, czy był trudny dzień, czy też – jak dziś – niewiele się działo, wzdychała równie ciężko. W szpitalu od rana dużo więcej pracy niż pielęgniarki i personel medyczny mieli technicy sprawdzający wszelkie instalacje na wypadek braku prądu czy gazu.

– Mocno was zalało? – zapytała. – Wy to chyba wysoko mieszkanie?

– Wysoko to nie – odparł chłopiec z pełnymi ustami. – Ale raczej nas nie zaleje. Piwnicę tylko.

– Chociaż tyle dobrze. – Pani Grażynka pokiwała głową, sięgając po ciasto. – Ja to się do córki próbowałam dodzwonić, ale po drugiej stronie rzeki chyba telefony odcięli. Po naszej bez problemu, a tam bez sygnału.

– Tak, odcięli. – Kacper przypomniał sobie tatę Darka rozmawiającego z policjantami.

– No i właśnie przed chwilą komunikat podali, że druga fala wody będzie szła. Pewnie to, co Czesi z tamy spuścili.

– Mój dziadek twierdzi, że tam nie ma żadnej tamy. Mówił wczoraj...

– Czekaj. – Pani Grażynka zmarszczyła czoło. – Twój dziadek? Tata twojej mamy?

– No tak, bo drugi nie żyje. Przyjechał wczoraj.

– I co, mieszka u was? – dociekała pielęgniarka.

– No mieszka. – Kacper odgarnął włosy z twarzy. – Zna pani dziadka?

– Trochę. Bardziej z opowieści... Twojej mamy – dodała. – Nie że jakieś plotki.

– Pielęgniarka machnęła łyżeczką, sypiąc wokół okruszkami. – No to ja już teraz wszystko rozumiem.

Odstawiła talerzyk i sięgnęła po herbatę.

Kacper przyglądał jej się skonsternowany. Już miał zapytać, co niby rozumie, czym jest owe „wszystko”, gdy w progu pojawiła się pani Małgosia, młoda piegowata pielęgniarka z włosami nieodmiennie spiętymi w dwa kucyki, co nadawało jej niepoważny wygląd i odmładzało o dobrych kilka lat.

– Już są, idą do dyrektora właśnie.

Pani Grażynka uśmiechnęła się.

– To co, chcesz zobaczyć premiera?

Chciał.



Włodzimierz Cimoszewicz też kojarzył się Kacprowi z animowaną postacią. W zwariowanym filmie *Kto zrobił Królika Rogera*, łączącym film aktorski

z kreskówką, sługusem zła była gangsterska ekipa łasic ubranych jak bandziory z czarnego kryminału. Ich szef, pyskаты Łasic w różowym garniaku i takim kapeluszu, przez cały czas sprawiał wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od złośliwego uśmiechu albo grymasu najszczerzej pogardy. Cimoszewicz miał właśnie taką twarz.

Chłopak musiał jednak przyznać, że zachowaniu premiera nie dało się wiele zarzucić. Wchodząc do gabinetu, przywitał się z mamą i z Kacprem, zapytany, czego się napije, poprosił o mocną kawę i od razu podziękował. Wyglądał na zmęczonego.

Już w progu gabinetu dyrektora zatrzymał się nagle i odwrócił, patrząc prosto na Kacpra.

– Lubisz samochody? – zapytał.

– Zależy jakie – odparł chłopiec.

Premier uśmiechnął się tym swoim grymasem łasicy i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyjął czarny długopis ze znaczkiem Mercedesa.

– Trzymaj. Oryginalny – powiedział.

Kacper mało nie parsknął, ale czując na sobie spojrzenie mamy i jej szefa, wstał z krzesła, podszedł i wziął prezent.

– Bardzo dziękuję – wybąkał, schylając głowę i udając, że patrzy na długopis. Chciało mu się śmiać. I palić.

– Długopis – stwierdził, gdy już premier ze swoją świtą zniknął wraz z dyrektorem w gabinecie. – Dostałem długopis.

Mama uśmiechnęła się lekko.

– A czego się spodziewałeś? Samochodu?

Chłopiec wzruszył ramionami. Spojrzał na wiszący na ścianie zegarek.

– Mogę zaraz iść do Grześka? On tu niedaleko mieszka, dwie ulice stąd. Trochę mi się nudzi.

– Poczekaj chwilę. Otworzysz mi drzwi. – Mama przygotowała filiżanki i jeszcze raz policzyła na palcach, ile osób jest w środku. Zaparzyła kawę, z barku wyjęła wafelki w czekoladzie i nyskie markizy, po czym rozstawiła to wszystko na dużej tacy.

Kacper przyjrzał się, jak próbuje się do niej zabrać, i pokręcił głową.

– Daj, ja to wniosę – powiedział.

Zawahała się.

– No dobrze, ale ostrożnie.

Wziął tacę, a ona otworzyła drzwi na oścież i przywarła do nich plecami. Wszedł i zobaczył grupę mężczyzn rozwalonych na zestawie wypoczynkowym. Premier mówił tym samym co wcześniej, nieco znudzonym tonem:

– To nie jest tak, że rezerwy są z gumy i teraz można ludziom po prostu dać. Właśnie od tego są ubezpieczenia. O, dziękuję. A cukier? A, jest, dziękuję.

Kacper nie wsłuchiwał się specjalnie w rozmowę, tylko szybko rozstawił filiżanki na stoliku, zabrał tacę i wrócił do drzwi. Mama zamknęła za nim.

– Dzięki, synek – powiedziała.

– W porządku. Mamo, ale skoro on tu nie przyjechał pomagać, to właściwie po co?

– Pewnie dać ci ten długopis.

Ryknął śmiechem tak głośnym, że sam się wystraszył. Zasłonił usta i tłumiąc wesołość, patrzył na rozbawioną mamę. Ostatnio to naprawdę był rzadki widok. Rzadki, a cholernie fajny. Przypomniawszy sobie jej wczorajszą rozmowę telefoniczną i przemknęło mu przez myśl, że może nie byłoby tak źle? Może zasługiwała na kogoś lepszego niż wiecznie nieobecny stary?

– Długopis przeznaczenia ma dwa wkłady – oznajmił. – Jeden z nich jest na powodzian.

Mama zmarszczyła czoło, a on machnął ręką.

– Nieważne. Z książki, którą czytam teraz. Żarcik taki – wyjaśnił.

Przyszło mu do głowy, że dziadek by zrozumiał.

LUŻNA KARTKA

Stał w wodzie sięgającej mu powyżej kolan, ze zwieszonymi rękami i spuszczoną głową. Na środku własnej kuchni. Stał i patrzył.

Na powierzchni wody, tu i tam tylko lypiącej wielkim okiem tłuszczu, unosiły się pojedyncze strony gazet, szcurze odchody i spleśniałe kromki chleba. Srebrzyste blistry po tabletkach skrzyły się w promieniach słońca wpadających przez rozbite okno.

Nie pamiętał, kiedy je rozbił. Może to wcale nie on?

Patrzył spokojnie i myślał, że chętnie by usiadł, tylko już wyrzucił krzesło. Wszyscy wyrzucali rzeczy, więc on też. Na stos, na podwórko albo do koszy naprzeciwko. Został mu zlew i szafka pod nim, mała lodówka, której bał się odpiąć, mokry materac i rzeczy w kiblu.

Zrobił głupio, uznał. Że wszystko wyrzucił. Ale przecież i tak zamierzał. Miał pomysł, jak zbudować wszystko na nowo, tylko nigdy nie mógł się zebrać. Brakowało mu siły, ochoty, motywacji. A teraz stał w wodzie, pośrodku własnego mieszkania, wsłuchując się w rytmiczne kapanie.

Srebrzysty blister okrążył go, znowu mrugnął refleksem.

Powoli przeczytał widoczne litery, bo czytanie zawsze pomagało mu się skupić w takich sytuacjach. Gdy coś było dziwne, gdy świat szedł inną drogą niż on. Gdy czuł się zagubiony i nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. H_loper____W_F.

W mieszkaniu było gorąco i wilgotno, a pot kapał mu z czoła na oczy. Spróbował zdmuchnąć krople, nie ocierając twarzy rękami. Dmuchnął raz, drugi.

Kap, kap. Rytmicznie. Gdzieś blisko. Na blistrze, wyżej, kompletny napis bez postrzępionych lejów po wybranych już tabletkach. Haloperidol WZF.

Kap, kap, kap...

Kobieta ze zdjęcia miała wielkie piersi i otwarte usta. Dwa palce przed cipką niby brama. Puściła do niego oko.

Za oknem sąsiedzi wynosili kolejne rzeczy. Brodzili przez wodę, rozmawiali, ich głosy brzmiały jak jazgot os przez blaszaną tubę. Woda schodziła, za godzinę, dwie

pewnie już jej nie będzie.

Plusk za pluskiem. Rzeczy sąsiadów leciały na zanurzony w wodzie stos.

Kap, kap, kap...

Coś powinien zrobić, ale nie wiedział co. Bo zrobił już wszystko. Wyniósł wszystko i teraz stał w wodzie, patrzył i nasłuchiwał.

Kap, kap, kap...

Nagle, wiedziony impulsem, uniósł rękę i spojrział na nią. Krew ciekła mu pomiędzy palców, skapując po kropli. Czyli to jednak on rozbił szybę. Nadal nie pamiętał, jednak z krwią nie będzie się kłócił. Dziewczyna unosząca się na wodzie wydała się nagle jeszcze bardziej zdziwiona. Opakowanie po tabletkach odpłynęło gdzieś na lekkiej fali.

Wózek, przypomniał sobie nagle. Miał go naprawić już dawno temu. Metalowa rama potrzebowała desek. Może w tych śmieciach, które sąsiedzi wyrzucili, coś się znajdzie? O tym myślał na zewnątrz, zanim przyszedł tu i stanął w wodzie. Po co przyszedł?

– Po narzędzia – powiedział cicho, wyraźnie z siebie zadowolony. Uśmiech ze skórki chleba potwierdził przypuszczenie.

Ruszył do szafki pod zlewem. Kucnął, moczając majtki, i wyłowił plastikową skrzynkę. Przyciskając ją do piersi, ruszył ku drzwiom wyjściowym.

Zszedł ze stopnia i zanurzył się w wodzie powyżej pasa. Brodząc, przeszedł na zalane podwórko, spojrział na rwącą rzekę płynącą kilka metrów dalej. Jeszcze w nocy, jeszcze rano były jednością. Teraz woda na podwórku stała, unosząc skrzynki, drewniane ogródkowe tyczki, sznurki na pranie, śmieci.

Skierował się do komórki, gdzie wczoraj odstawił wózek. I wtedy je zobaczył. Jasne, lśniące od wody, wyraźnie odcinające się na błotnistym tle.

Uniósł wzrok ku rozpogadzającemu się niebu i podziękował.

JÓZEK

Przejście torami za papiernią sprawiło, że Józek poczuł kolejny strzał adrenaliny. Stara audica, rury ciepłownicze, ostre podejście na Grzybek, teraz lśniące brązowym błotem jak rzadka sraka – wydawało się, że to wszystko wydarzyło się dawno temu, a nie ledwie w piątek. Jeszcze przed kilkoma sekundami miał wrażenie, że świat dzieli się na przed tym cholernym wiaduktem i po nim. Mało się tam nie posikał, gdy Cygan poleciał na plecy i dupa zawisła mu nad rozszalałą wodą. Był pewien, że licealista spadnie. Był tego pewien jak złamanego serca matki.

Osiedle Konstytucji też stało w wodzie, niezbyt głębokiej, choć gdzieniegdzie sięgała wyżej niż do pasa. Mieszkańcy uwijali się tu jak w ukropie, przepychając auta, wynosząc rzeczy z piwnic i przekładając je na paki kilku starów stojących wyżej, na ulicy. Na sznurkach za oknem schło pranie, dzieciarnia ganiała się po wodzie, chlapiąc, krzycząc i raz po raz zbierając słuszny opieprz.

Szli w miarę równo, we trzech; żaden się nie odzywał. Z Grześka już chyba zeszło, bo nawet pogwizdywał sobie z cicha. Za to Darek wcisnął ręce w mokre kieszenie i przeglądał się w każdej szybie z coraz to groźniejszą miną. Jakby szykował się na konfrontację. Józkowi trochę chciało się śmiać, a trochę go rozumiał – to nie było duże miasto, a nie da się całe lato ukrywać w chacie.

To z kolei skierowało jego myśli na Mietka i jego zalany dom. Przynajmniej tam faktycznie woda mogła się przysłużyć. Jak Herkules w stajniach Augiasza. Rozbawił go ten koncept i sprawił, że Józek nagle poczuł potrzebę przerwania ciszy.

– Kurde, nie tak sobie wyobrażałem powódź – zaczął. – Myślałem, że to będzie bardziej taki *Wodny świat* albo coś. Że jak zaleje, to już wszystko, i będziemy napieprzać łódkami.

Żaden z kolegów nie odpowiedział, jednak Józek się nie poddawał.

– Zajebicie byłoby mieć taki katamaran jak Costner, nie? Prujesz przez ocean, trzymasz się na linach...

– On pił siki – odezwał się Grzesiek.

– Destylowane.

– Ale siki. Wypiłbyś siki?

Józek pokręcił głową.

– No przecież ciągle pijesz destylowane siki. Tak działają oczyszczalnie, debilu.

– Tak? – odezwał się nagle Darek. – Bo wiesz, jak chce ci się pić, a mnie lać, możemy się zgrać!

Józek parsknął, charknął, po czym roześmiał się w głos. Grzesiek szybko zaraził się tą wesołością, rechocząc i klepiąc się po udzie. Darek walczył jeszcze kilka sekund, jednak po chwili ryczeli już wszyscy tak głośno, że z pobliskiego magazynu wyszło dwóch mechaników sprawdzić, co się dzieje. Śmiech całej trójki niósł się uliczką, a była w tym śmiechu ulga i ustępujące napięcie, był niedawny strach, ekscytacja wywołana tym, że szli teraz ulicą, normalną ulicą, choć wciąż brodząc w wodzie. Na tym polega magia tego lata, pomyślał Józek, i niech się dzieje, co chce. O tym właśnie lecie będzie potem opowiadał. Nie mógł już się doczekać, gdy o papierni, kamieniach, Cyganie i powodzi powie kumplom z Chorzowa, a potem tacie. Mamie przecież nie mógł. Z tatą było inaczej. Może dlatego, że – co uzmysłowił sobie pewnego wieczoru przed snem – trudno zawieść człowieka, który siedział w pierdłu.

Rozchlapując wodę, podbiegł nagle do pobliskiej latarni, złapał za nią i się podciągnął.

– Jestem Żeglarzem Wodnego Świata! Nie mam imienia, by śmierć nie mogła mnie znaleźć! – zawołał, prężąc pierś.

– Śmierć nie, ale Cygan może – odparł Darek. – Więc pij już te siki i szykuj karateman.

Józek zeskoczył z latarni.

– Katamaran, debilu.

LUŻNA KARTKA

Później mówili, że to właśnie była ta osławiona druga fala, a trzecia nadeszła dopiero pod wieczór, koło siedemnastej. Inni tłumaczyli, że ziemia nie mogła już przyjąć więcej wody, więc zamiast choć w małym stopniu wyhamowywać rozszalałą Białkę, zaczęła działać po jej stronie i dlatego stało się to, co się stało pod stadionem. Tak, w tej sprawie też ludzie mówili różne rzeczy, a wyszło, że i tak większość gówno wiedziała.

Na pewno jednak ten konkretny problem, z którym przyszło się borykać głuchołazianom przy stadionie pierwszego dnia powodzi, zaczął się dwieście metrów wcześniej, zaraz za mostem Andrzeja, gdzie na lewym brzegu kończył się betonowy wał wyznaczający koryto rzeki i przechodził w porośnięte zielenią zbocze. To tam w co cieplejsze dni poprzednich czerwców, lipców i sierpniów przesiadywali mieszkańcy osiedla Koszyka, doglądając swych kąpiących się dzieci. Tam ludzie wychodzili z psami, okoliczna menelownia, ta już bardziej zaprawiona w boju, przesiadywała przy tanich winach, a zimą całe rodziny zabierały ze sobą suchy chleb, by po mszy dokarmiać pływające kaczki i łabędzie. Młodzi przychodzili tam niezależnie od pory roku na krótkie randkowe spacerki, gdy okoliczności nie pozwalały na wybranie się do Zdroju, a mimo to serce domagało się wydeptania ścieżek miłości. Przy odrobinie wyobraźni i odpowiednim księżycu wędrówka między brzegiem rzeki a zboczem mogła stanowić podróż w czasie, aż do sięgających trzynastego wieku początków Głuchołaz. Tu zieleń podgrodzia, za nią woda, a dalej poszarpany mur, ciasno zwarte domy i stercząca znad nich wieża kościoła. Przymruż oczy, zlekceważ talerze anten, szyby w oknach, kable i masz średniowieczny gród.

Przed siódmym lipca tamtego roku to było piękne miejsce. A potem zniknęło pod powierzchnią wody, gdy Białka poszerzyła koryto, za lewy brzeg biorąc sobie owo porośnięte trawą zbocze. Jednak nawet ta poszerzona rynna, którą wtedy pędziła, szumiąc i taszcząc na falach niszczycielską górę śmieci, nie zaspokoila jej apetytu. Dlatego gdy woda dotarła do końca stopniowo obniżającego się wału i rozlała się, musiała zawracać do koryta, zabierała ze sobą wszystko, co jej się

nawinęło. A na początek nawinął się asfaltowy zakręt i stadion. Potem nabrała apetytu na dom...

DAREK

Gdy dotarli na miejsce, nie było już bramy stadionu, magazynu i kawałka bieżni, a także kilku metrów chodnika i wylanego asfaltem zakrętu. Byli za to ludzie w różnym wieku, solidarnie walczący z wodą i odnoszący już na tym polu, jak się zdawało, pierwsze sukcesy.

Chłopcy i dziewczynki w wieku Grześka, Darka i Józka, a nawet kilkoro młodszych, tachali kamienie albo trzymali worki, gdy napełniano je piaskiem. Starsi, zwłaszcza chłopcy, przynosili skądś płyty chodnikowe i większe głazy, po czym usypywali z nich stos, którym zarządzało kilku krzykliwych, samozwańczych liderów. Długowłose patyczak z włosami spiętymi w koński ogon, okularnik z lekko zadartym nosem, gruby jegomość o muskularnych ramionach poznaczonych rozlazłymi tatuażami – każdy z nich uformował sobie coś na kształt oddziału robiącego w zasadzie to samo, ale w innym rytmie i w nieco inny sposób. Tam, gdzie długowłose kazał wrzucać do wody na przemian worki, kamienie i znowu worki, okularnik wrzucał najpierw w opór jednego, potem drugiego. Gruby z kolei zdobył kilkanaście metrów metalowej siatki i teraz usiłował zamocować ją jako zbrojenie. Wszystkiemu przyglądał się proboszcz z podręczną kamerą, filmujący zajście.

Jeden z chłopaków miał blond włoski niczym cherubinek i bliznę po zoperowanej zajęczej wardze, przez co wyglądał, jakby na wszystko się krzywił. Grzesiek kojarzył go z zajęć w ognisku plastycznym. Podszedł do niego.

– Skąd bierzecie kamienie? – zapytał.

– Wcześniej z ogródków – odparł cherubinek. – Teraz to raczej płyty z chodników z osiedla. Chodź, zobaczysz.

Ruszył przed siebie, a Grzesiek i Józek poszli za nim. Darek stał, przeczesując wzrokiem uwijający się jak w ukropie tłum. Ktoś krzyknął: „Więcej kamieni”, ktoś się zatoczył i wpadł nogą do wody. Akurat był przywiązany w pasie liną, jak wiele innych pracujących z nim osób, a i rzeka w tym miejscu wyglądała dużo spokojniej niż ta pędząca głównym korytem – mimo to wywołał falę okrzyków, pisków, kurew i wezwań imienia boskiego. Nieco dalej kobiety rozstawiły punkt z jedzeniem:

kanapki, kilka garnków z herbatą, plastikowe butelki z kranówką zabarwioną czerwonym sokiem. Co i rusz ktoś brał od nich kanapkę i odchodził na bok, czasem doprawiając ją do smaku papierosem i kilkoma słowami rozmowy. Zdarzali się też, rzecz jasna, zwykli gapie, którzy tylko patrzyli, robili zdjęcia i komentowali. Byli wszyscy, oprócz niej i jej rodziców. Wyjechali?

– Idziesz? – zawołał Grzesiek. – Ej, ziemia do Darka! Idziesz?

Darek drgnął, potrząsnął głową i wcisnął ręce we wciąż mokre kieszenie.

– Idę – burknął.

Łypnął wzrokiem na jej dom, piętrowy, ze strychem, o szarej fasadzie i spadzistym dachu wyprofilowanym tak, że od frontu budynek wyglądał trochę jak rysowana przez dziecko choinka, i począł za kolegami. Dom sprawiał wrażenie pustego, a w dodatku wcale nie groziło mu niebezpieczeństwo. Bój toczył się o ten wcześniej.

– Spokojnie, pewnie gdzieś tu jest i zaraz przyjdzie – mruknął Grzesiek, który specjalnie zwolnił, by na niego zaczekać. – Wrócimy i sprawdzimy...

– Daj spokój.

– Czekaj, może zapytamy. Ja zapytam, czy ktoś...

– Daj spokój, mówię! – Tym razem Darek warknął i nie odzywał się już do końca ulicy. Za to gdy skręcili w osiedle, a zza bloku wyłoniła się grupa dzieciaków pchających wyładowany kamieniami dwukołowy wózek, nagle postanowił: – Pierdolę to, nie chce mi się. Idę do domu.

– Ej, ale jak? Teraz? – zdziwił się Józek. – Serio? Wymyślasz sobie od czapy, że mamy tu przyjść, potem dzieje się... no, to wszystko, i nagle mówisz, że idziesz do domu? I jak niby wrócisz? Którędy?

– Normalnie – rzucił Darek hardo, pokazując na most Andrzeja. – A jak mnie, kurwa, nie przepuszczą, to im każę do ojca zadzwonić i mnie zabierze.

Zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało, więc zaraz dodał szybko:

– Pieprzyć to, serio. Myślałem, że się przydamy, ale tu już wszystko opanowane. Widzisz, ile tam ludzi? Jesteśmy tu niepotrzebni.

– No nie jest opanowane... – zaczął cherubinek i urwał, gdy Darek zrobił krok w jego stronę, opuszczając głowę i zaciskając pięści jak do bitki.

– Pytał się ciebie ktoś, kurwa? – warknął, po czym obejrzał się na kolegę. – To co, Grzesiek, idziesz?

Mikrus przeanalizował coś szybko w głowie.

– W sumie to nie – stwierdził wreszcie. – Skoro już tu jestem, szkoda, by się zmarnowało.

– W ogóle weź się nie wygłupiaj – poparł go Józek. – Co będziesz w chacie robił, jak i tak prądu nie ma?

Darek zacisnął szczęki, powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, wreszcie ruszył ostro przed siebie, trącąc ich barkami. Zdążył ujść z dwadzieścia metrów, gdy dogonił go Grzesiek.

– Serio? Teraz sobie pójdiesz, bo pani piękna nie czeka na ciebie w oknie? – zadrwił.

– Pieprz się!

– Stary, szliśmy tu całą tę drogę, cała ta akcja...

Darek zatrzymał się gwałtownie.

– A czyja to była wina, co?! Ta pojebana akcja. – Chciał zabrzmieć stanowczo, ale zdradziecka mutacja sprawiła, że głos mu się załamał i zaskrzeczał na ostatniej sylabie. – Totalnie ci odwaliło, bo nic ci nie można powiedzieć. Nic!

Grzesiek cofnął się o krok i ostentacyjnie otarł twarz, jakoby ze śliny kolegi. Niższy od niego nie mógł przyjąć takiej samej pozycji co Darek, z opuszczonym czołem, jednak wcale nie wyglądał przez to mniej zawzięcie.

– Obraził mojego tatę – wycedził, wyraźnie oddzielając słowa.

– Nic takiego nie powiedział, zapytał tylko!

Grzesiek otworzył usta, po czym je zamknął i po chwili znowu otworzył.

– A ty niby czemu nie chciałeś podać ręki Kęskiemu? – zripostował. – Znowu ona, nie? To też przez nią. To o tym mówił. Zobaczyłeś ich razem w kościele, pewnie ją tam zmacał i... Ej!

O włos uniknął pierwszego cępa, drugi trafił go koło szyi. Grzesiek jęknął, zgarbił się, wbijając głowę w ramiona, i ustawił gardę. To na nią przyjął kolejne dwa ciosy.

– Co ty odwalasz, co?! – krzyknął, odskakując. – Komu tu odwaliło, co?!

Darek, dysząc ciężko, postąpił krok do przodu, ale Grzesiek już się nie cofnął, tylko wyżej uniósł gardę.

– No chodź, no chodź, kurwa!

Darek też podniósł ręce, mimo że jakiś głos w głowie przypominał mu jego własne słowa, skierowane przed kilkoma dniami do Józka: „Grzechu, gdy szaleje, nie czuje bólu”. Jego za to bolały palce od zadawanych ciosów.

– Ej, co wy tam wyprawiacie?! – zawołał ktoś od strony mostu. Darek obejrzał się i wtedy właśnie dostał w szczękę. Mocno, precyzyjnie, aż ugięły się pod nim nogi. Następny raz zarobił w nos. Poczuł, że oczy wypełniają mu się łzami. Przez ich zasłonę widział biegnącego ku niemu Józka, a za nim kilka innych osób. Wiedział, że zaraz ich rozdziela, dlatego machnął ręką na oślep, ale chybił, przeciął powietrze i zarobił z pięści pod pachę.

Nie płacz, mówił sobie. Nie płacz.

Dotknął nosa, przekonany, że leci mu krew, jednak to były tylko ciepłe smarki. Zatoczył się, rozejrzał i pobiegł w stronę mostu. Minął nadbiegających ludzi, w tym jednego policjanta, dał susa pod taśmą i popędził po uszkodzonym moście. Stojący na jego końcu drugi policjant próbował zastąpić mu drogę, ale nie postarał się za bardzo i Darek z łatwością go wyminął, przemknął pod kolejną taśmą i z pluskiem wpadł w płytką wodę. Ktoś zaklaskał, ktoś inny zawołał: „Brawo, mały!”. Męski, przepity głos. Darek się nie obejrzał. Pognał w dół ulicy, w stronę skrzyżowania ze światłami, a potem bez zatrzymywania się, mimo kolki, w prawo, w stronę domu. Zatrzymał się dopiero na mostku Starynki, gdzie elegancko ubrana rodzinka z małym dzieckiem wybrała się na wycieczkę zobaczyć powódź. Woda na Jana Pawła już opadała, nie rwała aż tak, rzeczka nie kipiała, rodzinka nie kryła więc rozczarowania.

– Myślałem, że będzie gorzej – powiedział on.

– Tak – zgodziła się ona. – W telewizji to zawsze wszystko wyolbrzymią.

JÓZEK

Począł, aż Grzesiek wytłumaczy się policjantowi z bójkę, po czym podszedł, drapiąc się po głowie z wyraźnym zakłopotaniem.

– Co mu tak odwaliło? O co wam poszło? – zapytał.

Grzesiek, najwyraźniej zaskoczony tym, że Józek już w pierwszym zdaniu wziął jego stronę, wypuścił zawczasu nabrane powietrze i rozluźnił ręce.

– Ech, stary, nic nie mów – powiedział. – Ty wiesz w ogóle, dlaczego on chciał tu iść?

Józek wzruszył ramionami.

– Myślałem, że przygoda, ale teraz...

– No więc... – Grzesiek zaczął, ale przerwał, wybuchając głośnym, trochę chyba wymuszonym śmiechem.

– Co? Z czego?

Gdy tamten pokazał ręką, Józek obejrzał się i zobaczył grupę nastolatków pchającą kolejny wózek. Obok prawego koła szła wysoka, zgrabna dziewczyna w luźnym tiszercie i szarych legginsach, tłumacząc coś młodszemu dzieciakom. Rude włosy splecione miała w warkocz przerzucony przez ramię.

– To Laura – wyjaśnił Grzesiek, gdy już się opanował. – Mieszka w drugim domu od stadionu.

Józek pokiwał głową, przyglądając się dziewczynie. Była ładna. I miała w sobie to coś, czego nie umiał określić, ale co sprawiło, że w pewien sposób rozumiał kuzyna.

– Szkoda w sumie, że tak pognał. Dasz radę go dogonić? – zapytał Grzesiek.

– Nie ma szans. Wyrwał jak wariat, a jest ode mnie szybszy. Myślisz, że mu przejdzie?

Niższy z chłopców wzruszył ramionami.

– Musi. To za małe miasto, by co chwilę szukać nowych kumpli. A, i nie mów mu, że ci powiedziałem, okej?

– O czym?

– No o niej. I o tym, że on ją... Znaczy, że się w niej... – Wziął głębszy oddech. – W sumie to Kacper też chyba nie wie, więc morda w kubeł, dobra?

Tak, pomyślał Józek. Ale za to wie o czym innym. I ciekawe, jak długo będzie w stanie utrzymać Józkową tajemnicę, skoro Grzesiek z tajemnicy Darka spruł się tak łatwo.

– Luz – powiedział na głos. – Dla mnie w ogóle nie ma tematu.



Po godzinie sytuacja wydawała się w miarę opanowana. Woda przestała wybierać z usypanej barykady kamienie i worki, wygarniając już tylko ziemię od strony stadionu i tak spisanego na straty. Większość z ochotniczej grupy wsparcia już się zawinęła, bo poszły plotki, że straż przywiozła duże pompy i będą wypompowywać wodę z piwnic na osiedlu. Ktoś powiedział, że jest kolejka, że nie wszystkich obsłużą, i zaraz całą solidarność trafił szlag. Ci, co zostali na polu boju, robili zdjęcia, komentowali, co się będzie działo dalej. Czy podmyje drogi, odetnie dojazd do Nysy i Prudnika, a więc w zasadzie do całej reszty kraju, bo żeby wyjechać z Głuchołaz, trzeba było przeciąć jedno z tych miast. No chyba że do Czech, ale też już poszła fama o zamknięciu przejść granicznych. Uskutecznił ją, z zapalem godnym większej sprawy, rozczochrany brodacz w spranej, przyciasnej koszulce z logo Pepsi.

– I może dobrze, że je zamknęli – odpowiedział mu mocno zbudowany dwudziestoparolatek. Józek zauważył ze zdumieniem, że chłopak miał włosy nie tyle blond, ile żółte, a do tego oczy blade jak u ryby. – Ja ci mówię, dobrze. Bo jeszcze byśmy im za tę tamę spuszczoną podziękowali. Nie byłoby żadnej powodzi, gdyby nie to. Ojciec mi mówił, że nasze wały budowano specjalnie tak, by pomieściły dwa razy więcej wody, niż rzeka sama z siebie dać może.

– A twój ojciec to co, architekt? Inżynier? – zakpił typiek z wąsem, w kraciastej flaneli i ze spodniami zawiniętymi do połowy łydek. – Skąd on się niby zna?

Chłopak omiół spojrzeniem najpierw typka, potem jego zupełnie nijaką żonę, stojącą obok w kwiecistej sukience. Zaciągnął się papierosem i wypuścił dym tak, że ten spowił całą jego twarz. Co wyglądało trochę tandetnie, ale Józek mimo wszystko docenił filmowość tego zagrania.

– A chuj ci do tego, kim jest mój ojciec – powiedział. – I na chuj się w cudze rozmowy wtrącasz?

Facet z wąsem otworzył usta, po czym zaraz je zamknął. Szarpnięcie za rękaw i prośbę żony, by dał spokój, potraktował niby z niechęcią, jednak od razu posłuchał. Tylko gdy odchodzili, komentował głośno, jak to nienawidzi takich ekspertów z bożej łaski.

Józek rozejrzał się za Grześkiem. Tamten dojadał właśnie kanapkę i rozmawiał z nieco niższym od siebie dzieciakiem. Jak się okazało, Nikodemem, młodszym bratem Laury. Która, swoją drogą, co Józek stwierdził po trzech czy czterech zamienionych przy pracy zdaniach, była nie tylko ładna, ale i całkiem fajna.

– Niki mówi, że ich domu woda i tak by nie ruszyła, bo tam niby bunkier jest – powiedział Grzesiek, gdy już poszli w stronę mostu. Policja chwilowo wznowiła ruch pieszy i wreszcie dało się przejść. – W sumie nie wiem, czy mu wierzyć, ale bunkier na chacie to zajebista rzecz, nie?

Przerwał, by ukłonić się szpakowatemu mężczyźnie, po czym odczekał, aż ten się oddali.

– To pan Burza od anglika z liceum – wyjaśnił. – Był u nas przez miesiąc na praktyce.

Józek obejrzał się.

– Naprawdę nazywa się Burza? – zapytał.

– No. Fajnie, nie? – Grzesiek zatrzymał się, poklepał po kieszeni i wyjął z niej klucz, po czym schował z powrotem. – Kurde, już się bałem, że go posiałem. Co to ja? A... Raz widziałem bunkier, ten pod żłobkiem, ale beznadziejny taki. Tylko makietę miasta miał fajną. Znaczący zwyczajną, z pudełek i papieru do pakowania, sam mógłbyś taką zrobić, ale fajnie oddane, zwłaszcza okolice Zdroju. Szkoda, że teraz wszystko zalane pewnie...

Gadał i gadał, jakby ktoś mu coś w głowie przełączył, jakby nagle w wyniku tej sytuacji stali się najlepszymi kumplami na świecie. Józkowi normalnie by to nie przeszkadzało, jednak w przypadku Grześka czuł się nieswojo. Pamiętał przecież, jak zaczęła się ich znajomość, widział, jak Grzesiek zareagował na sporo większego Cygana, gdy ten obraził mu ojca. A przecież Józek też to właśnie zrobił. Nie w takim stopniu, rzecz jasna, ale jednak. Można by pomyśleć, że uraza zostanie na dłużej, a tu nagle taka zmiana. Nie potrafił tego zrozumieć.

Przystanął na środku mostu, by zapiąć sandał. I wtedy ich zobaczył. Szli we trzech – Wiktor, ten z poznaczoną gębą i Cygan, bez baryłki – drogą między papiernią a rzeką. Tą samą, którą przedwczoraj przemierzał z Kacprem. Z tej odległości nie dało się co prawda rozpoznać twarzy, jednak raczej się nie mylił. Pokazał ich Grześkowi, a ten natychmiast się najeżył.

– Pieprzyć ich! – stwierdził hardo. – Jak chcesz, możemy na nich nawet zaczekać.

– Nie chcę.

Grzesiek uśmiechnął się, jakby coś właśnie wygrał. Ale była w tym uśmiechu również wyraźna ulga.

– No dobra, chodźmy w takim razie.

W milczeniu dotarli aż do jadłodajni U Ludwy, mijając kolejkę jak za komuny złożoną z ludzi czekających na zamówione obiady. Dopiero gdy przeszli na drugą stronę ulicy, Józek zdecydował się zadać dręczące go w zasadzie od piątku pytanie.

– Tylko się nie obraż, dobra? Bo to nie jest złośliwe – zastrzegł.

Grzesiek łypnął na niego podejrzliwie.

– No dawaj.

– To znaczy... Nie, dobra, nieważne.

– Nie, no dawaj, nie obrażę się. Słowo.

– Oglądałeś *Ślepą furię* z Rutgerem Hauerem? – zapytał i zaraz dodał: – Uwielbiam ten film, to jeden z moich ulubionych i zawsze się tak zastanawiałem...

– Nie, mój ojciec nie stał się przez to samurajem – dokończył Grzesiek.

– No i już się obrażasz.

– Wcale nie. – Na dowód Grzesiek nawet się uśmiechnął. – Po prostu życie to nie film. Tata ma teraz wyostrzone inne zmysły, ale bez przesady. Wzrok to jednak wzrok. Bez niego nie jest łatwo.

– Aha – mruknął Józek, po czym machnął ręką. – Wybacz, to było głupie.

– Nie aż tak, jeśli chcesz wiedzieć – odparł poważnym głosem Grzesiek. – Znaczy głupie, tyle że wcale nie najgłupsze skojarzenie.

Zawahał się i zmierzył idącego obok chłopaka wzrokiem. Coś mówiło Józkowi, że nie powinien dać po sobie poznać, że czuje to spojrzenie. Szedł więc tylko i czekał. A w Grześku najwyraźniej coś właśnie pękało.

W końcu pękło.

– Czytałeś *Daredevila*? – zapytał. – Tego grubego z Mega Marvel? Tego, gdzie jest początek jego historii, jak wpada pod ciężarówkę, traci wzrok i zyskuje za to superbalans, doskonały słuch, węch i całą resztę?

– Tak, mam go nawet – potwierdził Józek. – Świetny.

– No, świetny – przyznał Grzesiek. – I wyszedł jakoś tak niedługo po wypadku taty. Najpierw nie mogłem tego czytać, bo... No rozumiesz.

– Jasne.

– Ale potem pomyślałem tak jak ty. A może tata ma teraz supermoce, o których nie może mi powiedzieć? Może jest teraz superbohaterem? Dlatego pewnego dnia, gdy siedział taki smętny w ogrodzie – mama jeszcze wtedy z nami była – wziąłem palantówkę i...

Józek aż przystanął.

– Jaja sobie robisz!

– Nie, no słowo daję. – Grzesiek poklepał się w pierś, z trudem powstrzymując śmiech. – Wziąłem zamach i sądziłem, że ją złapie. Wiesz, błyskawicznie uniesie rękę, reszta ciała się nie poruszy. I faktycznie nawet nie drgnął, aż dostał piłką w ryj. Łeb mu odskoczył, a wtedy jak się nie poderwie... Kurde, nawet teraz, nawet...

Grzesiek przerwał, by się wyśmiać, co stanowiło dla Józka wystarczający sygnał, że już nie musi prychać i z tym walczyć. Zawtórował więc niskim, niemal dorosłym śmiechem.

Akurat doszli do świateł, w pobliżu których po drugiej stronie ulicy ustawiała się następna długa kolejka, tym razem do piekarni Juziuka. Ludzie patrzyli na nich dwóch jak na wariatów, coś tam do siebie szeptali. Zapach świeżego chleba mieszał się z wonią wilgoci, stęchlizny i błota.

– Żebyś ty go wtedy widział. Skakał, darł się, przeklinał i zaczął na wszystko wpadać, jakby to robił specjalnie. Trzepnął kolanem leżak mamy. Złapał się oburącz i skacząc na jednej nodze, plecami wyrznął w skrzynkę z napojami, uderzając o nią małym palcem. Dosłownie nie wiedział, za co się złapać, więc nabrał powietrza, poczerwieniał i tak skacząc, dohopsasał do końca tarasu. Wtedy jak nie pieprznie prosto na grządki... Mama wypadła z domu i też się drze, że Jezus Maria, że olaboga... No nie dam rady, czekaj...

Zgiął się wpół i spróbował uspokoić oddech. Józek ze śmiechu ocierał łzy, a co spojrział w stronę kolejkowiczów stojących za chlebem, na ich głupie ryje, głupie miny, wyobrażał sobie, że widzą nie ich, a tańczącego po ogrodzie ojca Grześka, i to wywoływało kolejne spazmy śmiechu.

– Mama jak wyskoczyła, to zaraz nogą zaplątała się w ogrodowego węża i też poleciała. Prosto na tatę. Próbowwała się obrócić w powietrzu, ale tyle z tego wyszło, że pieprznięła go łokciem w żołądek. A może w jaja? W każdym razie ojciec stracił dech i te niewidzące oczy mało mu z orbit nie wyszły. Przestał się drzeć i prawie się udusił. A mamie, nie wiedzieć czemu, przyszło do głowy tylko jedno: kazała mi przynieść wachlarz!

– Wachlarz?

– Tak, kurwa, wachlarz. – Grzesiek już jako tako się opanował. Staął prosto, splunął na chodnik lepką śliną. – Miała taki w słonie indyjskie, zawieszony w sypialni. Chyba z bambusa. No i woła, żebym przyniósł. Wiesz, chodźmy stąd, bo już mnie wkurza, że się tak gapią. A nie, czekaj, bo ty tu...

– Odprowadzę cię – stwierdził Józek. – Co z tym wachlarzem?

Ruszyli główną ulicą w stronę mostku i Starynki.

– No nic, poleciałem, przyniosłem. W międzyczasie się wyzbierali i tata opowiadał, co się stało. Matka skoczyła do mnie, a mi pierwsze, co do głowy przyszło, bo przecież nie powiem, że sprawdzałem, czy ma supermoce, to: „Kolega powiedział, że skoro tata stracił wzrok od uderzenia, uderzenie może mu go przywrócić”. I się rozpłakałem.

– Podziałało?

Grzesiek wzruszył ramionami.

– Wtedy tak. Miesiąc później matka zniknęła, więc sam nie wiem. Może ślepy mąż i walnięty syn to było dla niej za dużo?

Kolejne kilkaset metrów do zakrętu pokonali w milczeniu. W końcu Józek odważył się zapytać:

– Tęsknisz za nią czasem? – I żeby nie wyjść na wścibskiego, zaraz dodał: – Ja za ojcem tęsknię.

Grzesiek znowu przystanął. Podrapał się po nosie, popatrzył na majestatyczny budynek liceum z czerwonej cegły. W końcu pokręcił głową.

– Kiedyś tęskniłem – powiedział w końcu. – Pisałem opowiadania o tym, jak do nas wraca, przeprasza i okazuje się, że cały czas szukała leku dla ojca. Usprawiedliwiałem ją, rozumiesz... A potem zrozumiałem, że jest tchórzem. Odeszła, bo się bała i nas nie kochała.

– To po prostu zła kobieta była. – Józek uśmiechnął się lekko. – To z *Psów*.

– Wiem, widziałem. Dużo oglądałem i z ojcem, i sam. Jemu opowiadam, co się dzieje.

– Dobrze opowiadasz – przyznał Józek.

– Dzięki, trochę też piszę. – Znowu się podrapał, tym razem po karku, a potem piersi. – Chyba muszę się przebrać. Nie znoszę, jak rzeczy na mnie schną. Ale wcześniej sprawdzę, czy tata jest jeszcze u pani Natalii.

– Pewnie. Ja chyba sprawdzę, co u Darka. Kuzyn w końcu.

Grzesiek znowu spojrzął w stronę liceum, a z jego twarzy kolejny raz dało się wyczytać, że toczy wewnętrzną walkę, czy coś powiedzieć, czy też nie. Józek i tym razem dał mu czas.

– Wiesz, jaki jest problem z Darkiem? – Usłyszał w końcu. – Lubię go, ale jemu niczego nie brakuje. A kiedy niczego ci nie brakuje, myślisz, że tak ma być. I zawsze chcesz więcej.

– Mówisz o Laurze?

Grzesiek potrząsnął głową.

– Mówię o Darku. O wszystkim. Laura to tylko jedna sprawa. – Wytarł rękę o spodnie i wyciągnął ją w stronę Józka. – No ale idź do niego, jeśli chcesz. Ja bym mu dał czas do jutra.

– Dobra, może racja. – Przyznał Józek, ściskając podaną dłoń. – My też się widzimy jutro?

Grzesiek wyszczerzył się.

– Stary, to są Głuchołazy. Jesteś na nas skazany przez całe lato. Trzymaj się.

Józek patrzył, jak odchodzi, ważąc w głowie słowo „skazany”. Czy Grzesiek użył go specjalnie? Czy dlatego tak się otworzył, bo gadał z Kacprem i tamten mu powiedział? To stąd ta zmiana? Bo już wszystko wiedział? Zaraz jednak dotarło do niego, że właściwie nawet jeśli, to co? Stało się coś złego? Fajnie pogadali, zyskał kumpla.

Wcisnął ręce w kieszenie i zawrócił, ale po namyśle wszedł jeszcze na mostek Starynki. Ulica Jana Pawła, którą brodził pod prąd przed kilkoma godzinami, w zasadzie przestała być rzeką i na powrót stawała się ulicą, tyle że utyłaną w błocie i śmieciach. Woda jeszcze szła, choć chodnikami dało się już przejść w zwykłych gumowcach, z czego korzystali ludzie, kursując tam i z powrotem z siatami pełnymi zakupów.

Na mostku grupa łebków w jego wieku wpatrywała się w rzeczkę.

– To już? To już po powodzi? – Ostrzyżony na krótko malec w koszulce z wkurzonym Kaczorem Donaldem był wyraźnie rozczarowany.

Józek odkrył, że odczuwa to podobnie.

KACPER

Gdy okazało się, że u Grześka nikogo nie ma, wrócił do szpitala. Zastanawiał się przez chwilę, czy iść do Darka albo wrócić do domu i poczytać, ale zdał sobie sprawę, że nie zrobili z mamą zakupów, a ciastka na długo mu nie wystarczą. W szpitalu mógł liczyć na obiad, kto wie, może szarpnęli się na coś w związku z wizytą premiera? On sam już co prawda zawinął się i poleciał – został po nim tylko odgnieciony płozami ślad na trawie naprzeciwko szpitala, brudna filiżanka i długopis – ale wiadomo, jak to jest z gospodarzami. Zawsze się naszykują, żeby się pokazać.

No i, co ważne, w szpitalu był prąd, a więc i telewizja. Kacper mógł usłyszeć informacje z regionu, dowiedzieć się, co się dzieje. Ludzie też mówili, przynosili coraz to nowsze plotki. Jeden z lekarzy, nowy w głuchołaskim MSWiA, a mieszkający w oddalonej o dwadzieścia kilometrów Nysie, powiedział na przykład, że jego miasto kompletnie nie jest przygotowane na przyjęcie choćby jednej fali.

– Kto by pomyślał, prawda? – mówił do pani Grażynki, plując okruchami jej przepysznej szarlotki. – Można by uznać, że skoro mamy Jezioro Nyskie, wielki zbiornik retencyjny zbudowany między innymi jako bufor, to powinniśmy sobie poradzić, czyż nie?

Tyle zawierał w tych zdaniach pytań, że pani Grażynka kiwała głową cały czas, niczym piesek z deski rozdzielczej.

– A tu, z przeproszeniem, dupa, bo nam władze uznały, że trzeba wodę na regaty trzymać. Rozumie pani? Regaty! Cztery dni lało, zagrożenie powodziowe ogłoszone, a ci trzymają wodę. No i teraz grozi przerwanie wałów albo rozerwanie tamy i...

– Trzy – powiedział siedzący w kącie Kacper, wyraźnie podenerwowany, bo drażnił go ton lekarza i sam fakt, że doktorek właściwie nie przestawał gadać, napawając się swoim głosem.

Lekarz urwał i przeniósł na niego zdziwione spojrzenie. Minę miał, jakby w ogóle był zaskoczony, że ktoś tam siedzi.

– Słucham? – Nie zabrzmiało to jak prośba o powtórzenie, a raczej druga szansa: by Kacper zdał sobie sprawę, że chyba jednak go poniosło.

Chłopiec jednak nie zmytygował się, tylko powtórzył, rozwijając wypowiedź do pełnego zdania:

– Lało trzy dni, nie cztery. W czwartek nadciągnęły chmury, a dzisiaj padało jedynie rano.

Pani Grażynka zasłoniła usta dłonią z ciastem, by ukryć uśmiech. Doktor natomiast przyglądał mu się uważnie zza modnych okularów. Miał nie więcej niż czterdzieści lat i krzaczaste brwi, o które, zdaniem Kacpra, zdecydowanie powinien dbać w równym stopniu co o przetykaną siwizną brodę, ale najwyraźniej nigdy o nich nie pamiętał. Spod fartucha wystawał mu czarny golf, przez co jego szyja wyglądała na chudsza niż w rzeczywistości, a głowa na większą.

Taki trochę lizak w przebraniu lekarza, pomyślał chłopak i tylko cudem się nie roześmiał.

– Kim ty właściwie jesteś, młody człowieku? – zapytał w końcu lekarz. – I co tu robisz?

– To syn pani Anny z sekretariatu – podpowiedziała pani Grażynka.

Doktor pokiwał głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

– A, syn tej sekretarki, rozumiem.

Kacprowi bardzo nie spodobał się jego ton ani błysk w lekarskim oku. A już najbardziej nie spodobało mu się owo „tej”. Co, do cholery, znaczyło „tej”?

– Jakie to ma znaczenie, kim jestem? – zapytał hardo.

– Kacperku, nie mów tak do pana doktora – powiedziała pielęgniarka, jednak lekarz gestem dał jej znać, żeby zamilkła. Jak do psa, pomyślał coraz bardziej wściekły Kacper.

– A takie ma znaczenie, że to jest szpital, młody człowieku, i nie mogą tu przebywać osoby postronne. – Doktor powiedział to wolno, tonem w założeniu pewnie dydaktycznym, nauczycielskim, choć w rzeczywistości zwracał się do niego jak do opóźnionego w rozwoju.

Kacper pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym zapytał:

– Ale tacy, co nie potrafią policzyć do trzech, to już mogą, tak? I nawet leczą ludzi?

Pani Grażynka nie wytrzymała i parsknęła. Doktor natomiast oblał się rumieńcem.

– Ktoś tu chyba powinien solidnie wziąć się za wychowanie swojego dziecka – rzucił nerwowo. W jednej chwili uleciał z niego spokój i skłonność do dydaktyzmu.

Kacper wstał z krzesła i odgarnął włosy z twarzy.

– To prawda – powiedział. – Tylko pana rodzice są już na to pewnie za starzy. – Przeniósł wzrok na pielęgniarkę i dodał z uśmiechem: – Dziękuję pani za pyszne ciasto i w ogóle, ale pójdę już do domu. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę drzwi, gdy nagle poczuł, że ktoś łapie go za triceps i mocno ściska. Już się odwrócił, by się wywinąć, gdy odezwała się pielęgniarka.

– Pan to się chyba teraz trochę zapomina, doktorze. Proszę natychmiast puścić chłopca.

Uścisk zelżał. Kacper szarpnął się i wyszedł.

LUŻNA KARTKA

Potrzeba było trzech mocnych uderzeń, by zaklinowany między głazami, częściowo zakopany w mule konar wreszcie drgnął, a potem popłynął dalej rwącym nurtem aż do zakrętu głównego koryta, teraz niewidocznego, bo woda rozlała się po łąkach. Otarł się o płyciznę, na kilka minut osiadł, a gdy odwrócił się tak, że kawałkiem liściastej korony ustawił się pod prąd, znowu dał się ponieść. Nabrał rozpędu i przez płytszy kawałek przepłynął już bez problemu.

Przyspieszał przez kolejne dwieście metrów aż do wodospadu z zerwanym mostem, stojącym teraz wzdłuż rzeki, niczym ten anegdotyczny, z żartów o Wąchocku. Solidny most, metalowa konstrukcja wyłożona grubymi drewnianymi belkami. A jednak uległ pod naporem wody, zerwał się i teraz mocno trzymał brzegu, nakryty częściowo połamanymi drzewami.

Konar wystrzelił z wodospadu niczym pocisk. Wyłonił się pośród piany, ułamanym, żółtawym końcem wymierzył w powietrze, a z mokrych liści, niczym z lotki filmowej strzały wypuszczonej w deszczu, kapały krople wody. Opadł z pluskiem i popłynął dalej, by po pięćdziesięciu metrach znowu uderzyć o skały na zakręcie, odwrócić się i utkwic w małej zatoczce obok połamanego drzewka. Na którym wisiało ciało.

Mężczyzna w nieokreślonym wieku, w ciemnym, poszarpanym tiszercie, z głową roztrzaskaną tak, że spomiędzy mokrych włosów, fragmentów skóry i odprysków kości wyłaniał się lśniący mózg.

Ciało unosiło się w kotłującej się wodzie, z lewą ręką wyrwaną z barku i wygiętą do tyłu pod nienaturalnym kątem. Trup tkwił tam, bo pasek plecaka zaczepił się o gałęzie. Tkwiał tam, w tej zatoczce, w tej spienionej topieli, w tym wirze między dwoma ułamanymi konarami, obok rwącej, rozszalałej rzeki – tkwił, bo tak chciała Powódź. Ta sama, która kilka kilometrów serpentyn dalej właśnie wgryzła się w mur wałów...

The background is a solid black field with a pattern of white, stylized human bones and skulls. The bones are of various sizes and orientations, scattered across the frame. Three skulls are visible: one on the left side, one on the right side, and one partially visible at the bottom right. The text is centered in the upper-middle portion of the image.

Poniedziałek
7 LIPCA 1997

około godziny 18.00

DRUGA FALA

DAREK

– Pakuj najpotrzebniejsze rzeczy – wycharczał Krzysztof Woźniak, wpadając do mieszkania.

Darek, który akurat był w kuchni, wychylił się i zobaczył ojca uwieszonego na klamce wciąż otwartych drzwi, zgiętego wpół i ciężko dyszącego. Schował się z powrotem i zaraz wrócił ze szklanką wody. Podał ją ojcu.

– Co się stało? – zapytał.

– Mamę... zawołaj. – Ojciec wziął szklankę i wyprostował się ostrożnie.

– Mamo! Mamo!

Ewa Woźniak wyszła ze stołowego, niosąc ze sobą plastikową miskę na pranie.

– Musisz się drzeć? Nie możesz... Krzysiek, co się stało?!

Tata zadarł palec w górę na znak, że potrzebuje chwili, i podniósł szklankę do ust. Upił łyk, drugi poszedł nie w tę dziurkę, więc zakrztusił się, znowu gnąc się wpół. Darek doskoczył i z całej siły walnął go między łopatki. Raz, drugi...

– Wystarczy, plecy mi odbijesz. – Ojciec odetchnął głośno, spojrzał na szklankę i dopił to, czego nie rozlał. – Pakuj potrzebne rzeczy, ewakuuj nas.

Mama przeżegnała się wolną ręką.

– Co się dzieje? Dlaczego teraz?

– Idzie druga fala – wyjaśnił tata.

– Większa?

Woźniak potrząsnął głową z wyraźnym zniecierpliwieniem. Miał tę samą minę jak za każdym razem, gdy próbował naprawić coś w domu i mu nie szło, a matka stała nad nim i dopytywała. Kto wie, może i by wybuchł, gdyby szaleńczy bieg na górę nie pozbawił go siły.

– Nie większa, ale kolejna – wyjaśnił. – Ziemia nie przyjmuje wody, a najgorsze, że mury są osłabione. Przy pracowni rentgena właśnie pękł wał i teraz woda wybiera go kawałkami... Daj mi jeszcze wody, Darek.

Chłopiec wziął od niego pustą szklankę i zaraz wrócił z pełną. Tę ojciec wypił już na raz. Otarł usta i brodę rękawem. Mama przyglądała mu się z uwagą.

– Co to znaczy dla nas? – zapytała.

– Ano to, że te bloki stoją na podmokłej glebie. Jak strzeli wał, to się, kurwa, przewrócą!

– Krzysiek!

Ojciec machnął ręką.

– Straż tam teraz jest, z ludźmi próbują siatkę rozpinać, łątać, ale cholera wie, czy to coś da. Jezu, mówiłem już dawno, że te wały wymagają renowacji. Jak się dzieciakom na kąpielisku pod nogami urwało, pamiętasz?

– Co mam brać? I gdzie pójdziemy? Do moich rodziców?

– Chyba tak, bo gdzie. Bierz najpotrzebniejsze rzeczy na dwa, trzy dni góra.

Matka przewróciła oczami.

– Trzy dni? Jezu, tam przecież Baśka z Józkiem są. My się tam pozabijamy, tyle nas będzie. Na głowy sobie powchodzimy.

Odwróciła się i zniknęła w sypialni, skąd zaraz dobiegły odgłosy szybkiego, energicznego pakowania. Ojciec przeniósł wzrok na Darka.

– A ty co tak stoisz? I gdzie Wiśka?

– U Lurków. Iść po nią?

Ojciec machnął ręką.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw sam się spakuj. Tylko pamiętaj: nie za dużo. Podstawowe rzeczy.

– Jasne, tato.

Wpadł do pokoju, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Poczł, że piecze go w kącikach oczu.

– Kurwa! – zaklął cicho. – Kurwa, kurwa, kurwa!

JÓZEK

Dziadek Filip odłożył telefon i podrapał się po głowie.

– To chyba trzeba będzie większe zakupy zrobić – powiedział właściwie nie wiadomo do kogo.

Wrócił do pokoju, gdzie na kanapie, przed telewizorem leżał Józek ubrany jedynie w tiszert dziadka i gacie, w fotelu siedziała mama i próbowała czytać książkę. Wilgoć oraz zmiany ciśnienia dały się we znaki babci, więc teraz drzemała w pokoju przechodnim, na tyle lekko i czujnie, że Józkowi zakazano przechodzenia do siebie nawet po ciuchy na zmianę.

Niedawno minęła osiemnasta, w telewizji leciał akurat serial komediowy o podstarzałym rockmanie, który w dość tragicznych okolicznościach dowiedział się, że ma dwójkę nastoletnich dzieci, i przyszło mu je wychowywać. Głupie to było strasznie, ale przynajmniej od gagu do gagu wypełniało czas.

– Jakie zakupy, o czym tata mówi? – zapytała mama.

Dziadek podszedł do barku, otworzył go, wyjął kryształową karafkę z ciemnoczerwoną nalewką i kieliszek.

– Woźniakowie będą tu u nas spali, ewakuują ich – powiedział spokojnie. – Ewcia właśnie dzwoniła zapytać, czy mogą i czy się pomieścimy.

Mama natychmiast odłożyła książkę.

– Ewakuują? Jak to?!

– Ponoć wał został przerwany i istnieje ryzyko, że ich dom się przewróci. – Dziadek machnął ręką, jakby chodziło o zupełną pierdołę. Nalał sobie, zatkał karafkę, szybkim, pewnym ruchem podniósł szkło i odchylił głowę. Odstawił, oblizął się i przyjrzał karafce. Znowu machnął ręką i wstawił kryształ do barku. – Od dawna mówiłem, że tak przy rzece to się domów nie stawia, że to się musi tragedią skończyć. No i proszę. Matka! Matka! Budź się, powodzian będziemy mieli!

Gdy wyszedł z pokoju, Józek spojrzał na mamę. Ta już sięgnęła po leżący na ławie obok notesik i długopis.

– Dobra, to szybko spisujemy, co trzeba. – Postukała długopisem w zęby. – Na pewno chleb, bo nie starczy. Mięso, ser jakiś, żółty i biały... Cholera, gdzie ty to teraz dostaniesz? Pewnie wszystko wykupione.

– Zaraz dziadka zapytam – odpowiedział Józek. – On tu wszędzie ma chody.

– No fakt. – Mama się uśmiechnęła. – Ma. Dobra, to idź zapytaj, a potem polecisz, dobra? Tylko żebyś znowu nie przepadł na kilka godzin jak rano.

– Jasne. – Józek przyjrzał się mamie, jej uśmiechowi, który jedynie przykrywał smutek i zmęczenie. Widział to, widział wyraźnie. Odkąd tata poszedł do paki, a potem przyjechali tutaj, nic jej tak nie męczyło jak uśmiech i robienie dobrej miny do złej gry.

W drugim pokoju dziadek tłumaczył coś zaspanej babci coraz bardziej zniecierpliwionym głosem. Oboje mówili tak niewyraźnie, że przez ścianę docierały tylko pojedyncze słowa. Gdy wrócił, wyraźnie rozeźlony, od razu skierował się do barku.

– Basiu, przenieście się na ten czas do przechodniego z Józwą, dobrze? – powiedział dziadek, znowu wyjmując karafkę. – Im damy ostatni, bo jest ich więcej. Tylko tak się pomieścimy.

– Dobrze, tato – odparła mama, patrząc na Józka. Ten skinął głową i też się uśmiechnął.

Mówiąc szczerze, nie było to tak naprawdę wyrzeczenie, w końcu i tak nie zamierzał siedzieć w domu całymi dniami. A spać mógł gdziekolwiek.

– Dziadek, a wiesz, gdzie mógłbym o tej porze jakieś zakupy zrobić?

– O tej porze? – Dziadek wychylił kolejną porcję nalewki, otarł usta rękawem i schował karafkę. – O tej porze to już tylko... Poczekaj, zadzwonię. Niech ci mama listę zrobi.

– Już zrobiłam – odpowiedziała Barbara.

– A, to dobrze, dobrze. Poczekaj.

Gdy wyszedł, Józek odchrząknął.

– Jest tylko jedna rzecz, mamó – powiedział przyciszonym głosem. – Ja nie wiem, jak będzie z Darkiem.

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

– No bo my się tak jakby pokłóciliśmy – dodał, ale zaraz potrząsnął głową. – Chociaż nie, to on się na nas obraził.

– Nas? – Mamie nie udało się powstrzymać uśmiechu. – Znacząco, przejąłeś jego kolegów?

– To skomplikowane – stwierdził.

Tym razem parsknęła śmiechem.

– No ty już naprawdę dorosły jesteś. Ale stało się coś poważnego? Zrobiliście mu coś?

– Nie, nic. – Zawahał się. – Powiem ci, jeśli nie będziesz dopytywać.

– Nie będę.

Westchnął ciężko.

– Chodzi o dziewczynę.

Spodziewał się, że znowu parsknie, jednak tym razem mama tylko pokiwała głową, po czym przyjrzała mu się uważnie i jakoś tak... inaczej.

– Kiedy to minęło synek, co?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo wrócił dziadek. Trzymał w ręce karteczkę, na której narysował prowizoryczną mapkę.

– Tam pójdziesz, pani Władzia otworzy ci od zaplecza. Czekać, dam ci pieniędzy...

Józek przebrał się szybko u siebie, po czym wyszedł do przedpokoju, by założyć buty. Wrócił, wziął pieniądze, kartkę od mamy i wyszedł.

W bramie niemal zderzył się z Darkiem. Kuzyn, obciążony plecakiem, torbą i dwiema reklamówkami spojrzał na niego spod byka.

Józek uznał, że nie będzie się tym przejmował.

– O, już jesteś? – powiedział. – To może skoczysz ze mną po zakupy?

Taka reakcja, spokojna, lekka, bez dopytywania, wyraźnie zaskoczyła Darka, bo zmieształ się, twarz mu złagodniała, a usta lekko się rozchyliły. Odwrócił wzrok, by patrzeć niby to na Józka, ale tak naprawdę nieco obok.

– Sorry za to wcześniej – mruknął. – Przesadziłem. – Nagle przeniósł wzrok na twarz Józka i zmrużył oczy. – Grzesiek ci powiedział?

Józek wzruszył ramionami.

– Że jesteś durnym palantem. To mi powiedział.

– A o co nam poszło, też ci powiedział?

– A to nie wystarczający powód?

Podszedł, wziął od kuzyna torbę i jedną reklamówkę.

– Chodź, zaniemiemy to i pójdziemy po te zakupy, bo dziadek zaraz z nerwów całą nalewkę obali. I powiedz, tak serio, wasz budynek może się teraz wywalić?

LUŻNA KARTKA

Wystarczyło jedno pęknięcie. Najpierw wyrzucona na łuku ciężka skrzynia, potem telefoniczny słup. Możliwe, że zanim uderzył, wierzgnął na fali, smagnął powietrze zerwanymi kablami jak biczem i dopiero wtedy niczym taran grzmotnął w mur z całym impetem, jaki nadała mu rozpędzona woda. Potem kolejne drzewo, samochód dostawczy z czeskimi napisami na potrzaskanej pace, kawałek innego muru ze sterczącymi resztkami cegieł.

Jedno pęknięcie, wystarczająco głębokie, by utorować drogę wodzie, i resztę już zrobiła sama. Wśliznęła się, wypełniła szczelinę i zaczęła szarpać. Kawałek po kawałku, garść po garści niczym pies kopiący w ziemi. Głębiej i szerzej, głębiej i szerzej. Wystarczyła godzina, by szczelina powiększyła się od dna aż po górną krawędź. Kolejna, by odpadły pierwsze większe płyty. Brązowa woda natychmiast je porwała, poniosła dalej. Były za słabe, by służyć za taran w innym miejscu wału, ale to nie miało znaczenia, wszak wodą wciąż płynął coraz to nowy oręż w tej nierównej walce.

Po kwadransie szczelina miała już niemal pół metra u szczytu muru. Wybrana zza niej ziemia zostawiła dziurę wielkości studni, głęboką na ponad metr. Gdyby dać wodzie kolejną godzinę, niechybnie wyrwałaby jeszcze raz tyle muru i Bóg jeden wie ile ziemi.

Ale wtedy właśnie na miejscu pojawili się strażacy.

Wyglądało, jakby wiedzieli, co robią, gdy rozciągnęli metalową siatkę, zaczęli ją mocować na murze i zabrali się do wypełniania worków piaskiem. Gdy dowódca polecił ludziom, by znosili głazy i kamienie oraz pomagali sypać piach do worków, zabrali się do roboty bez marudzenia. Przerazał ich stale rosnący wyłom.

Ktoś krzyknął, że gdy woda wybierze mur, to koniec. Jakaś kobieta złapała jednego ze strażaków za rękę.

– To prawda? – domagała się odpowiedzi. – To prawda?

Strażak szarpnął się, nie odezwał słowem. Począł, aż zawiązał worek, zarzucił go na ramię i zsunął do wypełnionego wodą dołu. Chlupnęło, worek poszedł pod siatkę, więc poprawili jej mocowanie i dorzucili kolejny.

Woda nie dawała za wygraną, ale ludzi przybywało. Tak samo jak worków, płyt chodnikowych, kamieni.

Ktoś krzyknął: „Drzewo idzie!”.

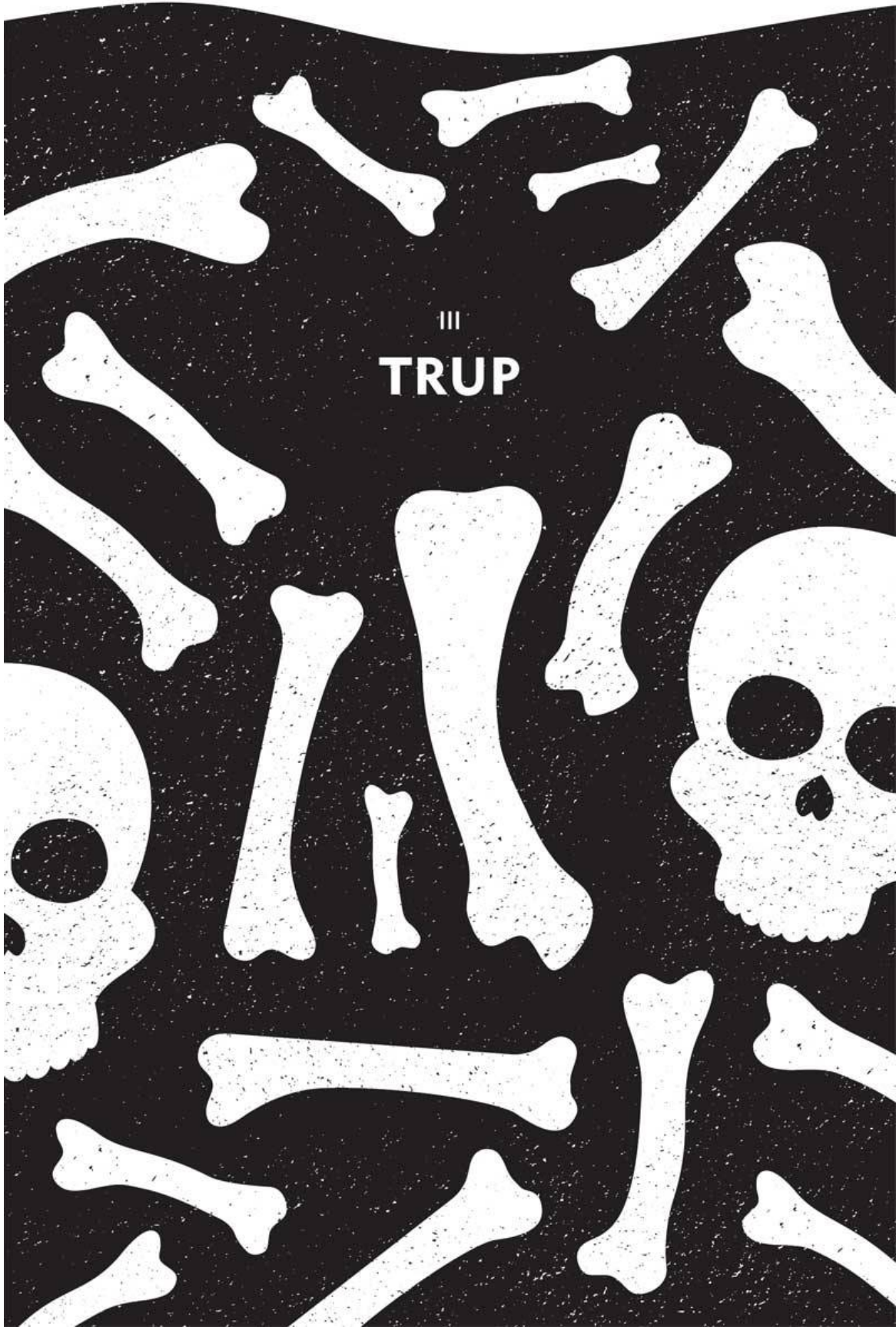
Obejrzeni się. Kto mógł, ten się odsunął. Strażak zakładający kłamrę na murze nie mógł. Gałęzie rozorały mu twarz. Wrzasnął, zachwiał się, ale był przypięty, więc nie wpadł. Wycofano go, zastąpiono kolejnym. Dwieście metrów dalej, na niewielkim osiedlu między żłobkiem a niemiecką fabryką ogłaszano właśnie ewakuację. Większość ludzi zadeklarowała, że mimo wszystko woli zostać w domu.

Walka trwała do późnych godzin nocnych, aż uznano, że najgorsze już chyba minęło. I faktycznie, bo choć rzeka nadal wylewała się z koryta, choć tereny przyrzeczne, pola, ogródki działkowe, drogi wciąż znajdowały się pod powierzchnią wody, to jednak tam, gdzie jeszcze rano na ulicach płynęły strumienie, nurt złagodniał albo wręcz się zatrzymał. Stopniowo, spokojnie pozwalał się odprowadzić bocznymi ścieżkami oraz studzienkami, które już od jakiegoś czasu nie kipiały niczym małe gejzery.

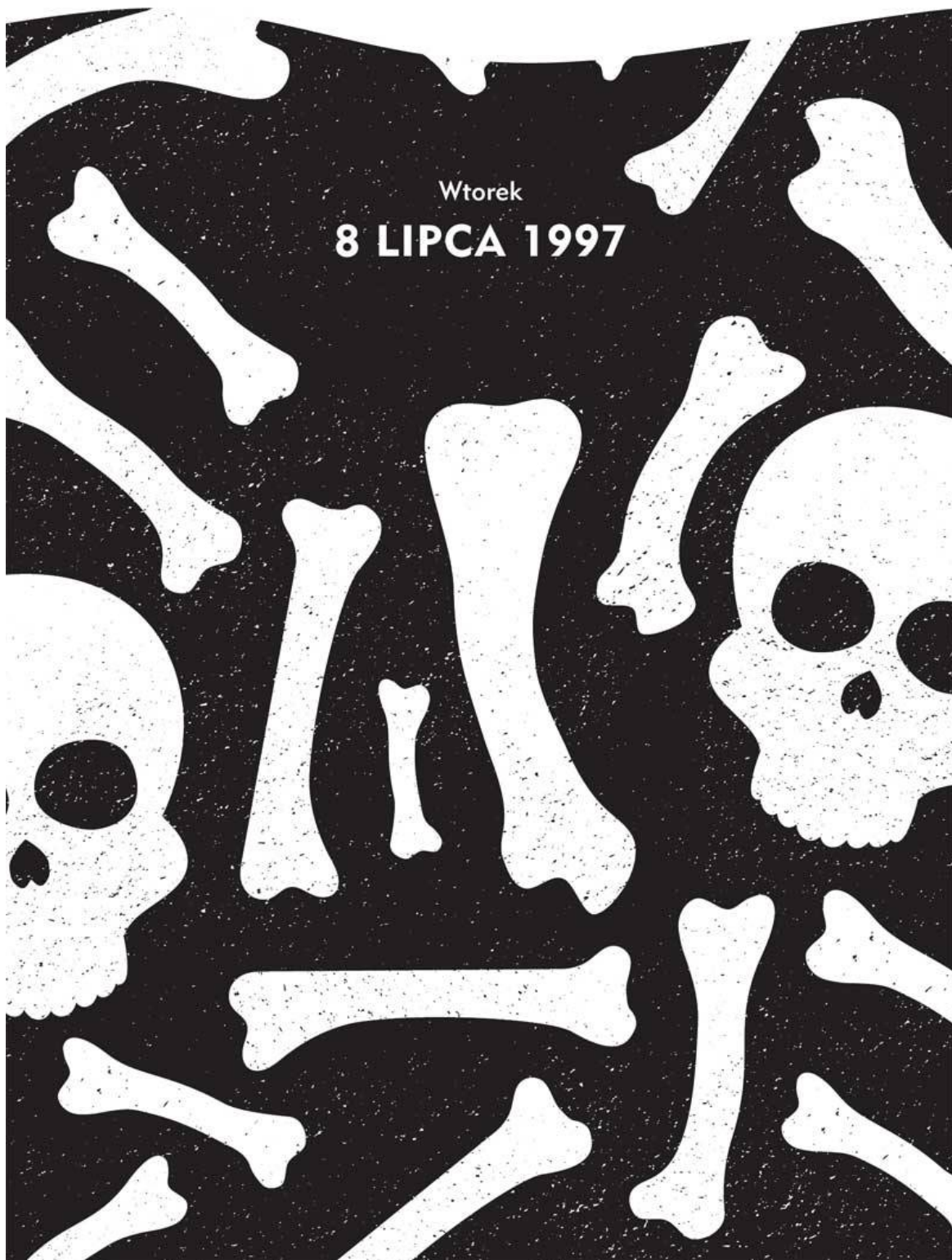
Do rana w większości zalanych miejsc zostały już tylko kałuże. A także odsłonięte wyrwy w drogach, murach, zapadnięte, podmyte chodniki i brudne sznyty na ścianach, pokazujące niedawny poziom wody. Najgorsze w Głuchołazach minęło.

Niedługo potem do tych, którzy nie odsypiali zarwanej nocy, doszły wieści z pobliskiej Nysy. Tam, żeby uniknąć przerwania wałów na przepelnionym zbiorniku retencyjnym, zwanym Jeziolem Nyskim, zdecydowano się otworzyć tamę na pełną przepustowość. Hektolitry wody wdarły się do miasta. Nysa została zalana.

III
TRUP



Wtorek
8 LIPCA 1997



KACPER

Obudził się koło ósmej, ale jeszcze przez kwadrans leżał, czytając, walcząc z pęcherzem i nasłuchując. Z pokoju obok dochodziło jednak tylko nierówne, za to głośne chrapanie dziadka. Skoro Kacper tak wyraźnie słyszał je tutaj, u siebie, to mama z jej cieniutkim jak pajęczyna snem zdecydowanie tej nocy nie spała.

W końcu uznał, że musiała już wyjść do pracy. Odłożył książkę, wstał i poszedł do łazienki. Nie to, żeby się bał mamy czy coś. Po prostu wczoraj, gdy wróciła i zaczęła mu robić wyrzuty o tego dupka lekarza, trochę się uniósł. Zapytała wtedy, czy Kacper chce, by ją zwolnili z pracy za to, że jej syn nie umie się zachować wobec starszych. I znowu miała te swoje smutne oczy, od których ścisnęło go w dołku. Postanowił, że wieczorem ją za to przeprosi. Nie chciał przed pracą, tak na chybcika.

Ponieważ drzwi do stołowego były otwarte, ledwie tylko wyszedł od siebie, jazgot natychmiast przybrał na sile o kilka decybeli. A dziadek Zbyszek chrapał dziwnie. Odgłos piłowania urywał się w połowie, przechodził w rżenie samochodowego rozrusznika, a potem milkł, ustępował mlaskaniu i znowu zmieniał się w piłę. Dziadek się poruszył, zrogowaciałe pięty zaszurały po prześcieradle i nastąpiła zmiana rytmu: piła, piła, piła, mlaskanie, rozrusznik, cisza, gwałtowne wynurzenie się z wody, szybkie chrapliwe oddechy, cisza. Mlaśnięcia, piła...

Kacper wysikał się i spuścił wodę, ręce umył już w kuchni. Otworzył okno, bo w mieszkaniu panował zaduch, mieszanka woni brudnych skarpet, wilgoci, przetrawionego alkoholu i pierdów. Kacper spał w nocy mocno, ale rozbawiła go wizja, jak dziadek wraca do domu porobiony, składa rzeczy na krześle, sam się ucisza, robiąc przy tym więcej hałasu i zamieszania, niż gdyby po prostu walnął się na łóżko.

Otworzył lodówkę i z zaskoczeniem zauważył brak światła. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie ma prądu. Podszedł do kuchenki i odkręcił kurek. Gazu też wciąż nie było.

– Szlag! – mruknął.

Otworzył chlebak, wyjął z niego cztery kromki nieco już zeschniętego chleba. Jeszcze raz sięgnął do lodówki, skąd wyłowił pudełko margaryny Kama i słoik dżemu truskawkowego. Zostawił to wszystko na stole i poszedł do pokoju po książkę.

Gdy wracał, odruchowo zerknął w stronę stołowego. Dziadek już nie spał, siedział na łóżku w samych gaciach. Piersi i brzuch miał obwisłe, kępkę włosów nad mostkiem rzadką, białą i poskręcaną. Nogi też jakieś takie chude, dziwne, osadzone na poźółkłych od spodu stopach z przerośniętymi paznokciami. Tylko ręce i barki wyglądały całkiem sensownie – jak na starszego faceta, rzecz jasna. W każdym razie w koszuli prezentował się zdecydowanie lepiej.

Gdy dziadek wychwycił spojrzenie wnuka, uśmiechnął się i podrapał po szyi.

– Trochę wczoraj przegiąłem – stwierdził ochryplym głosem. Uderzył się w pierś i odkaslnął. – Ale pomyślałem, że skoro miasto można zalać, to...

– ...to czemu nie pałę? – Zaśmiał się Kacper.

Dziadek wycelował w niego pistoletem z palca i zastrzygł wąsem.

– Otóż to. Podasz mi fajki? Albo nie, poczekaj, zapalę pod okapem. Włączysz?

– Prądu nie ma – przypomniał Kacper.

Dziadek klepnął się w czoło.

– No tak, jasne. To przy oknie stanę. Robisz jedzenie?

– Tak, kanapki z dżemem, bo nie ma nic innego. Chcesz?

– A ze dwie. I kawę.

– Nie ma gazu.

– Kurwa.

Kacper roześmiał się. Sięgnął do chlebaka po kolejne kromki, ukradkiem zerkając, jak dziadek człapie do przedpokoju i siada na krześle z ciuchami, by włożyć spodnie. Przez moment wyglądało, że włoży też brudną koszulę, jednak zniknął w sypialni rodziców i po chwili pokazał się w przyciasnej na niego koszuli ojca.

– Chyba się nie obrazi, nie? – zapytał.

Kacper wzruszył ramionami.

– Musiałby wrócić.

Dziadek Zbyszek wszedł do kuchni, obszedł stół i opadł ciężko na stołek przy oknie. Z kieszeni wygrzebał paczkę papierosów i żółtą, półprzezroczystą zapalniczkę.

– Daj ojcu spokój. Robi, co musi, nie? – powiedział. Odpalił, zaciągnął się, wypuścił dym. – To nie są łatwe czasy. Dzięki.

Sięgnął po podsuniętą mu kromkę z dżemem. Znowu się zaciągnął, wypuścił, ugryzł. Kacper chyba nigdy wcześniej nie widział, by ktoś w taki sposób palił w trakcie jedzenia.

Albo jadł w trakcie palenia, poprawił się w myślach.

– Czemu go bronisz? – zapytał. – On cię wyraźnie nie lubi.

Dziadek wzruszył ramionami.

– On chyba nikogo nie lubi – odparł. – Wiesz, jeśli nie jesteś w życiu specjalnie zaradny, to rzeczy idą ci gorzej. To nie są łatwe czasy, Kacper, ale gdy ktoś wie, jak sobie radzić, to wyjdzie na swoje nawet z górką. Gorzej, jeśli nie. Wtedy wszystko zależy od tego, gdzie szukasz winnych: w sobie czy w świecie. Podasz mi spodeczek?

Kacper wstał i zdjął z ociekacza mały talerzyk. Dziadek strzepnął na niego popiół.

– To co wczoraj robiłeś, co? – zmienił temat. – Widziałeś premiera na żywo?

Kacper, który właśnie wziął za dużego gryza kanapki, pokiwał energicznie głową, po czym uniósł palec. Odłożył chleb i poszedł do siebie po długopis. Zanim pokazał go dziadkowi, zdążył przełknąć.

– To mi dał. Pytał, czy lubię samochody.

Dziadek się roześmiał. Podniósł długopis, obejrzał, zrobił sobie szlaczek nad nadgarstkiem.

– Polityka w pigułce, co? Na długo wpadł?

– Nie, tylko na kawę. – Kacper odłożył długopis na bok. – Potem poszedłem do kumpla, ale go nie było, więc wróciłem i trochę się ściałem z takim debilem, nowym lekarzem.

– O, opowiadaj... Chcesz macha?

Dziadek wyciągnął ponad stołem rękę z papierosem.

– No już, nie udawaj świętego. – Zaśmiał się. – Przedwczoraj zwinąłem ci fajki, przecież nie pierwsze. To nic zdrowego, jako dorosły z nałogiem mówię ci: nie pal, bo kasę i zdrowie stracisz. Ale póki żaden z nas nie napieprza przez świat w Papa Mobile, nie będę robił szopek. To co, chcesz?

Na twarzy Kacpra jedna głupia mina ustąpiła miejsca kolejnej, jednak wziął papierosa, zaciągnął się i rozkaszał. Z miejsca poczerwieniał tak od dymu, jak i ze wstydu.

– Ja... ja nigdy... – Próbował się wytłumaczyć, co tylko coraz bardziej bawiło dziadka. W końcu mężczyzna wstał, wyszedł na chwilę z kuchni i wrócił z butelką pomarańczowej helleny dopitej do połowy. Nalał do szklanki i podsunął chłopcu, w zamian zabierając papierosa.

– Jak to się nazywało w tej twojej książce? Próba traw? – zadrwił. – No to chyba nie zostaniesz wiedźminem.

Kacper mało się nie zakrztusił. Odstawił szklankę, zamachał rękami, jakby chciał odlecieć, i znowu rozkaszał się na dobre.

– Chcesz mnie zabić – wydusił w końcu z siebie po dobrych dwóch minutach.

– Weź przestań, a od kogo pożyczalbym książki? – Dziadek zaciągnął się po raz ostatni i zdusił niedopałek na talerzyku, po czym znów zniknął w stołowym. Minutę później położył przed Kacprem czarny składany nóż. Na matowym ostrzu widniał napis „Kershaw”. – Zapomniałem wcześniej. Twój prezent.

Uśmiechnął się pod nosem na widok szeroko otwartych oczu wnuka.

– To jakie plany na dzisiaj? – zapytał.

LUŻNA KARTKA

Zaparkował na poboczu z dala od wszystkich aut, które mieszkańcy wywieźli w wyższe partie miasta. Z jednej strony wolał mieć je w pobliżu, z drugiej nie chciał, by ktoś wziął go za złodzieja, gdy będzie się tu kręcił po zmierzchu. A przecież zamierzał, bo nie zdecydował się na hotel.

Miał ku temu szereg powodów, od tych najbardziej prozaicznych, jak wysokie prawdopodobieństwo, że w zalanym wodą mieście żaden taki przybytek nie będzie działał albo zamieni się – całkowicie lub częściowo – w tymczasowe lokale socjalne. Zero spokoju i prywatności, nadmierne skupianie na sobie uwagi akcentem czy czasem składnią. Mówił po polsku dobrze, nawet bardzo dobrze, jeśli się postarał, ale polski i czeski, choć zasadniczo różne, są do siebie na tyle podobne, że w chwilach ekscytacji łatwo o utratę czujności. Wtedy robi się śmiesznie. Śmiesznych ludzi natomiast łatwo zapamiętać.

A on zdecydowanie nie chciał rzucać się w oczy. Stąd zrolowany materac na tyle starego kombi, śpiwór i szyby zasłonięte osłonkami przeciwsłonecznymi. Stąd plecak, a w nim kilka kompletów ubrań w osobnych, szczelnie zamkniętych workach. Cztery dni – tyle dostał na załatwienie sprawy. Jeśli nie, przepadło.

Wyjął kluczyk ze stacyjki, zaciągnął hamulec i sięgnął do schowka po niewielki termos schowany pod zamontowaną tam kaburą. Gdy go odkręcił, samochód wypełnił się gorzkim aromatem gorącej kawy. Przy pierwszym łyku sparzył sobie usta.

Wysiadł, postawił termos na dachu, opierając go o uchwyt na bagażnik, po czym z parującym kubkiem w dłoni obszedł samochód, rozważając, czy dobrze zaparkował. Prawe koła stały już częściowo na trawie, na podmokłym, miękkim gruncie. Kopnął oponę bokiem stopy, upił kolejny łyk, ostatni, i strzepnął kubek.

Z bagażnika wziął plecak, w którego głównej przegródce miał ciężkie buty, przechodzony sekator, składany nóż, dwa zwoje cienkiej liny, srebrną taśmę, parę grubych roboczych rękawic i opakowanie lateksowych. W mniejszej przegródce w osobnych woreczkach strunowych trzymał portfel, aparat i latarkę oraz rulon worków na śmieci. Sprawdził to wszystko i po namyśle termos wsadził do głównej

przegrody, a pistolet ze schowka przełożył z kabury samochodowej do zwykłej, mocowanej na pasku. Nie zakładał, że mu się przyda, po prostu nie chciał zostawiać go w aucie. Zapiął plecak, nałożył go i sprawdził paski. Przejrzał się w samochodowej szybie.

Posiwiące skronie, zarost barwy soli, pieprzu i popiołu oraz mocno zarysowane zmarszczki mimiczne dodawały mu co najmniej dekadę. Grafitowa koszula z krótkim rękawem narzucona na nieco jaśniejszy podkoszulek, do tego dzinsy w klasycznym kroju i sportowe buty za kostkę. I czarny plecak, nie za duży, by nie rzucał się w oczy.

Uznał, że jest nieco za czysty, by gładko wmieszać się w tłum, ale nie uważał tego za problem. A już na pewno nie na długo.

Jeszcze raz zanurkował w głąb samochodu, by z osłony przeciwsłonecznej wypiąć awiatory o lustrzanych szklach. Ekstrawaganckie, wiedział o tym, jednak zasłaniały pół twarzy i przy odrobinie szczęścia robiły refleks, gdy ktoś chciał go sfotografować. To również samo w sobie nie stanowiło problemu – nie tu, nie przy tej robocie, ale starych nawyków trudno się było wyzbyć. Zwłaszcza jeśli tyle razy wcześniej pomagały.

Nałożył okulary na nos i powędrował w dół ulicy.

GRZESIEK

Pod piekarnią Juziuka, naprzeciwko małego kościoła, znowu stała kolejka. Ludzie rozmawiali ze sobą w ożywieniu. Tematem numer dwa było zalanie Nysy, tematem numer jeden – szabrownicy rzekomo zaobserwowani w opuszczonych mieszkaniach.

– Panie, a co by tam komu kradli? – mówiła niska, drobna kobieta z kręconymi włosami. O ile Grzesiek się nie mylił, pracowała w przedszkolu. – Przecież tam, gdzie pozalewało, to ludzie i tak nic nie mieli.

– A co też pani gada! – zachnął się chudy wąsacz w zapiętej po szyję koszulce polo. – Co też pani opowiada, jak złodziejówka też w wodzie stała!

– Tak? Gdzie niby? Ta w Zdroju? Co pod górę woda szła?

Z wnętrza piekarni dobiegały dźwięki radia, akurat wokalista T.Love olewał w niej dealerów, maklerów i warty honorowe. Słowo „olewał” w kontekście aktualnych wydarzeń wydało się Grześkowi na tyle zabawne, by uśmiechnąć się pod nosem. Bawiło go to mniej więcej tak jak teksty „no, u nas się nie przelewa” albo „państwu to się teraz powodzi” słyszane już chyba ze sto razy.

Na światłach skręcił w Skłodowskiej i dwieście metrów dalej w bramę. Musiał sobie przypomnieć, w której klatce mieszkał dziadek Darka i Józka, bo wcześniej był tam tylko raz czy dwa. Założył, że w drugiej, i wszedł na pierwsze piętro, gdzie z zadowoleniem odkrył na tabliczce właściwe nazwisko.

Zza drzwi dochodził gwar, dźwięk telewizora albo radia oraz wzburzony męski głos. Zwłaszcza to ostatnie trochę go zdziwiło, głos wydawał się za młody jak na pana Filipa, ale i tak wcisnął dzwonek. Niemal natychmiast otworzyła mu... mama Darka.

Zaskoczony, skłonił się i odchrząknął nerwowo.

– Dzień... dzień dobry. Ja przyszedłem zapytać... znaczy zapytać przyszedłem... – zaplątał się. Na szczęście pani Ewa przysłała mu z pomocą.

– Do chłopców pewnie?

– Tak – przytaknął z ulgą. – Do chłopców przyszedłem.

W głowie oczywiście zaraz pojawiła mu się myśl – co tu, u diabła, robi Darek?! Jak się okazało, nie tylko on i jego mama, ale cała ich rodzina, bo właśnie z pokoju do pokoju przeszła Wiśka, a wzburzony męski głos należał do rozmawiającego przez telefon pana Krzysztofa.

– Ale jak? Jak to, kurwa, zrobili?!

– Krzysiek! – Pani Ewa, wciąż stojąca w drzwiach, odwróciła się błyskawicznie niczym atakująca kobra. – Uważaj, co mówisz. – Po czym dodała już do gościa: – Wejdz, Grzesiek, poczekaj w przedpokoju.

– Kiedy ja... – Chciał zaprotestować, jednak mu nie pozwoliła.

– Wejdz, mówię. Pić chcesz?

Skinął głową.

– Tak.

– Z sokiem? Malinowy otworzyłam.

– Poproszę.

Przeszedł przez próg, zamknął za sobą i ustawił się bokiem, przywierając plecami do sfatygowanej boazerii. Zwiesił głowę.

Zza rogu wystawała noga pana Krzysztofa w szarej skarpecie, drżała nerwowo, gdy wsłuchiwał się w głos po drugiej stronie linii. Regularne „uhm, uhm” dochodziło tak często, że jego rozmówca nie miał szans wcisnąć pomiędzy nie całych zdań. W końcu tata Kacpra nie wytrzymał.

– Pocz... Ale poczekaj! Czyli jeszcze raz: całe to zabezpieczanie centrali, okładanie workami, zabudowywanie, cała ta robota od wczoraj poszła się jebać...

– Krzysiek!

– Daj mi spokój, rozmawiam teraz! Więc poszła się pieprzyć, bo przejechała amfibie i zrobiła falę?! To chcesz mi powiedzieć?! Że od dziś nikt się u mnie nie dodzwoni poza Nysę, bo amfibie zrobiła... Nie, dobra, daj spokój. Daj spokój, Andrzej, ja cię proszę... Dobra... Dobra! Kończę, cześć.

Cisnął telefon na widełki. Musiał w tym momencie wychwycić spojrzenie teścia, bo zaraz sapnął i dodał:

– Mówiłem już tacie, rachunek za wszystkie te rozmowy pójdzie na Telekomunikację.

– Za uszkodzony aparat też?

Grzesiek cichutko parsknął.

– Proszę, woda z sokiem. – Pani Ewa wyłoniła się z kuchni i podała mu szklankę. – Czekaj, bo ja ich z tego wszystkiego właściwie nie zawołałam. Darek, Józek, Grzesiek przyszedł!

Szybko uporał się z sokiem. Różowy płyn przypominał rozwodniony kisiel, ale mimo wszystko smakował malinami i był chłodny. Grzesiek akurat odstawił szklankę, gdy w przedpokoju pojawił się Józek.

– Cześć, co tam? – zapytał, nieco zdziwiony.

– A nic, przyszedłem ze sprawą. Gdzie Darek?

– Komiks czyta – odparł Józek lekko, choć zarazem energicznie pokręcił głową, jednocześnie pokazując palcem na kuchnię.

Za późno. Pani Ewa wychyliła się niemal natychmiast i otaksowała go spojrzeniem.

– To każ mu ruszyć tyłek, jak kolega przyszedł. Poczyta sobie później.

– Nie, nie, nie trzeba – zapewnił szybko Grzesiek. – Ja i tak tylko na chwilę, bo mój tata...

– Stało mu się coś? – zaniepokoiła się pani Ewa. – Potrzebujecie pomocy?

– Nie. Chodzi o to, że pani Natalia, przyjaciółka taty, ona pracuje w Caritasie, i my od rana... – Urwał, podrapał się po głowie. – No od rana tam dary przywożą, jedzenie, pieluchy, wodę i pani Natalia zapytała, to znaczy zapytała mnie, czy znam kogoś, kto by pomógł roznieść.

– A to widzisz, świetny pomysł. – Pani Ewa wytarła ręce w ścierkę. – W domu nie będzie siedział, na powietrze wyjdzie, ludziom pomoże. Poczekajcie chwilę.

Minęła Józka i zniknęła w pokoju przechodnim.

Grzesiek zerknął za winkel, czy nikogo więcej nie ma w kuchni.

– Sorry – powiedział szeptem. – Nie wiedziałem, że tu jest.

Józek podszedł bliżej.

– Ewakuowali ich wczoraj – wyjaśnił. – Budynek groził zawaleniem, bo wał pękł czy coś. Ale spoko, gadałem z nim, jest luz. Przeprosił mnie nawet. Pytał, co mi potem mówiłeś, ale powiedziałem, że nic.

Umilkł, bo z pokoju wyszedł podenerwowany pan Krzysztof. Miał na sobie pomiętą koszulę z krótkim rękawem, w jednej ręce trzymał parę butów, w drugiej

czarną teczkę. Przez przedramię lewej przewiesił szarą marynarkę.

– Co tam, chłopcy, idziecie gdzieś? – zapytał, nie patrząc na żadnego z nich.

– Tak, pomagać w Caritasie – powiedział Józek.

– A to dobrze, świetnie... Przepraszam.

Prześliznął się obok Grześka i wyszedł na korytarz. Tam sapnął, zapewne siadając, by wsunąć i zawiązać buty.

– No cześć – mruknął Darek. Wyłonił się zaraz za matką, w dłoni wciąż trzymając komiks założony palcem. Jakby miał nadzieję, że jeszcze dadzą mu wrócić do lektury. – Co z tym Caritasem?

– No paczki trzeba po mieście nosić. Dary dla powodzian – wyjaśnił Grzesiek. – Nad ranem pierwszy tir przyjechał spod Warszawy, a już kolejne rzeczy zwożą.

– Idź, zrobisz coś pożytecznego – powtórzyła pani Ewa. – Wróćcie, jak zgłodniejecie.

– Nie zgłodnieją. Pan Olejnik dał nam trzy blachy pączków i innych ciastek dla wolontariuszy.

Pani Ewa się zaśmiała.

– No jeśli to go nie przekona, to już nie pójdzie.

Mimo wszystko Darek stał jeszcze przez kilka sekund ze zwieszoną głową, naburmuszony.

– Dobra, idę – powiedział w końcu i odwrócił się, by zanieść komiks do pokoju.

JÓZEK

Na Jana Pawła nie było już prawie wcale wody. Pojawiło się za to coś zupełnie nowego. Hałdy śmieci. Wytaszczone ze wszystkich piwnic, z każdej bramy, z każdego zalanego mieszkania. Ludzie wynosili meble, worki, książki, szmaty, kartony po lodówkach i telewizorach, elementy drewniane i starą elektronikę, winyle, związane sznurkami stopy gazet. Wszystko ubłocone, mokre, śmierdzące i oślizłe. Rzucali to potem na przyzmy wzdłuż ulicy. Śmierdziało niemożebnie zgnilizną, wilgocią, ale i jedzeniem z lodówek, które dobieg musiały się obchodzić bez prądu.

Pootwierano niemal wszystkie okna. Wystawały z nich suszarki, na parapetach zaległy ręczniki i spodnie, czasem też poduchy, a na nich łokcie ciekawskich dziadów i bab.

Tuż obok parku, pomiędzy szkołą muzyczną a siedzibą Caritasu, stały dwa busy – biały transit na lokalnych blachach oraz dużo nowszy, kanarkowo żółty renault na śląskich. To właśnie z tego drugiego wypakowywano proszki do prania, płyny do mycia naczyń, mydła, szampony, spraye przeciw komarom i opakowania po sześć rolek papieru toaletowego. Na pace stał mężczyzna w ciemnych okularach przeciwsłonecznych i podawał pakunki wolontariuszom.

– Nie ciemno mu tam w tych okularach? – zdziwił się Józek.

– To mój tata – odparł spokojnie Grzesiek.

– O, patrz, a tam jest twój znajomy. – Darek pokazał palcem na wielkiego mężczyznę stojącego kilka metrów dalej. – Widać przeżył bez twojej pomocy.

Mietek w obwisłych spodniach i podkoszulku na ramiączkach grzebał właśnie w stosie wyrzuconych rzeczy. Był spocony, jego porośnięte włosami ramiona lśniły w słońcu, na jasnym materiale rysował się od wilgoci ciemny kształt przywodzący na myśl obrazek z testów psychologicznych.

W pewnym momencie olbrzymowi spodobał się stary radioodbiornik – najpierw wytarł go brudną szmatą, a potem włożył do stojącego obok dwukołowego wózka.

Józek pamiętał ten wózek, widział go w bramie, zanim weszli do jamy trolla. Tyle że wtedy była to w zasadzie pordzewiała rama z kółkami. Teraz wózek dorobił

się równo zamocowanych, jednakowych drewnianych ścianek. Może nie wyglądał na nowy, ale z pewnością na zadbany.

– No może podejdiesz i się przywitasz, co? – zadrwił Darek.

– Wal się.

– Chodźcie! – zawołał Grzesiek. – Tato, chodź na chwilę. Przyprowadziłem chłopaków.

Mężczyzna w okularach wychylił się z samochodu, łapiąc się rękami za krawędź dachu, jakby miał zamiar się podciągnąć.

– Jakich chłopaków? – zapytał.

Józek zdał sobie sprawę, że Darek puszcza go nieco przodem, pewnie ciekaw, jak się zachowa w spotkaniu z niewidomym.

No to się rozczarujesz, pomyślał z satysfakcją.

– Mam na imię Józek, proszę pana – powiedział wyraźnie. – Jestem kolegą Grześka i kuzynem Darka, który też tu z nami przyszedł.

– Dzień dobry, panie Szczęśny.

– A cześć, Dareczku, cześć! – Tata Grześka zareagował, gdy syn dotknął go w nogę – położył prawą rękę na jego głowie i przykucnął. Lewą dłoń oparł na podłodze i powoli usiadł, spuszczając nogi na ubłocony asfalt. Wsparty na ramieniu syna, stanął pewnie, a potem, zsunąwszy dłoń aż do łokcia Grześka, ścisnął lekko, dając znać, że mogą podejść. Chłopak ruszył w stronę Józka.

– Edward. Miło mi cię poznać – powiedział tata Grześka, wyciągając rękę.

– Mnie również jest miło – odparł Józek, ściskając jego dłoń. Ledwie się odezwał, głowa pana Szczęśnego drgnęła, korygując ukierunkowanie twarzy względem twarzy rozmówcy.

Pan Szczęśny przywitał się z Darkiem i poprosił syna, by się trochę przesunęli, bo blokują przejście pomagającym. Rzeczywiście grupka wolontariuszy nie przestawała kursować i rozładowywać busa. Józek przyjrzał się szczególnie uważnie dwóm dziewczynom: drobnej szczupłutkiej blondyneczce o włosach obciętych do linii szczęki i jej koleżance, wysokiej brunetce, czaplej takiej, jak powiedziała by dziadek Filip, ładnej nawet mimo końskiej szczęki.

– Dziewczyny, pozwolicie na moment? – zagadał pan Szczęśny. – Wiem, że tu jesteście, wasze perfumy są dla mnie w tym okropnym smrodzie niczym promień

słońca.

Ta, perfumy, pomyślał Józek. Dezodorant co najwyżej.

– Daga – przedstawiła się blondynka.

– Józek.

– Darek.

– Marylka. – Brunetka wyciągnęła rękę.

– Józek.

– Darek.

– My się znamy. – Dziewczyna zachichotała i ten chichot już nijak nie brzmiał uroczo. – Do przedszkola chodziliśmy razem. Papierniczego, tu...

Darek, w jednej chwili czerwony, łypnął na kuzyna.

– Spoko, stary, też kiedyś chodziłem do przedszkola – zapewnił Józek, a potem aż przygryzł policzek, by nie dorzucić do tego złośliwości, w stylu „ale ja już wtedy bez pieluchy”. Tę zasadę wpoił mu ojciec: obrazić faceta to jedno, obrazić przy kobiecie to coś zupełnie innego.

– W środku są jeszcze pan Wiktor, pan Mareczek, pani Natalia, pani Olga i Laura.

Na dźwięk dwóch ostatnich imion Darek aż drgnął i Józek nie potrzebował spoglądać na Grześka, by wywnioskować, że nie jest to zbieżność imion. Pewnie pani Olga była mamą Laury.

– Są też pączki, ciastka i herbata. Wszystko w sam raz na przerwę, gdy już rozładujemy oba auta. Co wy na to?

Nie mieli nic przeciwko. I dziwnym zrządzeniem losu właśnie w tym momencie pan Mareczek, jak się okazało, właściciel i kierowca białego busa, zarządził wraz z Wiktorem, kierowcą żółtego, że czas na przerwę obiadową.

– To ja bym na chwilę do domu poleciała – powiedziała Daga. – To tu zaraz, więc zajmie mi dziesięć minut. Marylka, idziesz?

– Jak to jest, że dziewczyny wszędzie chodzą razem? – zapytał, patrząc za nimi Grzesiek. – Nawet do łazienki.

Pan Szczęsny westchnął.

– Gdy w końcu odkryjesz, ile baby mają tajemnic i sekretów, chłopie, ten fakt będzie cię dziwić najmniej. Uwierz staremu ojcu. – Dał im kilka sekund, by

przetrawili te słowa, po czym klepnął się otwartą dłonią w udo. – No dobra, leszcze, to który chce paczka na kredyt?



– O, cześć – powiedziała Laura, zerkając przez ramię z drabiny, gdy tylko weszli na półpiętro do pomieszczeń Caritasu. I nie byłoby w tym niczego złego czy dziwnego, gdyby nie skierowała tych słów do Józka. Ten natychmiast poczuł na sobie zaskoczone spojrzenie kuzyna, ale – z czego właśnie zdał sobie sprawę – jeśli miał ukrywać, że wie o czymkolwiek, musiał też zrobić z siebie idiotę. Zniósł więc spojrzenie dzielnie, odpowiadając krótkim „cześć” i nie wdając się w szczegóły znajomości. Zresztą ile zdań wczoraj ze sobą zamienili podczas działań pod stadionem? Ze cztery? Potem Laura poszła pomagać w domu, a on dalej mocować worki. Nic poważnego. Nic, z czego w normalnej sytuacji musiałby się tłumaczyć. No ale to najwyraźniej nie była normalna sytuacja.

– Cześć, Laura – rzucił niby lekko Darek.

Dziewczyna obejrzała się jeszcze raz. Potrzebowała pięciu sekund, by odnaleźć jego twarz w pamięci. Gdy jej się udało, uśmiechnęła się szeroko.

– A, Darek. – Ściszyła głos. – Dzięki za niedzielę. Mało brakowało.

– Spoko, jasne, nie ma sprawy. – Darek znowu poczerwieniał, niby podobnie, a jednak zupełnie inaczej. – Pomóc ci z tą żarówką?

– Możesz przytrzymać drabinę. Z resztą dam sobie radę.

Józek, uznawszy, że możliwy kryzys z kuzynem został przynajmniej chwilowo zażegnany, rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyglądało na coś w stylu gabinetu pierwszego kontaktu. Stały tam dwa biurka, dwie metalowe szafki z dokumentacją i komputer z przestarzałym monitorem na osobnym, trójnogim stoliczku, teraz ledwie widocznym zza reklamówek z adresami. Przypominały trochę Józkowi paczki mikołajowe wydawane kiedyś u taty w zakładzie na imprezach.

Na prawo, za kolejnymi dwuskrzydłowymi drzwiami, za którymi właśnie zniknęli obaj Szczęśni, znajdował się gabinet zabiegowy z krzeselkiem, stojakiem z kroplówką, szpitalnym łóżkiem i trzema przeszklonymi szafkami leków, igieł oraz opatrunków. Tam, gdzie tylko było choć trochę miejsca, leżały jeszcze niepopakowane rzeczy. Środki czystości, puszki z kukurydzą i fasolą, chińskie

zupki, wafelki, zgrzewki napojów, wody gazowanej, biszkopty i suchary. Te ostatnie bardzo rozbawiły Grześka.

– Jak ci za twardego sucharek, wystawiasz łapę za okno, moczysz w powodziówce i masz. Idealne!

Józek nawet się uśmiechnął, pan Szczęsny powiedział natomiast, że jest głupi i po kim on to ma.

– No ja się nie dziwię, że nie zauważasz podobieństwa – powiedziała jakaś kobieta, wyłaniając się z pokoiku na zapleczu. Puściła oko do Grześka, a on się uśmiechnął. – I głupi nie głupi, ale wsparcie sprowadził. Miło was widzieć, panowie. O, a ciebie nie znam. Cześć. Mam na imię Natalia i będę waszym pierwszym oficerem na tej łajbie.

Wyciągnęła rękę, którą Józek ujął niezręcznie, niepewny, czy uścisnąć, czy pocałować.

– Józef.

Grzesiek parsknął.

– Żaden Józef, proszę pani. Józek.

– A ty co, kolega adwokata potrzebuje? To w końcu jak, panie nowy kolego. Józef czy Józek? A może Józef K.?

– Może być Józek, proszę pani – odparł Józek. – Tylko proszę, nie Józwa.

Pani Natalia zasalutowała.

– Tak jest. To co, po paczku i do roboty? – zapytała. – W pierwszej kolejności trzeba wyładować samochody, a potem roznieść te paczki po mieście. Na razie rozdysponujemy według naszych pacjentów i tych, co najdalej. Później dostaniemy jeszcze dodatkowe listy z OPS-u. Rozumiem, że macie czas?

– Tak, proszę pani – powiedział Grzesiek.

Józek tylko wzruszył ramionami.

– Wakacje są – rzucił.

I niemal w tym samym momencie rozległ się krzyk Laury z drugiego pomieszczenia. Józek miał najbliżej – rzucił się w tamtą stronę i wyskoczył zza drzwi, akurat by zobaczyć, jak Darek nieporęcznie łapie dziewczynę, której między szczeble wplątała się sznurówka. Pociągnął ją i uwolnił, ale szarpnięta drabina poleciała na bok. Józek nie zdążył uskoczyć.

LUŻNA KARTKA

Zszedł do miasta i po prostu słuchał ludzi. Ta sprawa była nietypowa, pierwszy raz miał do czynienia z takim przypadkiem. Zdecydowanie nie pomagało też, że nie wierzył w powodzenie zadania, bo możliwości było zwyczajnie za dużo i nawet nie wiedział, od czego zacząć. W pewnym momencie będzie musiał – zdawał sobie z tego sprawę – zmienić buty i ruszyć linią brzegową w górę rzeki, ale jeśli tylko istniała szansa, żeby tego uniknąć, to zamierzał się jej chwycić.

Dlatego teraz stał między ludźmi obok mostu, a dociśnięta plecakiem koszulka lepiła mu się do pleców, gdy patrzył na rozszalałą wodę. Nie odzywał się, po prostu słuchał.

A ludzie mówili dużo. Relacjonowali zdarzenia z wczoraj, żalili się na straty i przekazywali plotki. Wyjątkowo głośna i wulgarna grupka dwudziestoparolatków rozprawiała na temat Czechów i ich egoizmu. Znaleźli się i tacy, co otwarcie mówili, że to zdrada i Polska powinna zerwać z Czechami stosunki dyplomatyczne. Pogratulował sobie w duchu, że wcześniej się nie odezwał. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to wzbudzanie czyjejś agresji.

Ludzie mówili. Głośno, cicho, z ekscytacją, pewni siebie, wzburzeni, spokojni, mężczyźni, kobiety, dzieci, spikerzy z radia na baterie. Mówili, a on słuchał. O pobliskiej Nysie zalanej wodą, o wciąż istniejącym zagrożeniu przerwania tamy w Jarnołówku, o ewakuacji kolonistów z Pokrzywnej i o tym, że dziś rano miasto straciło łączność telefoniczną z resztą kraju. Ktoś znalazł jakieś szmaty, przekonany, że to człowiek, a zadławiona łańcuchem koza zaczepiła o filar mostu. W kościele szykowano nabożeństwo przebłagalne za grzechy. Przyjechała pomoc, dary z całej Polski; i znów władze rozkradną. W Kłodzku jest gorzej, ale tam to trzeba być idiotą, by się osiedlić, bo nieszczęście gwarantowane. I tylko naszego basenu szkoda, bo pięknie był położony. Trzeci w Europie pod względem umiejscowienia. Nagrody nawet zbierał. Ech...

Z oczywistych względów najbardziej przyciągały jego uwagę wszystkie znaleziska i skarby wyrzucone przez wodę. Liczył, że to oszczędzi mu pracy, jednak nie usłyszał niczego ciekawego. Nie interesowały go wszak rowery, nawet nowe z przerzutkami, kolekcje ciuchów jeszcze na wieszakach, regały z książkami,

srebrne kielichy sakralne ani dziecięce wózki, niezależnie, z zawartością czy bez. Nie interesowały go też auta – to, którego szukał, już znaleziono po czeskiej stronie granicy.

Stał najpierw tam, a potem na spacerowej alejce blisko godzinę, raz czy drugi ośmielając się zagadnąć gapiów na temat interesującej go sprawy. W końcu uznał, że taka zabawa nie ma sensu, znów przekroczył most i ruszył prawym brzegiem w górę rzeki. Był ciekaw, jak daleko uda mu się dojść suchą nogą.

GRZESIEK

To Kacper uparł się, żeby poszli huśtanym, nawet gdy już usłyszał całą historię z wczoraj.

Zjawił się pod Caritasem, akurat gdy Grzesiek z Darkiem wychodzili objuczeni pierwszym ładunkiem. Każdy z nich miał plecak i po dwie reklamówki.

– Może rozejrzemy się za Mietkiem i jego wózkiem, co? – zaproponował Darek, najwyraźniej niepokieszony tym, że on musi iść, a Józek może sobie spokojnie leżeć na łóżku z zabandażowanym czołem, wpieprzać ciastka i gapić się na Laureę. – Po drodze będzie miał przecież. Coś mu odpalimy, w końcu też potrzebujący, nie?

Grzesiek nie zdążył odpowiedzieć, bo wtedy właśnie zza węgła wychylił się Kacper w postrzępionych dżinsach i tiszercie z popękanym Rambo z zaprasowanki. Włosy związał sobie chustą Marlboro, a w prawej ręce trzymał książkę, którą pewnie czytał po drodze, jakimś cudem omijając nie tylko słupy, ale też nadchodzących z przeciwka przechodniów.

– No nie, nie można przejść przez to miasto, żeby was, palanty, nie spotkać – powiedział. – Myślałem już, że was zmyło, i mam spokój.

– To ty, koleś, mieszkasz na Zabiałczu bez wody, gazu i mydła – zripostował Grzesiek. – Czuliśmy już, że idziesz, gdy schodziłeś z mostku.

Kacper podszedł bliżej i zajrzał do reklamówek Darka.

– Gdzie to niesiecie?

– Na koniec Andersa, aż pod trzysta schodków.

Kacper zagwizdał.

– No to kawałek. Słyszeliście, że tam podobno most zmyło? Na wodospadzie, znaczy przy trzystu schodkach. Ktoś mówił, że stoi teraz wzdłuż rzeki. Gdzie nowy?

Grzesiek z Darkiem wymienili spojrzenia i obaj wybuchnęli śmiechem.

– No dalej, co w tym takiego śmiesznego?

– A to, że drabina na niego spadła i jebła go w czoło – powiedział Grzesiek. – Leży teraz na kozetce.

Kacper wziął po jednej reklamówce od każdego z chłopaków. Książkę schował do skrzynki na listy zawieszanej przy drzwiach Caritasu, upewniwszy się wcześniej, że da się ją otworzyć nawet bez klucza.

– No to opowiadajcie – odezwał się w końcu. – Wszystkie szczegóły...

Skręcił w prawo, w stronę Amorka.

– Nie, nie tędy – szybko rzucił Darek.

Kacper przystanął.

– To którędy chcecie iść? Saperskiego nie ma. Przez Andrzeja? Naokoło? Powaliło was? Szast-prast huśtanym albo tym na górze i będziemy. Też kawałek, ale mniejszy.

Chłopcy znowu wymienili spojrzenia i właśnie wtedy, z ociąganiem, za to szczerze i uczciwie, streścili wczorajsze starcie z Cyganem. Kacper kiwał głową ze zrozumieniem przez większość historii, a na koniec splunął na ziemię.

– Kurwa, to licealiści, nie pieprzeni ninja. Co wy myślicie, że ich tam w ogólniaku karate uczą? Chodźcie, nie róbcie jaj.



Na moście huśtanym nie wisiało już drzewo, a i sama woda, choć wciąż rwąca, zeszła o dobre pół metra. No i Grzesiek musiał przyznać, że w blasku i żarze lipcowego słońca nie wyglądała już tak groźnie. Tylko łąki w wodzie, działkowe altanki zalane do okien i strażackie szwy na pękniętym murze kilka metrów dalej przypominały o skali wydarzenia.

– Wodny świat – rzucił Kacper, przystając na środku mostu.

– Tak, gadaliśmy o tym wczoraj – odpowiedział Darek, poprawiając plecak. – Józek chciał być żeglarzem bez imienia.

– Jakbym miał na imię Józek, też bym chciał. Kurde, zapaliłbym.

Przeszli przez most i po pokonaniu dwudziestu metrów wąskimi ścieżkami wydrążonymi w błocie dotarli pod ciąg kamienic. Grzesiek zauważył, że wszystkie okna domu olbrzyma są otwarte, a w jednym jest wybita szyba.

– Myślicie, że ktoś się włamał? – zapytał.

– Do Mietka? – zadrwił Darek. – I co miałyby stamtąd zwinąć? Puste flaszki po komandosie?

– Poczekajcie, zapytam, może ma jakieś fajki. – Kacper położył reklamówki na w miarę czystym kawałku chodnika.

Grzesiek potrząsnął głową.

– Ale Mietka przecież nie ma. Widzieliśmy go pod Caritasem z tym jego wózkiem.

– No to sprawdzę sam. Nie obrazi się – odparł Kacper i podbiegł truchtem do okien. Zajrzał do środka. – Halo, jest tu kto? Halo?!

– A czego wy tam chcecie od Miecia, hę?

Grzesiek zadarł głowę i na pierwszym piętrze zobaczył przyglądającą im się pomarszczoną starowinkę, rozłożoną na wielkiej, różowej poduszce.

– A nic, proszę pani – odparł rezolutnie Kacper. – My z pomocą, z Caritasu. Dary dla powodzian mamy.

– Ale że tutaj? – zdziwiła się staruszka. Mówiła głośno, z lekkim wschodnim zaśpiewem. Trochę tak Grzesiek wyobrażał sobie Babę-Jagę z dawnych bajek. – Tu cała ulica się wyprowadziła. Oni teraz przeniesieni.

– Mietek też? – zapytał Kacper.

– A z nim to nigdy nic nie wiadomo. On to zawsze dziwny był, śmieci do domu znosi, smrody gotuje. – Kobięcina machnęła kościstą ręką, co wymagało od niej uniesienia się na poduszce. Machnąwszy, opadła łokciami w puch. – Ale poza nim to wszyscy. Ja już też tylko na wnuczka czekam. Tak po prawdzie to nie wiem, jak on tu po mnie dojedzie.

– No, na razie to nie dojedzie – powiedział Grzesiek, podchodząc bliżej. – Bo jeszcze się nie da. Może na plecach panią przeniesie.

Zajrzał do mieszkania i zobaczył mokry, brudny materac, utyłany w błocie, ziemisty, lśniący jak gówno barłóg pościeli, stos deseczek i drzazg, pogiętych metalowych kątowników, na narzędzia rozłożone w czymś na kształt wyjątkowo nieudolnego rytualnego kręgu. Obok widniały błotniste ślady, jakby ktoś próbował czyścić to wszystko szmatą. Śmierdziało jak wcześniej, ale teraz mieszaną zapachów zdominowała ziemista woń błota.

– A co wy tam, złociutcy, macie w tych paczkach? – zapytała staruszka i nagle chytrość w jej tonie jeszcze pogłębiła Grześkowe skojarzenie z bajkową wiedźmą.

– A takie tam. – Kacper machnął ręką. – Pod wodospad niesiemy, na koniec ulicy. – Odwrócił się do Grześka i dodał już ciszej – Chodź, męczy mnie jej skrzeczenie.

Wrócili do Darka, który stał na straży paczek z czujnością nadgorliwego szeregowca na pierwszym patrolu. Nie ruszył się nawet na krok, wciąż rozglądając się nerwowo.

– A ty co taki nerwowy jak biały na Bronksie? – zadrwił Kacper. Podniósł reklamówki. – Chodźcie. Miejmy to już za sobą, bo zaraz się roztopię w tym smrodzie i skwarze.

JÓZEK

W zasadzie miał szczęście. Drabina uderzyła go w głowę nie ostrym czubkiem, tylko płasko, niczym obuchem. Owszem, rozcięła skórę, jednak rana nie wymagała szycia. Bolało jak cholera, zwłaszcza śliwa, i łeb mu pulsował, lecz gdy zapytali, czy mu niedobrze, Józek zgodnie z prawdą przyznał:

– Bywało lepiej, ale mdłości nie mam.

Strasznie tym rozbawił tatę Grześka i jeszcze jedną kobietę, brunetkę, elegancką mimo dresu i z twarzy podobną nieco do prezydentowej. Jak się okazało, panią Olgę, mamę Laury.

Opatrzono mu ranę, poświecono latarką w oczy i sprawdzono ruchy źrenic. Wyglądało na to, że nie ma wstrząsu, jednak pani Natalia zaleciła, by sobie poleżał. On z kolei uparł się, żeby nie informowali mamy ani dziadków.

– No to widzi mi się, że na razie dostałeś paczki za friko – powiedział pan Szczęsny. Śmiesznie brzmiało to „widzi mi się” w jego ustach. – Zostaniesz tu z nami, a chłopaki polecą z pierwszą turą, dobrze, chłopaki?

Grzesiek i Darek przytaknęli, choć ten drugi najchętniej zamieniłby się miejscami z kuzynem. Nawet gdyby kosztowało go to rozcięcie łba. Józek wyraźnie zobaczył w oczach Darka coś jakby żal, że ukradł mu jego moment, jego chwilę. Laura, wyraźnie przejęta, siedziała teraz na obrotowym stołku obok łóżka, trzymając w rękach puste opakowania po bandażu i gazie.

– Ale ja mogę iść – zaprotestował Józek. – Nic mi nie jest.

– Oczywiście, że nic ci nie jest, twardzielu. – Zaśmiała się pani Natalia. – Tym bardziej nic ci nie będzie, jak chwilę poleżysz.

Poleżał więc kwadrans, a potem zwłókł się z łóżka, by pomóc pakować paczki. Laura w kilku słowach wyjaśniła mu, jaki opracowali system.

– Na razie nie ładujemy więcej puszek z fasolą i kukurydzą, bo ludzie ponoć i tak nie mają gdzie gotować – wyjaśniła. – Teraz ważne są środki czystości i to, co może się popsuć, albo... No wiesz, chleb i te sprawy.

– Jasne.

– Sprawdzaj daty ważności, bo dużo rzeczy jest po terminie. Jak coś jest blisko, to tu masz pisak, zaznaczaj. – Przerwała i uśmiechnęła się. – Dobrze zapamiętałam, że nie jesteś stąd, nie?

– Z Chorzowa – odparł. – Na wakacje przyjechałem.

– No to masz wakacje. Niezapomniane. – Zaśmiała się.

Miała równiutkie, białe zęby, piegi skupione na czubku nosa i dołeczek w lewym policzku. Gdy się śmiała, lewy kącik ust unosił się nieco wyżej niż prawy, przez co grymas wydał się przekorny, zawadiacki. Józek już wczoraj uznał ją za ładną. W tym momencie zaczynał chyba rozumieć, co się na tę ładność składało. Do tego jeszcze zapach. Lekka, przyjemna woń ni to malin, ni cytrusów. Żadna ze znanych mu dziewczyn, nawet z tych, które umawiały się ze starszymi chłopakami i podkładały perfumy matkom oraz starszym siostram, nie pachniała tak ładnie. Dziewczęco i dorośle zarazem. Poczł mrowienie w podbrzuszu i ścisnął penisa udami, żeby się nie skompromitować.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał.

– W Głuchołazach?

– Nie, tu, w Caritasie.

– Ach. – Odrzuciła warkocz na plecy. – Moja mama zna się z panią Zofią, szefową. Wczoraj pani Zofia była u nas zobaczyć, co się dzieje. Mama stwierdziła, że chciałaby się jakoś odwdzięczyć ludziom za to, co wczoraj robili... Znaczą robiliście.

– Robiliśmy. Ty też przecież – poprawił ją Józek.

Laura machnęła ręką.

– No też, ale my walczyliśmy o nasz dom, a inni nie. W każdym razie przyszliśmy dzisiaj tutaj, a tata z bratem pomagają przy samochodach na Jagiellońskiej Kolonii. Trzeba się wspierać, nie?

Przytaknął i zabrał się do kolejnej paczki. Wkładał właśnie opakowanie wafelków kakaowych obok butelki dziecięcego szamponu, gdy poczuł na karku spojrzenie Laury. Odwrócił się.

– Słuchaj, to może głupie, ale znasz się na komiksach? – zapytała.

Zdziwiony zmarszczył brwi i syknął cicho, bo zapiekło go rozcięcie pod bandażem.

– Trochę się znam – powiedział, nie wiedząc, jaka jest w zasadzie bezpieczna odpowiedź. – A co?

– A nic, bo Darek przed chwilą, zanim, no wiesz. – Zakręciła palcem wskazującym w powietrzu, co mogło znaczyć wszystko. – No powiedział, że przypominam mu postać z komiksu. Jakaś poison...

– Poison Ivy, Trujący Bluszcz – wypalił szybko i zaraz poczuł, że się czerwieni. Zdał sobie sprawę, że nie chce wyjść przed nią na jednego ze stereotypowych dzieciaków czytających komiksy, grubych okularników jak z *Zemsty frajerów*.

Laura jednak tylko pokiwała energicznie głową.

– No właśnie ona! Nie znam jej zupełnie. Powiesz mi, kto to?

– Przeciwniczka Batmana, umie kontrolować rośliny, wiązać bluszczem i truje pocałunkiem – wyjaśnił szybko, a po namyśle dodał: – Jest bardzo ładna, zgrabna. I ruda.

– No tak. – Choć bardzo się starał, Laury najwyraźniej nie ucieszyło to, co usłyszała. – Ładna, zgrabna ruda przeciwniczka Batmana. I pewnie do tego głupia i leci na niego jak ta cała... Jak jej było? Kobieta-Kot?

– Poison Ivy nie jest głupia. Ma doktorat z botaniki. Zresztą Kobieta-Kot też nie jest głupia! To najlepsza złodziejka w mieście i nieraz przechytryła Batmana!

Gdzieś w połowie tych wypowiedzianych szybko słów dotarło do niego, co wyprawia. Zupełnie jakby stanął obok niczym duch i zobaczył, jak robi z siebie idiotę. Był jak jedna z tych postaci z kreskówek, która wybiega za skraj przepaści i jeszcze chwilę biegnie w powietrzu, zanim się zorientuje, że już powinna spaść i rozbić sobie łeb. Mimo to skończył zdanie i wypowiedziawszy je, nie spuścił wzroku.

Laura przyglądała mu się z lekkim uśmiechem.

– Przechytrzenie Batmana to takie halo? – zapytała w końcu. – I okej, skoro ma doktorat, to w porządku. Po prostu trochę mnie wkurza, gdy słyszę, że wyglądam jak jakaś głupia aktorka czy postać.

Skinął głową z poważną miną, ale nie odpowiedział.

– No już, nie dąsaj się. – Podeszła i dźgnęła go palcem w pierś. – Chętnie poczytam o tej Poison Ivy i jej truciu pocałunkiem. Kojarzy mi się z jedną piosenką Alice'a Coopera. Znasz *Poison*?

– Tak – skłamał odruchowo, jednak po chwili się zawahał. – A nie, czekaj, chyba nie.

Laura odłożyła trzymany w ręce nowiutki zestaw pościeli zapakowany w folię.

– Mój tata jest fanem. Poczekaj, puszczę ci – powiedziała, przechodząc do drugiego pomieszczenia, skąd zaraz dobiegł jej głos: – Mamo, gdzie jest mój walkman?

Wróciła z czarną kostką z logo Panasonica i rachitycznymi słuchawkami z naddartą gąbką. Pod pachą niosła gruby zeszyt z czarną okładką.

– Tu mam teksty piosenek, próbuję sobie tłumaczyć – wyjaśniła. – Nie wiem, jak znasz angielski.

– Trochę – mruknął.

– No to tu masz tekst, a tu... – Otworzyła klapkę z kasetą, by upewnić się, że taśma jest na właściwej stronie, po czym założyła słuchawki i szybko przewinęła na właściwy utwór. – Masz, posłuchaj. Tu się daje głośniej. Ja skoczę do łazienki.

Józek wcisnął play i poleciały pierwsze dźwięki. Ściszył trochę i szybko przekartkował zeszyt. Znalazł tekst *Poison* zapisany równiutkim, starannym pismem i obok dopisane ołówkiem tłumaczenie:

Twoja maszyna okrucieństwa

Twoja krew jest jak lód

Jedno spojrzenie, by zabić

Mój ból daje ci dreszcze

Chciałbym cię kochać, ale lepiej nie dotykać

Chciałbym przytrzymać, ale moje zmysły krzyczą „przestań”

Chciałbym cię pocałować, ale aż za bardzo

Chciałbym posmakować, ale twoje usta to jadowita trucizna.

Józek poczuł, że stają mu włoski na rękach. Muzyka wypełniała jego uszy, zeszyt pachniał perfumami Laury, tekst polski, choć nie pasował rytmicznie, wślizgiwał się w miejsce angielskich słów. Miał wrażenie, że słyszy kobiecy szept.

Jesteś trucizną, która płynie w moich żyłach.

Jesteś trucizną

Nie chcę zrywać tej więzi.

Nie zareagował, gdy piosenka się skończyła. Dopiero gdy zaczęła się następna, uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Laury. Ściągnął słuchawki.

– Fajne, nie? – zapytała. Na policzku znowu pojawił się ten dołeczek.

– Fajna? Zajebista! – powiedział stanowczo za głośno, więc szybko kaszlnął w dłoń.

Laura się zaśmiała.

– Trochę o tej waszej Poison Ivy, nie? Myślisz, że Batman mógłby coś takiego zaśpiewać?

– Myślę, że tak – odparł, a po namyśle dodał z większą pewnością: – Tak. I wiesz co? Myślę, że to Batman mógłby lecieć na Poison Ivy.

Puściła do niego oko.

– Mówisz?

GRZESIEK

– Pieprzę to. Nikogo tu nie ma – warknął Darek, odkładając reklamówki i ocierając pot z czoła. Rozchylił torbę, wyłowił z niej butelkę wody gazowanej, odkręcił i zaczął pić.

– Ej, to dla powodzian – oburzył się Grzesiek.

Darek pokazał mu tylko faka.

– W sumie to on też jest powodzianin – stwierdził Kacper. – Wszyscy jesteśmy w tym cholernym mieście. I będzie mniej do noszenia z powrotem.

Stali tuż przy furtce ostatniego domku na ulicy Andersa. Mały, parterowy, o spadzistym dachu, przylegał do ściany lasu zrujnowanym, rozmokłym podwórkiem, po którym walały się połamane klatki dla królików, deski i napuchłe ścinki płyt pilśniowych.

Teraz, kiedy z oddalonej o sto metrów rzeki faktycznie zerwało most, można było uznać to za koniec świata. By tu dotrzeć, musieli wyjść z normalnej, gęstej zabudowy, spośród domków jednorodzinnych wieczorami oświetlonych światłem latarni, i pokonać trzysta metrów pomiędzy lasem a betonowymi basenami wodociągów. W dzień nie robiło to wrażenia, ale nocą? Grzesiek wyobraził sobie, że tu mieszka i pewnego dnia zmuszony jest wracać po zmroku. Najlepiej jeszcze po obejrzeniu jakiegoś horroru.

– Może komuś to zostawimy? – zaproponował Kacper, biorąc od Darka butelkę.

– Szczerze, to nie chce mi się tego tachać z powrotem.

Grzesiek potrząsnął głową.

– Nie możemy zostawiać sąsiadom, nie możemy zostawiać pod drzwiami – przypomniał słowa pani Natalii. – Paczki mają trafić w konkretne ręce.

– No to dawaj te ręce, w które mogę to wsadzić – powiedział Kacper. Upił solidny łyk, otarł usta przedramieniem. – Stary, ja naprawdę nie chcę nikomu zajebać mąki czy tam czegoś, ale jest ze trzydzieści stopni, majtki lepią mi się do dupy.

Grzesiek westchnął. Wlepił wzrok w ruiny dawnej hali sportowej z czerwonej cegły i boisko porośnięte przyznanymi wodą chwastami. Przypomniał sobie, jak

często bawili się tam w strzelanego, wspinali na komin albo ganiali po dziurawym dachu. Przestali, gdy Kacper wpadł w dziurę, zapadł się po pachy i mało nie wylądował na zdemolowanym parkiecie dziesięć metrów niżej.

– No dobra, ale w tych domach wcześniej też nikogo nie było – powiedział po namyśle. – W ogóle widzieliśmy jedynie typa z plecakiem, co szedł w las.

– Tym bardziej możemy to tu zostawić, nikt nie weźmie... Ej, a ty gdzie?

Darek nawet się nie odwrócił.

– Nad rzekę, popatrzeć – powiedział. – Zaraz wracam.

Grzesiek myślał jeszcze przez chwilę. W końcu potrząsnął głową.

– Nie, nie zostawimy tego na progu. Obiecałem tacie i...

– Dobra, pieprzyć. – Kacper splunął na bok, po czym nagle zastygł, wyęzając słuch.

– Co? Co jest?

Kacper przyłożył palec do ust i przysunął się bliżej domku.

– Tam ktoś jest, w środku – wyszeptał.

– I co, chowa się przed nami?

– Cholera wie. – Wzruszył ramionami i dodał już głośniej: – Ej, zobacz, to okno jest chyba uchylone. Może przez nie byśmy wstawili te torby?

Ostatnie zdania powiedział przesadnie głośno. Grzesiek podłapał w mig, do czego kolega zmierza.

– Tak, wstawmy! Dzięki temu nie będziemy musieli tego nosić, a ludzie się ucieszą!

Przypominało to durny teatrzyk i Grzesiek czuł się jak ostatni krety, choć też uważał, że to lepsza opcja niż tachanie wszystkiego z powrotem do domu.

– Dobra, podaj mi to. – Kacper wszedł na podwórko, zupełnie nie przejmując się błotem. Obciążony dwiema torbami, zapadał się po kostki i każdy krok stanowił wyzwanie. Gdy stanął pod oknem, zapukał w nie cicho i przysunął ucho.

– Na bank ktoś tam jest – powiedział. – Śpi, bo słyszę chrapanie. Jezu, ale śmiesznie, jak warkot kosiarki. Dawaj te torby.

Pchnął okno, otwierając je szeroko, akurat kiedy Grzesiek minął bramkę – jedyną pozostałość po ogrodzeniu – i wszedł na obluzowaną chodnikową płytę wiodącą do drzwi. Darek zatrzymał się, odwrócił i zdziwiony zawołał:

– Ej, co wy tam, do cholery...

Tyle zdążył. A potem Grzesiek zobaczył czarny kształt wypadający z domu.

Pies, wielkie czarne bydlę o obnażonych kłach, pieprzona warcząca góra mięśni z jednej z tych zabójczych ras, doberman czy rottweiler, jednym susem wyrwał się przez otwarte okno.

Zaskoczony Kacper przywarł do ściany, a Grzesiek zamarł, czując, jak kolana robią mu się miękkie. Zwierzak tymczasem wylądował na błocie, pośliznął się, wywrócił i zaraz się poderwał. Zaboksował łapami w miejscu i warcząc, pognął przed siebie, prosto na cel, który miał dokładnie przed sobą. Na Darka.

Ten, trzeba mu przyznać, zareagował całkiem sprawnie. Nie sparaliżowało go. Rzucił się do ucieczki, pędząc w stronę porastających brzeg gęstych chaszczki. Choć gnał najszybciej, jak potrafił, choć jakimś cudem nie upadał, nie ślizgał się, przyglądający się gonitwie Grzesiek i tak wiedział, że to beznadziejne. Dystans między Darkiem a psem zmniejszał się z każdą chwilą, brakowało już tylko metrów. Jedynym ratunkiem wydawały się zarośla.

DAREK

Ledwie poczuł tę pierwszą gałązkę, która chlasnęła go w twarz, rozcinając skórę i tylko cudem mijając oko. Odruchowo wbił głowę w ramiona, pochylił się nieco i wyciągnawszy ręce przed siebie, biegł przez pokrzywy, krzaki, między pieńkami grubymi jak słupy ulicznych latarni. Słyszał za sobą warczenie psa, mimo szumu wody, szumu adrenaliny w uszach. Słyszał łapy plaskające o błoto.

Kolejne gałązki siekały go bezlitośnie po rękach, nogach i twarzy. Nie wiedział, co spływa po jego skórze, krew czy pot. W piersi czuł rozżarzone węgle rozogniające się z każdym oddechem, a mózg podpowiadał mu najgłupsze rzeczy. Mówił, żeby zamknął oczy, mówił, żeby skręcił, mówił, że zaraz umrze, zaraz, kurwa, umrze!!!

Nagle tuż nad głową zobaczył sporą gałąź. Konar rosnącego nieopodal drzewa wyglądał na stary, ale Darek nie miał czasu na zastanowienie. Podniósł ręce, złapał i mocno się podciągnął. W samą porę.

Rozpędzony pies śmignął pod nim, nie zdążywszy wyhamować, przebiegł siłą rozpędu i wypadł z chaszczy wprost na śliski, rozmokły brzeg, opadający ku spienionej wodzie.

Psie łapy zatańczyły w błocie, zwierzak szarpnął się, tocząc nierówną walkę z błotem i grawitacją.

Darek patrzył na to przytulony do gałęzi. Patrzył, przypominając sobie, jak oni ślizgali się po błocie, zjeżdżając z górki papierniczej. Ale wtedy na dole nie było rzeki. Wtedy grawitacja była wsparciem. W głowie wciąż słyszał szum: wody, adrenaliny, serca pompującego krew z taką mocą, że wprowadzało w rezonans całe ciało.

Pies walczył. Coraz bardziej desperacko, coraz bardziej bez nadziei na powodzenie. Osuwał się z każdym ruchem, szarpał, piszczał, rył łapami mokrą ziemię.

Nie szczeknął, pomyślał nagle Darek. Ani razu nie szczeknął. Tylko warczał, a teraz piszczy.

Usłyszał głos nawołujących go chłopaków. Z całkiem bliska, musieli pędzić ku niemu co sił. A może naprawdę minęła już wieczność? Może...

Pies zaskomlał nagle tak żałośnie, że Darek poczuł ukłucie w sercu. I nagle wszystkie myśli zaskoczyły tak, jak powinny.

– Tu jestem – chciał krzyknąć, jednak z jego ust wydobył się tylko charkot. Jakby ktoś nasypał mu piasku do gardła. Na szczęście nie musiał powtarzać, bo między krzaki wpadł właśnie zdyszany Grzesiek.

– Gałąź. Gruba – wycharczał Darek.

Grzesiek, chwiała niech mu będzie na wieki, zrozumiał w lot! Rozejrzał się, szarpnął za coś i po chwili trzymał już gałąź niewiele cieńszą niż rosnące wokół drzewka. Zeschniętą, jednak musiała wystarczyć.

Dołączył do nich Kacper. On najwyraźniej potrzebował jeszcze mniej, by ocenić sytuację.

– Trzymaj mnie – wydyszał, rzucając się na ziemię i zapierając stopą o drzewko. Grzesiek podał mu gałąź. Ten skierował ją w stronę walczącego psa.

– No złap się, piesku, złap się pyskiem – poprosił cicho Darek, ale nic to nie dawało. Pies panikował, szalał, tylne łapy dzieliły od wody już ledwie centymetry.

I wtedy dotarło do niego, że mogą już spróbować tylko jednego. Podobnie jak Kacper położył się na błocie, przysunął do kolegi i zaczął powoli zjeżdżać na brzuchu z wyciągniętymi rękami. Na szczęście zbocze okazało się mniej strome, niż zakładał. Gdyby nie było śliskie od błota, w ogóle nie stanowiłoby dla psa wyzwania. To dawało szansę.

– Trzymaj mnie za nogi, Kacper – bardziej jęknął, niż krzyknął. – A ty, Grzesiek, trzymaj nas!

Nie miał pojęcia, czy tamten wykonał polecenie, ale przez głowę przemknęła mu myśl, że nawet jeśli, to przecież i tak jest najmniejszy, więc nie da rady ich utrzymać. Kacper odrzucił gałąź i złapał go za spodenki, jednak dłonie ześliznęły mu się po nogach Darka, gdy ten zaczął się osuwać, i zatrzymały dopiero na kostkach.

Ma śliskie ręce, panikował Darkowy mózg. Ma śliskie ręce, nie utrzyma mnie i się zsunę. Ale Kacper złapał go pewnie, mocno. A zaraz potem równie mocno Darek pochwycił psa. Ten szarpał się, kłapał pyskiem obok jego twarzy, zapierał się łapami. Mimo to Darek nie puścił.

No i co teraz? – zapytał przerażająco spokojnie mózg, gdy napięte mięśnie zawyły bólem. Przecież teraz się nie podciągniesz ani...

Pies poradził sobie sam. Znalazł w dłoniach Darka oparcie dla tylnych łap, wyswobodził się z uścisku, wskoczył mu na plecy i orając je pazurami, wbiegł po obu chłopcach na górę. Darek w pierwszej chwili krzyknął z bólu, w drugiej – pozbawiony dodatkowego ciężaru – odetchnął.

– Co robimy teraz? – zapytał, ciężko dysząc.

– Spróbujmy to samo, co wcześniej, tylko odwrotnie – wystękał Kacper. – Wespnij się po mnie. Jestem zaczepiony stopami, a Grzechu podaj ci rękę.

Darek postąpił zgodnie ze wskazówką, wykręcając się na błocie i wyciągając do Kacpra dłoń.

– Spróbuj puścić moje nogi – powiedział do niego. – I jak powiem, złap mnie za rękę.

– Jesteś pewien?

– Tak, tu nie jest aż tak stromo, tylko zaczepić się nie ma o co. Dobra, próbujemy. Ostrożnie, powoli... Teraz.

Kiedy Kacper rozluźnił chwyt, Darek osunął się trochę, ale jeszcze mocniej się skręcił, wyciągnął rękę i złapał dłoń kolegi.

– Grzechu, trzymasz mocno? Bo będę się po nim wspinał.

– Na ile mogę.

Oby wystarczyło, pomyślał Darek, podciągając się i stając na splecionych dłoniach Kacpra. Piął się w górę, nie zwracając uwagi na postękiwania obu kumpli. Złapał za drzewko i raz dwa znalazł się obok Grzeška. Razem wciągnęli Kacpra i potem siedzieli tam, gapiąc się na wodę.

– To było... To było... – Grzesiek szukał w głowie słów. – Kurwa!

Kacper spróbował splunąć, ale ślinę miał tak gęstą, że tylko ocharał sobie brodę. Starł plwocinę brudną od błota ręką.

– No, stary, dobrze powiedziane.

– I uratowaliśmy go. Uratowaliśmy tego gnoja! – oznajmił Darek. Przez głowę przemknęło mu, że właściwie to on uratował. Miał nadzieję, że tak właśnie zabrzmi to, gdy będą o tym opowiadać.

– To fakt. – Kacper obejrzał się przez ramię. – Ale wolałbym nie sprawdzać, czy jest wdzięczny. Myślicie, że przejdziemy tędy? – Pokazał ręką na chaszczę.

Darek wzruszył ramionami.

– Będzie trzeba, to przejdziemy – stwierdził.

– No to trzeba.

– Ej, a paczki? – Obudził się nagle Grzesiek, ale wystarczyło, by Kacper na niego spojrzeł, by machnął ręką. – Dobra, jebać. Robiliśmy, co mogliśmy.

– Nawet więcej – rzucił Kacper. Podniósł się i roztarł błoto na spodniach. – Chodźmy.

JÓZEK

– Facetowi chyba nie zależy na tym urzędzie – stwierdził pan Szczęsny, akurat gdy Józek wszedł do pokoiku socjalnego, w którym pani Zofia, ojciec Grześka i mama Laury słuchali wiadomości w radiu. – Żeby rzucić takim tekstem, trzeba nie mieć za grosz wyczucia.

– Ale trochę w tym racji jest – odpowiedziała pani Zofia z powagą. – Ubezpieczanie się na wypadek wydarzeń losowych to, zwłaszcza w branży rolniczej, rzecz kluczowa, nie sądzi pan?

Zdaniem Józka w postawie kierowniczkii, w jej prostych plecach, ułożeniu nóg, w tym, jak trzymała filiżankę herbaty, było coś arystokratycznego. Coś, co jednocześnie nie przeszkadzało jej w rozładowywaniu kolejnego tira.

– Sądzę, że często jest to dla ludzi wybór: ubezpieczenie albo ziarno na zasiew, remont traktora, dachu, zakup krowy – odparł pan Szczęsny. – Możesz nie mieć nic albo zaryzykować i liczyć na szczęście.

Wysunął lewą rękę i delikatnie wymacał swoją filiżankę, a następnie zamoczył w niej podłużnego biszkopta.

– A poza tym mówienie rodzicowi, którego dziecko wpadło rowerem pod samochód, że za wcześnie usunął boczne kółka, nie jest dobrym pomysłem. – Ugryzł rozmiękłego biszkopta i uśmiechnął się błogo. – Co tam, Józek? Skończyliście układać?

Chłopak był pod wrażeniem, bo przecież odkąd tu wszedł, nie odezwał się ani słowem. A mimo to tata Grześka go wyczuł. Jak? Odruchowo pociągnął nosem, sprawdzając, czy śmierdzi. Owszem, śmierdział.

– Dziewczyny pytają, czy można otworzyć pomieszczenia na strychu, te z materacami, bo w holu już nie ma gdzie stawiać zgrzewek – powiedział, jednocześnie kodując sobie w pamięci, by dyskretnie skorzystać z jednego z darowych dezodorantów. – Przyszły też pieluchy, niezbyt dużo. Przywiózł jakiś pan kombiakiem i pojechał. Wyładowaliśmy na podwórku, zaraz wniesiemy. No i jeszcze ksiądz przechodził i zapytał, czy mają ogłaszać z ambony, by ludzie

przychodzili tu po dary, ale mówił, że sam się pani zapyta, proszę pani, gdy będzie od chorych wracał.

Pani Zofia zastukała paznokciem o krawędź filiżanki.

– Nie – stwierdziła. – To niedobry pomysł, przynajmniej na razie, bo się tego nie doliczymy. Nikt nie robi ewidencji. Teraz przygotujemy paczki, a potem ustalimy, co dalej, dobrze?

Właściwie nie wiadomo, do kogo skierowała to pytanie, do pani Olgi czy do pana Szczęsnego. Na szczęście nie do Józka, więc ten pochylił się tylko, by wziąć cztery paczki w serwetki, i wrócił do głównego pomieszczenia.

Tam Mariolka z Dagmarą właśnie sprawdzały zgodność paczek z listą, a Laura weryfikowała datę ważności produktów. Wręczył każdej z nich po paczku i dopiero wtedy ugryzł swojego. Konfitura popłynęła mu po brodzie.

– Wiecie co? – powiedziała w pewnym momencie Dagmara. – To strasznie głupie, ale oglądałam wczoraj „Wiadomości”, widziałam, co się dzieje w Polsce, i pierwsze, o czym pomyślałam, to że nigdy nie byłam w Kłodzku. I że teraz pewnie jest tam strasznie, ale normalnie to bym chciała pojechać. Byliście tam kiedyś?

– Ja przejeżdżałem. Jechałem kiedyś z rodzicami do Kudowy i zatrzymaliśmy się na obiad w Kłodzku. Faktycznie, ładne miejsce.

– Co jest w Kudowie?

– Śmierząca woda mineralna – rzuciła Laura. – No co, nie patrzcie tak na mnie, naprawdę jest. Idziesz do takiej pijalni, a tam wszyscy piją wodę, która śmierdzi, jakby szła z zardzewiałej rury.

Józek uśmiechnął się.

– No nareszcie ktoś! – zawołał. – Ja byłem tam dwa razy, wszyscy kupowali pamiątkowe porcelanowe kubeczki, słoiczki, czajniczki, nabierali tej wody i jakie to och i ach. A ja myślałem: czy tylko ja czuję, że to śmierdzi?!

Mariolka dojadła paczka, wytarła ręce w serwetkę i wyrzuciła ją do kosza. Sięgnęła do napoczętej zgrzewki z napojami, którą pani Natalia przeznaczyła na ich użytek.

– Ja sobie myślę, że kiedy ktoś jest chory i potrzebujący, to mu nie śmierdzi – stwierdziła. – Moja babcia ma artretyzm i gdyby ktoś jej powiedział, że jak wypije coś, co ją uleczy, toby piła do porzygania.

– I to jedyne, co by z tego miała – stwierdził Józek. – Nie ma żadnych cudownych źródełek, a jeśli chcesz zobaczyć moc wody, to idź nad rzekę.

Widział, że jego słowa wywarły wrażenie, i przez moment dręczyły go nawet wyrzuty sumienia, bo właśnie wykorzystał cytaty ze swojej mamy. Poprzedniego wieczoru rozmawiała na podobny temat z ciotką Ewą. Co prawda ich rozmowa dotyczyła plastikowej Maryjki z wodą z Lourdes, która stała u dziadków na półce, choć sens pozostawał ten sam. Poczuł na sobie pełne uznania spojrzenie Laury.

– Dobre – powiedziała dziewczyna. – Warto pamiętać, jak ksiądz z kropidłem po kolędzie przyjdzie.

Józek wziął od Mariolki napój i zdążył odkręcić oraz zdjąć nakrętkę, gdy do pomieszczenia wpadł Darek. Miał mokre włosy i zupełnie inne ciuchy niż wcześniej. Z kilku rozcięć na twarzy, w tym z jednego niebezpiecznie blisko oka, sączyła się krew. Był wyraźnie podekscytowany, choć starał się to mimo wszystko ukrywać.

– Co się stało? – zapytała Dagmara. – Krew ci leci.

Wybity z rytmu Darek zmarszczył czoło, po czym najwyraźniej dotarło do niego, o czym ona mówi, bo dotknął rany na policzku i spojrzał na palce.

– Nic takiego – powiedział nonszalancko, jednocześnie zerkając na Laurę. – Później opowiem, ale teraz muszę zabrać Józka na chwilę do domu. Jego mama powiedziała, że to pilne.

Józek szybko przeleciał w głowie domową listę wszystkich potencjalnie pilnych spraw i pomyślał, że to pewnie coś związanego z tatą. Ale co? I czy powinien się z tego cieszyć, czy raczej bać? Sam nie wiedział. Oglądał przecież *Osadzonego* ze Stallone'em. On też dostał lekki wyrok i w dodatku był już na samym wyjściu, gdy...

Wstał, odstawiając niezakreconą butelkę na bok.

– Powiedz, że wrócę, dobra? – zwrócił się do Laury.

– Jasne – odpowiedziała z wyraźnym przejęciem w głosie. – I daj znać, co się stało.



– Więc co się stało? – zapytał Józek, gdy wyszli z budynku.

– Zaraz się wszystkiego dowiesz – mruknął Darek, ścierając krew z policzka. – Polubiliście się, co?

– Z kim?

– No z Laurą. Z dziewczynami.

– A tak, trochę. Mów, o co chodzi.

Darek przystanął i rozejrzał się konspiracyjnie.

– Znaleźliśmy trupa. W rzece.

– Ludzkiego?!

Darek popatrzył na kuzyna z politowaniem.

– No nie, kurwa, psa martwego znaleźliśmy i robimy wielkie halo. Oczywiście, że ludzkiego, durniu. Idziemy go właśnie obejrzyć.

– Nie rozumiem – zdziwił się Józek. – To jeszcze mu się nie przyjrzelicie?

– Nie przyjrzeliliśmy się, bo widzieliśmy go z drugiej strony rzeki. Szliśmy po jednej, on był po drugiej. Zawieszony na drzewie.

– I jesteś pewien, że to nie jakieś szmaty albo, nie wiem, manekin? Bo czasami...

Darek zatrzymał się gwałtownie.

– Słuchaj, ja nie chciałem po ciebie wracać, tylko iść od razu – warknął. – To Kacper się uparł, więc przyszedłem. Nie chcesz, to sobie wracaj i pieprz dalej głupoty o śmierdzącej wodzie!

– Co ty, stałeś pod drzwiami?!

– Odlać się musiałem, zanim wszedłem. – Darek wyraźnie się zarumienił. – Chłopaki czekają na nas przy żłobku, bo byliśmy się u mnie przebrać. Ale jak nie chcesz iść, to im powiem...

– Chcę. – Przerwał mu Józek. – Gdzie jest ten trup?

– Jakbyś za papiernią poszedł nie na Grzybek, tylko czeskimi torami, to tak w połowie do trzystu... – Darek zorientował się, że kuzyn nie do końca wie, o czym mowa. Machnął ręką. – Dojdziemy, to zobaczysz.

KACPER

Pierwszy nie wytrzymał Józek. Zrzygał się jeszcze w krzaki, gdy tylko poczuł słodkomdłą woń trupa. Potem stał jeszcze dobre trzy minuty, zgięty w pół, czując, jak podchodzi mu do gardła.

– To przez to uderzenie – wychrypiał, dotykając bandaża. – To mógł być wstrząs mózgu.

Kacprowi zapach trochę przypominał zapomniane śmieci z zeszłego roku. Zostawili je w koszu przed wyjazdem na cztery dni do Jeleniej Góry. Mama szykowała na drogę kanapki, w tym takie amerykańskie, z kurczakiem, które zobaczył w jakimś filmie. Wrzuciła do kosza skrawki i zapomniała zabrać worka, więc gdy wrócili po kilku ciepłych dniach, ta woń zlała się ze smrodem gnijących obierek z jabłka, dwiema pleśniejącymi kromkami chleba w chlebaku i resztkami w odpływie. Tu dochodził jeszcze smród, jakby ktoś po ostrym picciu dostał biegunki. I oczywiście Kacprem też trzęsło, ale był z siebie dumny, bo dał radę.

Darka załatwiły muchy. Ich uporczywe brzęczenie, narastające z każdym ostrożnym krokiem w dół kolejowego nasypu. Wszyscy zsuwali się bokiem, łapiąc równowagę szeroko rozłożonymi rękami, gotowi w każdej chwili przytrzymać się małych drzewek. Gdy w pewnym momencie Grzesiek źle stanął i wywołał lawinę kamieni, muchy poderwały się, tworząc małą chmurę. Jeden z owadów odleciał dalej, usiadł Darkowi na twarzy, prosto na krwawiącej ranie.

– Jezu – jęknął chłopak. Zamknął usta, przesłonił je ręką, ale czując wymiociny w ustach, wyrzucił je z siebie i splunął kilka razy.

– Może dajmy sobie spokój – powiedział Józek. – Po prostu wezwijmy gliny.

– To sobie idź – odparł Grzesiek. – My chcemy zobaczyć.

I wtedy właśnie Kacper, który zszedł najniżej i właśnie rozgarnął gałęzie, zgiął się w pół i zrzygał prosto do wody.

– O ja cię! – stęknął stojący za nim Darek.

Trup wisiał na grubej gałęzi, na pasku plecaka. Przekrzywiony w lewo, z odchyłoną do tyłu wyłamana w barku ręką z otwartym złamaniem. Nabrzmiały, głowę miał napęczniałą jak Schwarzenegger w *Pamięci absolutnej* w scenie na

międzygalaktycznym lotnisku. Napuchnięty język wystawał z idiotycznie rozchyłonych warg. Najgorsza była jednak rana na głowie. Odłupany kawał czaszki, zapadnięte do środka kawałki kości, strzępy włosów. Właściwie, dotarło do Kacpra, bardziej przypominał koszmarniejszą wersję wielkiego typa z *The Goonies* – tego z odkształconym łbem.

Filmowe skojarzenia trochę go ośmieliły. Podciągnął koszulkę tak, by zasłonić nos, i próbował płytko oddychać, przez usta, gdy podszedł obejrzeć ciało. Mógł je oglądać od pasa w górę, bo poniżej zwłoki tkwiły w wodnym kipsiszu, jakby wirze. Woda w tym miejscu zrobiła sobie mały pit stop, wpadała, zataczała kilka kółek i wypadała dalej. Facet wyglądał więc trochę jak wyjątkowo szkaradny dżin wyłaniający się z wody. Kacprowi przypomniało się opowiadanie o wiedźminie, w którym Geralt z Jaskrem wyławiają dżina z rzeki. Tam mało nie skończyło się to tragedią.

– Co robimy? – zapytał Grzesiek tak nagle, że Kacper aż się wzdrygnął.

– Nie wiem – powiedział. – Ja bym go wyciągnął.

– No i po co? – zaprotestował Józek. – Zostawmy to policji.

Kacper obejrzał się na niego.

– Ty, a coś ty się nagle taki zrobił, co?

– Jaki?

– Pieprzona boidupa!

Darek parsknął.

– Jak po niego poszedłem, to gadał z dziewczynami, że mu woda śmierdzi. Może wrażliwy się zrobił od tego uderzenia w głowę.

– Żebym ja zaraz ciebie nie uderzył! – warknął Józek i zszedł nieco niżej. Podobnie jak Kacper zasłonił usta i nos koszulką, po czym zerknął na trupa, udając, że widok zwłok go nie rusza. Jednocześnie nie potrafił opanować drżenia kolan. Był pewien, że zaraz się przewróci.

– To co? Wyciągniemy go? – zapytał Kacper. Obejrzał sobie gałąź z trupem, obszedł ją, szukając dogodnego miejsca, by się uchwycić i zaprzeć nogami. – No dalej. Zobaczmy, co ma w tym plecaku. Może jakieś dokumenty?

Chłopcy z ociąganiem stanęli po obu stronach konara i na sygnał szarpnęli. W pierwszej chwili niewiele to dało, gałąź ledwie drgnęła, wzbili jedynie te muchy, które zdążyły wrócić na zwłoki. Ale po kolejnych trzech szarpnięciach coś

trzasnęło i nagle poszło aż za łatwo. Grzesiek i Darek upadli, wciągając gałąź na siebie. Trup z plaśnięciem mokrej szmaty uderzył o brzeg.

– Czekajcie, odetnę go – powiedział Kacper, wydając z kieszeni składany nóż od dziadka. Dostąpił do ciała i wstrzymując oddech, przepiłował w najcieńszym miejscu pasek plecaka. Trup drgnął i osunął się po piasku.

– Jak odetniesz drugi, wpadnie do wody – ostrzegł Darek.

– No widzę przecież – burknął Kacper. Odwrócił się, zaczerpnął wcale nie świeższego powietrza i ostrożnie rozpiął dostępny teraz zamek plecaka, by zajrzeć do środka.

To, co tam zobaczył, sprawiło, że zaklął z cicha i natychmiast, bez skrupułów odciął ciało. Wbrew obawom trup nie osunął się do wody.

Z niewielkiej szczeliny rozpiętego plecaka wystawała kolba pistoletu i dolary zapakowane w przezroczyste worki.

LUŻNA KARTKA

Wiktor rzygał ludźmi i mdliło go od dobroczynności. Siedział na pace ojcowskiego dostawczaka pośrodku pieprzonej wiochy, pod samiutką pierdoloną remizą i patrzył na cisnący się wokół tłum. Swołocz w obwisłych koszulkach, w gumiakach do krótkich spodni. Zachlane, opuchnięte mordy, poznaczone siecią popękanych naczynek jak stare malowidła. Dziewczyny, które wypacykowane wystawały na papierosie pod Śląską co piątek i chichotały pijacko, gdy ktoś łapał je za dupę, nie były już disconimfami parkietu. Teraz miały przetłuszczone, skołtunionie włosy i niedbale podwinięte zmechacone dresy. Stały w błocie obok swoich przerośniętych braci o wielkich łapach, brzuchach i brzydkich zębach i walczyły jak świnie w korycie o każde kilo cukru.

A z tyłu za nimi ci, których naprawdę zalało. Ci, w których domach wciąż stała woda, w których salonach parkietowe płytki prężyły grzbiety, puchły i strzelały w górę niczym popcorn. Ludzie z węzami od pomp w rękach, prawdziwie zmęczeni, otoczeni wianuszkami brudnych, równie zmęczonych dzieciaków. Dumni, więc nie pchali się pod samochody z darami. Komentowali tylko między sobą, gdy ktoś, kto mieszkał wyżej, żalił się ojcu Wiktorowi, że mu zalało piwnicę. Komu, kurwa, nie zalało!

Cygan z Gorbaczowem już się z niczym nie pieprzyli. Ładowali paczki, po czym wychodzili tyłem, rozpychali się łokciami i kazali ludziom się odwalić. Za każdym razem musieli za sobą zamykać, bo swołocz napierała, wdzierając się bokiem, tyłem, sprytniejsza niż woda, bardziej bezwzględna.

„A co? Mnie się nie należy? A dlaczego mnie się nie należy?!” – darła się jakaś baba. Młoda, sterczące cycki, modna fryzura, pazurki, japonki, topik. Głos zdarty, jakby ktoś rzygał na blachę.

Nic ci się, kurwo, nie należy, myślał Wiktor. To wszystko od mojego taty ze sklepów. Wszystko zapakowaliśmy z magazynku na samochód, żeby rozdać potrzebującym. Wszystko dla tych, co stoją z tyłu.

Tata klócił się obok z jakimś facetem, który przyniósł puszkę z szynką konserwową, drąc ryja, że przeterminowana. Czy tam bliska terminu. Ktoś

wrzeszczał, że oczywiście ludzi na wsiach to rząd ma w dupie. Dziewczyna z dyskoteki, wionąc nieświeżym oddechem, pytała, czy może wymienić zwykłe płatki owsiane na błyskawiczne.

Mleko? W takich warunkach przewożone? Tu jest stłuczone jajko! Jaki tu jest system? Kto to rozdaje?! Oczywiście, że po znajomości! Dzisiaj jak nie masz znajomości, to nic nie załatwisz!

Wiktor spojrzął ponad głowami ludzi i zobaczył, że ktoś szarpie Cygana. Facet jak beczka złapał go za przedramię i coś gardłował, pokazując to na wóz, to na torbę. Cygan odpowiedział, szarpnął się, Gorbaczow próbował się do niego przepchać, ale zanim zdążył, ktoś ze stojących z tyłu podszedł i zdzielił beczkowatego w tył głowy. Ten odwrócił się, zamachnął, dostał w brzuch i zaraz z haka w ryj. Lecąc do tyłu, mało nie przewrócił Cygana.

– Biją się! Gdzie jest policja?! – krzyczała tłuszcza, wciąż napierając na auto. Mordy spocone, parchowate, pryszczate, rozlazłe, rozwrzeszczane, roszczeniowe. Prawdziwe. Darli się, ale nikogo nie obchodziła bójka, gdy do wyrwania były darmowe batoniki.

Wiktor pracował już z automatu. Ktoś wyciągał ręce, więc on w te ręce wkładał paczki. Nie patrzył gdzie, nie patrzył komu, nie słuchał. Myślał o tym, że miał iść dziś z Laurą do Caritasu, ale ojciec wspomniał o pakowaniu auta. Myślał wtedy, że pomoc to pomoc, że jada, zrobią coś dobrego w dwóch różnych miejscach i pogada z nią o tym wieczorem. I co miał jej teraz, kurwa, powiedzieć? Widział materiały w telewizji, widział worki napełniane wspólnie piaskiem, dwoje trzyma, jeden sypie, kamienie podawane z ręki do ręki w długim łańcuchu. Nikt nie pokazywał napierdalającej w samochód bandy pazernych, rozwrzeszczanych wsiowych zombie!

Bójka skończyła się równie szybko, jak zaczęła, i ci, co stali z tyłu, powoli się rozchodzili. Mieli pracę, mieli dom do osuszenia. Nie mieli za to siły i czasu na przyjmowanie pomocy. Tata, czerwony z wściekłości, właśnie kazał się jebać na ryj facetowi od szynki i obszedł szoferkę. Zatrzęsło wozem, gdy wsiadł i odpalił silnik.

Wiktor podniósł się na pace, uderzył kilka razy płasko w rozsunięte drzwi.

– Chłopaki, zbieramy się!

Wrzask, jazgot rozwścieczonego ula. Ludzie naparli jeszcze mocniej, wyciągnęli ręce. Tata zatrąbił parę razy, najpierw krótkie sygnały, potem jeden długi. Nikt nie

zareagował, aż samochód faktycznie ruszył. Wtedy ktoś kopnął w burzę, ktoś inny napluł na drzwi.

Cygan wskoczył na pakę, po Gorbaczowa podjechali parę metrów. Wiktor pomógł mu wsiąść, zasunęli drzwi. Bus wyjechał powoli z tłumu i wyrwał ostro pod górę, aż ich zarzuciło na tył.

– Chore gównno, co? – mruknął Cygan.

Wiktor machnął ręką. Podniósł się i na czworakach przeszedł pod ściankę oddzielającą szoferkę od paki. Oparł się o nią i rozpakował paczkę gum Mamba o smaku wiśniowym. Wziął dwie, resztę rzucił chłopakom.

– To co, skoro fajrant na dzisiaj, to może komandos? – zapytał Gorbaczow. – Brat sąsiada mi kupił.

– Nie dziś. – Wiktor pokręcił głową. – Widzę się z Laurą, obiecałem, że podejść pomóc tam w Caritasie.

Cygan skrzywił się złośliwie.

– Jeszcze nie masz, kurwa, dość pomagania?

– Ale to pożegnalne. – Gorbaczow nie ustępował. – Bo jeszcze wam nie mówiłem. Za kilka dni się zbieramy.

– To znaczy? – zdziwił się Wiktor. – Gdzie jedziecie?

– Na razie do ciotki do Zgorzelca, a potem to cholera wie. W nocy tata całą noc zapierdalał przy wynoszeniu i zabezpieczaniu maszyn na zakładzie. Dziś przyszedł szef, powiedział, że dzięki, ale zamyka biznes. Zwolnił wszystkich.

– Mógł tak?

Gorbaczow wzruszył ramionami.

– A ja się znam? Powiedział, że zwalnia, to zwalnia. No to się pakujemy i jedziemy. Stary już dawno mówił o tym, że się do Niemiec przeniesiemy, a potem do Francji. Matka ma podwójne obywatelstwo, to... Ech, chuj.

Sięgnął po napój pomarańczowy, ostatni w zgrzewce.

– I co, tak z dnia na dzień twoi starzy podjęli decyzję? – nie dowierzał Cygan. – Jebać to i wyjeżdżacie, nigdy nie wracacie?

– Nie wiem. Może się zmieni i wrócimy po wakacjach albo coś – odparł Gorbaczow. – Na razie stary jest wkurwiony, ale... Nie, dobra, nie wiem. Ryczeć mi się chce z tego wszystkiego.

Przez dobre pięć minut jechali w milczeniu.

– Dobra, to gdzie pójdziemy? – zapytał w końcu Wiktor.

JÓZEK

Darek złapał się za głowę i stał tak z rozdziawioną gębą, wpatrzony w wysypaną na tory zawartość plecaka. Grzesiek kucał obok, na przemian to mrugając, to się oblizując. Uważnie śledził dłonie Kacpra podnoszące każdy kolejny plik z rozerwanej torby. Zielone banknoty. Piątki, dziesiątki, dwudziestki i pięćdziesiątki. Z setka studolarowych. Łącznie czterdzieści osiem tysięcy dolarów.

– Ja pierdołę! – szepnął Darek, gdy Kacper potwierdził kwotę. – Myślicie, że są prawdziwe?

Kacper podrapał się po nosie.

– No to na pewno jest – powiedział, wskazując palcem na czarny pistolet, który również wyjęli z plastiku. – Pieniądze też wyglądają na prawdziwe.

– O kurwa!

Dobre pięć minut jak zahipnotyzowani wpatrywali się w znalezisko. W końcu milczenie przerwał Grzesiek.

– Nie powinniśmy tak tu siedzieć. Z pieniędzmi, spluwą, obok trupa – stwierdził przytomnie. – Na pewno ktoś go szuka.

Kacper podniósł się, otrzepał kolana.

– Masz rację. Zabierzmy to i chodźmy stąd. – Spojrzał na opróżniony plecak i się skrzywił. – Ale na pewno nie w tym. Cuchnie trupem.

– A może od razu podzielimy i każdy weźmie swoją część? – zaproponował Darek.

– Nie, na razie musimy się upewnić, czy są prawdziwe, a potem...

– A co ma jedno do drugiego? – zdziwił się Grzesiek. – Możemy podzielić i wtedy się przekonywać, nie?

– A to, że ja nie jestem pewien, czy w ogóle możemy to ruszać – mruknął Kacper. – Sam powiedziałeś, że ktoś może tego szukać. Cholera wie, może właśnie teraz...

Rozejrzał się, po czym splunął na bok.

– Nie, chłopaki. Zabieramy na razie, podzielimy w bezpieczniejszym miejscu, okej?

– A pistolet? – zapytał Darek.

– Na cholere ci pistolet? – odezwał się Józek. – Po pierwsze, jest przemoczony, po drugie, co ty filmów nie oglądasz? Znajdą cię z pistoletem i zaraz pokojarzą sprawę. Pewnie mają gdzieś tę, no... Jak jej tam...

– Balistykę – podpowiedział Grzesiek. – I masz rację.

Zdjął tiszert, by wytrzeć pistolet, po czym zszedł po nasypie. Józek zobaczył, jak czarny przedmiot wznosi się po łuku i wpada w wodę. Krzaki zaszeleściły i Grzesiek wspiął się z powrotem.

– Co z ciałem? – zapytał.

Kacper spojrzał na Józka.

– No, panie filmowe mądrości?

Ten wzruszył ramionami.

– Myślę, że powinniśmy zrzucić do wody. Póki nie ma ciała, facet jest zaginiony. A z nim pieniądze.

Darek westchnął ciężko.

– Dobra, to kto to robi?

– W pojedynkę i tak nikt nie da rady – uznał Kacper. – Chodźcie.

– Ja przypilnuję forsy!

Józek spojrzał na kuzyna z pobłażliwym uśmiechem.

– No co? – obruszył się Darek. – Jak ty nie chciałeś wejść na papiernię, to spoko, a teraz jak ja...

Nikt nie odpowiedział i pozostała trójka karnie zeszła w dół nasypu.

– A pieprzcie się. Nie będę znowu rzygał – rzucił za nimi Darek.

Zatupał nerwowo o tor, rozejrzał się uważnie na wszystkie strony.

– Szlag! – mruknął wreszcie i poszedł za kolegami.

Grzesiek już znalazł dwie duże gałęzie, które ostrożnie wsunęli pod pachy trupa.

– Ja pieprzę, jak on wali – stęknął Józek.

– Myślisz, że ty pachniesz lepiej? – rzucił Kacper, po czym krzywiąc się, chwycił za oślizłe ramię. Uniósł do góry, a wtedy Grzesiek wsunął gałąź głębiej.

Józek pomógł z drugim ramieniem.

– Jeśli go tu zrzucimy, utkwi w tym miejscu – zauważył Darek.

– Masz lepszy pomysł, panie mądraliński? – warknął Grzesiek.

– Spokojnie – powiedział Kacper. – Spróbujemy go wypchnąć. No już, Darek, łap za drugą gałąź i spychajcie. Na trzy. Raz, dwa...

– Na trzy czy po trzy? – zapytał Józek.

– Co?

– A nie, nic. Cytat mi się przypomniał. Z *Zabójczej broni*.

– To teraz może się skup, co? Raz, dwa, trzy!

Pchnęli, ale ciało najwyraźniej zaczepiło o coś, bo niewiele się zsunęło. Za to rozległ się dźwięk przypominający trochę rozdzierane na dupie spodnie, a trochę uchodzące powietrze z balonu. I nagle powietrze wypełniło się jeszcze obrzydliwszym, słodko-gnilnym smrodem.

– Czy on... Czy... – Darek wzdrygnął się raz, drugi i odwrócił się, wymiotując żółcią.

Józek spojrział po kolegach. Kacper z Grześkiem też mieli niewyraźne miny, temu drugiemu zaczęły łzawić oczy. Wyglądał, jakby się rozplakał. I to wszystko wydało się Józkowi nagle tak komiczne, że ryknął śmiechem.

– Trup się spierdział – wystękał. – Spierdział się!

Widział, że Kacper też się uśmiecha, też zaczyna się chichrać. To rozbawiło go jeszcze bardziej, a w głowie niemal natychmiast odblokowała się głupawkowa przegródka filmowa.

– Noc pierdzących trupów! – zawołał. – Inwazja pozeraczy pierdów! Oni pierdzą!

– Pierdator – podchwycił Grzesiek. – Zabójczy pierd.

– Jesteście nienormalni – stwierdził Darek, ocierając usta. Spojrział na trupa i splunął żółtawą śliną. – Tango i Smród!

Kacper już śmiał się w głos.

– Poszukiwacze zaginionych pierdów! Pierdzący i niebezpieczni! Łowca smrodoidów! – zawołał jednym tchem, a potem otarł łzy. – Dobra, chłopaki – powiedział w końcu. – Wrzućmy go już i spieprzajmy stąd.

Przyjęli pozycje i ponownie szarpnęli za gałęzie. Tym razem przełamali opór i ciało zsunęło się do rzeki. Zakręciło się w wirze, plecami i dupą do góry. Kacper wziął od Grześka kij i dźgnął nim zwłoki, wypychając je poza zatoczkę. Ciało w pierwszej chwili uciekło, ale zaraz dopchnięte drugą gałęzią, wpadło w nurt. Widzieli, jak płynie, rzuca się na falach, po czym niknie w brudnej wodzie.

– Dobra. – Kacper wyrzucił kij do rzeki. – No to teraz sprawa forsy.

– Uważam, że powinniśmy ją podzielić, tu i teraz – zażądał stanowczo Darek.

– Też tak myślę – poparł go Grzesiek.

Kacper spojrzał na Józka, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– I tak nie możemy ich wydać, dopóki nie dowiemy się, czy są prawdziwe – powiedział. – No i czy nie szuka ich jakaś mafia. Przecież tam była spluwa!

– Myślicie, że to z napadu? – zapytał Darek.

– A z czego? Kto jeszcze miałby w plecaku forszę w dolarach? – Józek podrapał się po głowie. – No chyba że okup jakiś, ale nie sądzę.

– Czterdzieści osiem tysięcy dolarów – rzucił Kacper. – Ktoś wie, ile to jest na nasze?

– Dużo! Licz razy trzy!

– O ja pierdziu! Sto pięćdziesiąt tysięcy nowych złotych!

Popatrzyli po sobie z niedowierzaniem. Józek był pewien, że reszta też nie jest w stanie wyobrazić sobie tak astronomicznej kwoty. Sto pięćdziesiąt tysięcy podzielić na cztery to prawie czterdzieści tysięcy na głowę. Czterdzieści tysięcy!

Wrócili na nasyp, za namową Kacpra zebrali pieniądze z torów i przeszli dwieście metrów dalej, w miejsce, gdzie mogli spokojnie przycupnąć w krzakach. Tam podzielili pakunki na cztery równe kupki.

– Najlepiej chyba będzie zawinąć to w tiszerty – podpowiedział Józek. – Mocno, ciasno. Zza paska może coś wypaść.

– Każdy ma gdzie schować? – zapytał Grzesiek. – Tak, żeby nikt nie znalazł? Józek, to do ciebie najbardziej.

– Nikt mi nie grzebie w rzeczach – obruszył się Józek.

– Nawet przypadkiem? – rzucił Kacper. – Tylko nie chowaj do piwnicy, jak plecak, bo kto wie...

– Pilnuj swojej forsy!

– Dobra, już dobra. – Kacper wyciągnął ręce w pojednawczym geście. – Nie chcę tylko, żebyś stracił i żeby się wydało. Ej, ale, chłopaki, umawiamy się, że nikt nie wydaje ani dolara, okej? Nikt nie wymienia, nie sprawdza, nikomu się nie chwali. Nikomu! To musi być tajemnica. Bo jeśli wyjdzie, w najlepszym razie nam zabiorą. A w najgorszym...

Nie dokończył, bo nie musiał. Wszyscy oglądali te same filmy.



– Co się stało? – zapytała Laura, gdy wrócili. – Długo was nie było. O, cześć, Kacper.

– Cześć.

– Mój tata chciał ze mną rozmawiać – zełgał gładko Józek, przedstawiając wersję, którą ustalili z chłopakami po drodze. – Usłyszał, co się stało, i dzwonił, żeby zapytać, czy wszystko jest w porządku. Chciał przyjeżdżać, więc musieliśmy wybić mu to z głowy.

– A, okej. Ufff. Już się bałam, że coś poważniejszego – odpowiedziała i rzeczywiście wyglądała, jakby jej ulżyło. – A daleko jest?

– W Anglii.

– No to faktycznie bez sensu, żeby teraz wracał. – Odwróciła się. – Grzesiek, jeśli szukasz taty, poszedł do domu z panią Natalią. Trochę źle się poczuł.

Grzesiek zdziwił się wyraźnie i Józek domyślił się dlaczego. Szli przecież od strony Zdroju, a Grzesiek wstąpił do domu, by schować pieniądze, i jakoś jego ojca po drodze nie spotkali. Co prawda, mógł przejść akurat, gdy wpadli na chwilę do Darka, albo skorzystać z drugiej drogi, ale nawet słabo znający miasto Józek uważał ją za dłuższą i wymagającą więcej wysiłku, a wysiłek – wiedział to po mamie – jeszcze pogłębiał migreny. Kacper miał inną teorię. Wyszczrzył się głupio i ułożył palce lewej ręki w kółko, uniósł też wskazujący prawej, by wsadzić go w tak stworzony okrąg.

– Nawet się nie waż – mruknął spokojnie Grzesiek.

Bo i niby czym miałby się denerwować, pomyślał Józek. Tym, że jego ojciec uprawia seks? Kacper musiał pomyśleć tak samo, bo odpuścił.

– Sama tu jesteś? – zapytał milcząco dotąd Darek. – Gdzie pozostali?

Laura rozłożyła ręce.

– No sama – odparła. – Jeszcze pan Mareczek śpi na kanapie w socjalnym. Odsypia nockę. A reszta, cóż, ktoś musiał roznosić paczki, a pani Zofia pojechała do chorych.

Józek podrapał się po potylicy, wyraźnie zakłopotany.

– Dziewczyny z paczkami poszły? Kurde.

– Chciały, to poszły – odparła Laura. – To przecież nie problem.

– Nie, problem nie... Tylko bez sensu tak. Przepraszam, że tyle to zajęło.

Uśmiechnęła się przepięknie.

– Daj spokój. Dobrze, że wróciłeś.

DAREK

Dobrze, że wróciłeś. Tak, tak właśnie powiedziała. Do Józka, patrząc na niego i uśmiechając się. Dobrze, że wróciłeś.

Mógł wcale się stąd nie ruszać, pomyślał Darek z wściekłością. Bezwolnie zaciskał i rozluźniał pięści, oddychając przy tym płytko.

Mógł siedzieć tu cały czas, jak pieprzony inwalida! I tak się nie przydał! Był tylko cholernym czwartym do podziału i wszystko dostał na tacy. Wszystko! Nie musiał uciekać przed psem, nie musiał go ratować. Nie musiał być pieprzonym bohaterem i zauważyć trupa z workiem pieniędzy. A teraz przyszedł tu i nałgał, a ona robi do niego maślane oczy?

Ojciec, kurwa, w Anglii!

Darek dobrze wiedział, gdzie przebywał teraz ojciec Józka. Słyszał, jak rodzice rozmawiali o tym ściszymi głosami pewnego wieczoru. Jak zastanawiali się, co teraz zrobią biedna Basia i jej zakichany Józio. Jak sobie poradzą.

Dobrze, że wróciłeś. Powiedz jej prawdę, skoro jesteś taki zajebisty! Powiedz! Ciekawe, co pomyśli, gdy się dowie o ojcu kryminaliście. Złodzieju, bandycie bijącym niewinnych ludzi. Powiedz, proszę bardzo. No, powiedz!

Poczuł nagle, jak ktoś łapie go za rękę i mocno ściska. Odwrócił się.

– Opuść, Darek – szepnął Grzesiek. – Opuść.

– Co takiego? – zapytał Darek i uśmiechnął się sztucznie. Szarpnął się, oswobodził rękę. – Idę się odlać.

Wyszedł szybko na korytarz, by ukryć wzbierające pod powiekami łzy wściekłości.

Dobrze, że wróciłeś. Dobrze. Że. Wróciłeś!

Dlaczego, do cholery, nikt jej nie powiedział o psie? Dlaczego nikt nie powiedział, że on, Darek Woźniak, uratował dla niej psa?!

KACPER

Nie licząc czterdziestominutowej przerwy, gdy pobiegł do domu, by zanieść paczkę z pieniędzmi zawiniętymi teraz w tetrową pieluchę i w reklamówkę, Kacper siedział w Caritasie aż do dziewiętnastej.

Głównie latali z paczkami, najczęściej we dwóch, ale tym razem niedaleko – wzdłuż Jana Pawła i na pobliskich Strzelców Bytomskich, a najdalszy kurs mieli na znajdujący się obok rynku plac Zgody.

Poszli tam z Józkiem. Przy odbiorze usłyszeli, że muszą dostarczyć paczkę pani Zawadzkiej. Koniecznie. Nie jej mężowi, bo przechleje. Zrobili, jak im polecono, jednak pan Zawadzki siedział z kolegami na schodkach nieopodal i ledwie chłopcy przekazali paczkę, poszedł do domu. On wielki, gruby i pijany, ona drobna, niewiele większa od chłopców. Nie byli aż tak młodzi, by nie wiedzieć, jak to się skończy.

Gdy wrócili, pomogli rozładować kolejny wóz, tym razem z Mińska Mazowieckiego. Oprócz środków czystości, puszek, mąki, ryżu, kaszy i zgrzewek z napojami znalazło się tam też sporo słodyczy, materace i worki z używanymi ciuchami. Dary zajmowały teraz niemal cały dwupiętrowy budynek Caritasu.

Zjawił się ojciec Darka wraz z panią Zofią i oznajmił, że matka go szuka, więc powinien się zameldować. Darek zrobił się czerwony i gdy poszedł, to już nie wrócił.

– Tylko pamiętaj – powiedział mu na odchodne Kacper. – Morda w kubel.

Tamten prychnął w odpowiedzi, po czym pożegnał się tylko z Laurą.

Koło szóstej wróciła pani Natalia i zapytała, czy jest szansa, by Grzesiek posiedział przy ojcu, bo ona musi pojechać na zabiegi. Zapytał, czy tata jest w domu, i pognał, rzucając głośne „Cześć”.

Józek cały czas pracował z Laurą. I przez większość czasu rozmawiali o filmach i muzyce. Ona opowiadała o koniach, na których jeździła, i o swojej mamie, która wyrwała tatę na grę na gitarze. On rewanżował się historiami ze Śląska i mówił o tunelach pod Tarnowskimi Górami, ciągnącymi się podobno przez setki kilometrów. Kolega taty zabrał go tam kiedyś i najpierw musieli się czołgać, potem

brodzić po pas w lodowatej wodzie, a przez większość drogi iść w kucki. I tak im się jakoś ta rozmowa plotła, sprawnie mimo przeskakiwania z tematu na temat, lekka, niewymuszona. Czasem Kacper próbował się do niej wtrącić, ale czuł się nie na miejscu, trochę na siłę, więc odpuszczał. Tylko gdy poszli z Józkiem się wysikać, powiedział przy umywalce:

– Wiesz, że będziesz miał przewalone z Darkiem, nie?

Spodziewał się, że ten zaprzeczy, zrobi zaskoczoną minę, a on jedynie skinął głową.

– Wiem, Grzesiek mi powiedział.

– Musiał ci mówić? – zadrwił Kacper. – Co ty, oczu nie masz?

Józek wzruszył ramionami.

– Daj spokój, my tylko gadamy.

– Mów to jemu. – Kacper wytarł ręce w papierowy ręcznik. – Ja tylko ostrzegam. A, no i ona chyba ma chłopaka tak w ogóle.

Godzinę później pani Zofia oznajmiła, że wystarczy na dziś i że powinni się zbierać. Jeśli chcą przyjść jutro, to o dziewiątej.

Wyszli we trójkę, razem z Laurą, i na światłach – tak jak Kacper się domyślił – Józek zdecydował, że ich odprowadzi. Rozmawiali akurat o grach komputerowych od Disneya, szczególnie o Aladynie, którego uznawali zgodnie za świetną platformówkę.

Kacper powiedział, że grał na tym w pracy u mamy, a ponieważ nie było tam napędu CD, potrzebował całej paczki dyskietek i plików popakowanych ZIP-em. Potem mama się dowiedziała i kazała mu to skasować ze strachu, że straci pracę.

– Mój brat ma Pegasusa – odezwała się Laura. – I zwykle to on siedzi i gra, ale czasem gramy na zmianę. Albo razem, w bijatyki.

– Darek ma PlayStation – zauważył Józek. – I *Tekkena*, więc jakbyś kiedyś chciała spróbować...

Potrząsnęła głową z rozbawieniem.

– Ja w ogóle nie wiem, co to jest.

Odprowadzili ją pod sam dom, gdzie uściśnęła lekko każdego z nich i zniknęła za ogrodzeniem. Potem cofnęli się pod most Andrzeja. Kacper przypomniał sobie

ostatni raz, kiedy byli tu we dwóch. W sobotę, niespełna cztery dni temu, od których teraz dzieliły ich powódź, trup i bogactwo. A może właśnie łączyły?

– Nie boisz się, że ktoś się wygada? – zapytał Józek. – Że komuś się wyrwie?

– Boję się, że ten trup będzie mi się dzisiaj śnił. I nie tylko dzisiaj. Mam wrażenie, że cały nim śmierdę.

– Nie. – Zaśmiał się Józek. – To tylko pot. Sobą śmierdzisz.

– Wal się. – Kacper również się uśmiechnął. Popatrzył na wezbraną rzekę. – Myślisz, że daleko dopłynął?

– Myślę, co zrobię z tymi pieniędzmi. Znaczy, jak już będzie można.

– Ja bym najchętniej kupił fajki – stwierdził Kacper.

Na moście zobaczył dziadka, więc pożegnał się szybko z Józkiem i poleciał. Kiedy dobiegł do starszego mężczyzny, wziął od niego jedną z ciężkich reklamówek wyładowanych spożywką i chemią.

– I jak tam, chłopie? Miałeś interesujący dzień? – zapytał dziadek.

I Kacper poczuł niemal fizyczny ból, gdy zdał sobie sprawę, że nie może powiedzieć dziadkowi, jak bardzo.

– Tak – rzucił tylko, a po namyśle uznał, że jedna historia przecież nie zaszkodzi. – Uratowaliśmy psa!

Skończył opowieść już na klatce schodowej, a dziadek, który komentował na bieżąco, był prawdziwie pełen uznania.

Kiedy weszli do domu, mama akurat rozmawiała przez telefon. Na widok Kacpra rzuciła do słuchawki: „Muszę kończyć, pa!”, i się rozłączyła.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał.

– Z panią Grażynką ze szpitala – odparła, wyraźnie zmieszana. – Cześć, tato... Chwileczkę, czy to... Czy to koszula Kuby?

Dziadek postawił torbę na podłodze i w komicznym geście złapał się za koszulę i szarpnął ją, wyciągając ze spodni. Zmarszczył czoło.

– Ty, rzeczywiście. Musiałem...

– Mówiłam ci, żebyś nie brał jego rzeczy! – Mama nie dała mu dokończyć. – On by sobie tego nie życzył!

– Ale jego tu nie ma – powiedział Kacper, stając w obronie dziadka. I niemal natychmiast pożałował tych słów. Mama bowiem spojrzała na niego z takim bólem

i wyrzutem, że aż dźgnęło go w serce. Potem powiodła wzrokiem od jednego do drugiego i zamknęła się w sypialni.

Dziadek westchnął i pokręcił głową.

– Rzeczywiście nie powinienem brać tej koszuli – stwierdził. – Chodź, zrobimy jakąś kolację.

LUŻNA KARTKA

– Jest Laura? – zapytał Wiktor.

Nikodem, młodszy brat, otaksował gościa spojrzeniem, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Sprawdzę – powiedział.

Wiktor przewrócił oczami. Jakie, kurwa, sprawdzę? Jest albo nie! To nie pieprzony pałac!

– Dobrze, sprawdź – odparł najspokojniej, jak mógł, po czym uśmiechnął się i dodał: – Dzięki.

Była. Wyszła do niego z rozpuszczonymi włosami, w luźnej, dwuczęściowej piżamie zapinanej na guziki i puchatych kapciach. Poczuł podniecenie, gdy dostrzegł zarysowane pod materiałem piersi bez stanika. Przypomniał sobie, jakie są w dotyku, i ścisnął nogi.

– Wcześniej się kładziesz – zauważył.

Wzruszyła ramionami. Po jej minie nie potrafił powiedzieć, czy jest zła, zmęczona, czy cokolwiek innego. Patrzyła na niego tak jakoś... obojętnie.

– Miałam pracowity dzień – odpowiedziała. – Mówiłeś, że przyjdiesz.

Nie znosił, gdy tak mówiła. Przypominała mu wtedy matkę wyrzucającą tacie każdą niezłałatwioną przez niego sprawę. Mówiłeś, że to, mówiłeś, że tamto. Punktowała go, jakby odhaczała rubryczki na egzaminacyjnym arkuszu, zupełnie odporna na argument, że okoliczności czasem weryfikują plany. Że świata nie da się ułożyć, że są rzeczy, o których nie wiesz, mówiąc: tak, jasne, załatwię to dzisiaj. I potem zawsze nieodmienna formułka „ja nie mam pretensji, ja tylko mówię”. Wkurzająca nie mniej od „nie obraź się, ale...”. Powstrzymał się od westchnienia.

– Wiem. Tata poprosił mnie o pomoc – wyjaśnił. – Też chciał coś rozdać, więc jeździliśmy po wioskach i nie uwierzysz...

Przerwał, gdy dostrzegł poruszające się nozdrza dziewczyny. Zrobiła to delikatnie, niemal dyskretnie, ale i tak poczuł wściekłość, że musi jej się tłumaczyć z jednego, kurde, piwa. Powoli wciągnął i wypuścił powietrze. Przymknął oczy.

– Gorbaczow się wyprowadza. Powiedział nam dziś w samochodzie. Jego ojciec stracił pracę.

– Och, co się stało?

Wzruszył ramionami.

– Zalało maszyny. Właściciel uznał, że nie opłaca się inwestować znowu w to samo. Więc tak, poszliśmy posiedzieć nad rzeką. A teraz myślałem, że wyciągnę cię na spacer.

– Jestem już w piżamie.

Kurwa, widzę! – pomyślał.

Raz jeszcze wziął głęboki wdech i zdobył się na smutny uśmiech.

– No jasne, miałaś ciężki dzień, łapię. O której jutro zaczynacie?

– Pewnie koło dziewiątej.

– Dobra, to przyjdziemy z Cyganem. Tylko troszkę później, bo tak wcześnie to nie wstanę. Nie jestem po kąpieli i w piżamie, jak ty...

Uśmiechnęła się.

– Kąpiel byłaby super – stwierdziła. – Nie mamy ciepłej wody, myłam się w misce.

Teraz to on pociągnął nosem, przysuwając się do niej.

– No – powiedział jej w kark. – Powiem ci, czuć.

Odepchnęła go, już szczerze, i zaśmiała się wesoło.

– Głupi jesteś.

– Może. Ale przynajmniej zaraz wezmę kąpiel.

Przysunął się do niej jeszcze raz i zerknął w głąb przedpokoju. Za drugimi drzwiami wydzielającymi mały przedsionek czaił się oczywiście Nikodem. Wiktor puścił do niego oko i pocałował Laurę za uchem.

– Będę jutro – szepnął.

– Bądź.

GRZESIEK

Nie dał rady zagotować parówek. Obrął z folii, nastawił wodę, ale gdy już miał wrzucić je do wrzątku, poczuł mdłości. Pognał do łazienki.

– Coś nie tak, synek? – zapytał ojciec.

– Nie, tato – zawołał zawieszony nad muszlą. – W porządku.

A potem poczuł smród kibla, nie jakiś szczególny, jednak wystarczyło, by wymiotował. Niewiele jadł, więc nie było tego dużo, chociaż na wszelki wypadek odczekał jeszcze, zanim wstał i przepłukał usta przy umywalce.

– Strułeś się czymś? – zaniepokoił się ojciec. Stał w kuchni i właśnie wkładał parówki do wody. Od ich zapachu Grześkowi znów podeszło do gardła. Przełknął.

– Nie wiem, tato – stęknął. – Być może. Nie będę jadł, dobra?

– Pewnie się pączków obzarłeś, co? Pączki zapijane oranżadą to dieta bogów, ja wiem, ale my jesteśmy śmiertelni, pamiętaj.

Niczym przycisk w aparacie, słowo „śmiertelni” wywołało rozbłysk obrazów znad rzeki. Nabrzmiała, strzaskana twarz, wyłamana ręka, opuchnięte od gazów ciało, oślizła skóra. Grzesiek potrząsnął głową.

– Hej, ty chyba naprawdę jesteś chory. – Tata obszedł stół i stanął przy synu. – Dyszysz jak parowóz. Poczekaj, sprawdzę, czy nie masz gorączki.

Ręka ojca była ciepła od pary znad garnka, wilgotna. Grzesiek przywarł do niej czołem i w jednej chwili poczuł błogość i spokój. Potem pomyślał o pieniądzach.

– Tato, co byśmy chcieli kupić, gdybyśmy nagle stali się bogaci? Znaczą oprócz lodówki.

– Bogaci? – ojciec wyraźnie się zdziwił. – A co, obstawiłeś Lotto?

– Nie, tak tylko pytam.

Edward Szczęsny uśmiechnął się smutno.

– Chłopie, jak sobie przypomnisz, dokąd dziś nosiłeś paczki, to dotrze do ciebie, że już jesteśmy bogaci. Ludzie potracili domy, dobytek życia wyrzucali na ulicę, a władza pyta, czemu się nie ubezpieczyli.

– No... – Grzesiek westchnął i przytulił się do ojca, zdając sobie sprawę, że już wie, jak sprawdzą, czy pieniądze są prawdziwe.

– Ty naprawdę jesteś rozpalony – zauważył tata. – Weź aspirynę, co? I jutro obejrzy cię pani Natalia.

– Dobrze, tato. – Grzesiek odsunął się od ojca. – A słuchaj, mogę dzisiaj z tobą spać?

– Nie widzę przeszkód – powiedział poważnym głosem Edward. I tym razem ten stary żart wydał się Grześkowi nawet zabawny.

LUŻNA KARTKA

Trzecia noc okazała się gorsza, bo rządził nią inny strach. Już nie pierwotny, zwierzęcy, gdy woda wdzierała się świtem do domów, gdy organizm ukształtowany przez ewolucję sam wiedział, kiedy uwolnić adrenalinę, jak ustawić priorytety. Przetrwaj, uciekaj, bierz to, co cenne. Chroń bliskich, chroń siebie. Nieważne, co będzie, byle do świtu.

O świcie niewiele się zmieniło, ale i tak była to zmiana na lepsze. To już nie czerń wdzierała się do domów. Już nie piekielna, rzadka smoła rozlewała się po klatkach schodowych, wyciekała z piwnic, wspinała się po schodach. Zupełnie inaczej podejmowało się walkę z żywiołem w świetle dnia.

Drugiej nocy również zadziałał instynkt – tym razem nakazał wycieńczonym walką organizmom odpocząć, zebrać siły przed kolejnym starciem. Nie liczyło się nic poza tym.

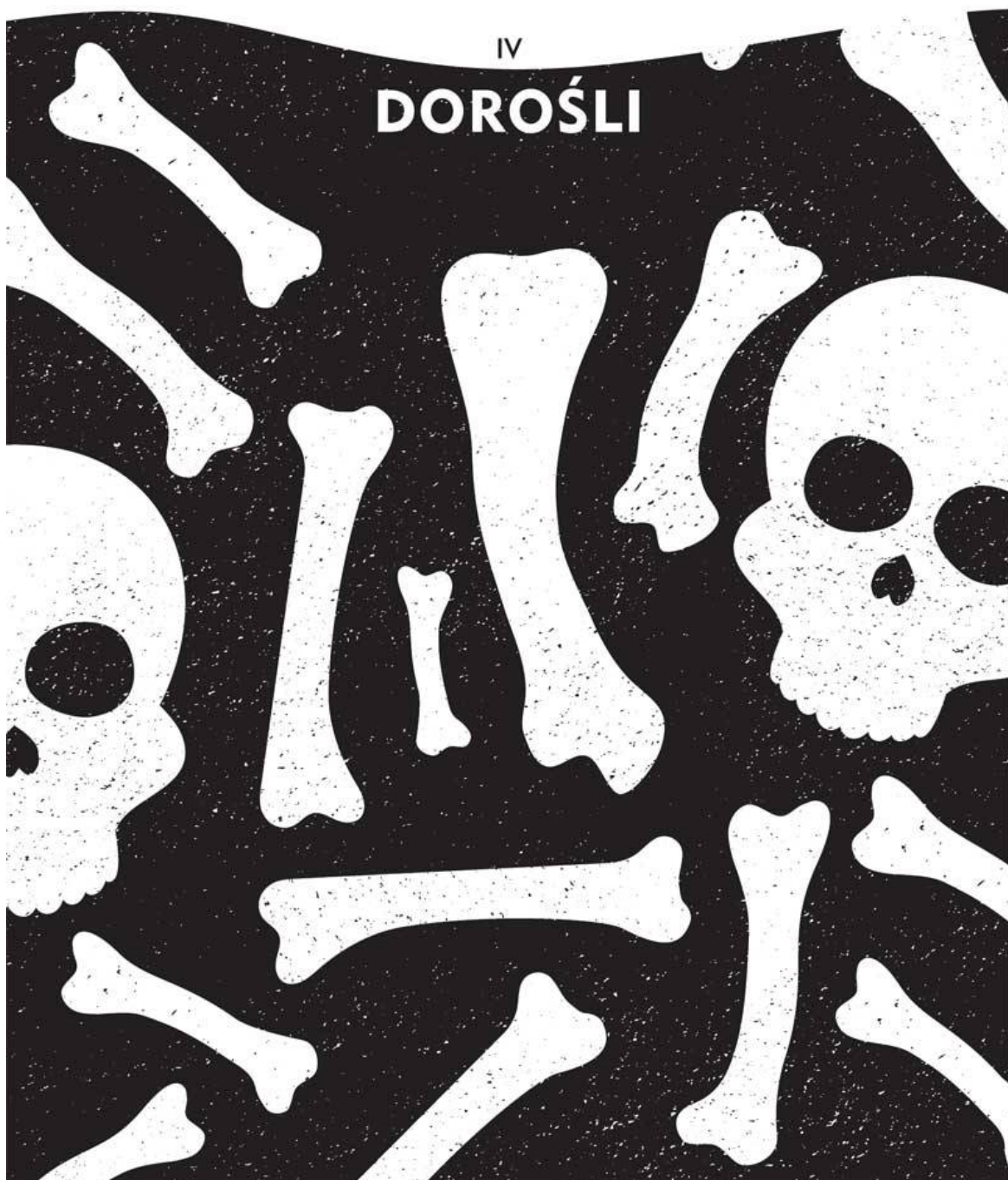
Ale gdy skończył się kolejny dzień i nastąpiła ta przeklęta, najgorsza, trzecia noc, zniknęły zwierzęta, które wiedziały, co robić, zwierzęta zaprogramowane przez naturę, by przetrwać. Wrócili ludzie.

Wrócili do zalanych mieszkań, do odłóżających tapet, napuchłych podłóg, pokrytych szlamem mebli, wypaczonych drzwi i okien. Do smrodu i beznadziei. Do śladów na ścianach, brudnych kresek wyznaczających poziom wody. Te, nawet zmyte, zamalowane, pokryte szpachlą, zawsze już tam będą. Niczym ofiary gwałtu, gdy uświadomią sobie, że to, co jeszcze kilka godzin temu było najgorsze na świecie – sam akt, stanowiło tak naprawdę tylko preludium, bo najgorsza jest utrata wiary. W dom, w bezpieczne miejsce. Zdarzyło się raz, może zdarzyć się znowu. Zdarzyło się raz i nie ma już normalności.

W smrodzie stęchlizny, którego nie dało się wywietrzyć ani pokonać chemią, na wojskowych materacach, barłogach, wsłuchując się w oddechy dzieci, których nie mieli gdzie zabrać, gdzie wywieźć, chociaż były, kurwa, wakacje, leżeli i myśleli. Nasłuchując, czy ktoś skrada się do drzwi, których nie dało się zamknąć na klucz, wpatrzeni w sufity, które jeszcze tydzień temu obiecywali sobie odmalować, pytali się raz za razem: co teraz?

IV

DOROŠLI



Środa
9 LIPCA 1997



JÓZEK

– Zły sen – wyszeptał Darek, wchodząc w środku nocy do kuchni i biorąc z palnika czajnik ciężki od zagotowanej wieczorem wody.

– Ja też – odparł Józek. – Ale go nie pamiętam.

Skłamał, bo śnił o spotkaniu z ojcem. W tym śnie siedzieli w pomieszczeniu widzeń, takim jak na filmach, z telefonami do rozmowy. Tata za szybą, w kombinezonie barwy piasku. Józek opowiedział mu o trupie, tata tylko się uśmiechał.

– To prezent dla was – powiedział i dopiero wtedy chłopiec zobaczył na jego rękach zakrzepłą krew. Ciemną, prawie czarną. – Musiałem o was zadbać.

A potem nagle wstał i zaczął się wygłupiać. Tańczyć, jak to zawsze robił w domu, gdy troszkę się napił i usłyszał jakiś fajny kawałek. I teraz też w tle leciała muzyka. *Poison* Alice’a Coopera, ale z polskimi słowami. Z tym dosłownym tłumaczeniem, które pokazała mu Laura.

Ojciec tańczył, strażnicy skoczyli do niego, Józkowi krzyk uwiązł w gardle. A tata machał zakrwawionymi rękami, kombinezon od pasa w dół miał mokry i pokryty błotem. Robił miny, wywalał język i wybałuszał oczy.

– Powieszają mnie za to! – wołał. – Powieszają, powieszają! Albo nakarmią jadowitą trucizną.

Wciąż go widział, gdy siedział na kuchennym parapecie, obejmując rękami kolana i patrząc na księżyc skryty za chmurą.

Darek usiadł na taborecie obok.

– Wydaje mi się, że cały czas śmierdzą – powiedział. – I boję się, że to nigdy nie zejdzie.

– To ci się śniło?

Darek popatrzył w kubek.

– Nie wiem. Ja też nie pamiętam. – Umilkł na chwilę. – To dużo pieniędzy, nie? – odezwał się wreszcie. – Myślisz, że nauczę się za nie jeździć konno?

– Konno? – Józek oderwał wzrok od księżycy. – Chcesz się nauczyć...

Urwał, przypominając sobie rozmowę z Laurą, i nagle zaczął się zastanawiać, jak wiele jego kuzyn o niej wie. I jak bardzo mu zależy.

Darek upił wody.

– No chciałbym. I jeszcze grać na gitarze, i może odłożyć na jakieś wakacje, gdy już będę miał osiemnastkę. Takie, wiesz, prawdziwe. Na Wyspach Kanaryjskich.

Józek podrapał się po policzku.

– No ja to bym chyba chciał kompa jednak – powiedział. – Ale na razie nie ma co myśleć.

– Co ty. – Darek uśmiechnął się jakoś tak miło, sympatycznie. – Myśleć możesz zawsze. Marzenia po to są.

– No.

Długo siedzieli w ciszy.

– Józek, myślisz, że dobrze zrobiliśmy? – zapytał w końcu Darek.

– Z czym?

– No z tymi pieniędzmi, że je wzięliśmy.

– Tak, myślę, że tak. Temu facetowi już nie były potrzebne.

Znowu zapadła cisza i tym razem trwała jeszcze dłużej. Tak długo, że niebo zaczęło szarzeć, potem błękitnieć i różowieć niczym jeden z tych wielkich odpustowych lizaków.

– Wiesz co, Józek? Jesteś jednak w porządku. – Darek po raz kolejny odezwał się pierwszy. – I jakby się okazało, że to ty...

Urwał. Józek popatrzył na niego wyczekująco.

– Co ja? I co znaczyło to „jednak”?

Darek potrząsnął głową.

– Nieważne. – Dopił wody i odstawił kubek. – Ciekawe, co się stało z tym psem.

– Tym, który cię gonił? Którego uratowaliście? – upewnił się Józek. – Kurde, stary, Kacper nam opowiadał! Czadowa akcja, aż żałuję, że nie poszedłem wtedy z wami. A Laura powiedziała, że masz wielkie serce i... No, w ogóle.

Nie zrobił tego specjalnie, natychmiast jednak zauważył, że gdy tylko padło jej imię, Darek drgnął i na jego twarzy rozlała się czysta radość. To nie był tylko uśmiech, ale coś jakby światło w oczach, na czole i policzkach, w uniesionych kącikach ust. Promieniał. A może to był po prostu świt.



Do rodzinnego śniadania usiedli wszyscy, jak w święta – tyle że większość domowników w piżamach, a mama, ciotka i babcia w szlafrokach. Zaparzone cztery dzbanki herbaty i kawę dla wszystkich dorosłych.

– To co ty sobie w tę głowę zrobiłeś? – zapytał po raz trzeci dziadek i choć Józek wiedział, że nie po raz ostatni, opowiedział o przewracającej się drabinie.

– To wypadek przy pracy był – zauważyła babcia. – Powinieneś mieć jakieś odszkodowanie.

– To wolontariat, mamó – odparła ciocia. – Oni pomagają za darmo.

– Ale ubezpieczeni być powinni, to fakt – zauważył wujek Krzysiek. – Wczoraj Cimoszewicz mądrze mówił...

– A idź w diabły z tym starym komuchem! – warknął dziadek.

Wiśka nie chciała jajka na miękko, co jednak stwierdziła, dopiero gdy już je rozbełtała i zrobiła obrzydliwą z wyglądu papkę. Zabrakło frankfurterek, za to nikt nie chciał sera ze szczypiorkiem.

– A tobie co się stało? – Dziadek tym razem wziął na cel Darka i jego rany na twarzy. – Jezus Maria, wy jak wychodzicie, to się modlić trzeba, żebyście cali do domu wrócili.

Chłopcy wymienili spojrzenia.

– Gałązką w twarz dostałem – powiedział Darek. – Nic takiego. Mogę tę ostatnią kromkę?

– Jak doniesiesz – odparła mama Józka. – W szafce pod chlebakiem, w drugiej szufladzie jest cały chleb.

– Dasz radę pokroić? – zaniepokoiła się babcia.

Józek parsknął, ale zaraz opuścił głowę pod karcącym spojrzeniem mamy.

– Przepraszam.

– A, uważajcie, jak obcych na ulicach zobaczycie, bo się podobno szabrowników nazjeżdżało – zauważył wujek Krzysiek. – Byłem wczoraj u komendanta policji. Mówił, że to prawdziwa plaga.

– Wy znowu dzisiaj będziecie po domach chodzić? – chciała wiedzieć ciotka. – Jest tam z wami ktoś dorosły?

– Czasem pan Mareczek – skłamał Józek. – On ma transita, to nas podwozi.

– Jaki Mareczek? Nie Kasprzyk aby? – dopytał dziadek. – Bo jak Kasprzyk, to taki z niego dorosły jak z koziej dupy trąba.

– Tato!

– No co, prawdę mówię. Na papierni u nas robił. Dzieciaki na zakład zabierał, żeby wózkami jeździły. Niepoważny!

– Są też panie pielęgniarce i tata Grześka – dodał Darek.

– To on nie jest niewidomy? – zdziwiła się mama Józka. – Józek, to o tym Grześku mówimy?

– O tym – przyznał, kiwając głową. – Jego tata świetnie sobie radzi.

– No nie wątpię, ale...

Przerwała, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Józek, siedzący najbliżej, błyskawicznie poderwał się z miejsca.

– Ja otworzę.

Na korytarzu czekał na niego bardzo podekscytowany i wyraźnie zdyszany Kacper.

– Grzesiek ma pomysł... – zaczął i urwał, dysząc.

– Chcesz wody? – zapytał Józek.

Kacper potrząsnął głową i uniośł palec na znak, że potrzebuje chwili.

– Biegłem – wyjaśnił, jakby nie było tego widać już na pierwszy rzut oka. Nie miał dziś chusty, więc przydługie włosy lepiły mu się do czoła. Odgarnął je nerwowym gestem. – Już, czekaj...

– Co się stało? – W przedpokoju pojawił się Darek.

Kacper przywołał go ruchem ręki.

– Grzesiek ma pomysł, jak sprawdzić forszę – powiedział cicho, upewniając się, że nikt więcej nie stanął w progu stołowego. – Wzięliśmy stary portfel mojego ojca, włożyliśmy tam sto pięćdziesiąt dolców i podrzuciliśmy Mietkowi przez okno. Anonimowo.

– I co? – Józek podrapał się przy uchu. – Myślicie, że jak się obudzi, to zauważy i sprawdzi?

– Już to zrobił! – Kacper zdał sobie sprawę, że powiedział to za głośno, zmitygował się i znów zaczął szeptać: – Znalazł dolce, wziął swój wózek i poszedł na miasto. Grzesiek go śledzi, ja przyszedłem do was. Mamy się spotkać pod chatą Mietka, żeby się nie szukać. No już, szykujcie się.

– Dobra – powiedział Józek i zauważył, że Darek się zawahał, po czym szybko zerknął na zegarek. Wtedy Józek domyślił się, o co chodzi. W sumie, zdał sobie sprawę, też chętnie zobaczyłby się z Laurą, ale... No właśnie, minionej nocy chyba podjął w tej sprawie ostateczną decyzję.

– Któryś z nas powinien się pokazać w Caritasie – stwierdził, upewniając się, że dobrze odczytał spojrzenie Darka. – Żeby nie było podejrzeń.

Dostrzegł błysk w oczach kuzyna i lęk, by nie wykazać się za dużym entuzjazmem, by się nie zdradzić. Postanowił mu pomóc.

– Ja spędziłem tam wczoraj cały dzień. Pójdziesz?

– No dobra – mruknął Darek. – Ale opowiecie mi potem wszystko? Ze szczegółami.

– Jasne.

LUŻNA KARTKA

Na dolnej połówce przekrojonej na pół bułki rozsmarował trójkąt topionego serka i przykrył to dwoma grubymi plasterkami szynki. Kupił ją w pobliskim sklepie mięsny. Zapłacił, próbował być nawet uprzejmy, zażartować, ale gdy tylko kobieta za ladą zorientowała się, że jest Czechem, natychmiast zrobiła się oschła i rzeczowa. „To wszystko? Pana reszta”. Pewnie też wierzyła w mityczne czeskie tamy, z których spuszczonego wodę. Pewnie w zemście za Zaolzie albo operację Dunaj w sześćdziesiątym ósmym. Wyjął termos uzupełniony na odwiedzionym przed godziną posterunku policji. Komendant z prawdziwą dumą poczęstował go kawą. „Z darów – powiedział. – Arabska”.

Pewnie chodziło mu o arabikę.

Siedział na ławce na rynku, odgryzając małe kęsy i powoli żując. Po wczoraj bolały go nogi, schodził ze dwanaście kilometrów, głównie po rozmokłym terenie przyrzecznym. Znalazł niewiele, nic ważnego. Lodówkę z oznaczeniami, kawałek paki wozu. Na komendzie z kolei usłyszał tylko o hełmofonach i tak już gównie wartych, bo zalanych i w mule. Reszta to plotki. Owszem, ktoś widział to czy tamto, jak płynęła rzeką, ale nie, nikt niczego nie przyniósł, niczego nie zabezpieczono. Szukali, a jakże, ale wie pan, powódź. Znajdzie się, jak woda opadnie i ludzie zaczną wywalać muł. Tylko kto wtedy odda?

On sam czuł się jak idiota, przygotowany na te wszystkie ewentualności, na wycinanie, wyciąganie, zaklejanie i zabezpieczanie – przez to łąził wszędzie z ciężkim plecakiem. To było jak *hledat jehlu v kupce sena*, tylko że igieł więcej, a zamiast stogu nieprzewidywalna rzeka. No ale praca jest praca. Nie warto pytać o jej sens.

Akurat dokręcał korek termosu, gdy pod kantorem naprzeciwko zatrzymał się ten mężczyzna. Wielki jak dąb, z kłakami włosów sterczącymi na ramionach i wychodzącymi z przodu i z tyłu spod brudnego podkoszulka na ramiączkach. Nie tyle sam mężczyzna zwrócił jego uwagę, ile dwukołowy wózek załadowany do połowy workami pełnymi szmat. Wózek miał lśniący, starannie odrapany z rdzy i farby stelaż oraz ubłocone koła. Ścianki boczne natomiast składały się

z pozostałości po drewnianych skrzynkach, na których wciąż jeszcze widniały czeskie oznaczenia wojskowe.

W pierwszej chwili chciał podejść i zapytać o te resztki skrzynek, skąd facet je wziął, ale pamiętał dobrze kobietę z mięsnego, pamiętał ludzi z mostu. Rozejrzał się za policją, jednak na rynku nie dostrzegł żadnych służb. W sumie nic dziwnego, rynek Głuchołaz, choć ubłocony, żył niemal normalnym życiem małego miasteczka. Policja czy straż były tam, gdzie coś się działo.

Zobaczył, jak wielki facet wychodzi z kantoru, wyraźnie przyglądając się trzymanym w ręku pieniądzom. Jak łapie za dyszel, wykręca i pcha wózek w stronę bocznej uliczki.

Niespiesznie wsadził termos do plecaka, poprawił zsuwające się z nosa okulary i przypomniał sobie o składanym nożu, którym smarował bułkę. Wciąż brudny od serka, leżał na deskach ławki. Przykucnął, wytarł ostrze o trawę i złożony schował do kieszeni spodni. Dopiero wtedy podążył w ślad za olbrzymem. Miał szczerą nadzieję, że tamten zmierza prosto do domu.

DAREK

W przedsiönku przywitała go Mariola rozcinająca folię zgrzewek wielkim kuchennym nożem. Zamierzyła się nim i zarechotała, obniżając głos.

– Zginiesz marnie! – zawołała i z impetem wbiła nóż w folię.

– Pomóc ci? – zapytał.

– W tym? Weź przestań, to zabawa – odparła. – Idź lepiej na górę, Daga z panem Marczkciem znoszą materace ze strychu. – Potrząsnęła głową. – Wczoraj je wnosiliśmy, bez sensu to wszystko.

– A gdzie reszta? Znaczy tata Grześka, pani Natalia, Laura? – wymienił jednym tchem, by nie domyśliła się, o kogo naprawdę mu chodzi. Ale i tak miał wrażenie, że zobaczył w jej oczach rozbawienie.

– Pani Natalia z panią Zofia u chorych, potem ma jechać po pana Edwarda, bo tata Wiktora pożyczył jej samochód.

– Wiktora? – Zacisnął pięści.

– No Wiktora. – Mariolka uśmiechnęła się paskudnie. Teraz już był pewien, że robi to specjalnie. – Chłopak Laury, licealista, nie znasz? Przyjechał tu dziś rano z ojcem i kumplem. Ojciec zostawił auto pani Natalii, powiedział, że teraz i tak jeździ dostawczakiem. I poszedł. A Laura z Wiktorem i Cyganem roznoszą już pierwsze paczki. Powiedziała, że jak przyjdziecie, to żeby... Właśnie, gdzie reszta chłopaków?

– Co? A, tak, przyjdą później – mruknął i ruszył na schody. Jeszcze na ostatnim stopniu słyszał, jak Mariolka dźga i szarpie folię.

Pan Marczek taszczył właśnie na plecach jednoosobowy materac. Żeby mogli się minąć, Darek musiał na drugim półpiętrze przywrzeć do ściany i osunąć się do pozycji siedzącej. Kierowca również zapytał o resztę chłopaków i usłyszał dokładnie tę samą, wymijającą odpowiedź.

– Dobrze, że w ogóle będą – powiedział.

Darek wspiał się na ostatnie osiem schodków, zdecydowanie bardziej stromych od pozostałych, i minął zbite z desek drzwi. Daga akurat skakała na stosie

materaców, chowając głowę w ramionach, ilekroć wzlatywała za wysoko.

– O, cześć, Darek. – Zamachała do niego. – Chcesz poskakać?

– Nie, przyszedłem pomagać – mruknął. Zdawał sobie sprawę, że to niegrzeczne, ale drażniły go obie. Jedna z nożem, robiąca z siebie idiotkę na dole, druga tu, na materacach, w różowych skarpetkach z falbankami na ściągaczach. Głupie szczeniary!

Dagmara odbiła się jeszcze raz, podciągnęła nogi i upadła na tyłek.

– No ja w zasadzie też – powiedziała, zsuwając się ze stosu i rozglądając za butami. – Tylko sama nie dźwignę, sprawdzałam. Zniesiemy razem?

– Mogę sam.

– Ty tak, ja nie – odparła. – A też chciałabym się przydać.

– No dobra, to dawaj. – Złapał za materac, z którego właśnie zeszła, i pociągnął.

– Ja będę szedł pierwszy, jakby co, zsunie się na mnie.

– Dobra!

Począł, aż chwyci z drugiej strony, zmienił uchwyt, tak by iść przodem, i ruszył na schody. Dość szybko okazało się to złym pomysłem, bo nie przewidział, że nie zmieszczą się na półpiętrze.

– Czekał, odwrócić się – powiedział, jednak nie usłyszała i napała mocniej. Darek osunął się o stopień. – Czekał, mówię!

– Nie krzycz na mnie!

Sapnął, ale powstrzymał się od komentarza. Obrócił się ostrożnie, jedna ręką, potem druga.

– Dobra, bierzemy pod skosem – polecił. – Przechył w prawo, nie, w moje prawo. O tak, dobra, idziemy.

Piętro i dwa zakręty niżej był już cały mokry, a rany na twarzy szczypały nieprzyjemnie. Gdyby niósł ten materac sam, na plecach, byłoby łatwiej. Miał tylko nadzieję, że Daga się zmęczy i nie będzie chciała nosić kolejnych.

– Gotowa?

– To ty chciałeś przerwy. – Zaśmiała się.

Zmełł w ustach przekleństwo i znowu się odwrócił.

– No to chodź.

Na dole okazało się, że wróciła Laura z Wiktozem i pani Natalia. Chłopak stał do Darka tyłem, rozmawiał z pielęgniarką. W pomieszczeniu obok tata Grześka podśpiewywał coś cicho.

– O, cześć, Darku – powiedziała pani Natalia. – Wszyscy jesteście?

– Na razie tylko ja – odparł, skupiony na Wiktorze. Gdy ten się odwrócił, spojrzał mu hardo w oczy. Efekt byłby lepszy, gdyby Daga nie pchnęła go i nie stracił równowagi.

– A Grzesiek gdzie? – zdziwił się pan Szczęsny. – Wyszedł z samego rana.

– Tak, ale poszli z Kacprem chyba do jego mamy. Nie wiem. Daga, rzucamy na prawo. Raz, dwa...

– Moje czy twoje? – zapytała.

– Stoję do ciebie tyłem. Mamy to samo prawo.

Widział, że Laura się uśmiechnęła, i odruchowo, nawet jakby wbrew sobie, odpowiedział uśmiechem. A potem zerknął na chłopaka koło niej. Ten najwyraźniej stracił zainteresowanie i znowu stanął do niego plecami.

– No to liczysz czy nie liczysz? – zniecierpliwiła się Daga.

– Już, jasne. Raz, dwa, trzy.

Na trzy czy po trzy, przemknęły mu przez głowę słowa Józka z wczoraj. Zamyślił się przez to i puścił odrobinę za późno. Materac upadł krzywo i przewrócił pusty wieszak.

Z pomieszczenia obok wyszedł Cygan. Na widok Darka zamarł z ciastkiem w dłoni. Zaraz jednak skrzywił się w paskudnym uśmiechu.

– Coś sobie w ryj zrobił?

– Upadłem na torach jak ostatnia fajtlapa – odparował Darek. Z satysfakcją dostrzegł, że trafił.

– Dobra, to gotowi na następne paczki? – zapytała pani Natalia.

– Tak – powiedział Darek.

– Tak – stwierdziła Daga. – Pójdziemy razem?

Chciał odmówić, ale uprzedził go Cygan.

– Ja z nim pójdę – oznajmił.

Darek zerknął na Laurę, której ten cholerny Wiktor akurat mówił coś na ucho. Zachowywali się, jakby świata poza nimi nie było.

Pieprzyć to, pomyślał, zaciskając i rozluźniając pięści. Przynajmniej załatwimy jedną sprawę do końca.

– Nie ma co czekać – zwrócił się do Cygana. – Chodźmy!

LUŻNA KARTKA

Wstawił zakupy do wózka, upchnął pieniądze do kieszeni i złapał za dyszel. Ludzie patrzyli na niego, a jakże, ale kiedyś uważał, że ludzie zawsze na niego patrzą. Zawsze czegoś chcieli, zwykle się z niego pośmiać, ale czasem łypali na niego tak, że aż nim trzęsło, aż go nosiło. Bo widział te ich spojrzenia, słyszał, jak szeptali, śmiali się. Kiedyś na nich krzyczał, ale potem lekarze powiedzieli, że tak mu się tylko zdawało, że patrzą. Dali mu leki i rzeczywiście się skończyło. Aż do teraz.

Nie był głupi. Wiedział, że to kwestia przerwy. Że powinien pójść po receptę i kupić tabletki, po których zostały leżące na podłodze puste blistry. Ale wcześniej nie miał na to pieniędzy albo siły. Jakoś tak nigdy nie mógł zgrać tych dwóch, a tabletki były, były w zapasie. A potem nagle została ostatnia.

Zresztą jeden, dwa dni to nie taki problem. Owszem, czuł się wtedy inaczej, ale gazetki wystarczały. Gdy miał za dużo siły, gdy znowu to czuł, gdy nim, jak to mówił lekarzowi, telepało, brał gazetkę i patrzył. Patrzył nie tyle na, ile przez, ale lubił cycki, lubił cipki, przyjemnie było je widzieć, gdy zaczynał. W tym czasie ręka robiła swoje. A gdy kończył, czuł, jak rozluźniają się mięśnie, jak rozlewa się po nim błogość, jak niesie się od krocza ku udom, spiętym łydkom, a potem w górę, po brzuchu. Przystawało go boleć i czuł w sobie miłe dobro. Nie na długo, ale wystarczało, by mógł zjeść, przejść się, coś porobić. Może zasnąć? Tabletki pomagały na dłużej, ale wtedy patrzeć nic nie dawało. Masował flak, mechanicznie, z żalem. Bez wściekłości, bo tabletki nie pozwalały na wściekłość. Za to aż do bólu albo znudzenia. Czasami aż chciało mu się sikać.

Przeciął skrzyżowanie koło mostu Andrzeja i ruszył prosto. Koło papierni, tam gdzie woda wybrała drogę, skręcił na żwirówkę i przeszedł aż do końca ogrodzenia. Skręcając w lewo, w stronę rur ciepłowniczych i nasypu czeskich torów, odniósł wrażenie, że ktoś za nim idzie. Obejrzał się i zobaczył w oddali ubranego na ciemno mężczyznę. Facet szedł spokojnie, powoli, trzymając się za paski plecaka. A słońce odbijało się w szklach przeciwsłonecznych okularów.

Czy Mietek widział go wcześniej w szybie, jeszcze przy moście? Czy nie zauważył go siedzącego na ławce? Nie miał pewności, to było tylko wrażenie. A wiedział, że nie może ufać wrażeniom, zwłaszcza gdy kończyły się tabletki.

– Jutro pójde do lekarza – obiecał sobie głośno. Obietnice w myślach się nie liczyły. Tylko te wypowiedziane. – Jutro pójde.

Odwrócił wózek i teraz nie pchał go, tylko ciągnął za sobą pod górke, aż na nasyp. Poprawił ułożenie zakupów, by nie wypadły na wyboistej, błotnistej ścieżce idącej tuż obok torów. A potem ruszył, walcząc ze sobą, by się nie oglądać.

Zrobił to tylko raz, ukradkiem, w miejscu, gdzie musiał przekroczyć tory, by wjechać na żwirową drogę. I właściwie nie był pewien. Zobaczył go? Nie zobaczył? Kogoś tam widział, ale czy tego samego mężczyznę? Ludzie tędy chodzili, zwłaszcza że nie dało się dojść główną drogą. Albo tędy, albo huśtanym mostem, nie inaczej. Więc czy to był ten sam facet czy nie?

Przyspieszył kroku. Wózek podskoczył na wyboju, wypadł z niego kubeczek jogurtu, ale Mietek go nie podniósł. Zjechał na ulicę, wyprowadził wózek łukiem i pchnął przed siebie. Czuł, że się trzęsie, chciał się położyć. Miał to dziwne wrażenie, że zaraz rozboli go głowa. Jakby już się do tego zbierała.

– Jutro pójde do lekarza – powtórzył sobie, prawie już biegnąc. Wpadł do bramy numer dwadzieścia trzy. Do swojej bramy. Doskoczył do schodka wiodącego do mieszkania, otworzył drzwi, których przecież nie było sensu zamykać na klucz. Wciągnął wózek do środka i dysząc, przywarł do ściany.

JÓZEK

Siedzieli na końcu wiaduktu i Józek łuskał słonecznik, a Kacper palił już trzeciego papierosa. Ukryci za drzewem, mieli stąd naprawdę dobry widok, sami nie będąc widziani.

Kacper streszczał mu właśnie jedno z wiedźmińskich opowiadań, historię, w której wiedźmin Geralt, zabójca potworów, zjawia się w mieście Blaviken z jedną ze swoich zdobyczy, jednak nikt nie chce jej kupić. Ktoś mu podpowiada, że może się wybrać do czarodzieja zamkniętego w wieży. I wiedźmin tam idzie.

– Wiesz – mówił Kacper, z ekscytacją, więc trochę chaotycznie. – Chodzi o to, że ten czarodziej się ukrywa przed taką bandą, co przyjechała do miasteczka. Dowodzi nimi księżniczka, która kiedyś żyła z siedmioma gnomami, a potem...

– Jak Śnieżka?

– No tak, bo to nawiązanie. – Kacper zaciągnął się i szybko wypuścił dym z płuc. – Tam jest zresztą jeszcze jedno: czarodziej ucieka przed Renfri, bo kiedyś zamykali księżniczki w wieżach, bo były jebnięte. Znaczą skażone złem czarnego słońca.

– Renfri to Śnieżka? – upewnił się Józek.

– Tak. No i teraz wiedźmin przychodzi do Stregobora, to ten czarodziej, i z nim gada. I okazuje się, że on robił eksperymenty na ludziach i zabijał te księżniczki urodzone w złym czasie albo zamykał je w wieżach, jak bajkową Roszpunkę. A teraz się chowa, bo ta ostatnia, znaczą się Renfri, chce go zabić. No i Stregobor mówi wiedźminowi, żeby zabił księżniczkę, bo ta jest potworem, i żeby wybrał mniejsze zło. A wiedźmin mówi, że nie ma czegoś takiego jak mniejsze zło, bo granice są zatarte i on woli nie wybierać. No i wtedy jedzie do miasta i gada z Renfri, i ta opowiada mu swoją wersję historii, i mówi, że Stregobor to potwór i że tylko wiedźmin może się do niego dostać i powinien tam pójść i go zabić, bo od tego jest, i to jest mniejsze zło. I że jeśli tego nie zrobi... Ej, słuchasz w ogóle?

Józek potrząsnął głową.

– Tak się zastanawiam – powiedział. – Jak myślisz, z czego są te pieniądze?

Kacper wypuścił kłęb dymu.

– No jak z czego? Z papieru takiego.

– Nie, ja pytam, skąd się wzięły. Skąd naprawdę je miał ten facet.

– Gadaliśmy już o tym przecież.

– No tak, pamiętam. – Józek rozłupał kolejne ziarnko o ząb, splunął łupinkami. – Zastanawiam się tylko, skąd on je wziął. Bo wiesz, napaść można na bank, ale też na sklep zwykłych ludzi. Takich, którzy są uczciwi i w porządku...

– I mieszkając w Czechach, zarabiają w dolarach? – Kacper popukał się w czoło.

– Zresztą stary, nawet gdybyśmy oddali policji, myślisz, że ktoś by je przekazał właścicielom? Ja nie wierzę w takie cuda.

– No, pewnie masz rację – mruknął Józek i wypstryknął kolejną łupinkę. Zastanawiał się, czy zdradzić Kacprowi, co mu się śniło, jednak po namyśle zrezygnował. Co innego powiedzieć o faktach, a co innego... Zresztą sen i tak już blakł w jego głowie, wietrzył w pamięci, trochę jak wczorajszy trup.

Kacper dopalił papierosa i rozgniół go o podkład.

– Czy mi się wydawało, czy jednak oddałeś Laurę kuzynkowi? – zapytał, podnosząc się na tyle, by ułamać z drzewka gałązkę. Z kieszeni wyjął składany nóż i zaczął ją ostrzyć. – Bo tak to dzisiaj trochę wyglądało.

Józek wzruszył ramionami.

– Lubię ją, ale on...

– Tak, lubi ją bardziej. Aż za bardzo. – Przerwał ostrzenie i popatrzył na Józka, uśmiechając się głupio. – A on zawsze dostaje, czego chce. Taki typ.

To samo powiedział Grzesiek, pomyślał Józek i zastanawiał się, czy ci dwaj już kiedyś o tym ze sobą rozmawiali. Pewnie wiele razy.

– Fajny nóż – zauważył, zmieniając temat.

– No nie? – Kacper pokazał nóż z obu stron. – Dziadek mi przywiózł. Wojskowy.

– No, widzę właśnie. Mój... – Urwał. Chciał powiedzieć coś o nożu taty, ale zdał sobie sprawę, że to może źle zabrzmieć. Nie miał pojęcia, jak to się ułoży w głowie Kacpra: kryminalista skazany za pobicie, który ma duży myśliwski nóż. Ludzie lubią sobie dopowiadać rzeczy.

Nagle zobaczył nadbiegającego Grzeška. Mikrus był solidnie zziajany, musiał pędzić dobry kawałek.

– Idą... – wysapał. – Idą... tu.

– Idą? – zdziwił się Kacper. – Kto niby idzie?

Grzesiek schylił się i oparł ręce na kolanach, stał tak przez minutę. Dopiero wtedy wspiął się do nich na nasyp.

– Idzie Mietek – wyjaśnił powoli. – Wymienił pieniądze bez problemu w kantorze na rynku. Ale od tamtej pory idzie za nim jakiś facet ubrany na ciemnoszaro, w wielkich okularach przeciwsłonecznych.

– Obstawili kantory – jęknął Józek, czując, że nagle wbrew temperaturze wokół robi mu się zimno. – Pewnie ścigali tego typu od kasy i teraz obstawili kantory, wiedząc, że prędzej czy później ktoś wymieni pieniądze.

Kacper odrzucił ostrzoną gałązkę, złożył nóż.

– Jesteś pewien, że ten typ idzie za Mietkiem? – zapytał. – Może tylko w tym samym kierunku.

– Idzie za nim od rynku. Jak zobaczyłem, że Mietek przy papierni skręcił na Grzybek i potem tu, na tory, a facet ciągle idzie za nim, to przeszedłem prosto po płocie nad wyrwą i przybiegłem. O, idzie Mietek, patrzcie.

Rzeczywiście dwieście metrów dalej, zza zakrętu wyłonił się Mietek. Prawie biegł z tym swoim wózkiem, raz po raz oglądając się za siebie. Wpadł do bramy, a niedługo po nim zza zakrętu wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, obcięty krótko, z lustrzanymi okularami na nosie i z niewielkim plecakiem.

– To on – wyszeptał Grzesiek.

Józek i Kacper niemal w tym samym momencie przesunęli się tak, by bardziej schować się za drzewkiem.

– Kurwa, zajebie go – powiedział Kacper. – Będzie chciał wiedzieć, gdzie jest reszta forsy, a Mietek przecież nie powie. Facet będzie go torturował i w końcu zajebie.

– Może na policję trzeba, sąsiadów zawołać – zaproponował Józek. Mówił niewyraźnie, próbując powstrzymać szczykanie zębami.

– A widzisz tu kogoś? Kogokolwiek? Wszyscy ewakuowani! Nawet tej skrzeczącej staruszki nie ma. Zresztą co by ona mogła. Zanim zdążymy...

Nie dokończył, bo nagle dobiegł ich głośny, przeraźliwy, nieludzki ryk.

Chłopcy popatrzyli na siebie z przestraszeniem.

Ryk urwał się i rozległ znowu, jeszcze głośniejszy, groźniejszy, jak rozwścieczone zwierzę, a potem dobiegł ich wrzask kogoś innego.

– Jezu, zabiłem go – wystękał Grzesiek. – Zabiłem go, zabiłem Mietka. Jezu!

– Zamknij się – warknął Kacper, wstając. Trzy razy zaczerpnął tchu i wypuścił powietrze, jakby sposobił się do nurkowania. – Dobra, idę tam.

Ale nie ruszył się z miejsca. Nie był w stanie. Zresztą krzyk w bramie już ucichł, a z tej odległości nie słyszeli żadnych innych odgłosów.

Czekali więc w napięciu. Kto teraz wyjdzie z bramy.

DAREK

Gdy otworzyły się kolejne drzwi, Darek odruchowo wciągnął powietrze i cofnął się o krok. Na szczęście tym razem to Cygan szedł pierwszy i to na nim skupił wzrok żylasty facet z wąsem i ze złamanym, opuchniętym nosem. Tym razem z oczywistych względów facet nie miał na sobie niebieskiego kombinezonu, tylko dżinsy i flanelową koszulę ubrudzoną farbą, ale Darek rozpoznał go od razu. Pamiętał, jak facet mało nie złapał Grześka, jak wyciągał po niego ręce, gdy wylądował na nim Kacper. Gość grzmotnął na tory i myśleli, że nie żyje. Skończyło się jednak na złamanym nosie i opuchniętych, załzawionych oczach.

– Paczki przynosimy, panie Łęczak – powiedział Cygan. – Z przydziału dla powodzian.

Zgodnie z formułką. Przyuczono ich, by nie mówić „z Caritasu” ani „z opieki społecznej”, bo wtedy niektórzy nie przyjmą.

Facet ze złamanym nosem nie miał z tym problemu, choć zdaniem Darka na żadną paczkę nie zasługiwał. Znajdowali się w końcu na podwyższonym parterze, a tu woda nie doszła powyżej piwnicznych okienek. Mieszkanie nie było zniszczone i nie śmierdziało jak inne, które odwiedzili. Przeciwnie, niósł się z niego zapach lawendowego odświeżacza powietrza zmieszany z wonią smażonego mięsa. Mieszanka może nie najlepsza, ale w porównaniu do smrodu błota i stęchłej wody niczym perfumy.

W przedpokoju na stojaku leżał stos gazet dla kobiet, kilka magazynów motoryzacyjnych i komiks o Transformersach.

Ciekawe, ile z tego kupiłeś, gnoju, pomyślał Darek.

Facet tymczasem podziękował i na kilka niepokojąco długich sekund zatrzymał wzrok na Darku. Ten wytrzymał spojrzenie.

– Miłego dnia – powiedział w końcu Łęczak.

Darek podniósł ostatnią torbę z ziemi i wyszedł z klatki.

– To co teraz? – zapytał Cygan, idąc obok z rękami w kieszeniach.

– Mam ostatnią paczkę i wracam. Ty rób, jak chcesz.

Cygan wyszczerzył zęby.

– No na pewno nie będę pytał o twoje pozwolenie. Gdzie masz tę paczkę?

Darek pokazał palcem.

– Tu, na Opolskiej. W tamtej bramie.

– No to chodźmy.

Darek skinął głową. Właściwie przestawała go już dziwić postawa Cygana, ale na początku, gdy obładowani paczkami wyszli z Caritasu, śniady licealista bardzo go zaskoczył. Spodziewana konfrontacja, cała spina sprowadziła się do kilku żartów i krótkiego: do ciebie tak naprawdę nic nie mam. Potem milczeli aż do pierwszej dostarczonej paczki. Przy trzeciej już gadali, niespecjalnie otwarcie, jednak bez szczególnej wrogości.

Skręcili w ciemną, mokrą bramę, w której wciąż stała woda. Przez uchylone drzwi mieszkań na parterze widać było, że nikt tam nie mieszka. Do tego właściwego wiodły ubłocone drewniane schody.

– To ja zaczekam na dole – oznajmił Cygan.

Darek wspiął się ostrożnie, z ograniczonym zaufaniem korzystając z chybotliwej poręczy, i zapukał w brązowe drzwi. Usłyszał poruszenie, ale nikt się nie odezwał. Pomyślał o psie z Andersa.

– Paczkę mam – powiedział. – Z przydziału dla powodzian. Z jedzeniem i środkami czystości.

Szuranie za drzwiami, cichy zgrzyt podnoszonej klapki wizjera.

– Proszę zostawić. – Usłyszał głos staruszki. – Na wycieracze zostawić.

Darek zawahał się. Niby wiedział, że nie wolno, chociaż to nie był jeden z tych domów, gdzie mieli dostarczać do rąk własnych. Kobieta pewnie mieszkała sama. Może bała się obcych?

– Dobrze, zostawiam – powiedział, kładąc torbę. – Do widzenia.

Schodząc, jeszcze ostrożniej stawiał kroki.

– No to chyba wszyst... – zaczął, jednak nie zdążył dokończyć zdania, bo Cygan nagle skoczył ku niemu, złapał go oburącz za tizert i siłą ściągnął z ostatniego stopnia, pozbawiając równowagi.

– Co ty... – stęknął Darek, poczuł szarpnięcie i po chwili uderzył głową o skrzynkę na listy.

Cygan pchnął go na uchylone drzwi opuszczonego mieszkania i Darek wpadł do środka, potykając się o podwinięty, nasiąknięty wodą dywan. Zamachał desperacko rękami, jednak tamten nie dał mu upaść. Złapał go, przyciągnął do siebie i wyrznął z główki. Nie prosto, tylko lekko z boku, jakby zarzucał grzywką. Cios był na tyle mocny, że Darkowi zrobiło się ciemno przed oczami. Szczęka zdrętwiała w jednej chwili.

Cygan puścił go i prawą ręką z całej siły walnął w brzuch.

– Myślałeś, że ci, kurwa, odpuszczę? – zapytał, cedząc słowa. – Myślałeś, że wam, chuje, daruję? Tak myślałeś, he? Że sobie pożartujesz? Fajłapa na torach, tak?

Uderzył jeszcze raz, a potem odsunął się nieco i grzmotnął go z kolana w wątrobę. Darek z cichym stęknieniem osunął się na ziemię.

Przez otwarte okno widział ścianę budynku naprzeciwko, jakąś kobietę wycierającą kubek w kuchni. Gdyby teraz się odwróciła, gdyby spojrzała w dół, w ciemność opuszczonego mieszkania, zobaczyłaby go. Gdyby tylko dał radę krzyknąć. Ale nie dał. Otworzył usta, jednak tylko zarzęził.

Cygan zaszedł go od tyłu.

– Co wam się, kurwa, gnojki wydawało? Wtedy na moście? – zapytał, po czym kopnął go powyżej nerek. – Mogłem tam spaść, chuje, i żaden mi nie pomógł. Mogłem spaść, a wy byście tylko patrzyli. Wydaje wam się, że można mnie olać? Tak wam się wydaje?

Kopnął znowu, najpierw w plecy, potem w mięsień na udzie. Ból był tak potworny, że Darek stęknął i poczuł wilgoć w kroku. Popuścił w spodnie. Nie wiedzieć czemu, pomyślał w tym momencie o trupie i że sam zaraz będzie trupem. Przecież Cygan nie da mu stąd wyjść. Specjalnie wybrał to miejsce, na uboczu, w pustym mieszkaniu, tuż obok rzeki. Zostawi go tutaj, przyjdzie wieczorem, wrzuci do wody. Tyle z tego będzie, tyle będzie, to takie proste.

Cygan znowu go obszedł, po czym przykucnął.

– Z tobą obejdę się lekko – wyszeptał. – Ale jak dorwę tego pokurcza, syna ślepaka, to będzie żałował, że się, kurwa, urodził. Rozumiesz?

Darek nie odpowiedział, co było błędem, bo zarobił kolejny cios w brzuch i szarpnęły nim torsje.

– Rozumiesz?!

Z trudem poruszył głowę. Cygan uderzył jeszcze raz i zrobił krok do tyłu. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. Nie odchodził jednak, co znaczyło, że to jeszcze nie koniec.

– Przestań już – wystękał ledwie słyszalnie Darek. Płakał. Czuł ciepło na twarzy, swędzące gorąco, więc musiał płakać. – Przestań, zapłacę ci.

Cygan uśmiechnął się w obłoku dymu.

– Co ty powiedziałaś?

– Zapłacę. Mam pieniądze.

– Dużo?

– Bardzo. W dolarach. Zapłacę ci, tylko już przestań. Proszę.

Cygan spokojnie się zaciągnął, wypuścił. Zaciągnął, wypuścił. W końcu pstryknięciem strącił żar z połówki papierosa i schował pojarę do pudełka. Westchnął, jakby wcale nie podobało mu się to, co musiał teraz zrobić. Przykucnął przy Darku, uśmiechnął się i poklepał go po twarzy.

– Dużo pieniędzy, powiadasz? – upewnił się. – Dużo pieniędzy, bo myślisz, że jeśli ktoś wygląda tak jak ja i ma ksywkę Cygan, to musi być, kurwa, pazerny na kasę?

Z całej siły wyrznął go w brzuch, aż się zachwiał i oparł ręką o mokry dywan. Ze wstrętem wytarł dłoń o koszulkę swojej ofiary. Wstał i kopnął, znowu celując w wątrobę. Tym razem Darek spróbował się zasłonić, więc stopa trafiła go w rękę. Ból rozszedł się promieniście aż do łokcia.

Już nie myślał o trupie. Myślał o Laurze. Myślał o tym, że się dowie, że robi o to Wiktorowi awanturę i go rzuci. Odwiedzi jego, Darka, w szpitalu i powie, że była głupia. Że nie wiedziała, jacy oni są. Że...

– Olaliście mnie na moście – powiedział Cygan, sięgając do rozporka. – Teraz zobaczysz, jakie to uczucie. Wszyscy, kurwa, zobaczycie!

Gdy gorący, śmierdzący strumień szczyń poleciał mu na twarz, Darek zaniósł się głośnym, bezsilnym szlochem. Czuł, jak siki wlatują mu do nosa, wpadają do ust, za kołnierz koszulki. Czuł, jak palą go od nich rany na twarzy, jak szczypią. Przypomniała mu się nagle rozmowa o *Wodnym świetle* i o tym, że Costner pił szczyń, a i tak był bohaterem. Bo to jeszcze nic, to nic nie znaczy. To tylko płyn, tylko woda. Brudna woda.

Uczepił się tej myśli kurczowo. Uczepił z całych sił. Nie był już Darkiem Woźniakiem, tylko Żeglarzem, nie miał imienia, żeby śmierć nie mogła go znaleźć. Żeby śmierć nie mogła go znaleźć. Żeby śmierć nie mogła...

Cygan skończył, zapiął rozporek i rzucił jeszcze jedną groźbę, co będzie, jeśli Darek komuś powie. Potem wyszedł.

Darek został na podłodze. Na mokrym dywanie. W błocie, szczynach, własnych smarkach i łzach. I wiedział, że nikomu nie powie. Bo nikt nie może się dowiedzieć. A zwłaszcza ona.

KACPER

– Dobra, pierdolić. Idę tam – powiedział Kacper, podnosząc się z miejsca. Od krzyków minęło już dobrych kilka minut, może więcej, może mniej. Może wieczność?

Józek złapał go za rękę.

– Jesteś pewien?

– Nie jestem. – Spojrzał na Grześka, który dostał chyba jakiegoś ataku, bo siedział wpatrzony przed siebie, skulony, tak że wydawał się jeszcze mniejszy. Jak małe, maleńkie dziecko. Szeptał coś cicho, niesłyszalnie, ale przecież wiedzieli, co mówi. Wciąż powtarzało to samo.

– Nie jestem – powtórzył Kacper i zszedł po nasypie na drogę.

Biegł, nisko pochylony jak żołnierz pod ostrzałem. Poruszając się wzdłuż pogniecionego, przerdzewiałego ogrodzenia z siatki, patrzył pod nogi, zerkając co chwilę na bramę numer dwadzieścia trzy. Był gotów zawrócić, jeśli tylko ktoś się w niej pojawi. Ktokolwiek.

Zatrzymał się przed połączonymi kamienicami, obejrzał się. Józek szedł za nim, znajdował się właśnie w połowie drogi. Grzesiek, który najwyraźniej wybił się ze stuporu na tyle, by zdać sobie sprawę, że nie chce być sam, też zszedł, ale czał się jeszcze w cieniu wiaduktu.

Kacper ruszył dalej. Omijając łukiem włązy piwniczne, dotarł do bramy, wstrzymał oddech i zerknął zza winkla. W półmroku zobaczył jedynie drzwi do mieszkania Mietka. Otwarte. Poza tym w bramie i na podwórku nie było nikogo. Obejrzał się i rozłożył ręce, by pokazać wpatrzonemu w niego Józkowi, że dalej nie wie, o co chodzi. Odetchnął i przebiegł na drugą stronę bramy. Ostrożnie podkraść się do okna z rozbitą szybą. Wszystko go swędziało, a po plecach spływała mu strużka potu, gdy powolutku, bardzo ostrożnie się podnosił. Zajrzał do środka.

W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego podejrzanego. Brudna podłoga, zaschnięty barłóg, rozsypane na podłodze zakupy. Jakieś puszki, chipsy, mleko, woda, częściowo rozwinięta rolka papieru uwalana w błocie. Dopiero wtedy zobaczył rozrzucone szeroko nogi w ciężkich butach. Gdy wzrok odrobinę

przyzwyczajaił się do półmroku, Kacper odkrył, że nogi leżą w ciągle rosnącej kałuży ciemnej cieczy.

Krew, pomyślał, sztywniejąc. Mietek go zabił!

I wtedy to usłyszał. Jakby chrobotanie czy gulgot. Podniósł się i w rogu pokoju zobaczył gospodarza z rękami dociśniętymi do brzucha. Ze zwieszoną głową, z podbródkiem prawie na piersi wyglądał na pijanego. Gulgotał, a z ust wydostawała mu się krwawa piana.

– O kurwa! – stęknął nagle tuż obok niego Józek. Tak niespodziewanie, że Kacper aż podskoczył. – On jeszcze żyje!

– Żyje? – zapytał zza ich pleców Grzesiek. – Kto żyje? Mietek?!

Józek zignorował to pytanie. Szarpnął Kacpra za ramię.

– Wynośmy się stąd! Wynośmy się, słyszysz?

Kacper powoli, bardzo powoli, skinął głową. Złapał się rękami za parapet i stanął wyprostowany. Wszystko jak na zwolnionym filmie.

– Tak – oznajmił nieswoim głosem. – Chodźmy stąd.

– Co wy? Przecież on żyje! – Grzesiek popatrzył po kolegach. – Zwariowaliście? Nie zostawimy go tak.

I nie czekając na reakcję, wbiegł do bramy.

– Grzesiek, stój! – zawołał za nim Józek, ale to już nie miało znaczenia. Kacper rzucił się w ślad za kolegą.

Wpadając do mieszkania, mało nie przejechał na puszcze ananasów. Zamachał rękami, w ostatniej chwili złapał się pędzącego za nim Józka.

– Uważaj, krew! – powiedział.

Na podłodze przed nimi leżał facet z plecakiem. Właściwie pólśedział, ale głowa zwisała mu do tyłu, usta miał rozwarte. Jedno oko szkliście łypało na chłopców. W miejscu drugiego widniał krwawy oczodół. Wokół wały się metalowe kątowniki, deski, narzędzia, dziesiątki uwalanych w błocie i krwi śrubek oraz gwoździ.

– Tętnica – szepnął Józek, pokazując na ranę w pachwinie, z której wciąż sterczała piłka do drewna. – Rozciął sobie tętnicę. To dlatego jest tyle krwi. To tętnica udowa.

Rzeczywiście krwi było bardzo dużo. W dodatku rozmazanej, bo Mietek najwyraźniej się w niej czołgał, sunąc w kąt pokoju. Siedział tam teraz, cały brudny od krwi, z szeroko otwartymi przerażonymi oczami.

Grzesiek kucnął przy nim i spróbował odsunąć jego ręce przyciśnięte do ciemnej plamy na brzuchu. Krew wciąż się z niej sączyła, zalewała Mietkowe palce, skapywała spomiędzy nóg na podłogę.

– Musimy wezwać karetkę! – krzyknął.

– Nie drzyj się! – warknął Kacper.

– Karetkę, on zaraz umrze, słyszysz?

Jakby na potwierdzenie, a może właśnie w kontrze do tych słów, Mietek zabulgotał, zachrypiał i poderwał głowę. Zaraz ją jednak opuścił, a z jego ust znów wydobyła się krwawa piana.

– On ma nóż w bebechach – zauważył Józek. Kacper aż się zdziwił, jak dorośle i spokojnie brzmi teraz jego głos. – Zobaczcie!

Rzeczywiście, tuż pod dłońmi Mietka sterczała rękojeść składanego noża.

– Karetka! – zawołał Grzesiek, głos mu się załamał.

– To, kurwa, idź, biegnij. – Nie wytrzymał Kacper. – Przecież nie dojedzie! Jak ma dojechać, kurwa? Którędy?! On już nie żyje, słyszysz?! Nie żyje! Tylko jeszcze oddycha.

Józek podszedł do faceta z plecakiem. Przykucnął.

– Nie dotykaj go – powiedział Kacper. – Nie zostawiaj śladów! W ogóle zobaczcie, czy...

– Tu umiera człowiek, ty bezduszna kupo gówna! – Grzesiek już nie krzyczał, tylko płakał. Klęczał przed olbrzymem tak, jakby chciał go przytulić, ale nie wiedział jak. Mietek bulgotał cicho. Coraz ciszej.

– Chodźmy stąd – wyszeptał Józek.

– Nie, nie zostawię go tutaj. Nie zostawię – zaprotestował Grzesiek. – Nie zostawię. To kolega taty. Nie zostawię...

Odciągnęli go siłą, uważając, żeby nie wdepnąć w krew. Nie ułatwiał. Szarpał się, wierzgał, wrywał, płakał.

– Puśćcie mnie – jęczał. – To przeze mnie. Puśćcie.

Nie puścili. Kacper chwycił go od tyłu, złapał za kark i poddusił, Józek ruszył przodem, upewniając się, że bezpiecznie zejść ze schodków.

– Puśćcie mnie – płakał Grzesiek. – Ja nie chciałem. Panie Mietku. Ja nie chciałem. Ja przepraszam... Przepraszam...

– Wolne, nikogo nie ma – powiedział Józek, dając znak, że mogą wyjść z bramy. Kacper złuzował uścisk.

– Już? Pójdiesz normalnie?

Grzesiek kiwnął głową, oddychając płytko. Obejrzał się tylko raz.

– To moja wina – stwierdził już prawie spokojnie. – To ja go zabiłem.

Kacper się nie odezwał. Przetarł oczy, do których cisnęły się łzy, przełknął te, które popłynęły gardłem. Trząśł się cały, miał wrażenie, że zaraz się rozpadnie, rozsypie, ale nie mógł sobie na to teraz pozwolić – teraz musiał być twardy, trzymać się w ryzach i przede wszystkim wyprowadzić stąd Grześka.

Jakimś cudem udało im się dojść do lasu, na niewielką, skrytą pośród drzew polankę, gdzie kiedyś urządzali sobie ogniska. Tam po prostu usiadł na ziemi i zaczął wyc.

LUŻNA KARTKA

Wszedł do bramy, w której zniknął facet z wózkiem. Wchodząc, zdjął okulary i zawiesił je na specjalnym uchwycie na pasku plecaka. Przeszedł na podwórko, gdzie zobaczył stos porąbanych deseczek i kilka całych skrzynek z dobrze znanymi sobie oznaczeniami. Właśnie tego szukał. Wszystkie jednak były puste. Odwrócił się i popatrzył na pootwierane na oścież okna. Zobaczył też, że w mieszkaniu na parterze stoi facet z wózkiem i na niego patrzy.

I po konspiracji, stwierdził w duchu, uśmiechając się trochę do tej myśli, a trochę do faceta. Wrócił do bramy i podszedł do trzech popękanych stopni. Wstąpił na pierwszy i już uniósł rękę, by zastukać do drzwi, gdy te nagle otworzyły się do środka i z rykiem wypadł na niego...

Wypadł na niego...

Wrzeszcząc opętańczo, wypadł...

Nie.

Nie tak.

Nie wiem.

DAREK

Z kranu w kuchni leciała woda. W ciemnej łazience też, więc napuścił do wanny, rozebrał się i wszedł. Muł zazgrzytał mu pod stopami. Gdy usiadł, podrapał sobie plecy i tyłek. Lodowata woda działała jednak kojąco na rany. Na obolałą twarz, na obolałe nerki, brzuch. Na plecy poharatane przez psa czy gałęzie. Leżał tak, aż zaczęło nim telepać. Wtedy wyszedł i pod bieżącą wodą uprał koszulkę i spodenki resztką znalezionej szamponu. Majtkami się nie kłopotał. Miał je gdzieś. Nie zamierzał ich już wkładać.

Wyprał, strzepnął i zaczął wykręcać. Mocno, z całej siły. Rozprostował, założył i chciał podskoczyć parę razy, by opanować drżenie, ale zakłuło go w nerkach, szarpnęło w brzuchu i mało nie zwymiotował.

Zanim opuścił mieszkanie, opracował sobie drogę do domu. Najgorsze było, że musiał iść koło Caritasu, pokazać się tam, w tych mokrych ciuchach. Zapytają go, co się stało, a on skłamię, bo przecież nie powie prawdy. Nie powie, że skurwiel Cygan skopał go i na niego naszczał. Nic nie powie, bo gdyby wspomniał tylko o tym pierwszym, tamten zdradziłby resztę. A wtedy Laurze pewnie będzie go żal, zmartwi się. Może i tak zerwie z Wiktorem, ale co z tego? Kto chciałby być z kimś, na kogo naszczano?

Przypomniało mu się to „cieszę się, że wróciłeś” skierowane do Józka. Józka, którego ledwie poznała. Józka, który dostał drabiną w łeb. A mimo to cieszyła się, że wrócił.

– Bo ty jesteś zerem – powiedział do siebie, patrząc w skąpane w mroku lustrzane odbicie. – Nic nie znaczysz i jesteś nikim. Oszczanym nikim.

Minął dobry kwadrans, nim zdecydował się wyjść z domu. Od razu uderzyła w niego fala upału, dosłownie czuł, jak mokre ciuchy na nim parują. Kuśtykając lekko, przeszedł koło mostu Andrzeja, nowego targu i za liceum. Tam przypomniał sobie o ścieżce tyłem i ruszył przez mostek na spokojniejszej już Starynce, a potem obok garaży aż do zwałonego płotu.

Gdy dotarł na podwórko, zobaczył, że sąsiedzi już zaczęli wracać z ewakuacji. Sprzątali, myli szyby, opróżniali piwnice. Z jednego z okien dochodziły dźwięki

radia. Spiker nadawał właśnie z Opolą, gdzie mieszkańcy przygotowywali się na mającą nadejść lada chwila kulminacyjną falę powodzi. Tam dopiero się szykowali, tu było już po wszystkim.

Wszedł na klatkę schodową. Miał szczerą nadzieję, że rodzice jeszcze nie wrócili albo że tata z powodu pracy przełożył to na później. Potrzebował być teraz sam.

JÓZEK

– To jest walka z czasem, proszę pani – mówił do kamery dyrektor opolskiego zoo, mężczyzna o pyzatej, ogorzałej twarzy z workami pod oczami. W tle grupa żołnierzy i pracowników szykowała się do ewakuowania zwierząt. – Wszyscy walczą bez wytchnienia od poniedziałku rano. Ale teraz prognozy są dużo gorsze i trwa walka z czasem.

Śpiący na kanapie Grzesiek przewrócił się niespokojnie. Józek poprawił mu koc.

– Podobno wojsko udostępniło na rzecz zoo poligon w Winowie – powiedziała reporterka. – Czy jest tam odpowiednia infrastruktura?

Dyrektor uśmiechnął się smutno.

– Odpowiednia to niewłaściwe słowo, ale dająca szansę na uratowanie naszych podopiecznych – wyjaśnił. – Obdzwoniłem wszystkie ogrody zoologiczne w kraju zapytaniem, czy mogą nam pomóc. Na ten moment odpowiedziały trzy: Wrocław, Chorzów i Płock. Mamy jednak sami je tam przetransportować, a to wymaga akcji logistycznej na niespotykaną dotąd skalę. Musimy uśpić setki zwierząt. – Odchrząknął nerwowo. – To znaczy uśpić do podróży, rzecz jasna.

Józek wyłączył telewizor i spojrzał na zegarek. Kacper zniknął już pół godziny temu, a miał iść tylko na chwilę. Z każdą minutą wzrastało ryzyko, że pojawi się tata Grześka, wróci z migreną albo po coś, czego zapomniał, i wtedy to Józek będzie musiał wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, by wytłumaczyć, dlaczego siedzą właśnie tu, u Szczęsnych, Grzesiek śpi, a on nad nim czuwa. No i jeszcze nie wiedział, czego spodziewać się po Grześku, gdy się obudzi. Czy się uspokoi, jak wtedy na polance, kiedy już się wyryczał, wypłakał i powiedział, że chce iść do domu? Czy może nabierze nowych sił i znowu zacznie histeryzować?

Właśnie po to poszedł Kacper do mamy do szpitala – zdobyć coś na uspokojenie.

Józkowi też by się przydało, bo czuł, że serce trzepocze mu w piersi jak mały ptak. Czuł narastające ciśnienie w żyłach i skroniach, pieczenie w nosie i suchość w ustach. Myślał o ciałach w tamtym domu. O facecie śledzącym Mietka. Dlaczego się pozabijali? Czy to rzeczywiście był jakiś mafioso, który przyjechał tu, szukając pieniędzy z plecaka? Jeśli tak, to teraz, gdy zginął, sprawa się zaostrzy. Pojawi się

następny, sprawdzi ślady i trafi na nich. A może ktoś ich widział? Może nie dał się ewakuować, patrzył na nich z okna i teraz, gdy tylko zjawi się kolega zabitego, opíše ich starannie.

Poza tym na pewno zostawili mnóstwo śladów, w coś wdepnęli, czegoś dotknęli. Policja przyjedzie, zbierze odciski, zrobi to, co zwykle na filmach, i zaraz przeszuka im domy. A wtedy na pewno znajdzie forszę, bo gdzie indziej mieliby ją trzymać, jeśli nie w domach? Józek swoją wcisnął głęboko za szafę, gdzie było tyle kurzu, że nikt tam na pewno nie zaglądał, by sprzątać. A pozostali? Co będzie, gdy policjanci zjawią się u nich w domach, znajdą kasę u jednego i wezmą go na przesłuchanie? Czy będą twardzi, czy mimo obietnicy powiedzą wszystko?

Bo jak to wyjdzie, mama się załamie, a ludzie zaczną gadać, że niedaleko pada jabłko od jabłoni i jaki ojciec, taki syn. Nie będą chcieli ich słuchać. Nikt nie będzie pytał. A jeśli jeszcze dowiedzą się o pieniądzech...

– Podasz mi wody? – zapytał Grzesiek. Głos miał cichy, ochrypły.

– Jasne. – Józek podniósł się z kanapy, obszedł ją i złapał butelkę mineralnej, po czym podał ją koledze.

Gdy Grzesiek skończył pić, otarł usta przedramieniem i rozejrzał się. Zdaniem Józka wyglądał już nieco lepiej.

– Gdzie Kacper?

– Poszedł po coś na uspokojenie.

– Dla mnie? Już nie trzeba.

Józek wzruszył ramionami.

– Trzeba, nie trzeba. Warto mieć – rzucił, a po chwili dodał: – Wypadałoby, żebyśmy poszli do Caritasu. Twój tata będzie się martwił.

Grzesiek zaczął kiwać głową i przez moment zanosilo się na to, że znowu wpadnie w stupor. Zaraz jednak odrzucił koc, spuścił stopy z kanapy.

– Będziemy to zgłaszać na policję? – Popatrzył na Józka uważnie.

– Nie wiem... Nie, chyba nie.

Znowu to kiwanie głową. Za długie, jakby nie pamiętał, kiedy należy przestać. Wziął do ręki zeszyt, na którym leżał, i przekartkował go mechanicznie.

– Co to? – zapytał Józek.

– A takie tam. Czasem robię opisy scen do filmów dla taty, a czasem opowiadanie jakieś piszę. – Odłożył zeszyt, zerknął na zegarek. – Cholera, dawno poszedł?

– Już powinien wracać.

KACPER

Po blisko półgodzinie i dwóch kawałkach ciasta, które w siebie wmusił, ostatecznie się poddał. Choć wszystkie leki w pudełkach i buteleczkach patrzyły na niego zza szyby przeszklonej szafki, nie miał pomysłu, jak się do nich dostać. Musiałby przekonać panią Grażynkę, by sama sięgnęła po kluczyk, bo ilekroć pielęgniarki otwierały szafkę, zawsze pamiętały, by ją zamknąć. Wyglądało więc na to, że zmarnował czas. Przynajmniej jednak udało mu się uniknąć tego, czego obawiał się najbardziej – spotkania z mamą. Rano się rozminęli i pewnie jeszcze jej nie przeszło. Ostatnie natomiast, czego Kacper teraz potrzebował, to dokładać problem z nią do reszty kłopotów. Jeśli coś jej nie pasuje, niech idzie sobie do swojego kochanka. Niech z nim gada!

Wychodząc ze szpitala, natknął się na dziadka Zbyszka. Siedział na ławce, palił papierosa i rozmawiał z jakąś grubą, starszą kobietą. W jej tlenionych włosach koloru cukrowej waty błyskały ślady niebieskiego. Na widok wnuka przeprosił kobietę i podniósł się z ławki.

– U mamy byłeś?

– Nie, u pani Grażynki – wyjaśnił chłopiec. – To oddziałowa pielęgniarek.

– Wiem, znam. – Dziadek zaciągnął się i westchnął, wypuszczając dym. – Ja byłem u twojej mamy przeprosić ją za wczoraj, ale chyba nie poszło mi najlepiej.

Kacper zmarszczył czoło.

– Co to znaczy? – zapytał, nagle zaniepokojony.

Jak się okazało, słusznie, bo dziadek, zaciągnąwszy się ponownie dymem, odparł:

– Zbieram się dzisiaj.

– Wyrzuciła cię?! – Kacper powiedział to stanowczo za głośno i za wysoko, tak że obejrżeli się na nich siedzący na ławkach ludzie. Nie dbał jednak o to, miał to gdzieś. Pod powiekami znów czuł łyzy, choć sądził, że wszystkie już wypłakał tam, na polance. – Czekał, idę do niej!

Ruszył, ale dziadek przytrzymał go za ramię spokojnym, pewnym ruchem, jakby nie włożył w to ani odrobiny wysiłku, a mimo to uścisk miał silny, wręcz żelazny.

Stał tak, na szeroko rozstawionych nogach, z papierosem przyklejonym do wargi, i przypominał mu filmowego herosa. Uśmiechał się też podobnie.

– Daj spokój, Kacper – powiedział. – I tak miałem się zbierać, a dla twojej mamy to trudny czas. Poza tym zaraz wróci twój tata.

– Pieprzę tatę! – warknął chłopiec, na szczęście tym razem ciszej. – Pieprzę go! I ją. Niech się gzi ze swoim kochasiem, ale od ciebie się odpieprzy!

Dziadek nie krył zdziwienia.

– Kochasiem? – zapytał. – O czym ty mówisz? Albo wiesz co, nie mów tutaj. Chodź, przejdziemy się.

Gdy opuścili teren szpitala, Kacper zastanawiał się, co może powiedzieć dziadkowi. I doszedł do wniosku, że pierdolić, powie mu wszystko! Byli w takiej dupie, że potrzebowali wreszcie kogoś dorosłego, by pomógł im się ogarnąć. A jedyny dorosły, który mógł to zrobić, jedyny, który wyglądał i zachowywał się jak filmowy heros, który rozumiał jego język, czytał jego książki, zaraz miał stąd wyjechać.

– Dziadek, mogę cię o coś zapytać?

– Już pytasz, no ale dawaj. Co ci tam chodzi po głowie?

Kacper zawahał się. Od czego powinien zacząć? Od trupa? Pieniędzy? Od następnych trupów? Jak to powiedzieć, żeby dziadek zrozumiał?

– Co byś zrobił, gdybyś znalazł dużo pieniędzy? I trupa?

Dziadek zatrzymał się w pół kroku i odwrócił bardzo, bardzo powoli.

– O czym ty mówisz?

Kacper odgarnął grzywkę z czoła. Rozejrzał się na boki i za siebie. Weszli właśnie na zwirowaną drogę prowadzącą do powstającego niespiesznie osiedla domków jednorodzinnych, skąd prostą drogą szło się już tylko do starej harcówki lub lasu. Nie widział nikogo, tylko przy jednym domku stał samochód.

– Dasz mi papierosa? – zapytał.

– Kacper, to nie są żarty. – Dziadek przyglądał mu się badawczo. – Znalazłeś ciało? Gdzie? Nad rzeką?

– Nad rzeką z chłopakami znaleźliśmy. Utopiony taki, miał ze sobą plecak, a w nim pieniądze... – Zaczerpnął tchu, czując, że cały się trzęsie. Zamknął oczy

i odetchnął kilka razy głęboko. Gdy je ponownie otworzył, miał przed nosem paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Opowiadaj – powiedział dziadek.

Więc Kacper opowiedział, cofając się najpierw do akcji z psem, a potem do znalezienia trupa i tego, jak wszyscy się tam porzygali.

– Myślisz, że policja może nas po tym znaleźć? – zapytał. – Że w rzygach jest DNA albo coś? Bo ci filmowi...

– Policja w prawdziwym życiu nie jest taka – mruknął dziadek. – Mów dalej.

Mówił więc o plecaku, o pieniądzach i o tym, jak się podzielili, ale obiecali sobie, że nie będą tego ruszać i nikomu nie powiedzą. I że nie wiedzieli nawet, czy pieniądze są prawdziwe, więc Grzesiek...

– ...wpadł na pomysł, żeby lokalnemu żulowi, takiemu, wiesz, samotnemu typowi podrzucić stary portfel z setką czy tam dwiema i niech se pójdzie wymienić do kantoru.

Dziadek pokiwał głową skrytą w dymie.

– Tylko coś poszło nie tak, bo gdy wymienił te pieniądze, szedł za nim taki facet, pewnie obstawiał kantory i szedł, rozumiesz, za każdym, kto wymieniał dolary. Znaczy, tak myślimy. Przyszli do Mietka i... I...

Głos mu się załamał.

– I co? – zapytał dziadek stanowczo. – Co się stało?

Kacper, choć bardzo nie chciał, choć walczył z całych sił, wybuchnął płaczem. Ukrył twarz w rękach, mało sobie przy tym nie przypalając włosów, i łkał cicho, a potem głośniej, gdy poczuł na głowie rękę dziadka.

– No już, młody, spokojnie. Któremuś coś się stało?

Nie dał rady odpowiedzieć. Wyrzucił papierosa i wtulił się mocno w dziadka.

– Obaj – wyszeptał w jego pierś. – Nie żyją. Pozabijali się. Walczyli i jeden miał nóż. I tam była masa śmieci, takich ostrych. Masa! I oni...

– Dotykaliście czegoś?

Kacper energicznie pokręcił głową, trąc twarzą o koszulę dziadka.

– Znaczy nie wiem, w sumie... Nie, chyba nie.

– Dobra, co było dalej? I ile właściwie macie tych pieniędzy?

Usłyszawszy kwotę, dziadek aż zagwizdał cicho.

– No dobra, to faktycznie uwiarygadnia tę historię – przyznał. – Myślałem, że mowa o drobniakach. Podzieliliście te pieniądze między siebie, tak?

– Tak.

– I jeszcze raz, bo wiem, że już mówiłeś, ale mi uciekło. Kto wpadł na ten pomysł, by podrzucić je temu... Jak mu było?

– Mietkowi – podpowiedział Kacper.

– Mietkowi – powtórzył dziadek.

– Grzesiek. On teraz w ogóle się załamał i dlatego poszedłem do mamy po jakieś leki na uspokojenie.

Dziadek zamyślił się.

– Dobra – stwierdził w końcu. – Zrobimy tak. Ja pójdę i załatwię coś, co go uspokoi i nie zrobi mu krzywdy. Ty dopilnuj, żeby na razie nikomu nie mówił. Idźcie do tego Caritasu czy coś, zajmijcie się czymś. Gdyby ktoś was pytał, co się stało, mówcie o martwych zwierzętach w rzece albo coś. Ja zobaczę, co się da zrobić i jak to załatwić. No i nie mów kolegom, że mi powiedziałaś, bo pewnie uznają cię za zdrajcę, a jeśli cię wykluczą, na pewno wpakujecie się w jeszcze większe kłopoty. Zgoda?

– Zgoda. Dziękuję. – Kacper z całej siły wtulał się w dziadka, aż wreszcie zrobiło mu się lżej. Miał wrażenie, że gdyby nie ścisnął tej szerokiej piersi, gdyby nie trzymał się go tak kurczowo, odleciałby. Poszybował ku niebu jak balon.

– Jeszcze jedno, chłopie. – Dziadek pogłaskał go po głowie. – Mówiłeś coś o kochasiu mamy. Co miałeś na myśli?

Kacper w kilku słowach streścił i tę sytuację. Dziadek westchnął.

– No dobra – powiedział. – Jedna sprawa na raz.

DAREK

Upewnił się, że drzwi są zamknięte, a klucz tkwi w zamku. Dopiero wtedy wyjął spod łóżka pudełko po konsoli, w którym trzymał swoje szpargały, a z niego pakunek zawinięty w tiszert i rozłożył pieniądze na łóżku. Pieczołowicie, z namaszczeniem, jakby dokonywał ważnego rytuału. Przypomniał mu się cytat z filmu *Skazani na Shawshank*, już z samej końcówki, gdy główny bohater, były bankowiec, uciekł z więzienia przez rurę kanalizacyjną, ciągnąc za sobą pieniądze skradzione pazernemu naczelnikowi: „Andy Dufresne przeczołgał się przez rzekę gówna, a z drugiej strony wyszedł czysty jak łąza”.

Wyjął z pliku jedną studolarówkę. Podniósł ją, obejrzał z każdej strony. Za tyle, wiedział o tym dobrze, żule pobiją Cygana i połamią mu ręce. Przytrzymają go tak, by mógł mu naszczać do ust. A może nawet nasrać. Wyobrazil sobie, że kuca nad jego twarzą, ściągając spodnie...

– Nie – powiedział sam do siebie. – To za dużo.

Wsunął banknot za banderolkę i wybrał inny. Wahał się między pięćdziesiątką a dwudziestką, ostatecznie wziął dychę. Dziesięć dolarów. Tyle by wystarczyło. Tyle był wart Cygan. Nie prawie dwanaście tysięcy, a dziesięć pieprzonych dolarów. Jak gnój, nic niewarty gnój. I Darek ani myślał dać mu się złamać!

Schował pieniądze i poszedł się przebrać. Umył się jeszcze raz, teraz jednak w gorącej wodzie, wyszczotkował starannie zęby, spryskał się wodą kolońską ojca. Włożył nowy tiszert i spodnie, wziął trampki z pudełka odłożone na kolonie, ale teraz pewnie żadnych kolonii już nie będzie. Więc pieprzyć to.

Powiedzieli Laurze o psie, powiedziała, że on, Darek, ma wielkie serce. To się liczyło i nic, kurwa, więcej!

– Nic więcej – powtórzył na głos. Obejrzał zaczerwienioną bułę na policzku, tuż poniżej rozcięcia koło oka.

Co się stało, to się stało. Nikt się nie dowie. Cygan też przecież nikomu nie powie, bo poszedłby do poprawczaka za taką akcję. A może już do więzienia? Więc to będzie ich sekret tak długo, aż Darek znajdzie odpowiedni moment na zemstę. Było go na to stać.

Wyszedł z domu, wyrzucił do kosza zbrukane rzeczy, po czym dziarskim krokiem minął podwórko i ruszył ulicą wiodącą do Jana Pawła. Tam jednak zwolnił. Powietrze zaczęło stawiać opór, nogi zrobiły się cięższe. Mimo to doszedł pod Caritas, gdzie pan Mareczek ładował właśnie paczki do busa. Pomagali mu Wiktor, Cygan, brat Laury i jeszcze dwóch młodszych chłopców, pewnie jego kolegów.

Na widok Darka Cygan uśmiechnął się paskudnie.

– Powiedziałem, że się pośliznąłeś i musiałeś się przebrać – odezwał się, puszczając przy tym oko. – Ale wiedziałem, że wrócisz, bo nie jesteś miękka faja jak twoi kumple, co nie? Psi obrońco?

Darek jakby dostał w twarz. Zacisnął szczęki i pięści.

– No, stary, to faktycznie coś – przyznał Wiktor, wychylając się z paki. – Najpierw spieprzać przed dobermanem, potem go ratować, wyciągając z błota na własnych plecach – to trzeba mieć wyobraźnię.

Obaj wybuchnęli śmiechem, a Darek poczuł, że robi się cały czerwony. Że twarz aż go pali, w gardle robi się sucho. Zobaczył Dagmarę stojącą w progu z paczką pieluch i papierem toaletowym. Miał ochotę podciągnąć tizert, pokazać zadrapania, ale przecież wcale nie wiedział, czy wyglądają na ślady po psich pazurach. A co, jeśli z tego też zaczną sobie robić żarty? Ruszył w stronę drzwi, do których blokowała mu dostęp. Czy Laura też myślała, że to był wymysł? Czy ona też nie wierzyła w akcję z psem? Czy gdy Kacper im o tym mówił, też się śmiała? W jaki sposób to powiedział, skoro nikt nie uwierzył?!

– Ja ci tam wierzę – odezwała się Daga, zupełnie jakby czytała mu w myślach. – I uważam, że zachowałeś się naprawdę...

– Dobra, nieważne – mruknął, wparowując do głównego pomieszczenia.

– Was to tutaj więcej nie ma, niż jesteście. – Zaśmiała się pani Natalia, ale przerwała na widok jego miny. – Coś się stało?

– Pośliznąłem się, upadłem w błoto i musiałem się przebrać. – Darek zrećnie powtórzył wszystko, co przed chwilą powiedział Cygan. Trzymali się jednej wersji, to była ich tajemnica. Na razie... – Co trzeba robić?

Pani Natalia przydzieliła go do pakowania paczek i zapytała, czy zgodzi się pomóc usuwać śmieci u jednej z pacjentek. Zgodził się od razu, cokolwiek, byleby się czymś zająć, a potem z miejsca zabrał się do roboty. Szarpał i rozrywał

zgrzewki kartoników mleka, butelek wody, środków czystości, oddzielał opakowania sucharków, segregował słodycze. Raz po raz pomagał znieść materac albo wnosił po tych samych schodach składane, biwakowe krzesła i stoły przywiezione spod Bydgoszczy. Pomagały mu w tym Mariolka i Dagmara, która miała jechać na wioski, ale ostatecznie została. Był dla nich miły, rozmawiali ze sobą, pracowali i tylko Laury nigdzie nie widział. Jej i, co dotarło do niego dopiero koło piętnastej, również chłopaków.

A jeśli coś poszło nie tak? Jeśli wpadli, jeśli ktoś ich złapał, jeśli właśnie w tej chwili... Nie no, cholera, nawet nie chciał sobie wyobrażać, co właściwie mogło się wydarzyć. Zbyt dużo miał w głowie myśli, obrazów. Ciemne mieszkanie, najpierw to dziadka, potem to opuszczone, i trup w wodzie mieszały mu się z dziesiątkami obejrzanych filmów. Opcji było bez liku, w tym wiele naprawdę strasznych.

Dlatego odetchnął z ulgą, gdy zobaczył wchodzących do sali Józka i Kacpra.

– Gdzie Grzesiek? – zapytał.

Józek rozejrzał się.

– A co, tata o niego pytał?

– Jego tata poszedł z panią Zofią do sztabu kryzysowego, żeby załatwić nowych wolontariuszy – odezwała się Daga ze szczytu pieluchowej góry w kącie. – Zamierza rzucić burmistrzowi tekstem, że nawet ślepy by zobaczył, że nie dajemy tu rady. – Zachichotała, jakby to był najlepszy żart na świecie.

Kacper kiwnął głową na wyjście.

– Chodź na chwilę. Musimy pogadać – rzucił poważnym tonem.

Kiedy wyszli przed budynek, Józek najpierw się rozejrzał, czy nikt nie patrzy, a potem mruknął:

– Tylko nie panikuj.

Co oczywiście nie pomogło, bo Darek natychmiast się zdenerwował.

– Co się stało? Coś z Grześkiem?

– Z Grześkiem w porządku – odparł Kacper. – Histerii tylko dostał. Ale są kłopoty.

– Kłopoty?

– Mietek nie żyje.

– Co?!

– Nie wrzeszcz tak. Jezu – uciszył go Józek, znowu się rozglądając. – Mówiłem, że to nie jest dobre miejsce.

Kacper odgarnął włosy.

– Nie ma dobrego miejsca – stwierdził i w kilku słowach streścił Darkowi całą historię. Gdy doszedł do opisu tego, co zobaczyli, głos mu się załamał. Przerwał na chwilę, odchrząknął i jednak dokończył opowieść.

Darek poczuł, że musi usiąść.

– Kim był ten drugi facet? – zapytał. – To faktycznie ktoś z czeskiej mafii?

– A skąd mamy wiedzieć? – Józek wyraźnie tracił cierpliwość. – Pojawił się tam, z nożem. Szedł za Mietkiem kawał drogi, a potem go zabił. Sam też się zabił, pośliznął albo co i nadział na kątownik. Mietek wydlubał mu oko. Niedobrze mi, jak sobie przypomnę.

– I co teraz?

Kacper wzruszył ramionami.

– Na razie siedzimy cicho – powiedział. – I ty też, morda w kubeł i do nikogo. Poczekamy, co wyjdzie.

Darek pokiwał głową.

– Jest jeszcze coś – odezwał się po chwili wahania. – Cygan chce pobić Grześka. Mówi, że tak na poważnie.

Kacper prychnął z pogardą.

– I to jest problem według ciebie? To jest problem, którym teraz trujesz dupę? Jeden leszcz z ogólniaka, cienki jak woda w kiblu, to dla ciebie kłopot? Daj spokój, przecież Cygan to przychlast na strzała. Nie bądź cipą, chłopie!

Darek otworzył usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknął.

– No w sumie racja – odparł w końcu. – To przychlast na strzała.

JÓZEK

Gdy w porze obiadowej zjawił się wreszcie Grzesiek, wyglądał całkiem normalnie. Pani Natalia zażartowała, że wąż ma teraz pewnie po ojcu, bo aż z domu wyczuł dostarczone właśnie pierogi ruskie, a pan Szczęsny wstał i na chwilę wziął syna na bok.

Józek zerknął na Kacpra i ten natychmiast przestał bezmyślnie mieszać widelcem w swoim pojemniczku. Zastygli w napięciu, przyglądając się rozmowie, z której nie słyszeli ani słowa.

Na szczęście wyglądało, że chłopak dał radę, bo ojciec klepnął go w policzek, coś tam zażartował i obaj wrócili do stołu.

Grzesiek też dostał pełną porcję pierogów i podobnie jak oni zaczął je kroić, wygrzebywać farsz i przeżuwać maleńkie kawałki.

W połowie posiłku przyszli Wiktor z Cyganem, ale tylko zjedli i stwierdzili, że muszą pomóc koledze w wyprawadźce. Laura zjawiła się niedługo później, jednak nie chciała pierogów.

– Nakarmili mnie – powiedziała i przecisnęła się za plecami Józka i Darka, by wziąć butelkę napoju.

– A gdzie ty właściwie byłaś? – zapytał Kacper.

– No proszę. – Zaśmiał się pan Szczęsny. – Odezwał się ten, co tu koczuje od rana.

– Nie no, tak tylko zapytałem.

– Udzielałam się jako pielęgniarka – wyjaśniła. Spróbowała odkręcić nakrętkę, ale ześliznęły jej się palce. – Pomożesz?

Józek i Darek odwrócili się jednocześnie, ale to ten drugi sięgnął po butelkę. Zaparł się, poczerwieniał, jednak dał radę. Gazowany napój wytrysnął mu na ręce i trochę wylało się na spodnie.

– Lepiej to szybko splucz – rzuciła Mariolka. – Ciężko będzie się wytłumaczyć z tych żółtych plam.

Niemal wszyscy się zaśmiali, tylko Darek wyraźnie się spiął, łypiąc w stronę drzwi wyjściowych. Józek zobaczył błysk w jego oczach i przypomniał sobie słowa najpierw Grześka, a potem Kacpra o chłopaku, który ma wszystko i myśli, że wszystko mu się należy. A to przecież był tylko głupi żarcik.

Laura wzięła od Darka butelkę, podziękowała i powiedziała mu, że ciekawie pachnie. Zapytała go, co to za zapach, a on wyburczał, że old spice.

– Nie, to coś jeszcze – odparła. – Jakieś takie... No, ciekawe.

Upiła napoju, a on poczerwieniał i wlepił wzrok w stół.

Zmyli się obaj koło siedemnastej, gdy zadzwonił tata Darka, mówiąc, że są potrzebni, by przenieść rzeczy. Nie dyskutowali specjalnie, tylko zebrali się i poszli, po drodze dostarczając trzy paczki na Strzelców Bytomskich.

– Musisz wyluzować – powiedział w pewnej chwili Józek. – Stary, spinasz się tam o wszystko i to jest podejrzane.

– Bo tylko to się teraz liczy, nie? – warknął Darek. – Podejrzenia.

– No a nie? Jesteśmy zamieszani w sprawę trzech trupów i...

– Wy jesteście! – Darek ostro wszedł mu w zdanie. – Wy jesteście. Ja tylko w jednego. I w każdej chwili mogę oddać tę forszę, proszę bardzo!

Józek chciał już zapytać, co mu tak odwaliło, ale doszli właśnie do kolejki przy piekarni Juziuka, więc odłożył to na później. Zwłaszcza że w jednym kuzyn miał rację. To nie była jego sprawa. Nie aż tak jak ich.

Wyprowadzka Woźniaków przebiegła szybko i sprawnie, bo okazało się, że wszystko, co ze sobą wzięli, dało się zapakować do bagażnika i na tylne siedzenie auta, którym spokojnie mogli dojechać pod sam dom. Gdy już się zawinęli, Barbara Bednarz nastawiła czajnik, wyjęła herbatniki w cukrze i zajęła miejsce przy stole w kuchni.

– Przepraszam cię, Józek – powiedziała.

Uniósł brwi.

– Za co? Coś się stało?

– Za to całe zamieszanie. Nie mieliśmy jak i kiedy pogadać. – Podsunęła mu ciasteczka. – Obiecałam sobie, że spróbuję spędzić z tobą więcej czasu, trochę cię zrozumieć. Nawet te twoje komiksy zaczęłam czytać, ale nic nie zrozumiałam.

– Bo zabrałaś się od środka historii. – Zaśmiał się i również usiadł przy stole.

Mama patrzyła na niego z tym swoim smutnym, mądrym uśmiechem.

– Widzę, że coś cię gnębi, tylko nie wiem co. Ostatnio dużo się dzieje. Jeszcze w piątek, gdy przyszedłeś taki zmordowany, wszystko wydawało się w porządku, a potem... – Urwała, bo zagwizdał czajnik. Wstała, zalała herbaty dla nich obojga. Podała mu szklanke, swoją otuliła dłońmi. – Coś cię gnębi, prawda? Coś się stało?

Patrzył na nią i właściwie nie wiedział, co czuć. Strach, że go przejrzała? A może wdzięczność, że widzi, że jest, że w jakiś sposób rozumie? Przez kilka sekund bardzo chciał powiedzieć jej wszystko, ale potem nagle przypomniał sobie, co może powiedzieć w zamian.

– Gdzie naprawdę jest tata? – zapytał.

Trafił. Jej smukłe palce na moment zacisnęły się na gorącej szklance, usta drgnęły lekko, oczy zamknęły się i otworzyły, jakby ktoś odtwarzał mrugnięcie w zwolnionym tempie.

– A więc wiesz?

Nagle w jego głowie coś przeskoczyło. W jednej chwili już nie było mu jej żal. Już nie czuł ani strachu, ani wdzięczności. Zupełnie jakby użyła magicznego zaklęcia i nagle wypełnił go gniew. Nie, nie gniew. Wściekłość! Miał ochotę krzyknąć jej w twarz, dlaczego on ma się dzielić swoimi problemami, dlaczego ma o nich mówić, zaufać jej, skoro ona nie ufa jemu?! Dlaczego okłamuje go, a potem pyta, co go gnębi?! Jakim prawem?!

Wszystkie te emocje musiały malować się na jego twarzy bardzo wyraźnie, bo mama nagle skrzywiła się, przygryzła drżącą wargę, a jej oczy napełniły się łzami. I znowu dźwignia w jego głowie drgnęła. Wstał, podszedł do mamy na drżących nogach i przytulił się do niej. Poczuł na tiszercie jej łzy.

– Przepraszam cię, Józek – załkała. – Przepraszam.

Pogłaskał ją po włosach.

– Ciii, mamó. Już w porządku. Wszystko będzie dobrze.

KACPER

Pod drzwiami nie zobaczył sfatygowanych skórzanych butów, choć to jeszcze nie musiało nic znaczyć. Jednak brak walizki w stołowym wzbudził w nim niepokój.

Drzwi do pokoju mamy były zamknięte, ale wiedział, że ona tam jest – jej sandaalki stały w przedpokoju, torebka wisiała na wieszaku. Zapukał więc i nie czekając na „proszę”, wszedł do środka.

– Gdzie dziadek? – zapytał bez ogródek.

Mama leżała na łóżku, czytała książkę. Na jego widok odłożyła ją otwartą, grzbietem do góry, i usiadła, podciągając nogi.

– Dziadek musiał pilnie wyjechać – powiedziała. – On...

– Gównno! – ryknął. – Gównno prawda!

Zaskoczył ją. Otworzyła szerzej oczy, usta ułożyły się w zdumione „O”.

– Kacper, jak ty się...

Znowu nie dał jej dokończyć.

– Bo to gównno prawda! To pierdolenie dla małych dzieci!

– Kacper! Zapominasz się! – upomniała go głośnie. Wydawała się jeszcze bardziej zaskoczona. A może nawet przestraszona? Jeszcze nigdy przecież tak się do niej nie odezwał. Ale też jeszcze nigdy, myślał, nie dała mu ku temu powodu. Jak mogła tak wszystko spierdolić? I to jeszcze za co? Za pieprzoną koszulę?!

– On nie musiał wyjechać, wyrzuciłaś go! Rozmawiałem z nim dzisiaj, przyszedł cię przeprosić za tę koszulę. – Nerwowym ruchem odgarnął włosy z czoła. – Jezus Maria, mamo. Za koszulę! Koszulę, której i tak nikt, kurwa, nie nosi, bo nigdy go tu nie ma!

Mama zerwała się z łóżka i też odgarnęła włosy, zupełnie jakby go przedrzeźniała. Przybrała postawę bojową i choć mniejsza i drobniejsza od niego, próbowała być groźna. Wyglądała jednak komicznie. Z miejsca pomyślał o niej jak o tych małych ujadających pieskach.

– Kacper, masz natychmiast przestać, bo...

– Bo co? – Znowu wszedł jej w słowo, nie bacząc na to, że głos mamy uderzył w wysokie, płaczliwe tony. Nie obchodziło go, że ma zaszklone oczy. Należało jej się! – No dalej, co zrobisz, jak nie przestanę? Mnie też wyrzucisz z domu? A może powiesz ojcu, żeby mnie złał pasem, co?

Rozłożył szeroko ręce.

– No dalej, niech przyjdzie, niech mi wleje. Dalej! O ile jeszcze w ogóle go obchodzę! Bo to jasne, że wy się nawzajem nie obchodzicie. Tylko dlaczego nikt nie zechciał mi o tym powiedzieć?!

Wpatrywała się w niego milcząco, raz tylko szybkim ruchem otarłszy łzy. Oddychała szybko, płytko przez usta; jej pierś unosiła się i opadała.

– Co, myślałaś, że nie dowiem się o twoim kochanku? – zapytał, krzywiąc się przy tym paskudnie. – To dlatego wywaliłaś dziadka? By się nie dowiedział? No to za późno, bo już wie.

Zaskoczenie na twarzy mamy na moment wybiło go z rytmu. Ale tylko na sekundę.

– Co? Będziesz udawać, że nie wiesz, o czym mówię? – kontynuował. – Że nie chowasz się przed wszystkimi, kiedy gadasz ze swoim kochaniem? Czego się boisz? Że ojciec się dowie czy ja? Bo ojciec to już pewnie dawno ma nową...

– Zamknij się! – krzyknęła nagle tak stanowczo i władczo, jak nie ona. Zupełnie jakby zbierała w sobie siły przez całe swoje dotychczasowe życie. Na ten jeden krzyk, ten jeden raz.

Gdy rzeczywiście umilkł, obeszła łóżko i stanęła z synem twarzą w twarz.

– Rozumiem twój gniew, ale po raz ostatni odezwał się do mnie w taki sposób – powiedziała. – I nie, nie mam żadnego kochanka, a twój ojciec nie ma drugiej rodziny i kocha ciebie i mnie. Nie odzywaj się, póki nie skończę! Teraz, Kacper, spokojnie sobie usiądziemy, ty i ja, i opowiem ci historię o twoim dziadku, tacie i o mnie. A jeśli będziesz miał jakieś pytania, to je zadasz, jasne? I ten jeden raz potraktuję cię jak dorosłego. Potem wrócisz do bycia dzieckiem, a ja do bycia twoją pieprzoną matką. Zrozumiałaś?

Powoli skinął głową.

– To siadaj.

Usiadł, a ona zajęła miejsce obok.

– Zaczniemy od tego, że nie mam żadnego kochanka – zaczęła, patrząc nie na Kacpra, a przed siebie. – Faktycznie zamknęłam drzwi, rozmawiając przez telefon, i zamknęłam je przed tobą, bo dzwonił twój ojciec i wolałam, żebyś o tym nie wiedział.

– Dlaczego?

– Bo chciałbyś z nim porozmawiać, a wtedy mógłbyś powiedzieć, że tat... To znaczy twój dziadek tu jest. A on nie powinien o tym wiedzieć.

Odetchnęła głęboko i odwróciła się do niego.

– Widzisz, twój dziadek, a mój tata, miał... Nie, w zasadzie ciągle ma na mnie duży wpływ. I nie tylko na mnie. Na większość ludzi. Bo zawsze wie, co powinien powiedzieć, żebyś go polubił. Tak po prostu ma, a do tego jest bardzo inteligentny. Nie, Kacper, nie przerywaj. Potem będziesz pytał, dobrze? Kiedy byłam mała, moja mama płakała przez niego wiele razy i często wyrzucała go z domu za romanse, oszustwa, lewe interesy i milicję, która pukała do nas w nocy. Rodzice ciągle się awanturowali, ale trzeba przyznać, że ojciec nigdy mamy nie uderzył, nawet po pijaku. To ona rzucała w niego talerzami, garnkami. Przepraszam cię na moment.

Wstała i wyszła, by po chwili wrócić z rolką papieru toaletowego. Uśmiechnęła się smutno.

– Przyda się – powiedziała, urywając kawałek i wysmarkując nos. – Na czym to ja? Aha. Tata po prostu taki jest, przychodzi, kiedy potrzebuje, a potem znika. I tak naprawdę inni ludzie mało go obchodzą, chociaż wydaje im się, że jest inaczej. A do tego on zawsze zachowuje się tak, że chcesz mu wierzyć. Że chcesz dać kolejną szansę i nie umiesz odmówić... Przepraszam jeszcze raz, ale zasycha mi w gardle. Chcesz wody?

Potrząsnął głową. Mama znowu wyszła.

– Siedem lat temu – podjęła po powrocie – dziadek zjawił się tu na dłużej. Byłeś wtedy jeszcze mały, a on bawił się z tobą plasteliną, chodził na spacer. Miał tu wtedy taką panią Lucynkę. Mieszkał u niej i mówił, żebyś nazywał ją babcią, pamiętasz?

– Tak, pamiętam.

Mama zaśmiała się.

– Ona była ode mnie z siedem lat starsza, może osiem, ale faktycznie miała zmęczoną twarz, w mocnym świetle mogła wyglądać na czyjąś babcię. Ale lubiłeś

ją i w ogóle zachowywali się bardzo w porządku. – Napiła się wody i obróciła szklankę w rękach tak, by uszko mieć między kciukami. Upiła kolejny łyk. – Niedługo później twój tata miał jakiś wyjazd, nie pamiętam, czy związany z pracą, czy rajdem PTTK, w każdym razie wyjechał na kilka dni. Wtedy przyszedł twój dziadek i opowiedział mi o hurtowni, którą zamierzał otworzyć. Opracował plan, odłożyli nawet na to z Lucynką, jednak potrzebowali pożyczki. Nie od nas, bo przecież nie mieliśmy pieniędzy, ale jeden jego znajomy pracował w banku i obiecał przymknąć oko na to czy tamto, jeśli... Wiesz, kto to jest żyrant, Kacper?

Uniósł otwartą dłoń i zakołysał nią na znak, że mniej więcej wie.

– To taki ktoś, kto poświadcza, że będziesz spłacał swoje pożyczki – wyjaśniła mama. – A jeśli tego nie zrobisz, on będzie musiał spłacić je za ciebie. Dziadek chciał, bym została żyrantem.

Kacper uniósł głowę.

– Zgodziłaś się?

– Głupie, nie? Zwłaszcza że nie pierwszy raz mnie naciągał. Poza tym słyszałam też o innych. No ale dałam mu się przekonać, że to szybka sprawa, że zrobimy w ten sposób niespodziankę tacie, bo przecież będę współwłaścicielką hurtowni. To złoty czas dla tych, którzy wiedzą, co i jak, tak mówił. Dziś pod granicami stoją cysterny, czekają, aż na jeden dzień zniknie akcyza. I z tą pożyczką też tak jest. Jutro już nie będzie takiej opcji.

Przerwała i odetchnęła ciężko, jednak z wyraźną ulgą. Jakby zrzuciła z pleców wielki ciężar. Choć przecież dopiero zaczęła.

– Na początku wydawało się, że wszystko idzie nieźle, ale potem dziadek nagle zniknął. Niedługo później odezwał się bank i okazało się, że dziadek zalega z masą wpłat. Wtedy też przysłała do nas Lucynka ze straszliwą awanturą. Wyzywała mnie od oszustek i jeszcze gorzej. Może pamiętasz, choć mam nadzieję, że nie, bo to była straszna noc. Wtedy dowiedzieliśmy się o skali problemu. I wierz mi, synu, to był bardzo zły czas na długi w banku. Reforma finansów, inflacja i cała ta reszta. Szybko okazało się, że jeśli nie chcemy, by komornik zabrał nam wszystko, tata musi rzucić pracę i pojechać do Niemiec.

Teraz to Kacper milczał, wpatrzony w wykładzinę i własne brudne stopy. Mama znów upiła łyk wody i podjęła przerwany wątek.

– Było bardzo ciężko, dopiero z czasem, kiedy tata poznał w Niemczech ludzi i trochę się nauczył języka, jakoś zaczęliśmy to składać. Starał się wracać jak najczęściej, szukał tu pracy, ale raz, że nic nie znalazł, a dwa, że i tak nie zarobiłby tyle co na Zachodzie, tyle, ile potrzebowaliśmy. Jeździł więc, a w międzyczasie znowu pojawił się twój dziadek. Z przeprosinami, z częścią pieniędzy i obietnicą, że wkrótce nas spłaci. Miał nowy, dobry interes i tym razem pewnego partnera. Nic od nas nie chciał, tylko przenocować i pomóc.

Wymieniła szklankę na kawałek papieru, wysmarkała nos.

– To z tego czasu pamiętasz go najlepiej – mówiła dalej. – Zżyliście się wtedy, czytaliście książki, oglądaliście filmy. Bo ja, głupia, niczego się nie nauczyłam i uwierzyłam, że on może się zmienić. W tamte wakacje pojechałam do twojego taty, żeby mu trochę pomóc, zarobić i spędzić choć trochę czasu tylko z nim, bo cała ta sprawa zabrała nam sporo lat i szczęścia. Dziadek został z tobą i, jak się później okazało, oszukał cztery osoby, naciągając je na kolejny fałszywy interes. Gdy wróciliśmy, znowu ktoś do nas przyszedł w nocy i wyzywał od oszustów. Nie wiem, gdzie wtedy nocowałeś. Może u kolegi. W każdym razie twój tata się wściekł i kazał ojcu, znaczy twojemu dziadkowi, się wynosić i nigdy nie wracać. Pokłóciliśmy się o to, ja z twoim tatą. Wiedziałam, że ma rację, ale przecież chodziło o mojego ojca. Jediną rodzinę, jaka mi wtedy została.

Znowu przerwała, tym razem na dłużej. Wielkie łzy płynęły jej po policzkach, znały ślady jak ślimaki, wpadały do ust albo po brodzie skapywały na piersi.

– Gdy teraz wrócił, w pierwszej chwili kazałam mu się wynosić. Właśnie zaczęliśmy wychodzić na prostą, odkładać coś, myśleć o założeniu firmy, bo to ponoć ostatni gwizdek. Gdy stanął w progu, miałam takie poczucie, takie... Nie wiem, jak to nazwać, wrażenie takie, że po prostu wyczuł pieniądze. I powiedziałam mu, że nie chcę go tu widzieć, ale wprosił się na herbatę. Chociaż nie, to nieprawda. Ja go zaprosiłam. Pomyślałam, że herbata nie zaszkodzi. Porozmawiamy i sobie pójdzie. Wtedy ty przyszedłeś i to, jak go przywitałeś... Nie zrozum mnie źle, Kacperku. Ja cię nie winię, po prostu kiedy zobaczyłam twoją radość i jego reakcję na ciebie... Przez moment pomyślałam, że może to jedno jest prawdziwe. To jedno, co jest między wami. Kiedy jednak dziś przyszedł do mnie do pracy zapytać o pożyczkę... Co? Co się stało?!

Ale Kacper już nie słuchał. Zerwał się nagle i pognął przez przedpokój. Wpadł do siebie i już wiedział, że coś jest nie tak, że nie wszystko leży, jak powinno.

Doskoczył do szafy i wyrzucił z niej kilka pudełek z lego technic. Z jednego z nich wysypały się żółte i czarne klocki, szare łączniki, krzyżykowe pręciki i kolanka.

– Co jest, Kacper? – zapytała wyraźnie zaniepokojona mama.

Sięgnął za kasety magnetofonowe i wyjął trzy pudełka po filmach, które kiedyś dostał z wypożyczalni kaset. *Screamers*, *Szklana pułapka* i *Uciec, ale dokąd*. Otworzył każde z nich.

Dwa pierwsze były puste. W trzecim leżał długopis od premiera Cimoszewicza i mała karteczka. Widniały na niej tylko dwa słowa: „To pożyczka”.

v
...I RZEKA



Czwartek
10 LIPCA 1997



DAREK

Nie zjadł kolacji. Pomógł mamie posegregować resztę prania, wyjął i rozwiesił na balkonie odwirowane rzeczy. Potem niby poszedł poczytać, ale tylko siedział wpatrzony w zadrukowaną stronę, nie mogąc się skupić choćby na słowie.

Miał wrażenie, że boli go mózg, że się przegrzał. Reszta ciała funkcjonowała w trybie awaryjnym, sama wykonywała pracę. A mózg, zapętłony na kilku zdaniach, słowach, scenach, rzeźił i czerwieniał.

Cygan zadający pierwszy cios, a potem ostatni. Ciepło i smród jego moczu. Chłód i mrok tamtej łazienki. I twarz Mariolki mówiącej: „Ciężko będzie się wytłumaczyć z żółtych plam”. Przypadek czy wiedziała? Bo coś było w jej minie, w jej uśmiechu. I jeszcze Laura wspominająca o ciekawym zapachu. Nie ładnym, lecz właśnie ciekawym. To nie old spice, to jeszcze coś.

Ale przecież nie mogła wiedzieć. Inaczej na pewno by się nie śmiała. Ona by...

– Współczuła – szepnął i mało się tym słowem nie zakrztusił.

Zamknął książkę, rozebrał się i położył, choć za oknem dopiero robiło się szaro. Zaplótł ręce na karku i wlepił wzrok w sufit.

Słyszał, jak wrócił tata, słyszał, że jest podekscytowany. Znowu spotkali się z mamą w kuchni, znowu mówili przyciszonymi głosami. Policja znalazła dwa ciała, jakiegoś pijaczka i pracownika czeskiej służby wojskowej. Podobno ten pierwszy go zaszlachtował, wygląda na to, że wziął za szabrownika. Mama powiedziała, że to straszne. Darek miał to gdzieś.

Patrzył w sufit. Próbował wyobrazić sobie, że unika pierwszego ciosu, że obala Cygana i trafia go w twarz. Uderza mocno, w nos, słyszy chrzęst kości, słyszy zdławiony krwią płacz. I widzi w jego oczach strach, że to już koniec. Że zaraz będzie martwy, bo Darek nie przestanie. Tylko że te myśli pogłębiały w nim jedynie frustrację i gniew. Bo zakłamywały. Bo przecież nie tak to wszystko wyglądało.

Nikt nie wierzył w psa. Uratował tego pieprzonego kundla, ale nikt w to nie wierzył. Laura pewnie też nie, bo dlaczego by miała? Przecież to bzdura, to nieprawda. To nie mogło się wydarzyć, bo nie możesz jednego dnia być bohaterem,

a drugiego leżeć w szczynach jakiegoś dupka i błagać o litość. Albo jesteś bohaterem, albo nie. Andy Dufresne przeczołgał się przez rzekę gówna, bo tak zdecydował. Sam do niej wszedł, miał plan. A twój plan, geniuszu, to po prostu wziąć przysznic cygańskich szczyn?

Cios, ciepło i smród, chłód i mrok, żart, śmiech, pociągnięcie nosem. Ciekawie pachniesz. Nie ma psa. Nie jesteś bohaterem. Nie ma bohaterów. I nie, kurwa jebana mać, nic nie będzie dobrze. Nic.

W domu zapanowała cisza. Za oknem zrobiło się ciemno, rześkie powietrze zza okna przyprawiło go o gęsią skórkę. Nawet nie drgnął. Leżał wpatrzony w sufit i myślał. Przychlast na strzała, powiedział Kacper. Cygan to nie jest problem, to przychlast na strzała.

Przypomniał sobie opuszczone mieszkanie, ledwie kilkadziesiąt metrów od otwartych okien. Gdyby ktoś tylko się zainteresował, gdyby zajrzał. Gdyby Darek był w stanie krzyknąć. Ale nie był i dlatego leżał tam w kałuży szczyn na mokrym dywanie. Bo nikogo to nie obchodziło.

Mietek nie żył, jakiś Czech nie żył. Nie żył tamten facet znad rzeki. W telewizji mówili o innych ofiarach. Woda zmywa ślady.

– Nie zawsze – powiedział i zląkł się własnego głosu. Suchego, ochryplego jak kamień trący o kamień. Ledwie słyszalnego.

Wanna i lustro w ciemnej łazience. Kąpiel w gorącej wodzie. Ciekawy zapach...

I nagle falą uderzyły go wszystkie te wonie z ostatnich dni. Woń wilgoci, błota, zgnilizny, mokrego, ubłoconego psa, trupa w rzece, znowu wilgoć, błoto, gnijące jedzenie, wreszcie zatęchły, śmierdzący mokrym kurzem dywan i siki Cygana. Wspomnienia zapachów pędziły mu przez głowę, kompletnie niezgrane z obrazami. Pies śmierdział zgniłym mięsem, Mariolka kurzem, a Laura wdychała obrzydliwą woń trupa. Potem doszły jeszcze dźwięki. Warkot psa, brzęczenie tłustych much, błyszczących jak benzyna na kałuży, śmiech, odgłos ciosów wcale nie jak w filmie. Szelest lasu, szum rzeki, śmiech, śmiech, śmiech!

Leżał, patrząc w sufit. Godzinę, dwie. Obrazy to rozmywały się, to nabierały ostrości, odrealniały i stawały się boleśnie rzeczywiste. Dźwięki zlewały się w jeden szum, a zapachy w jedną woń. Mocny, intensywny zapach moczu.

Świtało, gdy się zorientował. Dopiero wtedy drgnął, podniósł się i obojętnie spojrział na zasikane łóżko. Przebrał majtki i poszedł do łazienki po miskę, mydło

i ciepłą wodę.

KACPER

Przyszedł pierwszy.

Wstał w zasadzie o brzasku, przeczytał kilka stron, jednak nie mógł się skupić. Usłyszał, że mama krząta się w kuchni, więc poszedł do niej. Razem zjedli śniadanie i razem wyszli z domu. Nie rozmawiali, ale odprowadził ją pod sam szpital, a potem ruszył z powrotem do miasta.

Starynka, wzdłuż której szedł, wciąż była wzburzona i brudna, jednak do wylania brakowało jej z pół metra. W jednym z budynków na Strzelców Bytomskich kobieta stała na parapecie i myła okna. Grupa dzieciaków z mieszkania na parterze miała ubaw z psa tarzającego się w błocie. Podwórko dalej mężczyzna w garniturze i gumowcach, ściskając pod pachą teczkę, wolną ręką pokazywał coś dwóm robotnikom.

Z radia w otwartym sklepie dochodził komunikat, że fala powodziowa właśnie dotarła do Opola i sytuacja jest tragiczna. Zalane południe miasta, okoliczne fabryki, przerwany wał w dzielnicy Metalchem. Pod wodą wyspy Bolko i Pasieka. Wielu ludzi utknęło w swoich domach, strażacy zabierają ich na łodzie. „Jak w Wenecji” – mówił w radiu jeden z mieszkańców miasta. „E tam, w Wenecji to bardziej śmierdzi” – rzucił drugi.

Kacper przeszedł przez mostek i w dwie minuty dotarł pod Caritas. Gdy zobaczył zamkniętą kratę, usiadł na kamieniu w głębi podwórka i wyjął papierosy.

– Poczęstujesz?

Odwrócił się i zobaczył stojącego za siatką Cygana w czarnym tiszercie z białym logo Adidasa i w luźnych dżinsach obciętych nieco poniżej kolan. Miał mokre włosy, zaczesane na bok i pachniał mdłą wodą kolońską.

– Podobno chcesz dorwać mojego kumpla – powiedział Kacper i wypuścił dym przez zaciśnięte zęby. – Nie będę częstował papierosami kogoś, kto chce bić moich kolegów.

Cygan roześmiał się.

– Którego? Który się pozalił?

– To chcesz bić więcej niż jednego?

Cygan stał przez moment, jakby się zastanawiał, po czym rzucił się na siatkę i zwinnie ją przeskoczył. Stał nad Kacprem, otrzepując ręce z rdzy i odprysków farby.

– A co? – zapytał, patrząc na niego z góry. – Masz z tym niby jakiś problem?

Kacper wzruszył ramionami i włożył papierosa do ust. Zacisnął na nim wargi, po czym wyprowadził szybki, mocny cios z pięści prosto w jaja Cygana. Gdy licealista zgiął się wpół, Kacper wyrznął mu z pięści w podbródek z taką mocą, że klapnęła szczęka, a pod Cyganem ugięły się nogi. Zachwiał się i poleciał w tył. Kacper wyjął papierosa z ust i zakaszłał, łzawiąc od dymu.

Wstał powoli z kamienia, opierając ręce na kolanach. Rozejrzał się, czy z pobliskich bloków nikt na nich nie patrzy i czy nikt nie idzie chodnikiem, a potem kopnął Cygana w żebra. Gdy ten skręcił się w bok, wymierzył mu cios w plecy. Licealista próbował złapać go za nogę, ale jego ruchy były niezdarne, pozbawione koordynacji. Kacper bez trudu odtrącił jego lewą rękę, po czym z impetem nastąpił na prawą. Wtedy wyjął z kieszeni nóż. Wcisnął przycisk i przyjrzał się wyskakującemu ostrzu. Pomyślał przez moment, że podobne widział wczoraj w bebechach Mietka. Co zaskakujące, ta myśl, to wspomnienie nie wywołało w nim strachu czy mdłości, nie sprawiło, że znowu chciał płakać. Coś się stało wczorajszego wieczoru. Coś się stało, gdy zobaczył złamanego Grześka, płaczącego, że to jego wina, choć to przecież nieprawda. Coś się stało po słowach mamy i po znalezieniu karteczki. Coś zrozumiał. I zdał sobie sprawę, że cieszy się ze spotkania z Cyganem, bo dzięki temu może sprawdzić, czy zrozumiał dobrze.

Kucnął, przykładając ostrze do oka licealisty. W drugiej dłoni wciąż trzymał papierosa.

– Ja wiem, że wydaje ci się, że jesteś twardy – powiedział. – I na pewno pomyślałeś sobie, że co to jest spuścić wpierdol takiemu kurdupłowi jak Grzesiek. Tylko że, stary, to jest coś. To jest proszenie się o wydłubane oko, czaisz?

Cygan nie odważył się drgnąć. Drżąc, zezował na ostrze noża.

– Nie wiem, czego cię uczyli w domu – kontynuował Kacper – ale rodziny się nie tyka. Czaisz? A Grzesiek to moja rodzina. I zajebię cię, jeśli go dotkniesz. I to nie jest przechwałka. Rozpieprzę ci brzuch tym nożem i wypruję flaki. Wsadzę ci rękę w bebechy i wyciągnę na zewnątrz. Bo rodzina to świętość, czaisz? I my trzymamy się zawsze razem. Rozumiesz to, kurwo?

Cofnął nóż, a Cygan pokiwał głową.

– Dobrze. – Kacper strzepnął popiół, zaciągnął się i wsadził niedopałek w rozedrgane usta Cygana. – Ostatniego miałem.

GRZESIEK

Rano tata przyszedł zapytać, czy czuje się lepiej. Skłamał, że tak, bo nie chciał, by ojciec z nim zostawał.

– To tylko przeziębienie – powiedział i udał kaszel. Gorączki nie musiał, czoło i tak miał rozpalone. Chrypa też jakoś sama przyszła. – Posiedzę sobie, pooglądam filmy.

– Jesteś pewien?

– Tak, tato. Idź, jesteś tam potrzebny, a ja mam co robić. – Starał się, by jego głos brzmiał pogodnie, co przychodziło mu z największym trudem. – Pewnie wpadnie któryś z chłopaków, może coś popiszę.

– Zajmij się tym opowiadaniem o barbarzyńcy i trollu – zasugerował ojciec. – Chciałbym wiedzieć, jak się kończy.

– Dobrze, tato.

Edward Szczęsny wymacał framugę i zanim wyszedł z pokoju, zwrócił oczy nieco ponad głowę syna.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę?

– A ty?

Tata wycelował obok niego pistoletem z palców.

– Słuszna uwaga. Powiem chłopakom, by sprawdzili, co u ciebie.

– Dzięki.

Trzy minuty później, punktualnie o umówionej dziewiątej, przyszła pani Natalia.



Józek zjawił się godzinę później. Zdyszany, mocno przejęty wiadomością, którą przyniósł. Poprosił o wodę i łapiąc oddech, uważnie przyglądał się koledze.

– No co się tak gapisz? – nie wytrzymał w końcu Grzesiek.

– Kacper kazał najpierw sprawdzić, czy się nie posypiesz.

Grzesiek prychnął.

– Kacper kazał? A co to, nasz szef?

Józek zignorował to pytanie. Opróżnił zawartość szklanki jednym haustem. Otarł usta.

– Dziś rano przyszedł do nas tata Darka. Okazało się, że zapomniał zabrać jakichś tam kluczy – zaczął. – W ogóle to przywiozła go policja, bo... Ej, spokojnie, nie odpływaj tu.

– Nie odpływam – zapewnił Grzesiek ledwie słyszalnym głosem. – Mów dalej.

– Przyszedł i powiedział, że jest afera, bo wczoraj strażnicy miejscy patrolujący puste domy z powodu szabrowników natknęli się na Andersa na dwa trupy. No i wyszło, że jeden z nich to lokalny wariat, a drugi czeski żołnierz czy ktoś. W każdym razie facet tu przyjechał, bo im bazę wypłukało, skrzynki z amunicją, z wyposażeniem, lodówki, samochód nawet. Masa sprzętu poszła z wodą i facet tutaj tego szukał. No i szykuje się afera, ale... Grzesiek! Ej, Grzechu! Poczekaj.

Podbiegł do aneksu kuchennego i jeszcze raz napełnił szklankę. Podał ją koledze, a potem, gdy tamten pił, obserwował go uważnie.

– Oczywiście będzie jakieś śledztwo, ale według wujka prokurator już uznał, że najprawdopodobniej Mietek wziął Czecha za szabrownika. W ogóle wiedziałeś, że on brał psychotropy? Mietek znaczy. On się leczył w psychiatryku, tak mówi wujek. Jezu... Ej, Grzesiek, Grzechu, co ty...

Odskoczył w ostatniej chwili, a i tak odpryski ze strugi wodnistych wymiocin chlusnęły mu na stopę i łydkę.

– Czekaj, sprzątnę to. Gdzie masz mopa?

Znalazł go w łazience razem z wiadrem. Starł wymiociny, wyniósł wiadro do toalety i spłukał brudną wodę. Zaraz potem odkręcił kran.

Gdy wrócił, Grzesiek czuł się już nieco lepiej, choć znowu się trząsał.

– Rozumiesz? – zapytał Józek, siadając naprzeciwko. – To nie twoja wina, bo facet poszedł za Mietkiem nie z powodu pieniędzy, tylko pewnie z powodu desek, którymi tamten wyłożył wózek. One były czeskie. Miały oznaczenia. Rozumiesz? Nikogo nie zabiłeś.

Grzesiek nie odpowiedział. Drżał cały, a po policzkach płynęły mu łzy. Józek narzucił mu koc na ramiona i owinął go nim szczelnie.

– Na razie musimy siedzieć cicho – powiedział spokojnie jak do dziecka. – Ale podobno prokurator jest wściekły, bo ci dwaj strażnicy z patrolu zdeptali ślady i w

ogóle dotykali ciała.

Grzesiek milczał. Wciąż się trząsał. Józek usiadł obok i objął go ramieniem.

– Nikogo nie zabiłeś, Grzesiu. Nikogo nie zabiliśmy. To tylko przypadek.
I rzeka.

DAREK

Zanim wyszedł, wziął długie solidne nożyczki krawieckie z szuflady mamy i brązową kopertę formatu A4 z biurka taty. Potem w pokoju długo przeglądał gazety, szukając zapamiętanej reklamy, i czekał, aż mama wyjdzie. Gdy został sam, otworzył tapczan, wyjął pieniądze i przełożył je do koperty. Wsunął ją do szkolnego plecaka i nakrył tiszertem. Dopiero wtedy wyszedł z domu.

W Caritasie był już niemal cały zespół oprócz Grzeška, Józka i Cygana. Kacper przywitał się i zapytał, czy pójdą razem z paczkami. Odmówił, wykręcając się bólem nogi. Chciał pomóc na miejscu. Kacper nie miał z tym większego problemu.

Wiktor i Laura zajmowali się dwiema różnymi rzeczami, ale zasadniczo niedaleko siebie. Ona przy wejściu obsługiwała długą kolejkę, która osobiście stawiała się po dary, on selekcjonował sparciałe harcerskie materace, wybierając spośród przywiezionych i zrzuconych na podwórko stosów sto pięćdziesiąt wciąż nadających się do użytku. Miały służyć ukraińskim żołnierzom, bo ponad stu zadeklarowało pomoc przy usuwaniu szkód.

Mariolka i Dagmara znosiły paczki do holu, w czym pomagał im chłopak, którego Darek nie znał.

– Cześć – rzuciła Daga. – Pomożesz nam?

– Pewnie – odparł.

Zaniósł plecak do socjalnego, gdzie przywitał się z dorosłymi i odmówił ciasta. Potem zabrał się do pracy i pomagał każdemu, kto tylko potrzebował, odpowiadając grzecznie, choć półsłówkami. W głowie przez większość czasu słyszał szum jak w nienastrojonym radiu, a gdy tylko przebijały się obrazy z nocy, szedł do łazienki opłukać twarz. Wracał, uśmiechając się sztucznie, i brał się do roboty.

W przerwie Laura przyszła do niego, by zapytać o tamtą sytuację z psem. Pachniała pięknie, tak owocowo i naprawdę wyglądała na przejętą, ale on już nie chciał o tym mówić. Nie po tej nocy. Miał wrażenie, że gdy na niego patrzy, drgają jej nozdrza. Stojący przy drzwiach Wiktor niby z kimś rozmawiał, jednak tak naprawdę zerkał raz po raz w ich stronę.

– Kacper to wymyślił – powiedział w końcu Darek. – Całą tę historię z psem.

Odwrócił się, chcąc ukryć przed nią łzy, tyle że żadnych łez nie było. Był w środku suchy, suchuteńki. Żadnej wody.

Po obiedzie, którego nie tknął, pani Zofia i pani Natalia pojechały do chorych, a on zobaczył, gdzie ta druga chowa kluczyk do szafki z lekami. Nie znał się na tych wszystkich pastylkach, więc skorzystał z leżącego na półce leksykonu leków. Z niego dowiedział się, że potrzebuje różowego pudełka podpisanego „MST Continus”. Siarczan morfiny. Wrzucił pudełko do plecaka, zamknął szafkę i odłożył klucz.

Kacprowi, gdy już wrócił z roznoszenia paczek i teraz z Wiktorem przebierał materace, powiedział, że źle się czuje i idzie do domu. Po namyśle i blisko godzinnym snuciu się wzdłuż rzeki faktycznie poszedł.



Nie nastawiał budzika, bo tylko narobiłby hałasu, a przecież i tak nie zamierzał spać. Znowu widział te same obrazy co wcześniej: drgające nozdrza Laury, ukradkowe spojrzenia Wiktora, Kacper pracujący z nim ramię w ramię.

Otworzył okno, ale i tak w pokoju śmierdziało moczem. Mama też to wyczuła, gdy tu weszła, i kazała mu rano sprzątnąć śmierdzący stos ubrań w kącie. Sam nie wiedział, kiedy się ich tyle nazbierało. Obiecał, że wstanie wcześniej i to zrobi.

Znowu leżał, nasłuchując cichej rozmowy w kuchni, podczas której tata dzielił się szczegółami śledztwa, choć pewnie nawet nie powinien ich znać. Darek zrozumiał z tego tyle, że Józek, Grzesiek i Kacper byli bezpieczni. Nikt nie widział tam żadnych dzieciaków. W ogóle nikt nic nie widział. Szabrownicza zbrodnia. Krwawy przypadek.

Z okna do okna niósł się z delikatnym wiatrem dym z papierosa. Darek złapał się na myśli, czy o nim też będą rozmawiać w taki sam sposób. Przyciszonymi głosami w kuchni, byle tylko Wiśka nie usłyszała.

Gdy podniósł się z łóżka, minęła trzecia trzydzieści. Za oknem zrobiło się już prawie jasno, ćwierkały ptaki, na podwórku nie było absolutnie nikogo. Ubrał się, pościelił łóżko i złapał za szelki plecaka. Cichutko, jak najciszej wyszedł najpierw z pokoju, a potem z mieszkania. Buty włożył dopiero na korytarzu.

Na podwórku puścił się biegiem i przystanął dopiero pod Caritasem. Sięgnął do plecaka po kopertę z pieniędzmi. Zajrzał do środka, upewnił się, że nie zapomniał o wyciętym z gazety zdjęciu pędzących koni. Miał nadzieję, że zrozumie to tylko Laura, nikt więcej. A potem przypomniał sobie o nocnej rozmowie z Józkiem i wzruszył ramionami. Zakleił kopertę, wrzucił ją do skrzynki na listy na drzwiach. Wyjął pudełeczko z lekami, opróżnił jeden blister, ścisnął w ręce dziesięć pigułek, ale nie zamierzał ich jeszcze połykać. Zdał sobie sprawę, że zapomniał o wodzie do popicia.

Założył plecak, poprawił paski i ruszył przez miasto, ściskając w dłoni tabletki.

Szedł wzdłuż wciąż nieuprzątniętych gór śmieci na Jana Pawła, przez mostek, który ostatecznie oparł się Starynce. Minął Ołówek i ruszył na skos, przez park za liceum.

Nie spotkał nikogo aż do mostu Andrzeja. Dopiero tam minął go samochód, żółty volkswagen golf. Siedzący za kierownicą wąsaty rudzielec o chudej twarzy nawet na niego nie spojrzał.

Gdy Darek dotarł pod dom Laury, pomyślał, że właściwie mógł tę kopertę wrzucić tutaj. Tylko jakby się z tego wytłumaczyła? Poza tym nie chciał, by miała przez niego kłopoty. Gdzieś tam, za granicą, wciąż mogła być mafia, która szukała ich trupa i tego plecaka.

Nie, pomyślał. Tak będzie lepiej.

Wydawało mu się, że stanęła w oknie, jednak to było tylko złudzenie, lampa za firanką. Westchnął cicho, po czym ruszył w stronę zdewastowanego stadionu i dalej, wzdłuż rzeki. Po drodze zaczął wkładać pastylki morfiny do ust. Pojedynczo, by łatwiej dało się przełknąć.

Szum w głowie zgrał się z tym z rzeki.

LUŻNA KARTKA

Piosenkę wypuszczono w eter siedemnastego lipca. A może wcześniej, tylko wtedy zaczęli ją puszczać regularnie, dzień w dzień, z przebitkami na informacje o zbiórce dla dotkniętych powodzią? Zresztą nie ma to aż tak wielkiego znaczenia.

Piosenka nie była nowa, wielu słuchaczy dobrze ją znało, ale tym razem do studia zaproszono wielu wokalistów, w tym kilku naprawdę znanych i uznanych. Pojawili się między innymi: Rodowicz, Niemen, Bartosiewicz, Markowski i niegdysiejsza królowa przedszkolnych balów, Natalia Kukulska, pani pieska o wdzięcznym imieniu Puszek Okruszek. Zaśpiewali tak, że z początku w całej Polsce ludzie pogłaścili radia i telewizory, a wielu miało łzy w oczach. Potem przebój spowszedniał, znudził, wreszcie zaczął irytować.

Jednak wtedy, siedemnastego lipca, równo tydzień po tym, jak woda zajęła Opole, pięć dni po tym, jak rozpoczęła okupację Wrocławia, słowa piosenki były ważne, wymowne. Niosły przesłanie:

Spróbuj powiedzieć to

Nim uwierzysz, że

Nie warto mówić kocham.

Spróbuj uczynić gest, nim uwierzysz, że

Nic nie warto robić.

Zaczynała delikatnie Nosowska, by zaraz oddać głos rockowo zachrypniętej Bartosiewicz. Potem przejmowała go jeszcze na moment Rodowicz, ale o ciarki przyprawiał dopiero Niemen ze swoim wschodnim zaśpiewem:

Nic naprawdę nic nie pomoże,

Jeśli ty nie pomożesz dziś miłości.

Tego dnia, gdy *Moja i twoja nadzieja* weszła na wizję, by nie schodzić z niej przez wiele następnych dni, ludzie w Głuchołazach, zaangażowani w poszukiwania

trzynastoletniego Darka Woźniaka, nadziei nie mieli już w zasadzie żadnej. Z kilkunastoosobowych grup patrolujących okolice rzeki, przetrząsających krzaki, szukających w odpływach kanałów, otwartych studzienkach, opuszczonych kamienicach, domach i zapiaszczonych, zamulonych altankach została już tylko garstka bliskich, przyjaciół. Oraz oczywiście służby, które jednak, przy całym szacunku dla zaginionego i jego rodziny, miały masę innych zajęć. W końcu od zaginięcia minęło już siedem dni, a siódemka nie była owego lata szczęśliwą cyfrą.

Dzień po wypuszczeniu piosenki znowu spadły deszcze. Rzeki znowu wypełniły się brudną wodą, znowu wylały z brzegów, wygnały tych, co zbyt wcześnie postanowili wrócić. Lało przez cztery dni. A kiedy wody opadły po raz drugi – tym razem szybciej – gdzieś przed Nysą ukraińscy żołnierze, którzy przybyli, by pomóc w usuwaniu szkód, zabili nadzieję ostatecznie.

Środa
30 LIPCA 1997



JÓZEK

Nie miał co na siebie włożyć, bo przecież gdy się pakowali na wakacje, nikt nie przewidział, co się wydarzy. Dlatego teraz stał przed lustrem w kupionej na szybko czarnej koszuli z krótkim rękawem i spodniach pożyczonych od Kacpra. Buty dostał od dziadka. Były tylko o numer za duże, wystarczyła więc grubsza skarpeta i mocniej ściśnięte sznurówki.

W domu panowała cisza. Jedynie czasem w kuchni a to coś spadło, a to zaszumiało. Dochodziły stamtąd apetyczne zapachy, od których przewracało się Józkowi w żołądku. Wiedział, że gdy po wszystkim postawią jedzenie na stołach, nie będzie w stanie przełknąć choćby kęsa. Dobrze, że będą z nimi Kacper i Grzesiek. Wujostwo ich zaprosiło. Ciocia Ewa skierowała też zaproszenie do pani Olgi, Laury i Wiktora, ale chłopcy poszli do niego i powiedzieli, żeby się nawet, kurwa, nie ważyli. Żeby nawet nie próbowali.

Wiktor przyjął to ze smutnym zrozumieniem.

– On się w niej kochał, prawda? W Laurze znaczy – dodał. – Czy to dlatego...

– Gównu cię obchodzi dlaczego – warknął w odpowiedzi Grzesiek. – Nie ważcie się przychodzić!

Wiktor obiecał się tym zająć i Józek miał szczerą nadzieję, że dotrzyma słowa.

Pamiętał chwilę, gdy się zorientowali. Przez dwa dni po zaginięciu Darka, kiedy szukali już wszyscy, on, Kacper i Grzesiek nie mogli spać. Byli przekonani, że to mafia go porwała i szykowali się już do oddania pieniędzy na policję, byleby chronić bliskich. Ale wtedy pani Natalia powiedziała tacie Grześka o tym, co właśnie znaleźli w skrzynce. Gdy okazało się, że w środku prócz pieniędzy znajdowało się też wycięte z gazety zdjęcie koni, Józek dodał dwa do dwóch i powiedział o tym reszcie.

– Myślę, że się zabił – stwierdził i wyjaśnił chłopakom, skąd ten wniosek. A potem zaczął się najgorszy czas w ich życiu. Czas udawania, nieprzespanych i bezcelowych poszukiwań. Gdy Ukraińcy odnaleźli ciało, Józek się rozplakał, jednak tylko dwie osoby wiedziały, że były to tak naprawdę łzy ulgi. Te rozpaczy po kuzynie wylał już dawno.



Koło dziesiątej zjawił się wujek Krzysiek. Miał opuchnięte, przekrwione oczy, a ciemny garnitur wisiał na nim jak na strachu na wróble. Mówił cichutko, ledwo słyszalnie, ale i tak trzymał się dużo lepiej od cioci Ewy. Gdyby nie mama, kto wie, czy nie byłoby dziś dwóch pogrzebów.

Wujek stał w przedpokoju, czekając na ciasta do zabrania. Nie chciał nic pić, odmówił wejścia dalej. W rękach miętolił czarny kawałek materiału, który okazał się wąskim krawatem. Gdy zobaczył Józka, skrzywił się boleśnie i przełknął ślinę.

– To Darka – powiedział, wyciągając rękę. – Pomyślałem... Pomyślałem, że...

Po twarzy Józka popłynęły łzy. Wziął krawat i cofnął się.

– Zawiązać ci? – zapytał wujek.

Józek zerknął na stojącą w kuchni mamę, a ta pokiwała głową.

– Tak, wujku, poproszę. – Stał przed lustrem, postawił kołnierzyk i powiesił krawat na szyi jak ksiądz stulę.

Krzysztof Woźniak stanął za nim, ale kiedy spojrzał w lustro, od razu zaniósł się szlochom, zasłaniając twarz.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam. Poczekał w aucie.

I wyszedł. Józek pobiegł do pokoju, gdzie rzucił się na łóżko, wtulając mokrą twarz w poduszkę.

Leżał tak długo, aż w końcu przyszła po niego mama.

– Musimy już iść, kochanie – odezwała się cichym, spokojnym głosem.

Wstał.

EPILOG



Wtorek
4 WRZEŚNIA 2018



JÓZEF

Bez trudu znalazł miejsce na niewielkim przycmentarnym parkingu. Stały tam tylko trzy auta, dwa obok siebie i jedno oddzielone trzema wolnymi miejscami. Wybrał to pośrodku.

Mama wysiadła, jeszcze zanim wyłączył silnik. Posprzeczali się po drodze o jakieś pierdoły i teraz czuł się przez to głupio. Przeprosił ją, powiedziała, że w porządku, a mimo to już więcej się nie odezwała.

Westchnął. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, zamknął oczy i powoli rozmasował nasadę nosa, zastanawiając się, czy w wiszącej z tyłu marynarce ma tabletki na ból zatok. Bo jeśli nie, to sądząc po pulsującym, narastającym ucisku, jaki czuł w skroniach i nad oczodołami, nie minie pół uroczystości, a będzie marzył, by zamienić się z leżącym w trumnie dziadkiem.

Swoją drogą, pomyślał, dziewięćdziesiąt cztery lata. Piękny wiek.

Ktoś zastukał w szybę, więc Józef otworzył oczy. Za drzwiami stał niewysoki facet w rozpiętym czarnym płaszczu, spod którego wystawał również czarny, luźny golf. Mężczyzna miał modną fryzurę, wysoko podgolone boki, włosy zaczesane do góry i starannie ułożone za pomocą pomady czy pasty. Mocno zarysowana szczęka pokryta krótkim zarostem, nos prosty, duże, pogodne oczy skryte za oprawkami modnych okularów.

Niewiele zostało w nim z chłopca sprzed przeszło dwudziestu lat, ale to Józefowi wystarczyło. Poza tym kojarzył przecież tego nowego Grzegorza Szczęsnego. Widywał go wszak na plakatach, gdy przechodził koło Empiku, przekartkował też kilka jego książek ze zdjęciami na skrzydełkach okładki. Teraz dał mu znać, żeby się odsunął, wypiął telefon z ładowarki i wysiadł.

– Cześć, Grzesiek – powiedział, wyciągając do niego rękę.

– No właśnie nie byłem pewien, czy mnie poznasz – odparł tamten, ściskając mu dłoń. – Ciężka podróż, co?

– Nie rozumiem – przyznał Józek. Otworzył tylne drzwi i sięgnął po marynarkę. Na szczęście znalazł tabletki. Pełen blister w wewnętrznej kieszeni.

– Widziałem twoją mamę. – Grzegorz pokazał za siebie. – Wyglądała jak chmura burzowa.

Józef machnął ręką. Włożył marynarkę.

– Też przyszedłeś na pogrzeb? – zapytał.

– W zasadzie to do ciebie. Pomyślałem, że może znajdziesz czas wieczorem na jakieś piwko, pogadamy trochę. Wiesz, Kacper w Szwecji siedzi, a jednak mam z nim kontakt, chociażby na Facebooku, ale z tobą...

Nie wiem, czemu mielibyśmy go szukać, pomyślał Józef, choć nie powiedział tego na głos, bo nie miał zamiaru być niegrzeczny. W gruncie rzeczy uważał to spotkanie za całkiem miłe, choć zdecydowanie nie zamierzał go przedłużyć o wieczór.

– Niestety nie zostajemy na noc – odparł. – Mama ma jutro wizytę u lekarza.

– Nie, no jasne. Luźna propozycja. – Grzegorz uniósł ręce w pojednawczym geście. – Właściwie to mogę cię nawet teraz spytać, bo ja z konkretną sprawą. Piszę książkę o tamtych wydarzeniach i... Ej, spokojnie, no przecież nie napiszę, że to na faktach, nie rób takiej miny. Chodzi o to, że nie wszystko dobrze pamiętam i... No rozumiesz, mam swój punkt widzenia, i tyle. Dlatego chciałbym pogadać. Ech, bez sensu tak tutaj, teraz. Dlatego właśnie chciałem to piwo.

Józef skinął głową. Zamknął samochód i już miał ruszać, gdy zobaczył bordowego passata combi skręcającego właśnie z głównej ulicy. Siwy wąsaty mężczyzna za kółkiem niewiele się zmienił poza kolorem włosów. Schudł tylko wyraźnie i pobladł. Siedząca obok kobieta wyglądała natomiast jak wystrugana z drewna nieudana rzeźba jego matki. Ostre, głębokie rysy dodawały jej lat i czyniły przeciętną twarz odpychająco brzydką.

Gdy podjechali bliżej, ukłonił się wujostwu, ale odpowiedziała tylko ciotka.

– Masz już coś? – zapytał Józef, kiedy razem z Grzegorzem ruszyli w stronę domu pogrzebowego. Przed budynkiem zgromadziła się całkiem spora grupa żałobników. – W sensie do twojej książki?

Grzegorz podrapał się po brodzie.

– Nic konkretnego, bo to na razie pomysł – odparł. – Robiłem przymiarki, pogadałem sobie z Kacprem, z Laurą przez Skype'a, bo w Anglii siedzi, w korpo jakiejś. Z Wiktorem też, mam go na miejscu. Próbowałem uzupełnić sobie dziury w historii, złapać rzeczy z innej perspektywy, trochę szerzej. Ale to wszystko,

wiesz, raczej luźne kartki. Tak nawet podpisałem zeszyt, *Luźne kartki*. Gdy coś mi przyjdzie do głowy, piszę, jak to czy tamto sobie wyobrażam.

– Jasne, rozumiem – przytaknął Józef. – Tylko widzisz, mówiąc szczerze, w zasadzie nie wiem, jak i czy w ogóle będę ci w stanie pomóc. Niewiele pamiętam, to jednak kawał czasu.

Grzegorz nie odpowiedział, zamiast tego uśmiechnął się drwiąco. Nie wciskaj mi bzdur, kolego – mówił ten uśmiech. Pamiętasz wszystko, bo tamto lato każdemu z nas wryło się w pamięć. Gra ci w snach jak stary szlagier.

By zmienić temat, Józef zapytał:

– A czy przy okazji tego uzupełniania luk dowiedziałeś się, skąd były te pieniądze? I co to był w ogóle za facet? Bo ja kiedyś próbowałem szukać, ale nic nie znalazłem.

– Ja też nie, choć nawet zatrudniłem jednego Czecha do pomocy. Mamy tylko dwie teorie, nic pewnego. Poczekasz? Zapalę sobie.

Józef zerknął na zegarek. Miał jeszcze siedem minut.

– Jasne, pal.

Grzegorz wyjął z kieszeni paczkę. Poczęstował go.

– Nie, dzięki.

– Słusznie. Zdrowszy będziesz. – Włożył papierosa do ust i osłonił ręką płomień zapalniczki. Zaciągnął się dymem. – Ja to już raczej nie rzucę, choć ojciec ciągle mi łeb suszy.

– Właśnie, jak u niego? W porządku?

Grzegorz wzruszył ramionami.

– Ze dwa lata temu poleciał ze schodów i złamał sobie szyjkę kości udowej, więc teraz nie dość, że ślepy, to jeszcze kulawy. Ale żyją sobie dobrze z Natalią, wciąż mają energię, by się wyzywać, czyli chyba w porządku. – Zaciągnął się i wypuścił nosem kłęb dymu. – A co do tych teorii, pierwsza jest taka, że mniej więcej w tym czasie obrabowano w Czechach kantor.

Józef się skrzywił.

– Za dużo kasy jak na kantor. Nie sądzę.

– Chodziło o taki, wiesz, kantor *di tutti* kantori. Główny punkt sieci. Tam zwożono, stamtąd rozwożono. No i na pewno został wtedy okradziony, więc kto

wie.

– No, w sumie.

– Druga opcja – Grzegorz skłonił się przechodzącemu mężczyźnie o pociągłej twarzy i przetykanych siwizną czarnych włosach – to włamanie do skrytki depozytowej w sanatorium w Jeseníkach. Nie pytaj, po co komuś taka kasa w gotówce, bo nie wiem, po prostu zgłoszono kradzież, a podobno poszkodowanymi byli Amerykanie. Jak mówiłem, nic, o co można by się zaczepić. Skoro już jednak tak gadamy, to ja też mam do ciebie pytanie, Józek.

– No?

– Chodzi mi o te pieniądze, o twoją dolę. Ile z niej wydałeś?

Józef popatrzył w stronę drogi, gdzie z za zakrętu wyłonił się właśnie ksiądz. Szedł w towarzystwie dwóch ministrantów, szybkim krokiem człowieka spóźnionego, ale świadomego, że mimo wszystko nie może dotrzeć do celu zziajany.

Przeniósł wzrok na Grzegorza. I choć nie widzieli się tyle lat, choć tak naprawdę nigdy nie zostali bliskimi przyjaciółmi, to patrząc mu w oczy, zobaczył w nich dokładnie to, co spodziewał się tam znaleźć.

– Tyle co ty, Grzesiu – odpowiedział. – Ja też boję się tego ruszyć.

Matka wychyliła się zza węgła i popatrzyła na niego wymownie. Westchnął.

– Muszę lecieć, Grzesiu – dodał, wyciągając do niego rękę. – Szkoda, że tak przelotem. Może następnym razem uda się dłużej.

– Tak. – Szczęsny uścisnął podaną dłoń. – Na pewno się uda.

LUŻNA KARTKA

Chcę wierzyć, że to był przypadek. Że nawet jeśli miał taki plan, jeśli naprawdę chciał to zrobić, w ostatniej chwili, patrząc w burą, dziką i brudną wodę, zwyczajnie się rozmyślił.

Chcę wierzyć, że nagle otrzeźwiał i odsunął się od brzegu, przerażony własną głupotą, że odetchnął z ulgą, jak kiedyś na rowerze, gdy wyhamował tuż przed korzeniem, przez który poleciałby nad kierownicą w dół ostrej skarpy.

Chciałbym mieć pewność, że gdy to się stało, on wracał do domu. Że myślał o łóżku, o nas, o wszystkim, co go tamtego dnia gryzło, i o tym, że przecież nie ma problemów nie do rozwiązania. Może nawet o niej, że mimo wszystko spróbuje jeszcze raz, że coś wymyśli.

Oby tak było. Oby się po prostu potknął, oby chodziło o śliski brzeg, podmyty kamień, osunięcie się ziemi. Naprawdę chciałbym, by zabiła go nie świadoma decyzja, a przypadek. I rzeka.

POSŁOWIE

To nie jest i nigdy nie miała być książka historyczna. Osobiście wzdrygam się też przed używaniem terminu „na faktach” czy „w oparciu o prawdziwe wydarzenia”. Nie dlatego, że to nieprawda, ale podobne stwierdzenie odbiera rację i znaczenie fikcji. Mówiąc prościej, jeśli ktoś szuka podręcznika historii współczesnej, pora, by się zorientował, że zablądził. To powieść.

Dodajmy, że powieść dla mnie wyjątkowa, gdyż jest mnie w niej więcej niż w poprzednich. Mnie prawdziwego, bo wydarzenia z lipca 1997 mocno odcisnęły na mnie swoje piętno. Byłem wtedy w Głuchołazach, moim rodzinnym mieście, działałem podczas powodzi jako harcerz, pomagałem w Caritasie i nosiłem paczki w upale na każdy kraniec miasta. Przyznano mi za to nawet publiczne odznaczenie od Naczelnika ZHP – duma rozpierała mnie tak długo, aż się okazało, że to znaczek bity od sztancy i każdy hufiec na południu mógł je rozdawać, komu chciał. I robiono to zdecydowanie gorliwiej, niż działano w „akcji powódź”. Cóż, jakie czasy, takie obyczaje. Nie róbmy ich na siłę piękniejszymi.

Podczas powodzi miałem tyle lat co moi bohaterowie. Dzięki temu, jak sądzę, udało mi się dobrze oddać charaktery szczeniaków u progu dojrzałości, wychowanych na popkulturze i podwórkach w tych – przyznajmy to wszyscy – dość szalonych latach dziewięćdziesiątych. Oczywiście to książka tu rządziła, więc fabuła wciąż miała prymat nad nostalgią, ale bardzo chciałem pokazać, co wtedy czuliśmy. I że dla nas, niezależnie od ogólnopolskich skutków, powódź nie była tragedią, a szaloną przygodą. Gwarancją niezwykłego lata.

Aby jednak uniknąć pisania o dzieciakach z perspektywy prawie czterdziestolatka, sporo przegadałem z moim potomstwem akurat we właściwym wieku i z ich rówieśnikami. Bardzo mi to pomogło przy pisaniu, jak i przy zrozumieniu, że bycie nastolatkiem to rodzaj dwubiegunówki. Zależy od chwili, okoliczności i nastroju, czy jesteś dzieckiem, czy dorosłym. To, co pomiędzy, to tylko złudzenie. A, no i czas spędzony ze smarkaterią uzmysłowił mi po raz kolejny, że jeśli ktoś narzeka na dzisiejszą młodzież, trzyma głowę tak głęboko we własnej nostalgicznej dupie, że widzi swoje migdałki.

Osobne podziękowania należą się też mojemu przyjacielowi, terapeutce (prosił o niepodawanie personaliów), który uświadomił mi skalę samobójstw wśród dzieci i pokazał szereg powodów. Powiedział też, że nie zawsze da się uratować małego samotnie rozmową i okazaniem mu wsparcia, ale nigdy nie jest to krok w złą stronę.

Uważny czytelnik, zwłaszcza osobiście zaangażowany w temat, zauważy, że dokonałem w powieści kilku skrótów, uproszczeń i chronologicznych przeinaczeń. Starłem się, by były jak najmniejsze, jednak umówmy się – czekanie na drugą falę powodzi aż do siedemnastej pierwszej dnia oznaczałoby prawdziwą męczarnię dla znudzonych bohaterów. Troszkę to więc przyspieszyłem. Podobnie ma się rzecz z premierem Cimoszewiczem – choć występuje tutaj z nazwiska, mam nadzieję, że nie obrazi się o tę jedną wymyśloną scenkę czy porównanie do łasicy. Faktycznie przyleciał do nas tamtego dnia, tylko później. Takich nieścisłości jest tu oczywiście więcej. Niektóre pewnie wynikają z pomyłki, choć większość z nich to świadome powołanie się na *licentia poetica*. Ufam, że nie nadużyłem swojego prawa, ale jeśli nawet... Cóż, *regret nothing*.

Ważne jest także, by nadmienić, że choć potrzebowałem w swojej książce pewnych postaci – takich jak niemiecki właściciel fabryki, ówczesny burmistrz, szef policji czy dyrektor szpitala MSWiA – i że miały one swoje odpowiedniki w rzeczywistym świecie, to nie przywołuję tu prawdziwych osób. Część podejmowanych decyzji, wszystkie motywacje i dialogi, a nawet cechy fizyczne są moim wymysłem. Proszę zatem, by nikt, nieważne w dobrej, czy w złej wierze, nie mieszał tu światów bardziej niż to konieczne.

Chciałbym bardzo podziękować pewnym osobom, bo bez nich, bez ich pomocy, zaangażowania, odbierania moich telefonów o dziwnych porach i odpowiadania bez zdziwienia na potrzebne mi kwestie *Topiel* byłaby dużo gorszą książką.

W pierwszej kolejności dziękuję zatem moim rodzicom – ich pomoc przy wspomnianiu tamtych wydarzeń była nieoceniona. Nieraz pamiętaliśmy rzeczy inaczej i wtedy zasięgaliśmy opinii osób trzecich, choćby po to, by zażegnać rodzinny spór wygenerowany rozbieżnościami. Fakt, że mój tata pełnił wtedy funkcję szefa nadzoru Telekomunikacji Polskiej – czyli tę samą co tata Darka – pozwolił na wplecenie wielu ciekawostek z tamtego czasu. Tata i jego smartfon nieraz ratowali mnie z fabularnej opresji.

Z kolei mama pomogła mi bardzo w kwestiach związanych z emocjonalnym rozwojem postaci. Czasem robiła to świadomie, innym razem mimochodem, bo coś z naszych rozmów o przeszłości po prostu zostawało mi w głowie. I za to bardzo jej dziękuję.

Dziękuję Uli Ćwiek, z którą dzielimy wspomnienia związane z pomaganiem w Caritasie tamtego lata. Korzystając też z jej doświadczeń jako pielęgniarki i matki mogłem w miarę pewnie konstruować te wątki. Jestem bardzo wdzięczny, że bez względu na to, o której godzinie dzwonię z pytaniem medycznym, zawsze odpowiada konkretnie. I nie pyta, do czego tego potrzebuję. Nawet gdy w pytaniach stosuję głupie skróty myślowe typu: gdyby nasz syn chciał sobie zrobić krzywdę tabletkami, to...

Dziękuję Anecie Jadowskiej, bo w kwestiach trupów, rozkładu i tym podobnych zawsze mogę na nią liczyć. Moja wdzięczność jest równie wielka jak przerażenie, ilekroć odpowiada mi na różne walnięte pytania w zasadzie od ręki, bez zastanowienia. Dobrze mieć Cię po swojej stronie, My Dear!

Wdzięczności mej jedwabną belę kładę też na ręce Agnieszki Włoki, która czytając *Topiel*, dawała mi szereg cennych uwag, zwracała uwagę na to, co może być lepiej, oraz szukała dla mnie informacji, gdy ja ślęczałem nad klawiaturą. Oszczędziło mi to sporo czasu i frustracji.

Specjalne podziękowania ślę tutaj Patrycji Brzeskot, bo choć nie pomagała mi bezpośrednio przy tej książce, to dała mi coś, bez czego tej książki by nie było. Sprawiała, że naprawdę polubiłem zwierzęta i zrozumiałem tych, dla których są one całym światem. Gdyby nie ona, pewnie przegapiłbym w prasie prawdziwą historyjkę o chłopcu ratującym groźnego psa i tym samym nie miałbym jednej z najważniejszych dla mnie scen w tej książce. Poza tym to jej zawdzięczam szereg historii kryminalnych, gdyż Patrycja słucha ich pasjami, a potem opowiada. Dzięki nim wiem, jak dziwny, przerażający, groteskowy i oparty na przypadku jest nasz świat.

Dziękuję pięknie tym, którzy ogromnie mi pomogli nawet jedną czy dwiema krótkimi rozmowami: Bartkowi Czartoryskiemu, Adamowi Szai, Sławkowi Zielińskiemu, Grześkowi Rudeckiemu czy Przemkowi Powirskiemu. Być może nie zdają sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo byli pomocni.

Bardzo pomocny okazał się też, używany w odpowiednich proporcjach, internet, który pomógł mi zarówno w upewnieniu się co do telewizyjnej ramówki z tamtych

dni, przypomniał okładki konkretnych komiksów i gazetek czy konkretny fragment Ewangelii św. Marka zgodny z kalendarzem liturgicznym. Ten przytoczony pochodzi z Biblii Tysiąclecia.

Dziękuję zespołowi z wydawnictwa Marginesy za zaangażowanie, entuzjazm i wiarę w tę książkę. Pani Karolinie Macios, świetnej redaktorce, dziękuję za to, że wyczuwając osobisty charakter tej opowieści, ingerowała delikatnie, ale gdy trzeba, pilnowała, by to książka była tu szefem. Jej zawdzięczam też jedną ważną scenę i ostateczny, ustabilizowany rytm. To świetne uczucie, gdy już na etapie redakcji pojawia się coś, co – choć niekoniecznie niezbędne – czyni tekst lepszym. Trochę jak pomysłowy sampel w piosence. To właśnie ten przypadek.

Za przeczytanie książki przed redakcją i za wszystkie cenne uwagi dziękuję także Wojtkowi Chmielarzowi, którego zdanie nieodmiennie jest dla mnie ważne. Nadal uważam, że to najlepszy obecnie pisarz gatunkowy na naszym rynku. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że jako betatester sprawdza się równie dobrze.

Cóż, niby od dawna wiedziałem, że pisanie książek to praca zbiorowa, ale nieodmiennie zaskakuje mnie to zjawisko w praktyce. Jak mawiał Gumowy Kaczor z *Konwoju* – ja tylko jadę z przodu.

No i wreszcie dziękuję Tobie, Drogi Czytelniku. Dziękuję, że dotarłeś aż tutaj. I koniecznie wpadnij przy okazji do Głuchołaz. To miasto pełne jest historii, które – mam nadzieję – wspólnie odkrywamy.

Głuchołazy, grudzień 2019